



Księżna Natalia Urusowa

Macierzyński płacz Świętej Rusi

≈ Wspomnienia ≈

SPIS TREŚCI

1. Przed rewolucją	3	36. Cerkiew katakumbowa	72
2. Abdykacja Mikołaja II	3	37. Metropolita Józef	74
3. Jarosławski cud	4	38. Mozaik	77
4. Wielka księżna Elżbieta Fiodorowna	5	39. Koniec	82
5. Cud świętego Mikołaja	6	Dodatki	86
6. Powstanie Jarosławskie	7	Na wodach oceanu	86
7. Dacza	9	Daj odpoczynek ze świętymi	86
8. Wołga	9	Droga cierpienia i miłości	87
9. Powstał „z martwych”	10	Wspomnienia młodej towarzyszkii niedoli	91
10. Siergijew Posad	11	Zamiast zakończenia	93
11. Miłość do cara	13	Reakcje hierarchii	96
12. Przepodobny Serafin Sarowski	15		
13. Losy mnichów	16		
14. Metropolita Agatangel	17		
15. Sobór Wszechrosyjski 1919 roku	19		
16. Patriarcha Tichon	19		
17. Mąż	21		
18. Ojciec Aleksy Mieczow	23		
19. Władykaukaz	27		
20. Igumenia Antonina	28		
21. Głód	30		
22. Nalczik	32		
23. Derbent	36		
24. Czeczeńcy	39		
25. Podwíg podrostka	40		
26. Jejsk	43		
27. Bóg – sędzia	45		
Prorok Elias	46		
„Nieznajoma”	46		
„Pionierka”	47		
„Komsomołka”	48		
Sąd nad Bogiem	48		
„Zadowolony”	49		
28. Kobiety-oprawczynie	49		
29. Sprawiedliwi	51		
30. Zwierzęcy strach	55		
31. Św. Męczennik o. Włodzimierz	57		
32. Św. Męczennik o. Walentyn	59		
33. Młody męczennik Andrzej	61		
34. Nauczyciel komunizmu Szemieniow	65		
35. Mytarstwo	69		

1. PRZED REWOLUCJĄ

Nie wiem w zasadzie, jak i od czego powinnam zacząć. Nie mam przecież talentu literackiego, a chciałabym opisać, jak wyglądało moje życie w latach 1917-1941. Był to czas nieprzerwanego bólu i cierpienia, o którym ludzie mieszkający w tym czasie poza Rosją, nie są w stanie mieć prawdziwego wyobrażenia.

Miałam siedmioro dzieci. Najstarszy Sergiusz w momencie wybuchu rewolucji miał 21 lat. Na krótko przedtem przyjechał do domu, do Jarosławia, już jako absolwent wyższych kursów w korpusie kadetów, mianowany na oficera Pułku Preobrażeńskiego. Wszyscy uważali go za bardzo przystojnego: strojny i wysoki, bardzo dobrze prezentował się w mundurze. Był obdarzony wielkim talentem muzycznym. Gdy zdawał egzamin do moskiewskiego konserwatorium, mając za sobą jedynie naukę prowadzoną w domu, został przyjęty od razu na piąty rok. Miał ładny głos i naturalny talent malarski: przepięknie, lekko i swobodnie malował farbami olejnymi. Zdawało się, że całe życie stoi przed nim otworem, obiecuje mu radość płynącą ze świadomości swojego istnienia i daje szerokie możliwości wykorzystania swoich talentów.

Mój drugi syn, Mikołaj, był o rok młodszy od niego. Gdy zaczęła się w 1914 roku wojna z Niemcami, miał zaledwie 17 lat. Natychmiast po zakończeniu ze złotym medalem gimnazjum klasycznego, otrzymał ode mnie i od ojca błogosławieństwo i pojechał jako ochotnik na dźwiński odcinek działań wojennych, aby bronić ojczyzny. Wybrał trudną pracę sanitariusza w lotnym oddziale Czerwonego Krzyża, działającym na najbardziej wysuniętych pozycjach. W krótkim czasie, dzięki pełnej samozaparciu pracy, dzięki swojej taktowności i obowiązkowości, został mianowany przełożonym oddziału. W 1916 roku udało mu się w bohaterowski sposób uratować wszystkich rannych w oddziale przed zbliżającą się chmurą gazu. Nie było to jego obowiązkiem, ale dowództwo oddziału straciło głowę i każdy zaczął ratować własne życie. W tej sytuacji sam przejął dowodzenie – i dzięki temu nie zginął ani jeden człowiek. Jak to się stało i w jaki sposób było możliwe – nie jestem w stanie opisać, ale za ten święty czyn otrzymał reskrypt z wyrazami wdzięczności, podpisany przez samego Cara, a także Krzyż Św. Jerzego. Wkrótce zdał egzamin na chorążego i pełnił służbę w baterii przeciwlotniczej. Wszyscy żołnierze zdawali się go lubić za jego sprawiedliwy do nich stosunek. Wkrótce jednak dane mu było się przekonać, że pod wpływem rewolucyjnych mas ludzie stawali się zwierzętami, całkowicie zatracając zarówno swój zewnętrzny, jak i wewnętrzny obraz Boży.

Gdy zaczęło się zrywanie pagonów, a następnie okrutne pastwienie się i rzeź oficerów, ci sami żołnierze, którzy służyli mu niczym młodszy bracia, złapali go i z okrzykami „Utopić go!” powlekli w kierunku Dźwiny. W zezwierzęconych twarzach nie mógł rozpoznać swoich dawnych żołnierzy. Ogarnięty przerażeniem przed zbliżającą się, straszną śmiercią, przeżył dodatkowy bolesny cios: w tłumie ujrzał również swojego ulubionego bombardiera, który, jak się zdawało, był jego oddanym przyjacielem, a który teraz zwrócił się do cizby ze słowami: „Chłopaki! Utopić tego łotra to żaden problem. Zdamy to zrobić jutro. Ale nie teraz, najpierw trzeba go porządnie przesłuchać. Potem się z nim rozprawimy!”. Tłum się zatrzymał. „Dajcie mi go, potrzynam go do jutra w pace”. Wszyscy go posłuchali i zaczęli się rozchodzić. Jak opowiadał mój syn, bombardier ordynarnymi słowami przykazał mu iść naprzód i zaczął dokądś prowadzić. Szli długo i żołnierz nie odezwał się ni słowem. Można sobie wyobrazić, co przeżył wtedy mój biedny Mikołaj.

Podeszli do torowiska. Akurat nadjeżdżał pociąg towarowy z pustymi wagonami. Nagle uśmiech rozjaśnił twarz bombardiera i Kola poznał w nim swojego dawnego towarzysza. Podprowadził go do samego pociągu, który bardzo powoli jechał do góry i powiedział: „Skacz, Wasza Miłość, ratuj się”. Następnie złapał go, pomógł mu wskoczyć na wagon i odjechać. Oczywiście nie wiadomo, w jaki sposób później bombardier się wytłumaczył, ale wierzę, że Bóg wyratował go za wybawienie mojego syna, który szczęśliwie dotarł do rodziny. O wszystkich wydarzeniach historycznych tego czasu nie będę pisała, gdyż nie jest to celem moich wspomnień.

2. ABDYKACJA MIKOŁAJA II

Gorzko płakaliśmy z powodu abdykacji Cara. Budziło to u większości ludzi zdziwienie, gdyż oczekiwali oni teraz jakiegoś nowego, niesłychanego szczęścia. Pamiętam, jak dobrze mi znany kapłan w średnim wieku, którego zawsze uważałam za dość pobożnego i duchowego, czytał w cerkwi akt o abdykacji. Cerkiew była pełna, wszyscy przyszli odświętnie ubrani, z ożywionymi twarzami. Wszyscy, na czele z kapłanem, triumfowali, weselili się i z radością przyjmowali ten wyrok na Rosję, wzajemnie się pozdrawiając. Ja zaś płakałam gorzko.

Po upływie roku od tych wydarzeń spotykam tego batiuszkę i słyszę: „Wie pani co, gdy czytałem akt

o abdykacji Cara widziałem, jak pani płacze. Uderzyło mnie to i pomyślałem wtedy: «Ależ dziwna kobieta. Mało tego, że nie oddaje się powszechnej radości, ale jeszcze zalewa się łzami». Teraz panią rozumiem. Jakże teraz chciałoby się zapłakać!». Odpowiedziałam mu na to: „Ech, batuszka, nie szkoda róż, gdy płonie las. Teraz już opamiętaliście się, a minął dopiero rok. Zobaczycie, jak jeszcze będziecie płakać”.

Z dniem abdykacji w mieście zaczęły się skandaliczne ekscesy. Panami sytuacji stali się pijani żołnierze: bili po pijanemu we wszystkie dzwony, a w Jarosławiu było dużo cerkwi i dużo dzwonów. Zaczęli chodzić po mieszkaniach, awanturując się i żądając jedzenia. Miałam przepiękny obraz włoskiej Madonny, który kupiłam u antykwariusza. Nie mogłam ustalić, czy to była kopia, czy oryginał, ale była zadziwiająco pięknie namalowana i bardzo lubiłam tę Madonnę. Była taka duchowa, taka dobra, tak bardzo nastrojała do modlitwy, ale nie była ikoną, więc wisiała w pokoju gościnnym. Jeden z tych ordynarnych żołnierzy uderzył bagnetem w płótno i, ku zadowoleniu swojemu i swoich towarzyszy, przebił wyobrażenie Matki Bożej na wysokości piersi. W tamtym okresie mój mąż został wybrany członkiem Wszechrosyjskiego Soboru Cerkiewnego z naszej guberni i te straszne chwile przeżywałam w samotności, z dziećmi.

Do połowy 1918 roku moi dwaj starsi synowie byli jeszcze ze mną. Męczył mnie z tego powodu strach i niepokój. Wydawało się, że ich aresztowanie jest nieuniknione, jednak nie zostali aresztowani i mogli jeszcze wziąć udział w obronie Rosji w szeregach Białej Armii. W czasie jej odwrotu udało im się dostać za granicę.

Po jakimś czasie przeszukania zaczęły zmieniać formę. Przełożeni brali w karby te pijane i rozbewstwie bandy, zaś przeszukania połączone z grabieżami przybierały formę zgodnych z prawem postanowień CzK¹, która zaczęła wtedy funkcjonować w całej Rosji. Nie było ani chwili spokoju. Gdy rozbrzmiewał ostry i długi dzwonek, wszyscy wiedzieliśmy, kto to tak dzwoni i o co chodzi. To przychodzili czerwonoarmiści, kilkusobowa grupa na czele z tak zwanym komisarzem, który nie przedstawiając żadnego nakazu na piśmie, oznajmiał po prostu: „W imieniu prawa, mam obowiązek przeprowadzić rewizję”. Po tych słowach przetrząsali wszystko, przewracali kanapy i odsuwali szafy, szukając broni i schowanej żywności, a przy okazji zabierając wszystko, co im wpadło w oko, aby zaspokoić swoją chciwość i ochotę obłowienia się na cudzy koszt.

3. JAROSŁAWSKI CUD

Pewnego dnia w czerwcu 1917 roku mieszkańcy miasta dowiedzieli się o tym, że nazajutrz ma się odbyć reż całej inteligencji. Cynizm ogłupiałych od zła ludzi doszedł do tego, że zawiadamiano o tym za pośrednictwem wywieszonych po całym mieście, prymitywnych w swej treści ogłoszeń: „Jutro w dzień rozkaz wszyscy zebrać się o g. 12 w domu, dawnym gubernatorskim, na Bartłomiejową noc, żeby wyrznąć, do ostatniego, wszystkich burżujów”. Perspektywa nie była więc szczególnie zachęcająca. Każdy, kto miał taką możliwość, starał się uciec – pociągami, statkiem, czy piechotą. Ku mojemu zdziwieniu, bolszewicy nie stawiali żadnych przeszkód. Mój mąż był tego dnia w domu i oświadczył, że w związku z tym, iż zarządza bankiem, nie ma prawa go porzucić i powinien pozostać na miejscu. Uciekli wszyscy służący, do ostatniego. Całe moje życie to była siódemka moich dzieci, które były mi droższe ponad wszystko, ale pomyślałam, że jeśli zabiją mego męża, to moim obowiązkiem jest być przy nim.

Nazajutrz wczesnym rankiem zaprowadziłam dzieci na statek płynący do Monasteru Nikoło-Babajewskiego, oddalonego o 25 wiorst². W tym czasie znalazła u nas schronienie hrabina T., która uciekła z dziećmi z Carskiego Sioła. Jej właśnie powierzyłam szczęście całego mojego życia i pobłogosławiłam dzieci z myślą, że nigdy ich już więcej nie zobaczę. Wyjechali także wszyscy nasi służący, oprócz jednego lokaja Mikołaja, który był bardzo mocno i wzruszająco do mnie przywiązany. Nie zwracając uwagi na wszystkie moje apele i prośby, nie wyjechał, pozostał, myśląc, że może mnie w jakiś sposób ochronić. Miał żonę i córkę w innej guberni, ale mówił, że jeśli będzie trzeba, to umrze, jako wierny i oddany sługa. W ten sposób pozostaliśmy razem.

Budynek banku był w podwórzu, zaś nasze dwupiętrowe mieszkanie wychodziło na nabrzeże Wołgi. W mieście panowała złowieszcza cisza. Dzień był jasny, gorący i na niebie nie było ani jednej chmurki. Patrzyłam na niebieskie niebo, było tak Boże, tak czyste! W myślach żegnałam się z niebem, z dziećmi i z Wołgą, po której rankiem odpłynęły statkiem do monasteru, by szukać tam schronienia.

1 CzK – pełna nazwa WCzK – Wsierossijskaja Czriezwyčajnaja Komissija pri Sowietie Narodnych Komissarijew po bor'bie s kontrrewolucijej i sabotażem – Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna przy Radzie Komisarzy Ludowych do spraw walki z kontrrewolucją i sabotażem. Poprzedniczka GPU, NKWD i KGB.

2 Wiorsta – dawna rosyjska miara długości, równa 1006,78 m.

W miarę przybliżania się godziny 12, na duszy robiło się coraz ciężej i straszniej. Dom gubernatora stał także na nabrzeżu Wołgi, w odległości 5 minut marszu piechotą. Postawiłam na oknie pokoju gościnnego ikonę Św. Mikołaja, którą otrzymałam w szczególnych, mistycznych okolicznościach (napiszę o tym dalej). Obraz ten niejednokrotnie wybawiał mnie i dzieci od niechybnych, jak się zdawało, śmierci i nieszczęść. Obróciłam oblicze Świętego w tę stronę, z której powinna napłynąć ciżba zabójców i zapaliłam lampadkę. Nikt z naszej trójki nie mówił ni słowa. Cóż tu można powiedzieć? – „Boże, zbaw i bądź miłościw”. Na dziesięć minut przed dwunastą rozległ się chaotyczny trezwon we wszystkie dzwony i zaczęły dobiegać nie tyle krzyki, ile jakieś wycie ogłupiałych z żądy krwi ludzi.

Pożegnaliśmy się ze sobą i poprosiliśmy się wzajemnie o wybaczenie. Ryk się przybliżył i ukazała się ciżba kilkuset ludzi, ale tego, co to było, nie sposób opisać. Minęło już 28 lat, a nie mogę o tym pisać, serce bije tak mocno, jakbym wszystko przeżywała od nowa.

Ubrani w większości w czerwone koszule, z podwiniętymi rękawami, z rękami wymazanymi czerwoną farbą, aby przypominało to krew, z pistoletami, siekierami, nożami – biegli do naszego domu. Wszak wszyscy mieszkańcy tych domów, które oddzielały nas od domu gubernatora, uciekli z miasta! Z samego rana mój mąż zarygłował ciężkie żeliwne wrota, ale czy to mogło ich zatrzymać!

Niebo było przez cały czas tak samo przepiękne i czyste. Nie było ani jednej chmurki! Po chwili wrota, pod naporem walącej w nie masy ludzi, puściły. Do wejściowych, gościnnych drzwi, pozostało im kilka kroków. I oto, gdy pierwsi z ciżby dotknęli się drzwi z okrzykiem: „Wyłamuj drzwi!”, nastąpił niepojęty cud Boży, możliwy jedynie dla Jedynego Miłosiernego Boga. On nie oddał nas tym ludziom. Ale w jaki sposób! Wszystko to, co się stało, nastąpiło w jednej chwili.

Raptem uderzył tak straszny grom i lunęła taka ulewa z niespodziewanie poczerńiałego nieba, że ogłupiali od zwierzęcej nienawiści ludzie, nagle zgłupieli z przerażenia i rzucili się w rozsypce, szukając ratunku po kolana w wodzie. Nie można w żaden sposób wyobrazić sobie tego rodzaju ulewy, gdyż nie był to zwykły ziemski deszcz, ale, powtarzam, Boży Cud, który stał się dzięki modlitwom i orędownictwu Św. Mikołaja.

Ludzie się rozbiegli, a chmury się rozwiały i świat znów oświeciło jasne słońce. Nasze oczy ujrzały nowy obraz: po nabrzeżu Wołgi płynęła rzeka wody i nie było słychać ani jednego dźwięku, wszystko znów pogrążyło się w ciszy, lecz tym razem nie była już ona złowieszcza, lecz napełniała nasze pełne wdzięczności dla Boga serca wielką, nieopisaną radością. Boże! Nie tylko jestem żywa, ale ujrzę moje dzieci i znowu będę z nimi! Jakże wielkiej łaski Bożej doświadczyliśmy my, grzeszni! Pomyśleć tylko! Zezwierzęceni ludzie, nastawieni na przelanie krwi, uciekli w panice przed deszczem. Tak! Deszczu, który, jak zawsze, składał się z wody z nieba, ale w tej wodzie był groźny dla przestępców, a dla nas wielce miłościwy Duch Boży. Gdy woda już spłynęła, nie czekając ani chwili dłużej, poszliśmy na przystań i odpłynęliśmy do monasteru pierwszym nadarżającym się statkiem. Przybyliśmy późnym wieczorem. Spotkanie mnichów było wzruszające. Cały monaster był przepełniony uciekinierami, lecz gdy się dowiedzieli, kogo szukamy, to uradowali się nie do opisanego, gdyż bardzo przeżywali rozpacz moich dzieci, które zamartwiały się na śmierć i płakały. Poprowadzili nas na górne piętro hotelu, gdzie na podłodze, na słomie, leżały moje umiłowane, zmęczone dzieci. Leżały, ale nie spały. Do śmierci nie zapomnę ich krzyku radości, który wydały na nasz widok, rzucając się nam na szyję. Zarówno starsze, jak i najmłodsze nie mogły się oderwać i płakały, a o mnie nie ma nawet co mówić. Rankiem wróciliśmy do Jarosławia. O powtórcie Bartłomiejowej rzezi nie było już więcej mowy.

Rzecz jasna, nadal nie było spokojnego życia. Przez wszystkie następne dwadzieścia pięć lat ani na chwilę nie można było zapomnieć o strachu, oczekując na nieszczęście, które groziło albo bliskim, albo mnie samej.

4. WIELKA KSIĘŻNA ELŻBIETA FIODOROWNA

W czerwcu 1918 roku Hrabina T. z całą rodziną wyjechała do Kisłowodzka. Pamiętam, że długo się zastanawialiśmy, gdzie najlepiej zaszyć brylanty i kosztowności, które udało się jej zachować w czasie ucieczki z Carskiego Sioła. Szanse na to, że uda się je pomyślnie dowieźć, były niewielkie. We wszystkich pociągach grasowali ordynarni rabusie, którzy szperali wszędzie, przeszukiwali każdą rzecz, nawet rozbierali ludzi, byle tylko znaleźć złoto i klejnoty. Lecz nie sposób przecież było tego wszystkiego wyrzucić i dlatego, choć z wielkim ryzykiem i z małą nadzieją na sukces, postanowiłyśmy je jednak schować. Zdecydowałyśmy się zaszyć wszystko z przodu, w halce. Zaszywałam ja. Po jej odjeździe przez dwadzieścia trzy lata niczego o niej nie słyszałam, i to, czego się dowiedziałam później, było straszne, choć – w tamtych czasach – normalne. Miała pięcioro dzieci. Córka lat

osiemnastu (w tym okresie, w którym mieszkała u mnie), wkrótce wyszła za mąż i wyjechała z mężem. Najstarsza jej córka była dwórką Cesarzowej i jeszcze z początkiem czerwca wyjechała do Jekaterynburga z zamiarem dostania się do aresztowanej Rodziny Carskiej. Chciała posłużyć uwięzionym i pocieszyć ich w nieszczęściu. Matka była przeciwko temu wyjazdowi, mimo tego, że sama była nie tylko wierną poddaną Monarchy i Monarchini, ale, na ile to było możliwe, także ich przyjaciółką. Była przeciwko, gdyż uważała za rzecz niemożliwą, by bolszewicy dopuścili jej córkę do Cara. W dodatku obawiała się, że ze swoim nerwowym i egzaltowanym charakterem córka że nie tylko nie będzie uspokajać, ale wręcz denerwować Ich Wysokości. Nie skutkowały jednak żadne namowy. Wtedy hrabina poprosiła mnie, bym pojechała do Moskwy do Wielkiej Księżny Elżbiety Fiodorowny³ i poprosiła o radę co do dalszego sposobu postępowania. Pojechałam. Wielka Księżna mieszkała już wtedy w Monasterze Św. Marty i Marii. Miała dwa pokoje, urządzone skromnie i surowo, lecz ze smakiem. Harmonizowało to z jej na pół mniszym strojem diakoniszy. Gdy wyjaśniłam, po co przyjechałam, ta zawsze bardzo spokojna i urocza kobieta bardzo się wzburzyła, a nawet odrobinę rozgniewała...

(opuszczono w oryginale)

Po powrocie do domu przekazałam opinię Wielkiej Księżnej, lecz Elżbieta T. nie posłuchała zakazu i pojechała. Aż do zeszłego roku nie wiedziałam o nich niczego. W 1945 roku, będąc w Niemczech, otrzymałam list z Paryża, od hrabiny. Po strasznych przeżyciach w Sowietach, dzięki złotu posiadanemu przez jej krewnych z Anglii, udało się jej wyjechać do Londynu. Mieszkała tam przez wiele lat, po czym przeprowadziła się do Paryża. Los jej dzieci był następujący: o najstarszej córce Elżbiecie, która wyjechała do Jekaterynburga do Rodziny Carskiej, słuch zaginął. Nigdzie, w żadnych tekstach na temat morderstwa Rodziny Carskiej, nie było o niej mowy. Niedawno ktoś ją powiadomił, że jej córkę widziano w 1935 roku na Syberii, gdzie miała pracować w szpitalu jako siostra miłosierdzia. W chwili wyjazdu ode mnie hrabina miała przy sobie troje dzieci: córki w wieku 15 i 14 lat oraz syna w wieku 7 lat. Po jej wyjeździe ode mnie w 1918 roku zaszyte kosztowności znaleziono i, oczywiście, zabrano. Hrabina została aresztowana i przewieziona prosto do więzienia do Kisłowodzka, a następnie w głąb Kaukazu. Spędziła tam trzy lata, nie mając żadnych wiadomości o dzieciach. Po wyjściu z więzienia oczekiwały na nią tragiczne wieści na temat losu jej dzieci. Starsza dziewczynka została rozstrzelana, druga – siłą wzięta za żonę przez Żyda z GPU⁴, któremu urodziła dziecko, chłopca. Jej najmłodszy syn przepadł. Szukała go wszędzie i długo, wreszcie znalazła pośród bezdomnych na bazarze w Kisłowodzku. Taki był los jednej z przedstawicielek rosyjskiej arystokracji, która nie zdołała od razu wyjechać za granicę. Była to kobieta głęboko wierząca, człowiek pokornej modlitwy, którą wszyscy lubili i szanowali. Jedynie dzięki temu była w stanie przeżyć swoje nieszczęście.

5. CUD ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA

W czasie pobytu u mnie hrabiny M.N.T. miało miejsce pewne zdarzenie, które napędziło nam strachu, a mogło się zakończyć wręcz tragicznie. Wszyscy T. spali w pokoju jadalnym, którego okna wychodziły na nadbrzeże. Przed domem był niewielki sad. Okna i drzwi z ich pokoju wychodziły na balkon, stojący na czterech żeliwnych słupach. Sypialnie moja i dziecięce znajdowały się z przeciwnej strony domu, oknami wychodziły na podwórze.

Pewnego dnia, latem, o godzinie 4 nad ranem, gdy było już jasno, a wszystkie okna były otwarte, usłyszałam jakiś głos na podwórku. Wstałam, gdyż zrozumiałam, że coś jest nie w porządku; narzuciłam szlafrok i podeszłam do okna. Na podwórku było kilku wojskowych. Armii czerwonej jeszcze wtedy nie było, a więc to byli jeszcze ludzie, a nie te wulgarne stworzenia, które wkrótce zastąpiły naszą armię, co do których nie wiadomo, z kim się ma do czynienia – z człowiekiem, czy z dziką bestią. Jeden z nich zwrócił się do mnie z pytaniem:

3 Wielka Księżna Elżbieta Fiodorowna – 1864-1918. Siostra św. Męczennicy Carycy Aleksandry i żona Wielkiego Księcia Sergiusza Aleksandrowicza Romanowa (brata Cara Aleksandra III). Córka Wielkiego Herzoga Hessen-Darmstadt Ludwika IV. W 1891 roku przeszła z protestantyzmu na Prawosławie. Po zamachu, w którym zginął jej mąż W.Ks. Sergiusz (w 1905 roku), założyła Zgromadzenie Miłosierdzia św. Marty i Marii, monaster, zajmujący się działalnością medyczną i charytatywną (w 1909 roku) i została jego przełożoną. Wraz z kilkoma innymi członkami rodziny Romanowów została zamordowana przez bolszewików (przez rzucenie do szybu nieczynnej kopalni) w Ałapajewsku w nocy 17/18 lipca 1918, w dobę po męczeńskiej śmierci Św. Rodziny Carskiej. Kanonizowana przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną Za Granicą w 1981, a przez Patriarchat Moskiewski w 1992 roku.

4 GPU – Gossudarstwiennoje Politiceskoje Uprawlienije pri Narodnom Komissariatie Wnutriennych Dieł (NKWD) –Państwowy Zarząd Polityczny przy Ludowym Komisariacie Spraw Wewnętrznych. Zastąpiło CzK w 1922 roku.

„Madam, czy wszystko u Pani w porządku?”. Odpowiedziałam z zaskoczeniem: „Tak, chwała Bogu, a o co chodzi?” – „Na Pani balkonie było sześciu rabusiów-aresztantów. Śledziliśmy ich przez cały dzień, rozumiejąc, że oczekują na noc, by dokonać przestępstwa. Podeszli do Pani domu, wspięli się po słupach na balkon, dwóch z nich weszło już do pokoju i wtedy jeden z naszych upuścił strzelbę i przestraszył ich hałas. Wszyscy szybko zeszli na dół i zaczęli uciekać. Jednego zabililiśmy w czasie pościgu, drugiego zraniliśmy i złapaliśmy, a czterech uciekło. Co za pech! – powiedział oficer – chcieliśmy ich wszystkich wpuścić do pokoju i złapać na gorącym uczynku; każdy z nich miał długi nóż”. I znów miłosierdzie Boże – gdyby nie upadła im strzelba, rabusie w jednej chwili zabiliby całą śpiącą tam rodzinę.

Zrozumiałam, dlaczego aresztanci wybrali celem ograbienia właśnie nasze mieszkanie. Na krótko przed rewolucją wezwałam aresztantów z więzienia, specjalistów od stolarki. Wtedy tak się praktykowało. Trzeba było odnowić i polakierować stare meble z czerwonego drzewa i więźniowie robili wszystko na miejscu, nie odwołując do więziennych warsztatów. Było ich trzech wraz z nadzorczą. W sypialni na podłodze stał wielki kiwot, na miejscu narożnej szafy, cały przeszklony. Wśród ikon była tam ikona św. Mikołaja, wielkości około 1 arszyna⁵, w ciężkiej, złoczonej ryzie, z wielkimi diamentami, oprawionymi w srebro. Ikona ta została przywieziona przez przodków mojego męża z Mir Licejskich. Głowa Świętego, wyjątkowo pięknie namalowana, była naturalnej wielkości, bez mitry. W ogóle był „Patrz, gdzie są kosztowności”. Po tym, jak bolszewicy wypuścili z więzień na wolność wszystkich przestępców i kryminalistów, to rzecz jasna postanowili oni drogą zabójstwa zagrabic tę ikonę. Gdy wojskowi powiedzieli, że dwóch rabusiów było w pokoju, to przestraszyłam się śmiertelnie i bałam się wejść do tej połowy domu, gdzie spali T. Zadzwoiłam na dół i przyszedł zdziwiony lokaj, rozumiejąc, że coś musiało się stać, skoro wzywam go o 4 nad ranem. Poszliśmy tam razem. Wszyscy T. spali spokojnie, nie podejrzewając, że w ich pokoju było dwóch rabusiów-zabójców.

6. POWSTANIE JAROSŁAWSKIE

Pod koniec lipca 1918 roku dwóch moich najstarszych synów udało się po Wołdze do Saratowa, aby zakupić mąki na zimę. Wszystko nagle bardzo podrożało i, co gorsza, trudno było cokolwiek dostać. Wszyscy spodziewali się głodu. Ja zostałam z pięciorgiem dzieci. Najstarsza córka miała 17 lat, następna 14, potem syn – 10 lat, córka – 6 lat i syn – 3 i pół roczku. Większość służących już zwolniłam, gdyż ich utrzymanie stało się trudne. I oto pewnego razu, po ostrym i długim dzwonku, wchodzi młody chłopak, komisarz, a wraz z nim kilku czerwonoarmistów. Zwraca się do mnie słowami: „W ciągu trzech dni oczyści pani mieszkanie. Jest nam potrzebne”. Odpowiadam: „A jakżeż ja to mogę uczynić w ciągu 3 dni? Patrzcie, ile tu pokoiów. W dodatku wszystkie umeblowane”. On zaś oświadcza: „No, jeśli o to chodzi, to my pani pomożemy! Towarzy-sze, te dwa lustra (lustra były bardzo wysokie i piękne) odwieźcie do mojego mieszkania, a tę szafkę ze starą porcelaną – również”. Pełna zdziwienia zdecydowałam się zaprotestować: „Jak to? Przecież to moja własność!”, lecz otrzymałam krótką, bezapelacyjną odpowiedź: „Obywatelko, teraz nie ma własności!”. Następnie zwrócił się do czerwonoarmistów: „Obydwa fortepiany i osprzęt elektryczny odwieźcie do domu ludowego”. Wyszedł ze słowami: „A więc, w ciągu trzech dni należy się stąd wynieść, a jeśli nie – to my sami wszystko zarządzymy”.

Cóż było robić? Skarżyć się, ale do kogo? Nie można było się nie podporządkować, więc następnego dnia, od rana do późnego wieczora biegałam w poszukiwaniu mieszkania. W tamtym okresie wciąż nie można było sobie wyobrazić, w jakich warunkach przyjdzie nam jeszcze mieszkać i wedle wszelkich moich wyliczeń potrzebowałimy koniecznie co najmniej 9 pokoiów. Potrzebny był pokój gościnny, gabinet, sypialnia, jadalnia, pokój dla guwernantki, pokój dla dorosłych synów i dwa pokoje dla dzieci, nie licząc pomieszczeń dla służących. Pierwszego dnia niczego odpowiedniego nie znalazłam. Gdy zbliżał się dokońca drugi dzień i wciąż nic nie było, spotkałam pewnego znajomego, który miał wielki i piękny dom, pusty, gdyż zamierzał go remontować. Bardzo się wczuł w moje trudne położenie i zaproponował, abym natychmiast wynajęła maksymalną ilość furmanek i bez układania, a tak, jak popadnie, ułożyła wszystkie swoje rzeczy i przewiozła je do wielkiej sali w jego domu, który on wyremontuje dla mnie jeszcze przed jesienią. Sama zaś miałam wraz z dziećmi przeprowadzić się teraz do jego dachy, leżącej w odległości półtora wiorsty, na przeciwnym brzegu Wołgi, w wielkim sosnowym lesie, prawie nad samą rzeką. Tak uczyniłam. Znajomy ten pomógł mi przewieźć wszystko i trzeciego dnia wieczorem mieszkanie zostało oczyszczone. Przenocowaliśmy na podłodze, pościeliwszy uprzednio prześcieradła i wczesnym

5 1 arszyn – dawna rosyjska miara długości, ok. 75 cm.

rankiem przepłynęliśmy promem na drugi brzeg Wołgi. Miałam w mieście jeszcze jednego konia i wózek, na który posadziłam dzieci, położyłam ikony i to, co było najpotrzebniejsze na jeden dzień; miałam zamiar jeździć do wynajętego przez mnie domu i po trochę przewozić na daczę to, co było potrzebne. Rzeczy cenne, oprócz dwóch broszek i dwóch bransolet, czyli całe srebro, parę ulubionych kandelabrow i bardzo stary zegar stołowy zawiozłam do miejskiego żeńskiego Monasteru Kazańskiego. Poprosiłam igumenię, aby przechowała to wszystko w czasie, gdy będę mieszkała na dacy. Ona się oczywiście zgodziła i zawiozłam to wszystko jeszcze przed przeprowadzką.

Jakże pięknie było na dacy, po mieście i jego niepokojach! Aromat sosen, absolutna cisza, przerywana jedynie gwizdami parostatków, płynących po szybkim nurcie oddalonej o trzy minuty Wołgi. Dzieci były zachwycone. Ja też postanowiłam tego dnia nie chodzić do miasta i odpocząć duszą i ciałem w tym ziemskim raj. Ale niestety – ów spokojny świat trwał bardzo krótko, zaledwie kilka godzin. Około szóstej wieczorem w mieście zagrały karabiny maszynowe. Z początku pomyślałam, że to jakieś ćwiczenia, ale nie: była to nieustanna strzelanina. Zaniepokoiłam się, zostawiłam maluchy z guwernantką, a z dwiema starszymi córkami poszłam do promu, chcąc się dowiedzieć, co się dzieje. Przystań była oddalona o półtora wiorsty od domu, a droga biegła przez las. Las ten niemal na całej swej długości był bagnisty, były tam obszary o szerokości nawet do 10 wiorst, całkowicie niemożliwe do przejścia. Po drodze do miasta trzeba było przechodzić w bród przez błotko o szerokości 15 sążni⁶, z twardym i piaszczystym dnem. Było to bardzo piękne, równe miejsce w środku lasu, z czystym, maleńkim jeziorkiem.

Gdy przybliżaliśmy się do miasta, poczuliśmy niezwykle strach, patrząc na uciekających ludzi, biegnących ku Wołdze i od strony Wołgi, z promu. W mieście wybuchło powstanie przeciwko bolszewikom. O tym, że było to zorganizowane powstanie białych, dowiedziałam się dopiero w 1943 roku, po przyjeździe do Berlina i dlatego opisuję w tym miejscu to, o czym słyszałam w tamtym czasie.

Powstanie zostało rozpoczęte przez kilku nastrojonych kontrrewolucyjnie gimnazjalistów ze starszych klas, sprowokowanych przez pułkownika Pierchurowa, który zapewnił młodzież, że przybliżają się Anglicy, idący rękoma z pomocą w obaleniu bolszewizmu. W tamtym czasie wszyscy, począwszy od dzieci, a skończywszy na starszych, żywili tak ogromną nadzieję, że zostaną wyzwoleni przez Anglików, że poddał się jej nawet sam Patriarcha Tichon, który bardzo się interesował i pytał (słyszałam to z jego ust osobiście) – „gdzież ci Anglicy, czy idą do nas i są coraz bliżej?”

Tę powszechną nadzieję na pomoc ludzką były bezpodstawne. W rzeczywistości rozprzestrzanieli je prowokatorzy typu Pierchurowa. I w ten sposób nieszczęśni młodzieńcy zabili w nocy kilku śpiących komisarzy-Łotyszów. Z Moskwy przyszedł rozkaz, aby z miasta nie wypuszczać ani jednej duszy, nawet kobiet i dzieci, zamknąć wszystkie rogatki i spalić miasto, starodawne miasto Jarosław, z wszystkimi jego mieszkańcami, miasto znane w historii Rosji, z jego starożytnymi cerkwiemi i zabytkami! Niepodważalny fakt, który, o ile kiedyś nastąpi obiektywny sąd historii, otworzy światu oczy na tę władzę, której sprzedały Carską Rosję umysły z jednej strony lekkomyślne, a z drugiej głęboko przemyślnie.

Z okien mojej dacy, wychodzących ku Wołdze, widać było miasto, jak na dłoni. Z małego balkoniku na „belwederze” widziałam wszystkie budynki. Około 12 w nocy w mieście rozległ się pierwszy wystrzał z broni ciężkiej. To z Moskwy przyjechały pociągi pancerne. Niemal każdy wystrzał powodował pożar w walącym się budynku. Nie mogłam spać, kładłam się tylko na chwilę, gdy już nie miałam sił, a poza tymi momentami przez cały czas stałam na balkoniku. Łunę było widać w promieniu 100 wiorst. U nas to straszne czerwone światło było tak jasne, że można było przy nim czytać. W taki sposób dokładnie przez dwa tygodnie niepokoiłam się o los moich synów po ich powrocie z Saratowa.

Pewnego razu wychodzę na zewnątrz bardzo wczesnym rankiem i nie rozumiem, co się dzieje: obok mnie słychać bardzo ostry świst i coś uderza w drzewa. Nagle zobaczyłam tkwiące w nich kule. Rzuciłam się z powrotem, obudziłam dzieci i szybko zaprowadziłam w je do niewielkiej piwnicy dla warzyw, znajdującej się pod dacz. Rzecz jasna, strzelali z karabinów maszynowych, ale przecież dacza leży pod Jarosławiem w kierunku Moskwy! Co to może oznaczać? Strzelają nie w kierunku Jarosławia, a w przeciwnym! W momencie, gdy roztrząsaliśmy to pytanie, do dacy z krzykiem wbiegło kilku uzbrojonych czerwonoarmistów: „Co wy tu robicie? Natychmiast się stąd wynoście, zaraz spalimy tę daczę!” – po czym pobiegli dalej brzegiem Wołgi. I w ten sposób, pod obstrzałem, trzeba było zaprząć konie do wozu, posadzić dzieci, guwernantkę – ślepą staruszkę, mieszkającą z nami. Złapaliśmy, co się dało spośród nielicznych przywiezionych ze sobą rzeczy i pojechaliśmy w kierunku strażów, gdyż innej drogi, oprócz tej wiodącej przez błotko, o którym pisałam, nie było.

W tamtym czasie zawsze i wszędzie chroniła nas łaska Boża. Dróżka, wiodąca w kierunku błotka, szła dołem; z lewej strony ziemia leżała wyżej o dwa arszyny, więc kule latały nad naszymi głowami. Ja wraz z dwiema

6 Sążeń – rosyjski był równy 2,1336 m = 1/500 wiorsty

córkami szłam pieszo, na boso i w bród. Gdy byliśmy już na środku błotka, oszołomił nas nagle jakiś niewyobrażalny szum; ochlapało nas wodą. Koń oczywiście wyrwał do przodu i pobiegł na drogę, ale, na szczęście, nie poniósł. Woda w błotku kipiała i wyglądała jak brudna, żółta masa. Później pewien artylerzysta mi objaśnił, że w pobliżu nas upadł w błoto ciężki pocisk artyleryjski, ale nie wybuchł, tylko wtopił się w miękki grunt. W przeciwnym razie, jak mówił, nawet ślad by po nas nie został. Wyjaśniło się też, że przeciwny kierunek strzelaniny był spowodowany tym, iż chłopci za lasem także zabili dwóch komisarzy Łotyszów i rozkazano spalić ich wioskę, na drodze zaś obstrzału stała dacza. Mimo to ocalała i po tym, jak zakończono niszczyć miasto, wróciliśmy do niej. W czasie obstrzału na moich oczach zapalały się i waliły cerkwie i budynki. Widziałam, jak zapaliło się i spłonęło słynne Liceum Jarosławskie, wraz ze słynną na cały świat biblioteką.

7. DACZA

Piszę dalej o ucieczce z daczy. Po tym, jak wydostaliśmy się z lasu, wszyscy usiedliśmy na wóz i w miarę możliwości konia, szybko jechaliśmy do majątku ziemian A., gdzie przebywaliśmy do końca strzelaniny. Strach i niepokój o synów nie odstępował ode mnie ani na chwilę. I nagle – nie mogę uwierzyć oczom: widzę ich, idą, cali i zdrowi. Przecież niczego nie wiedzieli o mojej przeprowadzce na daczę jeszcze przed powstaniem, nie wiedzieli, gdzie ona jest, nie wiedzieli, że jesteśmy u A. – a jednak Bóg ich przyprowadził. Z powodu ognia i płonących przystani parostatki nie mogły podpływać do miasta i przybijały o kilka wiorst wcześniej, do przystani znajdującej się na naszym brzegu. Gdy przyjechali, na przystani spotkali znajomego, który im o nas opowiedział. Oni też bardzo przeżywali, gdy ujrzeli płonące miasto i dowiedzieli się, że nikomu nie pozwolono z niego wyjść i że zostali tam wszyscy, poza kilkoma śmiałkami, którzy w każdych warunkach umieją się wyratować i uciec. Tysiące ludzi zostało zabitych i ciężko okaleczonych; bardzo wiele dzieci zidiociało z przerażenia. Jeden z pierwszych pocisków zniszczył wodociąg miejski i owi młodzieńcy, ginąc, z wielką ofiarnością przywozili w beczkach wodę z Wołgi. Ludzie ginęli nie tylko od obstrzału, ginęli także w zimnych piwnicach i suterrenach, z głodu i od brudnej, zanieczyszczonej naftą, wołżańskiej wody.

Dźwięków tej kanonady nie da się zapomnieć. Nawet na wojnie bywają momenty odpoczynku, a tutaj – rytmicznie, we dnie i w nocy w uszach dzwoniło to straszne bam... bam... Majątek A. było położony w odległości 15 wiorst od miasta i było tam całkiem jasno od łuny pożarów.

Rankiem, o świcie, gdy wychodziłam na balkon, albo do sadu, w wielkie zdumienie wprawiało mnie zestawienie dźwięków: poranny ptaszek, czeczotka, szczebiocze głośno, tak, jakby starała się przekrzyknąć straszne, ziemskie, zabójcze dźwięki. Zawsze wspominam jej szczebiot: nie pozwalała całkowicie poddać się przerażeniu, lecz w sercu budziło myśl o innym, lepszym świecie, gdzie wszystko śpiewa i chwali Boga.

Powróciliśmy na daczę. Tego samego dnia poszłam do miasta. To miasto, cudowne i piękne, było całkowicie zadymione. Gdzie są złote kopuły? Gdzie cerkwie? Nie ma prawie żadnej. Na szczęście, historyczny Monaster Spaski niewiele ucierpiał. W Monasterze Kazańskim zniszczona została dzwonnica, obstrzelano świątynię i pomieszczenia mieszkalne, ale nie został zniszczony do końca⁷.

Po zejściu z promu otrzymałam przepustkę i poszłam do Monasteru Kazańskiego. Wspaniała igumienia, matuszka Teodozja wraz z wieloma mniszkami zostały aresztowane i wywiezione. Cały majątek monasteru, w tym moje rzeczy, oddane na przechowanie, zostały zabrane. Przerażający był obraz miasta, z którego ocalała nie więcej, niż połowa. Gdy przyszłam na ulicę Probojną, zamiast domu, w którym był mój majątek, ujrzałam kupę dymiących się kamieni i czarne kominy pieców.

Ani na chwilę nie pożałowałam tego, że zostałam z dziećmi bez środków do życia, jak to się mówi – na ulicy. To, co sprawiło mi gorycz, przyczyniło trosk i bóleści, było ziemską drobnostką w porównaniu z Bożym Miłosierdziem, Które wyprowadziło mnie wraz z dziećmi z miasta w przeddzień powstania. A ten okrutny komisarz, chcąc uczynić mi wielką krzywdę, wołą losu stał się narzędziem naszego wybawienia. Dzieci są żywe i są ze mną!

Fakty te były właśnie przyczyną, z powodu której nie miałam materialnej możliwości wyjechania, tak, jak inni, za granicę. Mój mąż nie dawał ani zgody, ani środków na wyjazd. Uważał, że bolszewizm wkrótce upadnie. Nie dysponował co prawda w tamtym czasie szczególnym bogactwem, ale na wyjazd jakoś by starczyło. Na tym tle dochodziło cały czas między nami do nieporozumień.

⁷ Powstanie było wielkim ciosem dla miasta: spłonęło 20 fabryk i zakładów, zniszczono 2147 domów, 2800 mieszkańców zostało bez dachu nad głową, spłonęło 9 szkół, zaś 31 stało się niezdatnych do użytku, zniszczono 67 budynków urzędowych i szpitalnych. (Patrz – „History of Yaroslavl”, Moscow 1999).

8. WOŁGA

Przede wszystkim trzeba było ratować synów, gdyż całą młodzież, a nawet w ogóle mężczyzn łapali na ulicach, wyszukiwali w piwnicach i na strychach, następnie ustawiali rzędami na wysokim brzegu Wołgi, z rękoma zawiązanymi z tyłu, za plecami i rozstrzeliwali od tyłu, tak, że wpadali oni do Wołgi.

Jeśliby znaleźli moich synów, nikt by nie dociekał, czy brali oni udział w powstaniu, czy też nie, lecz uczyniliby z nimi to samo. Nie do pomyslenia było, aby sami coś mogli przedsięwziąć.

Na przeciwległym brzegu Wołgi była przystań towarowa i linia kolejowa. Trzeba było ich w jakiś sposób wysłać do Moskwy, chociaż bałam się ich wysłać do samego miasta, gdyż jeszcze przed powstaniem w Jarosławiu były tam wielkie boje przeciwko kontrrewolucji i każdy przyjeżdżający był poddawany surowemu przesłuchaniu. Wybrałam Ławrę Troicko-Siergiejewską, w nadziei, że będzie to dla nich najlepsze miejsce. Umówiłam się z pewnym rybakiem, żeby przewiózł mnie w nocy przez Wołgę na przystań towarową. I oto, wzięwszy w ręce ster, wypłynęliśmy we dwoje z bardzo starym rybakiem na maleńkiej łódce, która zapewne nigdy nie ośmieliłaby się nawet pomyśleć, że przepłynie Wołgę, która jesienią była szeroka na całą wiorstę. Było strasznie, gdyż ze względu na zakaz przepływania się łódkami przez Wołgę nie wolno było zapalić światła i co chwilę groziło to tym, że wpadniemy pod nadpływający, oświetlony ogniami, ogromny parostatek. Noc była ciemna i wietrzna. Nagle staruszek mówi ze strachem: „Proszę wziąć z dna wiaderko i szybko czerpać wodę”. Okazało się, że łódka jest nie tylko mała i stara, ale na domiar złego – przecieka. Chwytałam raz za ster, raz za czerpadło, całkowicie się zamęczyłam, ale w końcu sotaraliśmy na drugi brzeg. Przybiliśmy niedaleko od przystani.

I od razu nowa trwoga, nowy strach. Do jakich ludzi będę musiała się zwracać? Przecież mogą mnie bez żadnej dyskusji aresztować i wywieźć na zawsze! Ale nie ma wyboru – trzeba ratować dzieci. Weszłam na przystań i zapytałam o naczelnika przystani. Pokazali mi go. Widzę marynarza, w średnim wieku, nie przypominającego bandyty-bolszewika. I tak właśnie było. Podeszłam i powiedziałam, że muszę koniecznie porozmawiać z nim na osobności. Zdziwił się, ale zaprosił mnie do swojej kajuty. Opowiedziałam mu wszystko otwarcie, wprost. Pomyślał i mówi: „Tak, przewieźć ich w taki sposób, by ich nie zauważyli, to trudne zadanie. Ale z Bożą pomocą, damy radę. Chodźmy do naczelnika linii kolejowej. To dobry człowiek, pomoże na tyle, na ile będzie to możliwe”. Zawołali jeszcze wagowego i rozmawiali w trójkę. W końcu powiedzieli tak: „Trzeba poczekać choćby z tydzień. Teraz jest bardzo niespokojny czas. Bądźcie z nami w kontakcie, aż powiemy kiedy – i wtedy przywieziecie synów, a my ich wyślemy”. Przez cały tydzień, noc w noc, kolejny raz przeżywałam strach przeprawy. Jednej nocy Wołga była bardzo wzburzona i myślałam, że się przewrócimy.

W końcu powiedzieli: „Niech przewoźnik płynie i zaraz ich przewozi, po kolei”. Trwało to ponad trzy godziny. Najpierw przyplłynął starszy, Sergiusz, i zamknęli go w wagonie bagażowym. Gdy przyplłynął mój drugi syn, Mikołaj, posadzili ich razem do klatki, w której wożone są psy i nakryli rogożami. Mieli jechać do Ławry 6 godzin, zgięci, w kucki. Poczekalam, aż pociąg odjechał, i z ulgą w sercu przeprowadziłam się na daczę, z postanowieniem, że sama również, wraz z wszystkimi dziećmi, przeprowadzę się do Ławry. Nie mogłam tego uczynić od razu, gdyż nie miałam na to żadnych środków. Dlatego postanowiłam nauczyć się rzemiosła szewskiego i z tego powodu codziennie jeździłam do miasta.

Zapomniałam napisać, że gdy przeprowadzaliśmy się na daczę w dzień wybuchu powstania, wzięliśmy krowę, którą mieliśmy w mieście. Przyprowadziła ją pokojówka. Żadnymi słowami nie można było przekonać tej pokojówki, Gruszy, żeby od nas odeszła. Nawet lokaj Mikołaj, o którym pisałam, pojechał do domu, a ta silna, młoda dziewczyna, dziobata i nieładna, ale z przepięknym sercem, przez całe dwa lata opierała się naszemu namowom.

9. POWSTAŁ „Z MARTWYCH”

Po odjeździe moich synów znów wydarzyło się coś strasznego, ale, dzięki Bożej Miłości, wszystko skończyło się dobrze. W czasie moich pobytów w mieście odwiedzałam rodzinę zdymisjonowanego admirała W., i wraz z nimi przeżywałam ich nieszczęście. Mieli oni trzech synów, każdy z nich uczestniczył w powstaniu. Średniemu udało się ukryć, starszego widziano złapanego przez czerwonoarmistów i zaciągniętego do więzienia, zaś młodszego, wedle słów świadków, został zabity. Za młodszego służył w domu panichidy.

Pewnego razu wracałam z miasta i pod wieczór znalazłam się sama na brzegu Wołgi. Nagle słyszę – tak, jakby ktoś zawołał mnie po imieniu. Rozejrzałam się, ale dokoła były tylko same sosny. Po raz drugi, tym razem

już głośniej, słyszę swoje imię i nagle widzę jakiegoś bladego mężczyznę w szarej kurtce, ukrytego za drzewem. Nie poznałam go, ale podeszłam i pytam, kim jest, a on odpowiada: „Proszę mi dać coś do picia i kawałek chleba. Pani mnie nie poznaje? Przecież to ja, Stiwa W. Jestem ranny w pierś i idę przez las dokąd oczy poniosą”. Osłupiałam. „Stiwa, przecież uznano pana za zabitego. Jak to się stało, że się pan uratował?”. Powiedział, że gdy zbierano zabitych i przenoszono do Czerwonego Krzyża, pewna siostra zobaczyła, że żyje i przeniosła go do lazaretu. Ale w związku z tym, że z lazaretu też brano wszystkich na rozstrzelanie, to przebrali go w szarą kurtkę i nocą, ryzykując życiem, wyprowadzili za miasto. Prze chwilę zastanawiałam się, co robić, ale była to tylko chwila. Wzięłam go za rękę i mówię: „Idziemy do mnie”. Nie chciał się zgodzić i prosił tylko o chleb i wodę. „Przecież pani wie, że na każdym rogu wiszą ogłoszenia: «Kto ukryje jakiegokolwiek mężczyznę w swoim domu, zostanie rozstrzelany»”. – „Wiem, Stiwa, ale jestem matką”. Przeprowadziłam go na daczę i położyłam na górze w małym pokoiku mieszczącym się na antresoli. Był ranny w pierś, na wylot, a rany były zaklejone plastrem, na krzyż.

Przedemną stało radosne i trudne zadanie – powiadomienia jego matki i ojca o tym, że ich syn nie tylko nie został zabity, ale że znajduje się u mnie. Pokojówka Grusza przez dwa dni była nieobecna, miała do załatwienia swoje sprawy i krowę doiła moja najstarsza, 16-letnia córka Irenka.

Rankiem poszłam do W. i ostrożnie zaczęłam ich przygotowywać do przyjęcia darowanego im Bożego Miłoserdzia. Akurat zastałam ich, jak przygotowywali wszystko do panichidy i oczekiwali już tylko na kapłana. Jaka była ich reakcja na wiadomość, to oczywiste. Matka natychmiast poszła ze mną, a ojciec niemal upadł z wrażenia. Przychodzimy na daczę i okazuje się, że dzieci poszły w guwernantką do lasu, a w domu została sama Irenka. Właśnie doiła krowę i rozlewała mleko do dzbanków, gdy weszło kilku czerwonoarmistów ze strzelbami i zapytali: „Nikt się tu u was nie ukrywa?”. Opowiadała mi potem: „Wiesz, mamusiu, całkiem nie wiem, skąd mi się wziął taki zewnętrzny spokój, dosłownie tak, jakbym to nie ja im odpowiedziała: «Nie, tu nikogo nie ma, a wy pewnie jesteście zmęczeni. Napijcie się mleka, mleko jest świeżo wydojone, dobre». Nalałam im po szklance, wypili, nalałam jeszcze raz. Wstają, pokazują na kręcone schody i mówią: «No, dalej, przyznaj się: może tam się ktoś ukrywa?». A ja znowu, z takim samym spokojem i pewnością odpowiadam: «Jeśli macie czas, to idźcie i sami sprawdźcie». Na to jeden z nich mówi: «Idziemy, towarzysze. Widać, że ona nie kłamie». I poszli, a ja natychmiast się rozplakałam”, – powiedziała moja Irenka.

Spotkanie matki z synem była tak wzruszające, że nie da się tego opisać. Po dwóch dniach wynajęto konie, które oczekiwały na niego w umówionym miejscu. Chociaż jeszcze nie wyzdrowiał i nie okrzepł, to jednak został wyposażony we wszystko to, co było niezbędne i wysłany do jakiejś na głucho zabitej stacji, skąd miał pojechać pociągiem do miejsca wskazanego przez rodziców.

Jakże ogromne było moje zdziwienie, gdy po upływie trzech dni, znów po powrocie z miasta, zastałam u ciebie najstarszego syna państwa W., Aleksandra, którego aresztowano i posadzono do więzienia. Nie było żadnej niemal nadziei, że uniknął natychmiastowego rozstrzelania. Nie służono za niego panichid jedynie z tego powodu, że rodzice wierzyli, iż wszechmoc Boża jest bezgraniczna. I oto Bóg go uratował i pozostawił – całego i niemal całkowicie zdrowego. Wyskoczył w nocy z pierwszego piętra i na szczęście nie złamał, a tylko zwichnął nogę i z tego powodu kulał. I znów dane mi było przekazać następną radosną nowinę jego rodzicom i młodej żonie, która natychmiast udała się ze mną. Nazajutrz oboje odeszli piechotą przez las i pozostaje tylko mieć nadzieję, że udało im się ukryć, gdyż mieli na to jeszcze dość dużo środków finansowych.

10. SIERGIJEW POSAD

Bez problemów nauczyłam się szyc obuwie skórzane. Para próbna wyszła nieźle, ale od wiązania tak mnie bolały ramiona, że z powodu braku sił fizycznych nie mogłam się tym zajmować. Po oddaniu tej pary butów zaczęły się dla mnie trudne dni, związane z przygotowaniem do przeprowadzki do Ławry.

W tym czasie przyjechał z Moskwy mój mąż. Budynek banku ocalał i tam mu powiedziano, że mieszkam z dziećmi na daczce. Po przyjeździe zaproponował, aby do Ławry zabrać ze sobą także krowę. Nie mogłam tego uczynić łódką, a bałam się wieźć ją przez miasto, gdyż mój wyjazd był w istocie tajną ucieczką. Nie mogłam również zwracać się nigdzie i do nikogo, bowiem zostałabym natychmiast aresztowana przez CzK i poddana przesłuchaniu na okoliczność moich synów. W ten sposób przywiązaliśmy krowę do wózka, na który usiadł mój mąż z Gruszą, która miała ją po drodze doić i karmić. Połączyliśmy drogą, z krową idącą za wózkiem, pojechaliśmy do pierwszej przeprawy przez Wołgę. Dokładnie nie pamiętam, ile, ale wiem, że jechaliśmy kilkadziesiąt

wiorst. Nie będę opisywać, jak ciężko było przewieźć łódeczką każde po kolei dziecko, ślepą staruszkę i guwernantkę; to oczywiste.

Uczyniliśmy wszystko z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Pociąg ruszył, linia prowadziła przez miasto; było to ciężkie przeżycie i dopiero po przejechaniu dwóch stacji odetchnęliśmy, a dzieci zaszczębiotały. Mąż przyjechał wcześniej i spotykał nas na dworcu w Siergijew Posadzie. Nie udało się znaleźć pokoju i zaprowadził nas na kryty balkon w porzuconej daczcy, gdzie przebywaliśmy przez dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach wziął nas do siebie na jakiś czas pewien dobry człowiek – poeta Aleksandrow, który znał i szanował mojego zmarłego ojca. Na balkonie był brud i wilgoć; nie mieliśmy ze sobą nic ciepłego, gdyż wszystko spłonęło, ale – nie było wyjścia. Mąż pojechał do Moskwy i przywiózł obydwu synów. Ja musiałam pojechać do Jarosławia, gdyż w czasie przeprowadzki na daczę zostawiłam u sąsiadki swoją maszynę do szycia i jakieś resztki rzeczy, które przedtem wydawały się niepotrzebne, a w obecnych warunkach okazały się niezbędne. Pojechałam. Na drugi dzień wracam i dowiaduję się czegoś strasznego. W CzK już dowiedzieli się o naszej przeprowadzce do Ławry i przysłali wezwanie, nie wiadomo dlaczego – drugiemu synowi. Mąż wyjechał do Moskwy i zamieszkał u brata.

W ten sposób mój Kola został wezwany na CzK, gdzie strasznie ordynarni i nieokrzesani ludzie poddali go przesłuchaniu na okoliczność tego, czy brał on wraz z bratem udział w powstaniu i oraz jakim prawem przeprowadziłam się z rodziną do Ławry bez pozwolenia władz jarosławskich. Wypuścili go, ale zażądali, żebym natychmiast po powrocie przyszła osobiście. Trzeba było iść. Ispołkom⁸ mieścił się w budynku starego hotelu monasterskiego. Strasznie było przekroczyć próg budynku, który jeszcze tak niedawno był spokojnym przytułkiem.

Przez głowę przeleciało mi jedno z najmilszych wspomnień mojego życia, z czasów wczesnego dzieciństwa, gdy miałam osiem-dziewięć lat. Moja matka, która lubiła jeździć na spowiedź do Ławry, brała nas ze sobą: mnie i moją starszą o rok siostrę. Wspomniałam nienagannie czysty pokój w hotelu, ojca odpowiedzialnego za hotel, starego i czcigodnego mnicha, posłuszników, którzy przynosili herbatę, i to nie w czajniku, czy garnku, jak teraz, lecz stawiali na stół miedziany, błyszczący jak złoto samowar. Wspomniałam noc, gdy wszystko wydawało się święte: mnichów, samowar i lampadki, a nawet tiulowe zasłony na oknach. Wspomniałam to tajemnicze i ważne oczekiwanie na spowiedź przy sarkofagu Przepodobnego Sergiusza, po całonocnym czuwaniu, w soborze, ogarniętym półmrokiem; oczekiwanie w półśnie na pierwsze uderzenie dzwonu, wzywające wczesnym rankiem na liturgię, mnicha pukającego do drzwi, żeby nas obudzić, chociaż my już dawno nie spałyśmy i zakładałyśmy, ze szczególną pobożnością, nowe sukienki. Niebo było jeszcze rozgwieżdżone, spokój i cisza, którą przerywały jedynie miarowe uderzenia cudownego dzwonu Ławry. Nie da się tego opisać słowami. Moja dziecięca dusza była całkowicie zatopiona w strachu i miłości przed zbliżającym się Przyjęciem Najświętszych Darów. Potem wspomniałam gorące prosforki, zabawki, kupione przed bramą Ławry, krzyżyki, obrazki, wstążki z modlitwami i wiele innych szczęśliwych i niepowtarzalnych rzeczy. Wszystko to, niczym promień światła, który przebił się przez czarne chmury, w mgnieniu oka przemknęło mi przez głowę – i oto wchodzę.

Marzenia o tym, co było, na chwilę rozświetliły mrok strasznej rzeczywistości, która stanęła mi przed oczyma; nogi się pode mną uginały i sama nie poznawałam swojego głosu, gdy pytałam, dokąd mam się udać. Ten, kto nie widział takich obrazów, pewnie nie uwierzy.

Już od pierwszego kroku ogarnęła mnie świadomość obecności ducha nieczystego, dokładnie właśnie nieczystego, pod każdym względem. Tego brudu, jaki tam ujrzałam, nigdy nie zapomnę. Przeżyłam potem wiele przez te 25 lat i z Bożą pomocą postaram się wszystko opisać: i straszne warunki życia, i głód, i chłód, i strach, ale wtedy – wszystko to było nowe i wydawało się tak nieprawdopodobne, że zadawałam sobie pytanie, czy to nie sen i czy aby ja jeszcze jestem przy zdrowych zmysłach.

Cała podłoga zapluta, zaśmiecona brudnymi papierkami, łupinami od słonecznika, mało tego, trzeba było jeszcze szukać miejsca, by nie zabrudzić obuwia. W pokoju, do którego mnie zaprowadzono – to samo. Oczekiwało tam na mnie kilku ludzi, o ile można ich tak nazwać. Komisarzem CzK był zdrowy, rumiany marynarz w białej, brudnej koszuli marynarskiej, z rozpiętym kołnierzem i wielką czerwoną kokardą na ramieniu. Wszyscy mieli zakasane rękawy, byli straszni, dosłownie – dzięki zwierzęta; nie, tak naprawdę, to gorsi od zwierząt. Najbardziej się przestraszyłam marynarza, ale, o dziwo, tylko w nim odezwało się wobec mnie jakieś uczucie podobne do litości. Trzeba było bardzo, bardzo wielkiej siły woli, aby nie zdradzić przed nimi swojego strachu i zrobić wrażenie spokojnej: przecież los wszystkich moich dzieci, a nie tylko dwóch najstarszych synów, zależał od ich woli i znajdował się w ich rękach.

8 Tzw. ispołnitelnyj komitet, czyli komitet wykonawczy.

Zapytali mnie, dlaczego wyjechałam z Jarosławia, i to jak zapytali! Odpowiedziałam, że w czasie pożarów straciłam wszystko i będąc pozbawiona środków do życia doszłam do wniosku, iż w niewielkim Posadzie łatwiej mi będzie zarobić, a poza tym będę bliżej męża i krewnych, mieszkających w Moskwie. W odpowiedzi na to kilka głosów groźnie zakrzyczało: „Natychmiast się stąd wynoście, z powrotem do Jarosławia, z wszystkimi dziećmi i osobami towarzyszącymi!”. Musiałam prosić o pozwolenie na pozostanie, ze względu na beznadziejną sytuację i brak środków na opłacenie drogi powrotnej, a także na poniesienie kosztów wynajmu lokalu w spalonym mieście. Wtedy pod moim adresem poleciały najcięższe przekleństwa, żądania i groźby, lecz nagle marynarz powiedział: „Towarzysze, dajcie spokój, po co ja męczyć, może ona niczego nie zrobiła, niech jej rodzina na razie tu zostanie, – a zwróciwszy się do mnie powiedział: – Jeśli udowodnicie na piśmie wydanym przez władze jarosławskie, że wasi synowie nie brali udziału w powstaniu, to być może zezwolę wam na osiedlenie się tutaj, w Posadzie”. Bóg, jak zawsze miłosierny, oświecił mnie myślą i odpowiedziałam: „W Jarosławiu nikt nie wie, gdzie byli wtedy moi synowie. Jak wam już wyjaśniał mój syn Mikołaj, pojechali wtedy po mąkę do Saratowa i niczego o powstaniu nie wiedzieli. Byli zameldowani w urzędzie gminy, na terenie której znajdowała się dacza, w której mieszkaliśmy i tylko naczelnik gminy może wystawić takie świadectwo”.

Nie miałam najmniejszego pojęcia o ani żadnym urzędzie gminy, ani o tym, czy rzeczywiście dacza znajdowała się na jej terytorium. „Jedźcie natychmiast i przywieźcie dokument potwierdzający zeznania wasze i waszych synów”. Trzeba było zostawić dzieci. Na szczęście było mleko i nie bałam się, że zginą z głodu. Pojechałam do Jarosławia i poszłam prosto do właściciela daczy, który tak nam pomógł, pozwalając nam w niej mieszkać. Z radością mnie uspokoił i dodał otuchy mówiąc, że zarówno naczelnik, jak i sekretarz, od których wszystko zależy, to jego przyjaciele i za pieniądze wystawią każde świadectwo. Za duże pieniądze wynajął dla mnie transport (było to trudne w zrujnowanym mieście), do koperty z listem położył 25 rubli i pojechałam do gminy odległej o 18 wiorst od daczy.

I znów – cóż to była za podróż! Las, jak już pisałam, z powodu bagien był nieprzebyty, ich szerokość miejscami dochodziła nawet do kilkunastu wiorst niemożliwych do przejścia. A wobec tego, że była to już późna jesień, to wymoszczona faszyną droga, trudna do przejechania nawet latem, kilka razy prowadziła nas do nieuchronnej zguby. Mimo to udało się nam ją szczęśliwie przebyć i dostać się do urzędu. 25 rubli miało swoją moc i natychmiast otrzymałam świadectwo z pieczęcią naczelnika gminy. Właściciel transportu nie chciał wracać po tej samej drodze i wybrał trasę okrężną, dłuższą o 70 wiorst. Nie było wyjścia, postanowiłam wracać inną drogą. Gmina była co prawda na brzegu Wołgi, ale statki pasażerskie nie kursowały. Mimo to miałam nadzieję, że zatrzyma się jakiś spóźniony holownik, albo statek towarowy. Zdałam się na wolę Bożą i usiadłam na brzegu. Po dwóch godzinach ukazał się statek towarzystwa „Kaszyn” i zatrzymał się w pobliżu brzegu. Wzięli mnie na łódkę, z której wyładowali jakiś towar i statkiem dopłynęłam do Jarosławia, a stamtąd pociągiem do Ławry.

Trzeba tu dodać, że mój syn Mikołaj postanowił za wszelką cenę pojechać na południe, aby wstąpić do Białej Armii. Postanowiono, że ma wyjechać następnego dnia. Och, jakże ciężko mi było! Ale zgodziłam się na rozstanie, świadoma świętego obowiązku wobec ojczyzny. Mikołaj był moim oparciem i pomocnikiem, gdyż mój najstarszy syn, Sergiusz, nie był przystosowany do trudności, które życie niosło ze sobą.

Rankiem, następnego dnia po przyjeździe, udałam się do ispołkomu (wykonawczego komitetu rewolucyjnego) i wręczyłam przywiezione świadectwo. Wzięli, przeczytali a następnie dają mi papier i pytają: „Zgadza się to podpisać?”. Treść dokumentu była następująca: „Ja, niżej podpisana, niniejszym wyrażam zgodę na to, że jeśli jeden z moich synów wstąpi do Białej Armii, zostanie rozstrzelana”. Podpisałam i po upływie godziny odprowadziłam mojego syna Mikołaja do pociągu, którym odjechał ode mnie na zawsze.

11. MIŁOŚĆ DO CARA

Po klęsce Białej Armii, do której udało się mu dostać, Mikołaj uciekł z kraju i osiedlił się we Francji. Tam, po upływie kilku lat, zmarł na skutek nieszczęśliwego wypadku.

Wkrótce przyszło mi odprowadzać również starszego syna. O jego losie dowiedziałam się dopiero po trzech latach, z listu otrzymanego przez mnie także z Francji, w której znajduje się on aż do teraz. Piszę te słowa w 1946 roku, a rozstałam się z nim w 1918 roku, 28 lat temu.

Pozostałam sama z dziećmi. Musiałam teraz poszukiwać najprzeróżniejszych sposobów na przetrwanie. Było to skrajnie trudne. Mieszkaliśmy w wilgotnej i mrocznej suterenie. Choć ze wszystkich sił starałam się wykarmić krowę, jedyną dawczynią mleka, tak ważnego dla słabnących dziecięcych organizmów, okazało się

to niemożliwe i trzeba było ją sprzedać za bezcen. W tamtym czasie mąka była niewyobrażalnie droga, więc pieniądze topniały szybko i niezauważalnie.

Największą dla mnie pomocą i pocieszeniem była moja najstarsza, 17-letnia córka. Zawsze była zdrowa, miała silną budowę ciała, ale przeziębła się pewnego mroźnego dnia, gdy w samej wełnianej bluzeczce poszła do studni po wodę. Nie mieliśmy żadnego płaszcza, wszystko spłonęło w Jarosławiu, a na kupno nie było pieniędzy. Zachorowała na ciężkie zapalenie płuc i przez następne 10 lat, które dane jej było jeszcze przeżyć na świecie, nie tylko nie mogła powrócić do zdrowia, ale jeszcze w dodatku zachorowała na gruźlicę. Miała okresy poprawy, szczególnie wtedy, gdy przeprowadziliśmy się do Nalczika na Kaukazie, ale z powodu wiecznego niedojadania była wyjątkowo chuda.

Pewna moja przyjaciółka z Moskwy podarowała mi wielki, jednobarwny dywan, z którego szyłam ciepłe obuwie w postaci botów. Wozilałam je na sprzedaż albo na wymianę za produkty spożywcze, takie jak ziemniaki i suche korzenie. Jeździłam też do mojego byłego ogrodnika, do wioski położonej w ujeździe rostowskim, w odległości 8 wiorst od przystanku Diebołowo. Ten dobry staruszek przez wiele lat służył w naszym majątku i odszedł po rewolucji, po tym, jak majątek najpierw rozgrabiono, a potem zabrano. Bardzo smucił się moją sytuacją i bardzo mi pomagał. Często zaopatrywał mnie za darmo w suche owoce, albo zdobywał je u innych chłopów, za przywiezione na wymianę ciepłe obuwie.

Pierwszego roku nie jeździłam sama. Grusza za nic nie chciała mnie zostawić i dosłownie wszędzie mi towarzyszyła, pomagała nosić ciężary i troszczyła się o mnie we wzruszający sposób. W tamtym czasie kursowały jedynie pociągi towarowe, i to bez rozkładów. Gdy przyjeżdżałyśmy na stację Diebołowo późno, pozostawałyśmy na nocleg na stacji, u dyżurnego, bardzo wierzącego i czcigodnego staruszka, który również bardzo ucierpiał w wyniku rewolucji. Jego żona była bardzo gościnna, podobnie, jak jej mąż i po zmroku nigdy nie pozwalała nam iść do wsi, szczególnie w czasie silnego mrozu; niepokoiła się tym, że miałam na sobie tylko, choć i watowaną, to, jednak bardzo krótką bluzkę.

Pewnego razu przyjechałyśmy o zmroku, gdy padał drobny śnieżek. Gospodarze namawiali mnie, aby poczekać do jutra i niechętnie (gdyż zawsze spieszyłam się wracać do dzieci) się zgodziłam. Lecz Grusza nagle się uparła: „Idziemy, idziemy teraz, jeszcze zdążymy dojść, to tylko 8 wiorst! Po co tu nocować? Przenocujemy u ogrodnika Mikołaja!”. Pragnienie jak najszybszego powrotu zwyciężyło i poszłyśmy. Nie przeszłyśmy nawet wiorsty, gdy podniosła się zamieć i to jaka! Sypnął gęsty śnieg, a wiatr powiał tak mocno, że po kilku chwilach niczego nie było widać. Szybko ciemniało. Zgubiłyśmy drogę i w żaden sposób nie mogłyśmy jej odnaleźć, ciągle wpadając w zasy. Zrobiło się całkiem ciemno i strasznie; traciłyśmy siły i stawałam się coraz słabsza. Kostniałam i czułam, że za chwilę nie będę już w stanie walczyć ze śnieżnym żywiołem. Po kilku godzinach upadłam w śnieg, czując nieuchronną śmierć. Zaczęłam zasypiać i powiedziałam do Gruszy: „Jesteś młoda i silna, może uda ci się wydostać, ja już nie mam sił. Przekaż dzieciom moje błogosławieństwo” – po tych słowach nie mogłam już mówić. Ona z płaczem błagała, abym uczyniła ostatni wysiłek i wstała, starała się mnie podnieść, ale wszystko na próżno.

I oto stało się coś niezwykłego i cudownego: zdawało mi się, że nad samą moją głową rozległ się dźwięk cerkiewnego dzwonu. Było to wybawienie, nie tylko dla mnie, ale i dla moich dzieci, które zostałyby sierotami, pozbawionymi jakiegokolwiek pomocy. Jak to bywa w takich momentach, poczułam siłę, by wstać. Dzwon uderzył po raz drugi – byliśmy gdzieś przy samej cerkwi. Po dwóch krokach natknęłyśmy się na kamienne ogrodzenie i, idąc wzdłuż niego na dotyk, doszłyśmy do bramy i ujrzałyśmy światło w okienku stróżówki. Na nasze wołanie i pukanie otworzył nam stróż cerkiewny i aż krzyknął z radości. Ogrzałyśmy się, napiłyśmy się wrzątku i przenocowałyśmy u niego. Powiedział, że w czasie takiej strasznej zamieci jego dusza nigdy nie bywa spokojna i zawsze przychodzą do głowy myśli: „A jeśli ktoś zabłądził i zamarznie na polu? No to wtedy zaraz uderzam w dzwon. I oto Bóg przyprowadził. I właśnie mój dzwon przyniósł wam nowinę, że jesteście przy samej świątyni Bożej i że Bóg nie dopuścił, abyście zamarзли”.

Niejednokrotnie bywałyśmy w gościach i spędzałyśmy wieczór u dobrego naczelnika stacji i jego żony. Wkrótce polubiliśmy się wzajemnie i do późnej nocy dzieliliśmy się wrażeniami i przeżyciami z lat 1917, 18 i 19. Pewnego razu, gdy rozmawialiśmy o zamordowanej Rodzinie Carskiej, nasz gospodarz bardzo się wzburzył. Wraz z żoną byli monarchistami, bezgranicznie miłowali i byli oddani Parze Monarszej. „Nie wiercie nikomu i niczemu, to wszystko kłamstwo, Car i jego rodzina żyją, zostali wywiezieni z Rosji, sam byłem tego świadkiem”. Będąc pod wielkim wrażeniem takiej wiadomości, również bardzo się nią przejęłam i ogarnięta uczuciem nadziei i radości, prosiłam, aby opowiedział, na czym opierał to swoje przekonanie.

„Byłem naczelnikiem niewielkiej stacji na linii Wołogda-Archangielsk, bliżej Archangielska. Śmiertelnie rozpaczaliśmy z żoną z powodu tego, że nasz Monarcha z Monarchią i dziećmi zostali zesłani do Jekaterynburga, że

ich los jest w rękach i zależy od decyzji bolszewickiej CzK. Co też z nimi będzie? I oto pewnego razu stoję na peronie. W tamtym czasie nie było prawie żadnych pociągów, nie mówiąc już o rozkładach. Widzę – ze strony Wołody jedzie parowóz, na nim uzbrojeni wojskowi, wyglądający na gwardzistów. Parowóz się zatrzymał i jeden z nich zeskoczył, widać było, że szlachetnie urodzony oficer i wydaje rozkaz: wszyscy odwrócić się plecami i stać tak nie krócej, niż pięć minut. Na służbie było nas tylko czworo. Rozkaz był wydany w takiej formie, że nie można było się sprzeciwić, tym bardziej, że oficer ostrzegł: «Kto się odwróci, zostanie zastrzelony». Gdy się już odwracałem, to zdążyłem zauważyć, że za tym parowozem jechał drugi parowóz, z jednym wagonem klasy pierwszej. Zarówno na parowozie, jak i na pomostach również stali wojskowi ze strzelbami, a na tylnym pomoście chłopiec w wieku Następcy Tronu, ubrany w morski mundur i obok niego marynarz. Gdy już przejechali, szybko pobiegłem do domu i z nieopisaną radością powiadomiłem żonę, że jacyś wojskowi, nie wiadomo jacy, rosyjscy albo angielscy, wywieźli Monarchę. To znaczy – został uratowany! Oficer wydający rozkaz był Rosjaninem, ale inni mogli być cudzoziemcami. Następnego dnia otrzymuję gazetę i czytam o strasznym zabójstwie Cara i jego rodziny”.

I tego człowieka w żaden sposób nie można było przekonać, że zamordowani nie byli podstawionymi osobami i że bolszewicy nie mogli się nie zorientować, że Monarchę wykradziono i dokądś wywieziono przez Archangielsk. Ja uwierzyłam tej opowieści i przez wiele lat myślałam, że z zachowaniem takich środków ostrożności, w takiej tajemnicy, nikogo innego wywozić nie mogli. Ale niestety, od tego momentu minęło już prawie 30 lat i, jak wykazują badania, prawdziwość faktu morderstwa została udowodniona.

12. PRZEPODOBNY SERAFIN SAROWSKI

W taki sposób minęła pierwsza nasza zima w Siergijew Posadzie. W pocie czoła, z pomocą najstarszej mojej córki, Irenki, ledwie udawało mi się zdobywać najbardziej podstawowe artykuły żywnościowe i to w skąpej ilości. Czasami zostawał tylko owies: gotowaliśmy go na parze na piecu, mieliliśmy w maszynce do mięsa, rozpuszczaliśmy w wodzie i w ten sposób otrzymywaliśmy kisiel, którym żywiliśmy się nawet po kilka dni, nie mając chleba.

W Posadzie zapoznałam się z rodziną hrabiego J.A.Olsufjewa, która przyjęła nas bardzo serdecznie, ale oni również byli całkowicie zrujnowani i nie mogli nam pomóc. W tamtym czasie hrabia zarządzał archiwum Ławry i starał się ochronić jak najwięcej cennych, historycznych dokumentów przed barbarzyńskimi rękami bolszewików. Kiedyś przyniósł mi do poczytania jakiś list i powiedział: „Chronię to jak oko w głowie”. List był pożółkły od starości, z mocno wyblakłym atramentem. Napisał go własnoręcznie Święty Przepodobny Serafin Sarowski do Motowiłowa.

W liście tym znajdowało się proroctwo dotyczące strasznych nieszczęść i bied, które miały osiągnąć Rosję. Pamiętam jedynie, że było w nim powiedziane o tym, że Bóg się nad Rosją zmiłuje i zbawi ją. Nie pamiętam tylko, w którym to miało być roku, gdyż minęło już 28 lat, a ja, niestety – czego bardzo żałuję – nie zwróciłam na niego należytej uwagi, gdyż rok ten był wtedy jeszcze daleko, a my tak bardzo, już od samego początku rewolucji, pragnęliśmy natychmiastowego wybawienia. Ale wydaje mi się, że był to rok 1947, w każdym razie – po koniec lat czterdziestych XX wieku. Nie mogę sobie wybaczyć, że nie zrobiłam kopii tego listu, ale w tamtym czasie zaspokojenie codziennych potrzeb dzieci pochłaniało całą uwagę i zabierało wszystkie siły. Tylko w ten sposób mogę usprawiedliwić swoją krótkowzroczność⁹.

Zbliżał się Wielki Tydzień i świętowanie Wielkiego Święta Paschy. Pełna bezradność. Dzieci gołe i głodne. Na skutek tych wszystkich warunków życia na głowach moich dwóch najstarszych dziewcząt pojawiło się tyle robactwa, że nie można było z tym walczyć bez gęstego grzebyka. Nie mieliśmy go, a kupić absolutnie nie było za co, a nawet jeśli by było za co, to nie było gdzie. Obydwie miały długie piękne włosy. Nie było wyboru.

Nastąpił Wielki Czwartek. Taki wielki dzień, a ja musiałam zasmucić moje dzieci i powiedzieć: „Nie ma innego wyjścia, moje drogie, jak tylko ogolić wam głowy do gołej skóry”. Obydwie wpadły w płacz i ja razem z nimi, ale, jak zawsze, starałam się im wytłumaczyć, że trzeba ustąpić, że jest to konieczność, gdyż innego wyjścia nie ma. Przez całe moje życie, aż do tamtego dnia, nigdy nie rozstawałam się z dziećmi w czasie nabożeństw cerkiewnych. Zawsze były przy mnie i koło mnie i modliliśmy się razem. Teraz nagle naszło na mnie nieprzeparte pragnienie, aby wieczorem nie iść na Czytanie 12 Ewangelii z dziećmi do Soboru Troickiego, w którym

9 List ten nie zachował się do naszych czasów.

spoczywały relikwie Przepodobnego Sergiusza, ale żeby iść cztery wiorsty dalej, do stojącego w świerkowym lesie Skitu Czernigowskiego. Znajdowała się w nim Cudowna ikona Matki Bożej Czernigowskiej. O moim pragnieniu oznajmiłam dzieciom. Ich gorycz była nie do opisania: „Jakże tak, mamusiu, tyle w życiu goryczy, a ty jeszcze przed takim Świętem doprowadzasz nas do łez. Jakże będziemy mogli wysłuchać 12 Ewangelii bez ciebie? Jakże ty nocą pójdziesz sama przez las? Nie, zostań z nami, pójdziemy tak jak zawsze, razem!”. Ale mnie nieprzeparcie ciągnęła do skitu jakaś niepojęta siła i nie uległam żadnym prósbom ani łzom moich pięciu dzieci, najmłodsze z których, Andrzejek, miało 4 latka.

Zaplakane dzieci poszły do Soboru z guwernantką. (Mieszkała ona nadal z nami, chociaż od tego roku nie otrzymywała już wynagrodzenia; była głęboko przywiązana do Andrzejka). Ja zaś poszłam przez las do Skitu. Zawsze ciągnęło mnie do tamtejszej cerkwi. Wejście znajdowało się pod ziemią i prowadziło do niego dwanaście stopni, po których trzeba było zejść. Cerkiew była malutka, nie docierało do niej światło słoneczne, lecz była oświetlona wielką liczbą różnokolorowych, drogich lampad, a także ogromną ilością świec woskowych o najprzeróżniejszych rozmiarach. Cudowna ikona Matki Bożej Czernigowskiej była czczona nie tylko w okręgu moskiewskim, ale także w całej Rosji.

W cerkwi przez malutkie otwory można było wejść do podziemnych korytarzy. Były one długie, i trzeba było się zginać przy wejściu. Dwa razy w życiu odwiedzałam takie święte i tajemnicze miejsca, które były się miejscem dobrowolnego zbawienia wielu mnichów. Po korytarzach oprowadzał zazwyczaj specjalnie do tego wyznaczony mnich z latarnią. Od wilgoci, spływającej po ścianach w cienkich strużkach wody, robiło się zimno, a duszę obejmowało nieopisane przerażenie zmieszane z pobożnym, pełnym szacunku strachem, gdy mnich zatrzymywał się przed zagłębieniami wyrytymi w ścianach i opowiadał, że w tym miejscu spędził życie, umarł i nie został pochowany ten albo inny pustelnik...

Tego wieczoru po wejściu do cerkwi stanęłam bardzo blisko, bezpośrednio przed samą ikoną Matki Bożej. Było pełno ludzi. Wzruszające czytanie 12 Ewangelii, surowe twarze mnichów, ich harmonijny śpiew, pełne boleści melodie – wszystko to zlewało się z moimi osobistymi przeżyciami i goryczą. Nie znał mnie tam nikt, ani jeden człowiek nie wiedział, że tego dnia zasmuciłam swoje córki, stawiając je przed koniecznością obcięcia włosów. Nie mógł o tym wiedzieć nikt, oprócz Matki Bożej, której ze łzami i z błaganiami o pomoc opowiedziałam o moim nieszczęściu.

Nabożeństwo dobiegło do końca, ludzie całowali ikony i natychmiast wychodzili, gdyż była już 12 w nocy. Podeszłam ostatnia. Było już po służbie, w cerkwi panował półmrok, gdyż zgaszono niemal wszystkie świece i lampady, oprócz tych, które palą się zawsze. Pocałowałam ikonę i czuję, ktoś mnie ostrożnie ujmuję za ramię. Odwróciłam się i ujrzałam starego mnicha, ale nie ze skitu, gdyż był ubrany w szary, pikowany podriąsny, przewiązany rzemykiem i w ciemnoniebieską skufijkę. Uśmiechając się zyczliwie, wyciąga do mnie rękę ze słowami: „Nie potrzebujecie?”. A w jego ręku leżą dwa gęste grzebyki! Osłupiałam i pytam, nie wiedząc, co mówię: „Skąd je macie?”. On zaś odpowiada: „A tak, sprzedawałem i dwa mi zostały, może się wam na coś przydadzą?”. Odpowiadam: „Tak, ale nie mam pieniędzy”. On zaś na to mówi: „Ja nie potrzebuję pieniędzy”. Wzięłam jeden i nie zdążyłam mu porządnie podziękować, gdy szybko wyszedł. Poszłam za nim, ale go nigdzie nie było. Przyniosłam gęsty grzebytek do domu. Moje dziewczynki wpadły w wielkie zdumienie i ich smutek zmienił się w nieopisaną radość.

13. LOSY MNICHÓW

W Ławrze poznałam rodziców pewnej Kasi, mniszki riasofornej z dawnego Monasteru Kazańskiego w Jarosławiu. W tamtym czasie monaster był zrujnowany, mnichów rozegnano, nakazano im ściągnąć strój mniszy, tych zaś, którzy się sprzeciwiali i nie wypełniali tych zarządzeń, będących nie do przyjęcia dla prawdziwych mnichów i mniszek, aresztowano, wywożono do Moskwy na Łubiankę (OGPU) i tam – albo przepadali bez wieści, albo odzywali się z dalekich łagrów Syberii, czasami nawet dopiero po kilku latach. Ojciec mniszki Kasi był głównym oberkonduktorem na północnej linii kolejowej i przez wiele lat służby dał radę zbudować sobie w Posadzie, przy Ławrze, maleńki domek. Bardzo lubiłam do nich przychodzić. Byli to ludzie prości, wierzący i gościnni. Było u nich przytulnie: w każdym z czterech pokoiów, niczym w celi mniszej, wisiało w prawym kącie wiele ikon i lampad, które płonęły dzień i noc. Na ścianach znajdowały się oleodruki z czasów biblijnych i nowotestamentowych oraz bardzo jaskrawe portrety Monarchy, zawsze z niebieską wstążką orderu Św. Andrzeja, a także Monarchini, samej, bądź z wszystkimi dziećmi. Za coś takiego w każdej chwili groziło im rozstrzelanie.

Po kilku wizytach w ich domu stało się dla mnie jasne, dlaczego ich jedyna, bardzo piękna, skromna, obficie obdarzona wszystkimi dobrymi cechami charakteru córka wybrała dla siebie drogę wyrzeczenia się świata, drogę mniszą. Jeśli chodzi o wypełnianie ślubów była mniszką surową i bardzo modlitewną. Bardzo długo nie chciała przebrać się w odzież świecką i bardzo nad tym płakała, a gdy w końcu ją przekonali, dowodząc, że dla duszy wcale nie to jest najważniejsze, ubrała skromną czarną sukienkę i białą chusteczkę na głowę.

Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale niezależnie od tego, w co i jak przebrać mniszkę, zawsze można ją rozpoznać. W 1919 roku rodzice Kasi mieli jeszcze środki materialne na przeżycie, ale w 1920 roku nastął głód i Kasia musiała iść latem do pracy na wieś, do roboty w polu. W tamtych czasach kolchozów jeszcze nie było.

Pierwsze lato minęło szczęśliwie i jesienią wróciła do domu, z zarobkiem wystarczającym na przeżycie zimy. Potem musiałam wyjechać z Ławry z powodu braku środków do życia i przez trzy lata niczego o niej nie słyszałam. Po trzech latach znowu dane nam było spotkać się z jej matką, która opowiedziała mi niecodzienną, lecz rzecz jasna nie wymyśloną, a prawdziwą historię.

Następnego roku, tak, jak i poprzedniego, Kasia już wiosną wyjechała w poszukiwaniu pracy do miasta Aleksandrowa. Miasto Aleksandrow – to wielka, znana jeszcze za Iwana Groźnego, zbójcka Słoboda Aleksandrowska, zbiegowisko i miejsce przebywania opryczników.

Kasia, wraz z innymi robotnicami stała skromnie na placu targowym i czekała, aż któryś z chłopów przyjdzie ją nająć do pracy. Podszedł do niej młody chłopak i zaproponował pracę u siebie na chutorze. Umówili się szybko. Gdy poszedł po swojego konia, do Kasi podszedł starszy wiekiem chłop i mówi: „Nie cię Bóg broni jechać do tego chutoru! Tam mieszkają czarownicy! Jest tam 14 domów i wszystko stoi na błocie”. Lecz Kasia nie uwierzyła i pomyślała: „Jacy tam mogą być czarownicy? Przecież ich nie ma, to wszystko brednie starych ludzi, a poza tym – cóż może być strasznego dla niej, mniszki? Krzyż i modlitwa ochronią przed wszystkim”.

„No i pojechała – opowiadała jej matka. – Minęło lato – żadnego listu. Już kończy się jesień, wszystkie robotnice dawno wróciły do domu, a Kasi jak nie ma, tak nie ma. Ciężko się nam z ojcem zrobiło, pocieszałyśmy się jedynie modlitwą i nie wiedzieliśmy, co o tym wszystkim myśleć! (Nie wiedzieli przecież nawet tego, dokąd pojechała, z kim i u kogo pracowała). Pewnego razu, już przed samą zimą, siedzimy przy oknie, pogrążeni w smutku i nagle widzimy – idzie Kasia, ale szła jakoś inaczej, nie tak pokornie, jak zazwyczaj, tak, jakby to nie była ona. Rzuciliśmy się jej na spotkanie, pragnąc ją objąć i cieszyć się jej powrotem, gdy nagle, nasza cicha gołąbeczka, nasza modlitewnica, nie przywitała się z nami, odepchnęła nas szorstko, nas, rodziców-staruszków, weszła do domu i natychmiast zaczęła zrywać ikony i z bluźnierstwami rzucać je na podłogę. Potem zaczęła zbierać rzeczy, nie swoje, ale to co było w domu najlepsze i należało do nas. Było to tak całkowicie zdumiewające, że najpierw nie mogliśmy z siebie wydobyć ni słowa, a potem chcieliśmy ją jakoś udobruchać: «Kasiu, dziecko nasze, co się z tobą dzieje? Bój się Boga!». A ona jak nie zakrzyczy: „Jakiego Boga? Nie ma żadnego Boga!”. Doszliśmy do wniosku, że zwariowała. Zabrała wszystko, co było najcenniejsze, wszystkie najlepsze rzeczy i poszła bez pożegnania. Można zrozumieć, jaka wypełniła nas gorycz, rozmawialiśmy tylko i wyłącznie o Kasi: nie mogliśmy ani spać, ani nic przełknąć. Oboje wychudliśmy, sąsiedzi tylko wzdychali i nikt niczego nie mógł zrozumieć. Wtedy postanowiłam, że pojedę do schimnicha Zosimy, który wtedy niósł podwójny w Pustelni Zosimowej, w pobliżu Ławry, trzy przystanki od stacji kolejowej, koło monasteru w Choł'kowie. Gdy tylko go ujrzałam, padłam przed nim ze łzami na kolana, wylałam mu całą swoją gorycz, a on na to: „Jest u czarowników, wyszła za mąż czarownika, do którego pojechała. Niech wam z ojcem nie będzie ciężko, ale módlcie się za nią gorliwie. Równy za rok, dokładnie tego samego dnia, przyjdzie do was z dzieckiem na rękach. Przyjmijcie ją, będzie już wtedy wolna od demona, który w niej zamieszkał”. Rok ten ciągnął się dla nas bez końca. Czasami wierzyliśmy, czasami nie, że stanie się właśnie tak, jak przepowiedział schimnich; ciągle się modliliśmy, stawialiśmy świeczki u przepodobnego Sergiusza. Równy po upływie roku już od rana staliśmy przy oknie, targani uczuciami: ogarniał nas strach, ale chcieliśmy się też cieszyć, że ją zobaczymy. Nagle, w ciągu dnia, widzimy, że do naszego domu idzie kobieta z niemowlęciem na ręku, tak strasznie wychudzona, że pozostał z niej dosłownie cień człowieka. Od razu zrozumieliśmy, że to ona, nasza Kasia. Otworzyliśmy drzwi, a ona natychmiast, z wielkim płaczem rzuciła się nam do nóg, błagając o wybaczenie. Mieliśmy przed sobą naszą dawną, pokorną mniszkę Kasię. Starzec przykazał, abyśmy jej o nic nie pytali i tak uczyniliśmy. Dzięki Łasce Bożej, dziecko po trzech dniach zmarło, a Kasia całkowicie oddała się modlitwie”.

W tamtych czasach mnichom było bardzo ciężko. Gdy jeszcze mieszkaliśmy w Jarosławiu, przed powstaniem, pewnego razu przyszedł lokaj i oznajmił: „Do kuchni przyszedł jakiś oberwany mnich i prosi o widzenie z moim mężem, bądź ze mną”. Oczywiście przykazaliśmy przyprowadzić go do nas, na górę. Wszedł dość już stary mnich, bosy, ze spuchniętymi, do krwi poranionymi nogami, cały w łachmanach, bez czapki. Było to w kwietniu, gdy jeszcze panował chłód, a w lasach jeszcze leżał śnieg. Okazało się, że to igumen jednego z mo-

nasterów pod Rybińskiem. Zrozumieliśmy, że był on wymagającym igumenem, a bracia ulegli propagandzie rewolucyjnej i postanowili go zabić, lecz udało mu się wyrwać i uciec przez las; biegł kilkadziesiąt wiorst. W jaki sposób trafił na nas – nie wiem. Zapewne dlatego, że dom, w którym znajdowało się nasze mieszkanie, był duży i bardzo widoczny.

Przebraliśmy go w cywilne rzeczy. Jak mu później pomagał Zbawiciel, nie wiemy. Bał się u nas zostawać na długo, gdyż rybińscy mnisi również tutaj mogli go znaleźć. To, z jaką szybkością ulegali w tamtym czasie demoralizacji nie tylko chłopi, ale i mnisi, było przerażające. Oczywiście nie wszyscy: zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku znajdował się niewielki procent ludzi, którzy szczerze wierzyli w Boga, którzy nie ulegali żadnej propagandzie i za to umierali jako męczennicy w łagrach, albo po prostu, oskarżeni z artykułu 58 o kontrrewolucję, byli rozstrzeliwani w Moskwie. Ci, którzy zostali przy życiu w tych nieludzkich warunkach, w których ich przetrzymywano, albo dostawali pomieszania zmysłów, albo z pokorą oddawali duszę Bogu, cierpiąc wszystkie potworności do samego końca. Tak ginęło najlepsze duchowieństwo, począwszy od metropolitów, a skończywszy na psalmistach; tak ginęli prawdziwi mnisi i wierzący, najbardziej pracowici chłopi. Trzeba wierzyć w to, że cierpieniami i krwią tych milionów nowych męczenników zostanie oczyszczona i przez nią zostanie zbawiona Prawosławna Rosja. Ja sama straciłam w łagrach i więzieniach 12 członków rodziny, zaś o dwóch młodszych synach już dziesiąty rok nie mam żadnych wieści. Ale o tym napiszę dalej.

14. METROPOLITA AGATANGEL

Było to na krótko przed powstaniem w czerwcu 1918 roku, gdy zaczęło się już prześladowanie cerkwi. Dane mi wtedy było przeżyć wielki ból rozczarowania mnichami. W pewnym monasterze, położonym 25 wiorst od Jarosławia, znajdowała się obdarzana wielką czcią ikona Matki Bożej Orańskiej. Każdego roku na jakiś okres czasu była ona przenoszona do Jarosławia, do Monasteru Spasskiego, a ci, którzy mieli takie pragnienie, mogli ją też przyjąć u siebie w domu.

Był to cudowny i uduchawiający obraz. Procesje zbierały się z całej okolicy, ludzie szli na piechotę za ikoną; ogromny las chorągwi, błyszczących w słońcu i wiele tysięcy chłopów w swoich świątecznych, różnobarwnych, jaskrawych sukniach. Wszyscy śpiewali niczym jeden potężny chór.

Bardzo długo nie wiedzieliśmy, czy w tym roku odbędzie się święto przeniesienia Ikony i prawdziwy triumf wiernych. Bolszewicy pozwolili, ale natychmiast rozpuszczono mnóstwo budzących strach słuchów. Małoduszni, którzy się im poddali, postanowili nie iść w procesji, która miała zwyczaj wychodzić z wszystkich jarosławskich cerkwi na spotkanie Ikony, by w odległości dwóch wiorst od miasta przyłączyć się do procesji głównej.

Zwyczaj był taki, że przy rogatkach miasta procesję spotykał arcybiskup eparchii jarosławskiej, w towarzystwie chorągwi z Monasteru Spasskiego. W tamtym czasie arcybiskupem był biskup Agatangel, przyszedł Metropolita Moskiewski. Z wątpliwościami, czy procesja w ogóle się odbędzie, udałam się na spotkanie Ikony przy rogatkach miasta. Już z dala widać było ciemną masę ludzi, wolno przesuwaną się po drodze. Biskupa nie ma... Myślę sobie – pewnie coś go zatrzymało, ale – nie... Czas płynie, już widać zarys błyszczących na słońcu chorągwi, podobnych do gwiazdek płynących tuż nad ziemią. Biskupa nie ma... Widać już także ikonę, ale cóż to? Oczom nie wierzę, a wzrok mam doskonały, widzę z odległości kilku wiorst: wielka czerwona kokarda spływa końcami na całą długość Ikony. Samą Ikonę niosą mnisi mantijni, i każdy z nich też ma na lewym ręku wielką czerwoną wstążkę. Ludzi, choć było dość dużo, to jednak kilka razy mniej, niż zazwyczaj. A w mojej głowie młotem stukają słowa: mnisi... mnisi mantijni... oni też szukają schronienia pod czerwonymi kokardami, starając się przypochlebić mocy antychrystowej...! Wzięłam pierwszego z brzegu dorożkarza i powiedziałam: „Do Monasteru Spasskiego, do Biskupa, goń konie, ile sił w nogach”. Przyjeżdżam, dzwonię, otwiera kielejnik. „Proszę przekazać Władcy, że chcę się z nim widzieć”. Kielejnik znał mnie dobrze, gdyż Biskup Agatangel dość często przyjeżdżał do nas wieczorem, jak to się mówi – „na herbatkę”. „Władcy źle się czuje...” – „Wszystko mi jedno, proszę mu przekazać, że nawet jeśli rzeczywiście jest chory, to ja i tak wejdę do niego do sypialni”. Poszedł przekazać. Po chwili wraca i mówi z zakłopotaniem: „Władcy Panią prosi...”. Wchodzę, a on siedzi tak, jak zawsze, ubrany, na kanapie, całkowicie zdrowy. Ja, dławiąc się z pośpiechu, opowiadam mu o czerwonych kokardach, że jeśli kogoś konno posłać na plac ze stosownym nakazem, to jeszcze można zdążyć ściągnąć ten symbol krwi, jak nazywano czerwone kokardy, a on na to: „Tak, widzi pani, to trzeba zrozumieć, przecież oni to czynią z potrzeby bezpieczeństwa, no a to, że na Ikonie jest duża kokarda – to przecież po to, żeby Jej nie znieważyli, nie obrzucali kamieniami”.

Czytałam u pewnego archimandryty, że zło zawsze jest ciemne, a oburzenie może być światłe. Wpadłam w

szalone oburzenie i nie zwracając uwagi na to, że mam przed sobą Biskupa, wykrzyczałam mu, że to dla mnie oczywiste, iż jest to nie tylko wielki grzech ze strony mnichów mantijnych, mnichów, którzy dali Bogu ostateczny ślub całkowitego wyrzeczenia się świata, ale także wielki wstyd. „I to nie ja powinnam was uczyć, Władko, że Boga się nie da zbeczczyć i że Matki Bożej nie można znieważać i że zawstydzeni zostaną ci, którzy rzucą w Nią kamieniem”. Z tymi słowami odwróciłam się i szybko poszłam do domu, nie idąc już na spotkanie takiej procesji.

Taki właśnie, już od samego początku, był strach przed satanistyczną mocą bolszewicką: starzy mnisi nie pokładali nadziei w modlitwie, a w czerwonych wstążkach!

Biskup Agatangel wkrótce został Metropolita Moskiewskim i jako zastępca Patriarchy został (tylko nie wiem, czy nie pamiętam, w jaki sposób) zamordowany przez bolszewików. Wiem tyle, że przewyciężył strach, wyrzekł się bolszewików i świadomie poszedł na mękę¹⁰.

15. SOBÓR WSZECHROSYJSKI 1919 ROKU

Jak już pisałam, mój mąż był delegatem na Sobór z guberni jarosławskiej. Nie będę tutaj rozpatrywać działalności Soboru w szczegółach – to sprawa przyszłych historyków – a powiem jedynie kilka słów o moich osobistych wrażeniach. W związku z tym, że mój mąż był częścią tych wydarzeń, to z bólem przeżywałam wszystko to, co widziałam i słyszałam.

Niestety, na tym wielkim zebraniu wszystkich największych potęg rosyjskiego duchowieństwa (w większości wielkich nie mocą Ducha, a wysokością w hierarchii, ku wielkiemu nieszczęściu i na zgubę Rosji) panował ten sam strach: strach przez nadciągającą, straszną katastrofą. Poza kilkoma wyjątkami, wszyscy bali się otwarcie wypowiadać swoje zdanie w tych kwestiach, w których należało gromić, uprzedzać i otwierać oczy ludowi, wtedy jeszcze w większości wierzącemu i miłującemu swojego ziemskiego cara.

Sobór tego NIE ZROBIŁ! Apel Patriarchy, autorstwa teologa, księcia Eugeniusza Trubeckiego, chociaż wydrukowany, to jednak był rozdawany w sekrecie, niejawnie, znów – z powodu tego samego, ziemskiego strachu. Mój mąż przywiózł przekazane mu dla rozpowszechnienia liczne egzemplarze apelu. Przekazał mi je ze słowami: „Proszę, postaraj się to rozdać, tylko tak, żeby nie wpaść”. Oddałam mu je z powrotem i przypomniałam słowa Zbawiciela, że zapalanej Świecy nie stawia się pod łóżko, że powinna otwarcie świecić wszystkim: „Te apele powinny zostać rozklejone na wszystkich drzwiach cerkiewnych i na rogach ulic, a jeśli ja, dając w tajemnicy apel pierwszemu chłopu, powiem: «Uważaj tylko, żebyś nie wpaść», to natychmiast zabiorę mu wiarę w Sobór i nadzieję na jego moc”. A przecież w tym Soborze pokładano nadzieje na zbawienie, na niego skierowane były wówczas oczy wszystkich wierzących! Poza tym ja sama uważałam tego rodzaju działania za nieskuteczny i bezsensowny środek walki z rozzuchwalającą się mocą szatańską.

Na Soborze postanowiono nie mówić o polityce. Wszystkie problemy, które w przydługich mowach poruszali cerkiewni oratorzy, sprowadzały się do ukształtowania przyszłej Cerkwi, potężnej swoimi kapitałami. Kapitały te miały pochodzić z dwóch specjalnie w tym celu kupionych ogromnych majątków: jednego – winnic na Krymie, które pozwalałyby zachować monopol na wino cerkiewne i drugiego – pól pszenicy na Kaukazie, dzięki którym zachowano by monopol mąki na proso i inne potrzeby Cerkwi, przy czym przewidywano niewyczerpane bogactwa pochodzące ze sprzedaży nadwyżek. Mój mąż otrzymał zadanie opracowania statutu

10 Metropolita Agatangel (Preobrażeński), ur. w 1854 roku, zm. w 1928 roku. Po służbie na różnych katedrach od 1913 roku biskup, a następnie Metropolita Jarosławski i Rostowski. Uczestniczył w Soborze Wszechrosyjskim 1918-1919 roku. Na podstawie orzeczenia Soboru, dającego Patriarsze takie prawo, wyznaczony przez Patr. Tichona na drugiego Strażnika Tronu Patriarszego (ros. Miestoblustitel Patriarszego Priestola; pierwszym był metr. Cyryl, trzecim metr. Piotr Kruticki). Strażnicy Tronu Patriarszego mieli kolejno przejmować zarządzanie cerkwią w sytuacji, gdyby po śmierci Patriarchy nie było możliwości wyboru nowej głowy Cerkwi, przy czym w ręce Strażnika Tronu miała przechodzić pełnia władzy patriarszej. W 1922 roku, na mocy ukazu Patr. Tichona tymczasowo pełnił obowiązki patriarchy i zdecydowanie sprzeciwił się całkowicie lojalnemu wobec bolszewików ruchowi „odnowicielskiemu” i jego tzw. „żywej cerkwi”. Nie miał jednak możliwości przyjechania do Moskwy i wezwał biskupów do samodzielnego kierowania eparchiami. W latach 1922-1925 więziony i zesłany. W 1926 roku, po śmierci patr. Tichona ponownie, już jako Strażnik Tronu Patriarszego, stanął na czele Cerkwi, ale w wyniku działań metr. Sergiusza został zmuszony do zrzeczenia się swoich praw. W 1927 roku, wraz ze swoimi biskupami wikarnymi, nie uznał Deklaracji lojalności metr. Sergiusza (w ten sposób powstała jedna z kilku, „jarosławska” grupa biskupów tzw. niepominajuszczich). Zawieszony przez niego w prawach kapłańskich, wyjaśniał, że nie przerwał z nim łączności modlitwowej, ale nie odmawia wypełniania jego zarządzeń, które są przeciwko kanonom cerkiewnym i sumieniu. Zmarł na skutek złego stanu zdrowia w 1928 roku. W 2000 roku kanonizowany wśród Nowych Męczenników i Wyznawców Rosyjskich.

przyszłego banku cerkiewnego z obietnicą, że zostanie mianowany nie tylko dyrektorem tego banku, ale także głównym zarządcą obydwu majątków. Mąż nie był bogaty i cieszyły go te perspektywy, dlatego pracował nad tym dniami i nocami. Płakałam, widząc zgubę Rosji, będącą efektem takiej działalności Soboru. Namówił mnie, żebym pojechała do Moskwy chociaż na jedno posiedzenie. Zgodziłam się niechętnie, wciąż w nadziei, że może znajdę twardy grunt pod nogami, który pozwoli nie pograć się do końca w grzańskim bagnie. Pierwszym miejscem, do którego zaprowadził mnie mąż, był uderzająco bogaty bufet, w którym można było dostać wszystko, w chwili, gdy prawie cały naród miał wielkie problemy z wyżywieniem.

W tamtym czasie wiele mówiono o tym, że na Sobór przyjechał z Pustelni Zosimowej hieroschimnich Aleksy, który wiele lat spędził w zatworze i właśnie teraz z niego wyszedł. Spotkaliśmy go w drzwiach, wychodząc z bufetu. Zwrócił się do mnie po imieniu i otrzymałam błogosławieństwo. Zaświecił mi promień nadziei! Może on, ten starzec-pustelnik, chudy, wysoki asceta w szatach schimnicha, wypowie swoje święte, potężne słowo, które skruszy diabelską siłę, planującą zuchwale zawładnąć Rosją i jej prawosławną wiarą. Przecież nie na darmo wyszedł z zatworu.

Wielu tak myślało, ale on, do samego końca Soboru, nie wyrzekł ni słowa. Po zamknięciu Soboru nie powrócił już do swojego monasteru, ale przez długi okres czasu w sekrecie mieszkał w Ławrze Troicko-Siergiejewskiej u żony zamordowanego ministra Chwostowa. Nie znam jego dalszych losów, gdyż później wyjechałam z Ławry. Czy był to strach – Bóg będzie Sędzią wszystkim i wszystkiemu. Wszystko to miało miejsce w Domu Synodalnym. Weszliśmy z mężem do ogromnej sali ze sceną, na której stał, na całą jej długość, pokryty sukmem stół. W pierwszych rzędach parteru siedziało wielu duchownych i świeccy delegaci Soboru z wszystkich okręgów i guberni Rosji i tam właśnie usiadł mój mąż. Ja zaś usiadłam z tyłu licznie zgromadzonej publiczności, która miała na obrady wstęp wolny.

16. PATRIARCHA TICHON

Gdy na scenę wstąpił Patriarcha Tichon, dreszcz przeszedł po całym ciele. Zajął on środkowe miejsce, a za nim usiedli – metropolici, biskupi, czcigodni starcy, mnisi i hieroschimnich Aleksy. Chciało się z płaczem zakrzyknąć: „Ratujcie Rosję, ratujcie naszą Cerkiew, patrzy na was prawie 200 milionów ludzi!”. Na katedrę, stojącą pomiędzy publicznością i sceną, wchodził na przemian duchowni i świeccy oratorzy. Im dłużej trwały obrady, tym bardziej moja duszą pogrążała się w strachu i trwodze: nie padło ani jedno słowo w obronie Wiary, w obronie Prawosławia, w obronie nadziei na Boga, słowo mogące powstrzymać nadciągające straszne niebezpieczeństwo! Wymieniano cyfry, mówiono o stworzeniu ogromnych budynków dla przyszłych szkół parafialnych, o nabywaniu majątków itd. I oto w pewnym momencie pada zapowiedź: teraz wystąpi profesor z Białorusi (zapomniałam nazwisko). Wyszedł wyglądający skromnie, mały, niepozorny człowiek i ten maleńki człowiek mówił niedługo, ale słowami mocnymi i wielkimi.

Mimo, iż było ich niewiele, to nie pamiętam ich dosłownie, gdyż nie pozwolili mu mówić i to w dodatku kto nie pozwolił! Na scenie podniosło się syczenie i zmuszono go do zejścia z katedry. Ów człowiek, zwracając się do Patriarchy i całego najwyższego duchowieństwa powiedział: „Nie tymi sprawami powinniśmy się teraz zajmować! Rosja ginie, tron zdeptany, a bez Pomazańca Bożego, Prawosławnego Cara, wkrótce zapanuje w niej władza ciemności!”. Musiał zejść z katedry za to, że dotknął „polityki”, a przecież postanowiono o niej nie dyskutować. Wstałam i wyszłam z zebrania. Niczego więcej nie mogę napisać ani o Soborze, ani w ogóle o Cerkwi, gdyż wobec braku innego wyjścia porzuciłam Ławrę i przeprowadziłam się na Kaukaz i docierały do mnie tylko fragmentaryczne informacje, przywożone przez przyjeżdżających ludzi.

Znałam Patriarchę osobiście, i to bardzo dobrze. Był to człowiek dobry i rozumny, ale nie był, jako Głowa Cerkwi, mocny duchem. On sam nie czuł się zdolny do podołania tak odpowiedzialnemu zadaniu, o czym mówił niejednokrotnie. Jeśliby to on decydował, i jeśliby nie został wylosowany, to nigdy dobrowolnie nie wzięłby na siebie tego krzyża, gdyż wobec swojej słabej woli mógł się stać krzyżem dla innych. Tak się właśnie zdarzyło, gdy wynikła kwestia drogocенności cerkiewnych. Nie zadekretował wtedy, aby odmawiać wydawania bolszewikom świętych drogocенności, nie wziął tego na siebie, ale wydał ukaz pozwalający każdemu kapłanowi działać tak, jak uważa to za stosowne.

I w ten sposób ci, dla których Święty Kielich był droższy nad życie, tysiącami zostali pognani na Syberię. Ci ludzie stali się pierwszymi męczennikami w tej drugiej erze chrześcijańskiego męczeństwa na świecie.

O losie Patriarchy Tichona, o jego męczeńskiej śmierci, o szyderstwach i obrazach, które musiał znosić,

dowiedziałam się dopiero za granicą, z literatury i ze wspomnień świadków¹¹. Miałam to szczęście, że byłam i widziałam ingres Patriarchy w Soborze Uspienskim na Kremlu. Wejście było za biletami, i w tamtym czasie dało się je jeszcze załatwić po znajomości. Bolszewicy jeszcze nie zagarnęli władzy w pełni. Już od wieczora stałiśmy w liczbie około trzystu osób przy zamkniętej Bramie Borowickiej. Noc była zimna. Za murami Kremla cały czas wybuchały sztuczne ognie i huczały strzelby. Był to obraz mroczny i straszny; trzech milicjantów na koniach zabawiało się w taki sposób, że ubijali i cisnęli tłum końskimi zadami.

W pewnym momencie rozległy się głosy: „Przepuścić Metropolitę Włodzimierza, przepuścić Metropolitę!”. Szedł majestatycznie, spokojnie, w białym kłobuku, podpierając się posochem. Milicjanci ze śmiechem popychali go koniami. Ten, kto widział kiedykolwiek tego pokornego, surowego ascetę, mnicha, który swoim świętym i mądrym życiem zdobył szacunek wszystkich prawdziwie wierzących, ten w tamtej chwili z radością upadłby przed nim na kolana, ale było to absolutnie nie do pomyślenia. Wkrótce został rozstrzelany¹². Otwarto przed nim furtkę w wielkich, mosiężnych wrotach, ale przejść przez nią było mu trudno, tak, jak później nam wszystkim, gdy już otwarto wejście i dla nas. Od dołu została ona zamknięta deskami, tak, że chcąc przejść, trzeba było bardzo wysoko podnosić nogi. Gdy nas wpuszczono, to drogę od bramy aż do samego Soboru trzeba było przechodzić w czerwonym świetle, między dwoma rzędami żołnierzy, którzy kierowali wycelowaną broń na przechodzących. Czego oni się bali? Trudno zrozumieć! Po wejściu do Soboru ujrzałam stojącą z tyłu Wielką Księżną Elżbietę Fiodorowną. Chciałam do niej podejść, ale ona zauważyła mój ruch i ruchem palca pokazała mi, bym tego nie robiła. Zrozumiałam, że nie chciała zostać rozpoznana, gdyż nie była ubrana w szatę swojego zgromadzenia. W Soborze był obecny także Kiereński¹³ i potem mi opowiadała: „Obserwowałam go, nie mógł znieść służby Bożej, dosłownie go wykręcało”.

W czasie ingresu Patriarcha był bielszy od śniegu. Twarz miał zapadłą i wychudłą, zmiana ta nastąpiła w ciągu paru godzin. Niejednokrotnie dane mi było się z nim widzieć, także już po ingresie. Zrobił się spokojniejszy i tak, jak wcześniej, w rozmowie wyróżniał się dobrodusznym humorem. Wobec mnie był zawsze wyjątkowo życzliwy, gdyż znał mnie już od dawna i odwiedzał nas na długo przed rewolucją. Z wielką serdecznością podtrzymywał mnie w mojej trudnej sytuacji materialnej, zawsze w niezwykle delikatny sposób namawiając mnie do przyjęcia od niego pomocy pieniężnej.

Opowiem jeszcze o pewnym fakcie dotyczącym Kiereńskiego, który charakteryzuje tego rzekomo ideowego tymczasowego rządcę Rosji, w którym pokładało nadzieje wielu nie głupich, ale nieprzewidujących ludzi. Oto niezbity fakt świadczący przeciwko jego ideowości i uczciwości. Naczelnikiem policji w Niżnym Nowogrodzie był pewien P.A. Riesin, dymisjonowany kontradmirał. Sprawował on tę funkcję przez ponad

11 Patriarcha Tichon (Bieławin), 1865-1925. Hierarcha Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. W latach 1892-1897 był inspektorem Chełmskiego Seminarium Duchownego, od 1897 Biskupem Lubelskim, wikariuszem Eparchii Chełmsko-Warszawskiej. W latach 1898-1907 był biskupem w Ameryce Północnej, 1907-1913 Arcybiskupem Jarosławskim, 1913-1917 Wileńskim, a od 1917 Metropolitą Moskiewskim. Bedąc członkiem Świętego Synodu, po abdykacji św. Cara Mikołaja, uznał i pobłogosławił rewolucyjny Rząd Tymczasowy. W 1917 roku wybrany na pierwszego od czasów Piotra I Patriarchę Rosji. W 1918 roku nałożył anatemę na wszystkich prześladowców wiary prawosławnej. Walczył z „żywą cerkwią”, która w 1922 roku zdołała zająć 2/3 z 30000 czynnych ówczesnie świątyń. Na skutek sprzeciwu wobec „żywej cerkwi” od 1922 roku przetrzymywany w areszcie, zmarł (prawdopodobnie otruty) w 1925 roku. W 1981 roku został kanonizowany przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną Za Granicą, zaś w 1989 przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną Patriarchatu Moskiewskiego.

12 Metropolita Włodzimierz (Bogojawleński) – ur. w 1848 roku. Od 1898 Metropolita Moskiewski, od 1912 Sankt Petersburski, od 1915 roku Metropolita Kijowski. W 1917 roku pierwszy (najważniejszy) członek Świętego Synodu Cerkwi Rosyjskiej. W marcu 1917 następnego dnia po abdykacji św. Cara Mikołaja, wraz z innymi członkami Świętego Synodu, uznał i pobłogosławił rewolucyjny Rząd Tymczasowy. Rozstrzelany w Kijowie 25 stycznia (7 lutego) 1918. Arcybiskup Awerkiusz (Tauszew), hierarcha Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Za Granicą, w słowie „Ko dniu Russkoj Skorbi” w 1974 roku tak opisuje śmierć Metropolity Włodzimierza: „Uważa się zazwyczaj, że Metropolita Włodzimierz padł ofiarą bolszewików. Jednakże śledztwo wykazało, że bolszewicy, w ścisłym sensie tego słowa, nie uczestniczyli w tej zbrodni. Metropolitę zabili zbolszewizowani bandyci, zaproszeni w tym ohydny celu przez niektórych mnichów Ławry Kijowsko-Pieczerskiej, którzy również poddali się bolszewickiej propagandzie i rzucali wściekłe oszczerstwa na Metropolitę, że „zdziera” z Ławry ogromne dochody, pochodzące z pieniędzy pielgrzymów”. W 1992 roku Metropolita Włodzimierz został kanonizowany przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną Patriarchatu Moskiewskiego, zaś święto wszystkich Nowych Męczenników i Wyznawców Rosyjskich ustalono na pierwszą niedzielę przypadającą po dniu 25 stycznia (7 lutego).

13 Aleksander Fiodorowicz Kiereński (1881-1970). Prawnik, adwokat. Uczestniczył w rewolucji 1905 roku, bronił socjalistów w procesach politycznych, był posłem do Dumy Państwowej. Jeden z przodujących wolnomularzy Rosji, w latach 1915-1917 stał na czele Wielkiego Wschodu Narodów Rosji (jednym z członków Rady Głównej Wielkiego Wschodu był także Sergiusz Dmitrijewicz Urusow, szwagier Autorki niniejszych wspomnień). Członek Rządu Tymczasowego, początkowo jako minister sprawiedliwości, następnie jako premier. Doprowadził do aresztowania św. Rodziny Carskiej i osadzenia jej w Tobolsku. Po rewolucji bolszewickiej uciekł na Zachód. Zmarł w Londynie.

15 lat. Wraz z żoną byli oni przyjaciółmi naszej rodziny. Pewnego razu opowiedział nam następującą historię: „Wkrótce po dojściu Kiereńskiego do władzy, pewnej ciemnej nocy otrzymuję meldunek, że w dół Wołgi szybko płynie nieoświetlony holownik. Rozkazałem dać mu sygnał, aby się zatrzymał, ale zamiast się zatrzymać – przyspieszył. Po trzecim sygnale wziąłem kilku marynarzy rzecznych, przeciąłem mu drogę na kutrze motorowym i oświetliłem go. Musiał się zatrzymać. Wszedłem na pokład i zażądałem rozmowy z kapitanem oraz dokumentów potwierdzających kierunek podróży i przeznaczenie statku. Nie chciał ich okazać. Zarządziłem przeszukanie i znalazłem przy nim list Kiereńskiego do rządcy jego majątku w guberni sibirskiej. W liście Kiereński ukazywał miejsce, w którym tamten miał zakopać 14 złotych półmisków, zabranych (ukradzionych) przez Kiereńskiego z Pałacu Zimowego w Petersburgu. Półmiski znaleziono w ładowni pod węglem. Oddałem je do pałacu, ale sprawa nie została nagłośniona”.

17. MAŻ

Wracam znowu do mojego życia w Ławrze. Robiło się coraz, coraz ciężej. W lecie codziennie chodziliśmy z dziećmi do lasu na grzyby. Zbieraliśmy je w dużych ilościach, suszyliśmy, soliliśmy i w zimie wymienialiśmy na coś do jedzenia – ale były to tylko okruchy. Jak już wcześniej pisałam, trzeba było jeździć po wsiach i wymieniać to, co wyprodukowałam. Gdy zabrakło mi materiału na ciepłe obuwie, postanowiłam pozbyć się swojego koca. Skroiałam z niego dwadzieścia kapturków dziecięcych, uszyłam i miałam nadzieję, że je na coś wymienię. Tymczasem, nieoczekiwanie, na przeszukanie przyszło GPU. Kapturki były ułożone na stole, po kilka sztuk. „A to co takiego? Tajna produkcja?” – groźnie zakrzyczał na mnie prowadzący przeszukanie. Wyjaśniłam, że z powodu głodnych dzieci byłam zmuszona poświęcić koc. Nastąpiła krótka komenda – „zabierać” i czerwo-noarmista z GPU wyniósł moje kapturki. Następnego dnia zobaczyłam je w parku miejskim na dzieciach z przytułku.

Jazda pociągiem była koszmarna. Ludzie, walcząc o miejsce w towarowym, nie ogrzewanym wagonie, zmieniali się w bestie. Mieściło się w nim nie więcej, jak sto osób z workami, koszami i torbami. Pewnego razu na własne oczy widziałam, jak na śmierć stratowano staruszkę. Starał się wejść do wagonu jako pierwszy, a wchodzić trzeba było wysoko, sprawiało to trudność nawet młodym ludziom. Z tyłu zwałił się na niego tłum, który nie pozwolił mu się podnieść i wejść. Leżał na brzuchu, tułów był w wagonie, a nogi wisały na zewnątrz. Ludzie wśliznęli się przez niego, z dzikimi przekleństwami i krzykiem.

Było to tak straszne, że nie zaryzykowałam wtedy i nie weszłam do pociągu, nawet innymi drzwiami. Niemniej niejednokrotnie sama znajdowałam się w niebezpieczeństwie stratowania przez tłum.

Czy uda się dowieźć do domu to, co z nieprawdopodobnym trudem udało się zdobyć (najczęściej ziemniaki zamrożone na kamień), czy się nie uda – było kwestią szczęśliwego przypadku. Po drodze często zdarzało się nalot oddziałów i miało miejsce coś niewyobrażalnie strasznego. Wyrzucali z wagonów wszystko, wszystkie worki, przeszukiwali ludzi i nikomu nie przyszło nawet do głowy okazać sprzeciw, a jeśli nawet ktoś się sprzeciwiał, to natychmiast go chwytało, wyrzucano z wagonu i przepadał na zawsze. Szczególnie niebezpieczna była okolica miasta Aleksandrowa, gdzie mieszkali potomkowie opryczników, obecnie będący komunistami, którzy wyróżniali się szczególnym okrucieństwem.

Czas mijał i pogarszał się stan zdrowia mojej najstarszej córki. Wilgotne pomieszczenie w piwnicy, prawie całkowity brak jedzenia – sytuacja nasza była beznadziejna.

Nie jeździłam już do ogrodnika Mikołaja, gdyż w tych wioskach, gdzie produkowano suszone owoce, chłopom zaczęto wszystko odbierać. Mieszkańcy bogatych wiosek powiatu rostowskiego sami zaczęli głodować. Gdy udało się otrzymać od dobrych ludzi pomoc w postaci jakiegoś materiału, szłam kaptcie nocne na plecionej podeszwie, a następnie oddawałam za bezcen do sklepu komisowego w Moskwie. Przed Bożym Narodzeniem 1920 roku oddałam trzy pary. Wieczorami wszystkie moje dzieci zazwyczaj przytulały się do mnie i coś im opowiadałam, żeby zapomniały o głodzie. Tym razem wszyscy snuliśmy plany, jak spędzimy Boże Narodzenie, gdy dostaniemy pieniądze za obuwie. Na prośbę dzieci postanowiliśmy, że kupię na czarnym rynku po funcie¹⁴ żytniego chleba dla każdego. Na samą myśl o tym wszystkim błyszczały oczy. 23-go pojechałam do Moskwy. Musiałam stać, albo raczej – wisieć na stopniach wagonu, ściśnięta tak, że nie dało się złapać tchu. W dodatku wagon (pasażerski) znajdował się blisko parowozu i na ludzi leciał taki grad iskiei, że wobec

14 1 funt – ok. 0,4 kg.

niebezpieczeństwa zapalenia się ubrania, trzeba je było cały czas wzajemnie na sobie gasić. Z silnym biciem serca otwierałam drzwi do sklepu. Gdy dowiedziałam się, że nie sprzedano ani jednej pary, zrobiło mi się słabo. Byliśmy w tak wielkiej potrzebie, że musiałam wysłać 14-letnią Tanię i 10-letniego Piotrusia do Moskwy, by spróbowali sprzedać trochę racuchów. Nie pamiętam już, czy w jakiś sposób zdobyłam, czy też może ktoś mi podarował trochę mąki, ale udało mi się napiec racuchów. Robiłam to z goryczą, gdyż w tamtym czasie był to dla moich dzieci niedostępny luksus, każde z nich z radością zjadłoby wszystkie te racuchy, a ja mogłam im dać zaledwie po jednym i tylko narobiłam im smaku.

Dzieci z radością i bez lęku wybierały się w tę podróż i były pełne nadziei, że zarobią na jedzenie. Myśl o strasznej jeździe koleją (o czym już pisałam), i o tym, że moje dzieci stoją gdzieś na ulicy i targują racuchami, była dla mnie zabójcza. Postanowiłam nigdy więcej nie starać się ich wykarmić w taki sposób. Wróciły późno wieczorem, a ja targana męką, potępiałam sama siebie i z rozdartym sercem wyobrażałam sobie najprzeróżniejsze straszne rzeczy. Przy rozpasaniu obyczajowym, które ośwładnęło miejskim pospółstwem, porządna dziewczynka mogła być narażona na wszelkiego rodzaju napaści. Wróciły głodne i zmęczone. Sprzedawały na bulwarze. Wydawało by się, na widok tych dwóch dzieci serce powinno się ścisnąć, ale tłum mijał ich obojętnie, albo nawet wyśmiewał. Młodociani przestępcy i dzieci ulicy, które od samego początku panowały na ulicach i bazarach, chciały moim dzieciom po prostu wyrwać koszyk, albo przynajmniej wyciągnąć racuchy; milicja natomiast w wulgarny sposób zagroziła (moim dzieciom), że jeśli nie pójdą, to je ze sobą zabierze. Sprzedały wszystko, poczekały na pociąg i wróciły do domu. Najadły się kisielu z owsa i ze śmiechem opowiadały o wydarzeniach tego bolesnego dnia.

Mój mąż wyjechał z Moskwy, ale nie wiedziałam, dokąd. Nie byliśmy rozwiedzeni, ale nie mieszkaliśmy razem. Czasami przyjeżdżał do nas z dziećmi w odwiedziny. W wielu sprawach mieliśmy odmienne zdanie i między innymi właśnie dlatego nie mogłam wyjechać za granicę z wszystkimi tymi, którzy emigrowali.

Nie miałam żadnych własnych środków utrzymania, a całe mienie ruchome i kosztowności, jak już pisałam, straciłam w czasie powstania w Jarosławiu. Znajdując się w sytuacji bez wyjścia, postanowiłam go odszukać, żeby zatroszczył się o pomoc dla dzieci. Udało mi się dowiedzieć, że dostał dobrą posadę na kolei w okręgu dońskim, w rejonie rostowskim. Otrzymałam też jego adres, ale jakoś tak straciłam głowę i nie wiedziałam, jak mam postąpić, co w tamtym czasie nie było jeszcze cechą mojego charakteru. Czy powinnam do niego jechać i czegokolwiek od niego żądać? Potrzebowałam czyjejś porady, musiałam podeprzeć się czyimś autorytetem. Spotkałam się w Moskwie z moim bratem, który był ostatnim za życia Monarchy pełniącym obowiązki prokuratora Świętego Synodu. Był zastępcą prokuratora, gdy posadę tę zajmował A.D.Samarin i po jego dymisji automatycznie zajął jego miejsce. Z powodu nieporozumień z Rasputinem on także został zwolniony i został przyjęty do grona najbliższych współpracowników przez Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza¹⁵, będącego w tamtym czasie namiestnikiem Kaukazu. Już na samym początku rewolucji mój brat został doszczętnie zrujnowany. Gdy Wielki Książę i mój brat byli aresztowani, to Wielkiemu Księciu udało się wyratować, a mojemu bratu – nie. Po dwóch latach spędzonych w więzieniu został wypuszczony, bez prawa osiedlenia się w stolicach. Z żoną i dwojgiem dziećmi jakoś biedował na dacy pod Moskwą i czasem przyjeżdżał nielegalnie do miasta, aby zobaczyć się z krewnymi. Poradził mi, abym się udała do ojca Aleksego Mieczowa, uważanego za obdarzonego darem widzenia przyszłości, wydarzeń i serc ludzkich¹⁶. To jeden z tych trzech starców, o którym jest mowa w książce Surskiego u ojca Jana Kronsztadzkiego.

18. OJCIEC ALEKSY MIECZOW

Uczepiłam się tej myśli z radością i pojechałam do Moskwy, mając nadzieję zobaczyć się z nim, porozmawiać i jeszcze tego samego dnia wrócić do dzieci. Gdy przyszedłam do jego domu na Marosiejce, zaraz mi poka-

15 Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz (1856-1929). Wnuk cara Mikołaja I, krewny (wuj) św. Cara Męczennika Mikołaja II. Jeden z najważniejszych członków rodzinnej opozycji Romanowów wobec św. Cara Mikołaja II. Był członkiem masonskiego Zakonu Martynistów oraz masonskiej Łoży Wielkoksiążęcej (w latach 1907-1917). Po wybuchu I wojny światowej został Głównym Dowodzącym siłami rosyjskimi; po klęskach armii rosyjskiej wiosną 1915 roku zmieniony na tym stanowisku przez św. Cara Mikołaja II i mianowany na Namiestnika Kaukazu. Jako Namiestnik Kaukazu nie udzielił poparcia św. Carowi Mikołajowi II w chwili, gdy był zmuszany do abdykacji i przyłączył się do osób popierających abdykację Cara. Po rewolucji udał się na emigrację, gdzie był jednym z najważniejszych emigracyjnych kandydatów na tron carski. Zmarł we Francji.

16 Tak zdecydowaliśmy się przetłumaczyć cerkiewny termin prozorliwość.

zono, gdzie mieszka. Weszłam na pierwsze piętro: na niewielkim korytarzu znajdowały się jedne drzwi, prowadzące do niego. Na schodach i na korytarzu było pełno ludzi. Zrozumiałam, że jeśli stanę w kolejce, nie zdążę na jedyny pociąg jadący do Ławry i będę musiała zostać na następny dzień, a było to niemożliwe: dzieci nie miały nic do jedzenia i musiałam jeszcze coś dla nich zdobyć. Postanowiłam grzecznie poprosić oczekujących o przepuszczenie mnie, zakładając, że skoro ludzie ci przyszedli do starca, to zapewne nieobce jest im współczucie wobec kłopotów bliźniego. Przeprosiłam i wyjaśniłam, dlaczego proszę o pusczenie mnie poza kolejnością. Ale moja nadzieja okazała się płonna, otrzymałam wulgarną odpowiedź na „ty”: „Myślisz, że jak kiedyś byłaś panią i lazałaś do przodu, to i teraz tak będzie? Nie, stawaj-no za wszystkimi”. Zaczęłam rozmyślać: przyszedłam do starca po pocieszenie i radę, a teraz pójdę nie doczekawszy się go, z powodu dzieci. Jednak górę wzięła pierwsza myśl – i postanowiłam zostać, właśnie z powodu dzieci. Podchodzi do mnie inteligentna, stara dama i mówi: „Proszę się nie przejmować. Przecież Pani wie, do kogo przyszła – do prozorliwca. Jeśli rzeczywiście ma Pani taką potrzebę, to choćby tu stało tysiące ludzi, wezwie Panią jak pierwszą”. Siadłam na ławeczce, za wszystkimi. Otwarty się drzwi i ukazał się w nich kapłan, małego wzrostu, całkiem już siwy i stary. Obrzucił wszystkich spojrzeniem, tak, jakby kogoś szukał. Gdy mnie zobaczył, pokiwał mi palcem i powiedział: „O, ty, chodź no tutaj”. Przy drzwiach stały dwie dziewczyny i do nich powiedział: „A wy możecie iść, przecież ja nie wróżę”.

Opowiedziałam mu o mojej sytuacji. Odpowiedział: „Jedź do męża, ale błogosławię tylko w tym przypadku, gdy otrzymasz od niego odpowiedź i gdy znajdzie mieszkanie dla ciebie i dla dzieci”. Porozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, wyszłam od niego spokojna i jeszcze zdążyłam na pociąg. Po upływie miesiąca nadal nie otrzymałam odpowiedzi na ani jeden list. Znowu pojechałam do starca, a on znów nie daje błogosławieństwa i potwierdza, że dopóki nie otrzymam wiadomości o znalezionym mieszkaniu, nie da zgody na wyjazd. Minął jeszcze jeden miesiąc – i cały czas ani słowa, przy czym w zarządzie kolei dowiedziałam się, że mąż żyje i że ma wystarczającą zapłatę. Dzieci były całkowicie wycieńczone, a ja nie miałam żadnej pracy. Jadę po raz trzeci. „Nie mam najmniejszej ochoty cię wypuszczać, ale skoro się upierasz, to jedź, będę się za ciebie modlić”. Przemknęło mi przez głowę: „Proszę, mieszkam przy samych relikwiach Przepodobnego Sergiusza, a wcale nie pokładam nadziei w jego pomocy”. Nie zdążyłam dobrze pomyśleć, a starzec wstaje, szybko podchodzi do półeczki, bierze z niej ikonkę „Matka Boża objawia się Przepodobnemu Sergiuszowi”, błogosławi mnie nią i mówi: „Niech cię błogosławi Przepodobny Sergiusz! Pamiętaj, że będę się za ciebie modlić”. Jakże bardzo prawdziwe okazały się potem jego przewidywania, z powodu których nie chciał mnie wypuścić, dopóki nie będzie odpowiedzi na temat mieszkania!

Teraz pozostało już tylko starać się o wyjazd na południe, nie posiadając na to absolutnie żadnych środków materialnych. Miałam jeszcze dwie złote rzeczy, ale w tamtym czasie mogłam je wymienić najwyżej na kilka funtów mąki żytniej i dlatego zachowywałam je na wypadek czyjejś śmierci lub ciężkiej choroby.

W przeciągu dwóch tygodni, w czasie których starałam się o wyjazd, bolszewickie władze dopuściły się w Ławrze jednego ze swoich najcięższych, bluźnierczych czynów. Nakazano otworzyć relikwie Przepodobnego. Od rana na placu przed murem Ławry, w której znajdowały się relikwie, zaczęli się masowo zbierać ludzie. W Posadzie było wiele cerkwi i każda parafia przyszła oddzielnie na czele ze swoim duchowieństwem. Wrota były zamknięte, a ze wszystkich strzelnic w murze sterczały karabiny maszynowe. Było zimno, ale nikomu do głowy nie przyszło, aby odejść – ani mnie, ani dzieciom, ani nawet pięcioletniemu Andrzejkowi, który dość świadomie obserwował wydarzenia. Atmosfera była wzruszająca! Przez cały dzień, po kolei, duchowni służyli molebnie, a w przerwach wszyscy wielkim chórem śpiewali „Niech zmartwychwstanie Bóg”.

Modlitwy, błagania, rozpostarte w nadziei ręce, płacze i histeryczne krzyki rozpaczliwych ludzi nie mogących znieść myśli o utracie Relikwii tego wielbionego i umiłowanego Cudotwórcy oraz świadomość tego, że tam, za murem, siły ciemności zuchwale dotykają Świętości – wszystko to wywoływało niezatarte, wstrząsające wrażenie. Staliśmy osiem godzin. Wieczorem wrota zostały otwarte i wyszedł z nich mizerny Żyd. Wszedł na uprzednio przygotowaną beczkę. Zapadło całkowite milczenie. „Idźcie, obejrzyjcie sobie to, czemu oddawaliście cześć – szmatki i kości”. Po tych słowach odszedł, a lud rzucił się przez bramę do Soboru Troickiego. Moje dzieci też chciały iść, ale nie uległam ich prośbom i nie pozwoliłam, tłumacząc im, że Relikwie przez 500 lat były ukryte przed ludzkimi oczyma, a teraz – kto na to pozwala? Władza szatana! Zgodziły się z tym. Następnego dnia wczesnym rankiem poszłam do Skitu Czernigowskiego, żeby poradzić się w tej sprawie Ojca Hieronimicha Porfiriusza, czcigodnego starca, prowadzącego święte życie i uważanego za prozorliwego. Patrząc, a on idzie szybkim krokiem w moim kierunku. Zapytałam go o to, czy można iść i oglądać Relikwie, a on mówi: „Chodźmy szybko, pokłonimy się Przepodobnemu, póki jeszcze można. Ja sam idę teraz do Niego”. Poszłam po dzieci i poszliśmy razem.

Straszne to są wspomnienia, wszak były to dopiero pierwsze przypadki szatańskich drwin i bluźnierstw w Świątyniach Bożych. Śmiech, przyklaskiwanie, pieśni wypełniających świątynię komsomolców i młodzieży ze

związku bezbożników zagłuszały płacz wierzących, całujących Relikwiarz. Mimo całkowitego spustoszenia, przy Relikwiach stał stary mnich i tak, jak zawsze, głośno czytał modlitwy, nie zwracając uwagi na wszystkie dziejące się dookoła bezeceństwa. W otwartej, poczerniałej trumnie leżała czaszka; zachowały się na niej rudawe włosy i całe zęby w obydwu szczękach. Kości były rozrzucone w mogile byle jak. Ci, którzy oczekiwali ujrzeć ciało nie podległe rozkładowi, czuli się rozczarowani, ale dla tych, którzy rozumieją i wiedzą, czym są Relikwie, nie miało to żadnego znaczenia; dla nich każda najmniejsza kosteczka była żywą Świętością. Mnisi, którzy byli obecni przy otwarciu Relikwii twierdzili, że gdy otwarto wieko Trumny, to w pierwszej chwili ujrzeli ciało Przepodobnego zachowane w całości; jednak pod wpływem powietrza natychmiast się ono rozsypało. Co zadziwiające, zachowały się resztki mantii, które leżały koło Relikwii, a przecież minęło 500 lat!

Nazajutrz hrabia Olsufjew i inni wystarali się u władzy o pozwolenie na zaproszenie lekarza-anatoma, który ułożył szkielet w jego naturalnym porządku. Przykryto go szkłem, gdyż niektórzy brali kawałki Relikwii do domu jako wielką Świętość. Wkrótce wyjechałam i nie znam dalszych losów Relikwii. Mówią, że były wywiezione do muzeum, a teraz rzekomo zostały zwrócone i oddane wierzącym, aby znów można było oddawać im cześć. Ale kto udowodni, że to Relikwie Przepodobnego Sergiusza, a nie szkielet jakiegoś komunistycznego bluźniercy? Przecież wszystkim zawiadują słudzy ojca kłamstwa, którzy nie brzydzą się wszelkimi podstępami i oszustwami, byle tylko zmusić ludzi do oddania mu czci.

W zarządzie kolei udało mi się wywołać współczucie, oczywiście dzięki modlitwom ojca Aleksego. Dostaliśmy z dziećmi bezpłatne bilety. Dzieci były zachwycone. Mimo głodu i trudnych, skrajnie trudnych warunków życia, nigdy nie upadały one na duchu (mówię o tym bez przesady). Zawsze były wesołe i panowała między nimi zgoda. W ten sposób rozstaliśmy się z Ławrą Troicko-Siergiejewską i pojechalśmy najpierw do Moskwy, a stamtąd, z Dworca Kurskiego, na południe. Mieliśmy miejsca w wagonie pasażerskim. Wraz z dziećmi oczekiwaliśmy jakiejś jaśniejszej i spokojniejszej przyszłości, ale było to bezwiedne uczucie, gdyż nie były to takie czasy, żeby żywić tego rodzaju nadzieje; i rzeczywiście, natychmiast po przyjeździe na miejsce uczucie to okazało się bezpodstawne. Ale zanim do tego dojdę, opowiem o wzruszającym dla mnie wydarzeniu, które przytrafiło się nam po drodze.

Przed naszym wagonem jechał wagon trzeciej klasy, wypełniony czerwonoarmistami. Byliśmy już w okręgu dońskim. Na wielkiej stacji czerwony dowódca poszedł dokądś z kilkoma żołnierzami. Po chwili wrócili z dużymi, okrągłymi, białymi chlebami. Moje dzieci stały na peronie przed wagonem. Gdy to zobaczyły, szczególnie te malutkie, rozległ się krzyk: „Mamusiu, patrz, biały chleb!”. Najwyraźniej w ich głosie słychać było coś więcej, niż zdziwienie, gdyż dowódca podszedł do mnie i zapytał: „A czemu wasze dzieci tak się cieszą na widok białego chleba?”. Odpowiedziałam: „Dlatego, że od trzech lat nie tylko go nie jadły, ale nawet nie widziały”. Wziął z rąk czerwonoarmisty jeden wielki chleb i oddał go moim dzieciom. Przyjechalśmy na stację miasta powiatowego K., znajdującego się między Nowoczerkaskiem a Taganrogiem, na której miał być mój mąż. Zostawiłam wszystkie dzieci na stacji, z węzełkami i z ostatkiem mienia, sama zaś poszłam do miasta, do kierownictwa mojego męża, żeby zapytać o adres miejsca jego zamieszkania, gdyż listy pisałam zawsze na adres tego kierownictwa. Adres dostałam i odnalazłam dom. Na ganku stała kobieta, która okazała się gospodynią. Gdy zapytałam: „Czy tu mieszka mój mąż?”, klasnęła w ręce: „Przyjechali! Ale się ucieszy, czeka na was!”. „Dziwny człowiek” – po raz kolejny pomyślałam. Kobieta szybko poszła do góry. Dom był malutki, ale piętrowy. Wybiegł mój mąż. „Ależ się cieszę, że przyjechaliście”. Zaczęłam od pytania, czy otrzymywał moje listy. Okazało się, że otrzymywał. „Masz dla nas mieszkanie, czy może u ciebie wystarczy miejsca?” – „Mam tylko pokój, ale nie szukałem, pomyślałem, że znajdziesz coś lepszego, na razie zmieścimy się u mnie”. Wchodzę z nim na górę. Wchodzimy do wielkiego, przechodniego pokoju. Patrząc ze zdziwieniem: w dzień, na kilku łóżkach, leżą dorośli ludzie. Serce mi zamarło i pytam: „Co to, chorzy?” – „Tak, – odpowiedział – tyfus plamisty”. Można sobie wyobrazić moje przerażenie. „Jak ja tu dzieci przyprowadzę? Coś ty narobił?” Zapłakałam gorzko, a on mówi: „Pomyślałem, że skoro w mieście jest epidemia, to i tak zachorują, w każdym mieszkaniu”. Wtedy właśnie zrozumiałam przewidywania Ojca Aleksego. Sytuacja bez wyjścia, nie ma się gdzie podziać. Poszłam na dworzec, było już ciemno i mżył deszcz. Dzieci siedziały na peronie, na deszczu. Z węzełkami nie wolno było wchodzić na dworzec. Z wyrazu mojej twarzy natychmiast zrozumiały, że spotkało nas jakieś nowe nieszczęście.

Gdy powiedziałam im, o co chodzi, że trzeba iść do domu, w którym panuje epidemia tyfusu, najstarsza córka kategorycznie odmówiła i bardzo się obraziła na ojca: „Chodź, zostaniemy tutaj, nawet na deszczu, a rano poszukamy jakiegoś mieszkania”. Podchodzi kolejowe GPU i oświadcza: „Idźcie stąd, na dworcu nie wolno nocować!”. Poszliśmy. Było to w czwartek szóstego tygodnia Wielkiego Postu. Nic nie było przygotowane. Wzięliśmy coś z przywiezionych rzeczy, pościeliliśmy na podłodze i zasnęliśmy ze zmęczenia, przytuleni jedno do drugiego. W domu tym były szczury, których się śmiertelnie boję. Jeden z nich skoczył do mnie na koc i więcej już nie zasnął, chroniąc przed nimi dzieci. Następnego dnia poszliśmy szukać mieszkania i niczego

nie znaleźliśmy. Powtarzało się to każdego dnia, od rana do nocy, aż do Wielkiego Piątku. Tego dnia nie wyszliśmy na poszukiwania. W Sobotę znowu się nie udało. Nie musiałam nic przygotowywać na Paschę – mąż miał wszystkiego pod dostatkiem i we wszystkim pomagała gospodyni. W dniu Zmartwychwstania Chrystusowego oczywiście zostałam w domu. Chcąc nie chcąc musieliśmy przechodzić przez pokój chorych. Bardzo mi się spodobał miejscowy, dość stary już kapłan, Ojciec Jerzy. Rozumiał mnie i czułam to. Poniedziałek wielkanocny także spędziliśmy na nieudanych poszukiwaniach. We wtorek wzięłam drugą córkę, Tanię, i poszliśmy do najbliższych wiosek, mając nadzieję, że może tam coś znajdziemy. Wszak zbliżało się lato i (myśleliśmy), że w najgorszej izdebce będzie lepiej, niż w tych warunkach. Zresztą, zaczęliśmy się już przyzwyczajać i dostosowywać do wszystkich życiowych niedogodności. Chodziłyśmy przez cały dzień, było wiosennie i ciepło, ale ja cały czas marzłam. Długo walczyłam ze sobą, aż w końcu ogarnęły mnie silne dreszcze, doszłam resztką sił, podniosła mi się temperatura i szybko doszła do 40 stopni. Rankiem przyszedł lekarz, bardzo sympatyczny, od razu zorientował się w naszej z dziećmi sytuacji (może zresztą opowiadał mu o nas kapłan), odniósł się do nas z wielkim współczuciem i powiedział, że niestety zachorowałam na tyfus plamisty.

Jakoś zupełnie nie myślałam o tym, że mogę się zarazić, tak zabójcza była dla mnie myśl, że to dzieci mogą zachorować. Niemal od razu straciłam przytomność. Jak przez mgłę pamiętam, że dokąś mnie wieziono, czasami czułam koło siebie dzieci; pamiętam, że batuszka udzielił mi Najświętszych Tajemnic i wydawał mi się niebotycznie wielki, tak bardzo, że głową dotykał sufitu – ale na nic nie reagowałam. Byłam nieprzytomna przez dwadzieścia jeden dni, znajdując się między życiem a śmiercią. Gdy zaczęłam dochodzić do siebie zobaczyłam, że leżę w małej izdebce bez podłogi. Okazało się, że kapłan oraz doktor załatwili w milicji izbę dla nas; ledwie na godzinę przed naszym przyjściem wyszedł z niej oddział czerwonarmistów. Pamiętam, że było tam dużo wszy, które są głównym roznosicielem tyfusu plamistego; rzuciły się na nas tysiącami. Leżałam na deskach, a moje drogie dziewczynki podłożyły pode mnie wszystko, co było pod ręką, same zaś spały byle jak. Przez cały okres choroby dyżurowały przy mnie na przemian, zajmowały się mną, niczym dorosłe siostry miłosierdzia, ale mimo to, ku zaskoczeniu wszystkich, żadne z dzieci nie zachorowało. Zrozumiałam wtedy całą moc modlitw o. Aleksego¹⁷. Jego modlitwa ochraniała dzieci przed chorobą, a mnie przed śmiercią. Ta choroba była dla mnie karą za nieufność wobec jego rady i upór, aby postąpić wedle swojego uznania. Wedle słów lekarza i kapłana tyfus był wyjątkowo ciężki i z punktu widzenia nauki medycznej nie było ani procenta nadziei na wyzdrowienie.

Doszłam do siebie dość szybko, ale jeszcze nie byłam w pełni sił, gdy przyszli z przeszukaniem. Zabrali wszystko to, co wedle ich opinii do czegokolwiek się nadawało. Cenny obraz św. Mikołaja, o którym pisałam na początku, a który udawało mi się wozić ze sobą aż do tego dnia, również zabrali. W czasie pobytu w Ławrze zdobyłam dla dzieci do zabawy 100 sztuk miedzianych piądzików. Bawiły się nimi i kładły je na karty lotto. Woreczek z piądzikami był bardzo malutki, ale też go zabrali. Na jego widok komisarz CzK nie wytrzymał i wydobył z siebie wieloznaczne: „Aaa!”, ustawił nas pod bronią towarzyszących mu żołnierzy, po czym triumfalnie wziął go do ręki, kilka razy potrząsał, powoli rozwiązał i myśląc, że to złoto, wysypał jego zawartość na stół. Twarz mu się wykrzywiła ze złości, a ja, niezależnie od tragiczności całej sytuacji, ledwie powstrzymywałam się od śmiechu. Do protokołu zapisano: „Urusow i jego żona oskarżeni o ukrywanie bilonu”.

Najwyraźniej komisarz nie widział możliwości aresztowania nas za ten czyn, poszedł i przez jakiś czas mieliśmy spokój. Piszę „przez jakiś czas”, gdyż wkrótce ponownie było przeszukanie, w czasie którego zabrali prawie wszystko, łącznie z ciepłą, robioną na drutach kurteczką mojego najmłodszego syna.

Mąż został przeniesiony na służbę na leśnym odcinku znajdującej się w budowie linii kolejowej. Otrzymał mieszkanie w lesie, w stróżówce, oddalonej od najbliższych domów o co najmniej wiorstę. Było to wiel-

17 Św. Aleksy Mieczow – 1859-1923. Syn regenta katedralnego chóru Czudowskiego w Moskwie Aleksego Iwanowicza Mieczowa. Wyświęcony na kapłana w 1893, do końca życia służył w jednej i tej samej cerkwi – św. Mikołaja w Klennikach przy ul. Marosiejka w Moskwie. Była to jedna z najmniejszych cerkwi w Moskwie, z bardzo niewielką liczbą parafian, jednak bez względu na to św. Aleksy wprowadził w niej zwyczaj codziennego służenia św. Liturgii. Przez 8 lat służył w świątyni samotnie. Z czasem jednak wokół niego uformowała się jedna z najbardziej znanych w Moskwie wspólnot parafialnych. Był blisko związany ze starcami opyńskimi, zaś po śmierci żony i spotkaniu ze św. Janem Kronsztadzkiem wstąpił na drogę starczestwa. Po rewolucji GPU zabraniało mu przyjmować wiernych, jednak ze względu na ciężką chorobę nie był poddany represjom. Zmarł w 1923 roku. Pozostawił po sobie pięcioro dzieci. Jego syn, św. Sergiusz Mieczow (1892-1942) był również kapłanem, służył wraz z ojcem na Marosiejce, po śmierci o. Aleksego został proboszczem. W 1927 roku odrzucił deklarację metr. Sergiusza, brał udział w ruchu niepominających (nie modlących się za metr. Sergiusza i władzę sowiecką) i przystąpił do Cerkwi Katakumbowej, był jej filarem w Moskwie. Zsyłany i aresztowany, został wydany w ręce NKWD przez swoich niewierzących sąsiadów i jako „niemiecki szpieg” rozstrzelany w 1942 roku, w wigilię Bożego Narodzenia. Zarówno św. Aleksy Mieczow, jak i św. Sergiusz Mieczow zostali kanonizowani przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną w 2000 roku wśród Nowych Męczenników i Wyznawców Rosyjskich.

kim utrudnieniem, gdyż trzeba było daleko chodzić po jedzenie i inne potrzebne rzeczy. Gdy mąż wychodził do pracy, zostawałam całkiem sama, z dziećmi. Pewnego razu pewna dobra kobieta, teściowa głównego naczelnika miejscowego CzK przyszła mnie uprzedzić, że władze dowiedziały się o tym, iż na kolei służy nie komunista, w dodatku pochodzenia arystokratycznego i postanowiły go rozstrzelać. Sama w nocy słyszała, jak jej zięć mówił o tym jej córce. W tamtym czasie dochodziło do niesłychanej samowoli i nieprawdopodobnie przerażających rzeczy. Codziennie rozstrzelivano tak po prostu, na ulicy, dziesiątki ludzi (zwłaszcza młodzieży) za to, że nie chcieli wstępować do partii i komsomołu. Wśród nich rozstrzelano syna o. Jerzego. Mąż w tajemnicy wyjechał, nie wiedziałam nawet, dokąd. 28 września przyjechali konno czekiści, na czele z samym komisarzem. Mieli ze sobą transport. Przeszukali każdy kąt i do ostatka zabrali wszystko, co jeszcze mi zostało. Pierwsze ich pytanie brzmiało: „Gdzie jest wasz mąż?” Odpowiedziałam na chybił-trafił: „Pojechał na delegację, po piły”. – „Dokąd?” – „Nie wiem”. – „Gdy wróci, ma natychmiast pojawić się w CzK. Jeśli go ukryjecie, będziecie odpowiadać, zrozumiano?” Biedne dzieci! Ileż one musiały wycierpieć!

W czasie przeprowadzki do lasu przyczepił się do nas dość duży i wesoły kundel i od razu stał się naszym przyjacielem, był jakby członkiem rodziny. Bardzo wyczulony na wszelkie szmery, mógł szczekaniem uprzedzić o tym, że ktoś nadchodzi. Czekiści się bali, że mąż, o ile jest w domu, może zdążyć uciec nocą do lasu, gdyż w domu nie mieliśmy jednego okna, zamiast niego wisiała firanka. Po ich odjeździe znaleźliśmy otrutego psa, był jeszcze ciepły. Dzieci płakały. Nie da się opisać, jakie to było straszne. Trzy noce pod rząd, około drugiej w nocy, w całkowitym mroku, już z daleka słyszałam tupot koni i budziłam dzieci. Rozlegało się ostre pukanie, potem krzyk: „Otwierać!”. Moje córki miały już po 18 i 15 lat. Ludzie ci, łotrzy, zaczęli się do nich zalecać. Samo wspomnienie tego jest nie do zniesienia. Zdrowi, w miarę młodzi, z dużymi czerwonymi kokardami na lewym ramieniu, w mundurze z zawsze zakasаныmi rękawami, byli diabelsko straszni. Widząc niechęć córek do rozmowy z nimi i strach, z którego się trzęsły, jeden z nich powiedział: „A wiecie chociaż, kim ja jestem? Ja jestem katem, osobiście wykańczam wszystkich kontrrewolucjonistów”.

Jedyne pocieszenie znajdowaliśmy w modlitwie. Czytaliśmy akatyst do św. Mikołaja przed obrazem, który otrzymałam w szczególnych okolicznościach. Był on naszą najdroższą świętością i wielokrotnie wybawiał nas z nieszczęść. Był niewielki, papierowy i dlatego niepotrzebny ciemnym siłom. Gdy przyjechali po raz ostatni, powiedzieli: „Dzisiaj jesteśmy tu ostatni raz”. Wiedziałam, co to znaczy. Wczesnym rankiem uciekliśmy w tajemnicy przez las, na najbliższą stację. Spotkaliśmy tam nie bestię, a człowieka, naczelnika, który ryzykując życiem wysłał nas w wagonie towarowym do Rostowa. Tam właśnie miał zamiar ukryć się mój mąż, znalazłam go w zarządzie kolei.

19. WŁADYKAUKAZ

Wiedziałam, że trzeba jechać dalej, najlepiej na Kaukaz, ale w tamtym czasie było bardzo trudno o bilety. Zdobycie ich było wręcz niemożliwe. Choć zabrzmiało to dziwnie, ale łatwiej było załatwić nam cały wagon towarowy, gdyż mąż zaliczał się do pracowników kolei. Nie zaczął jednak niczego załatwiać, gdyż był pewny, że nic się nie uda. Tymczasem nie wolno było tracić czasu, gdyż na karku czuło się oddech pogoni. Sama poszłam do zarządu. Odsyłali mnie z jednego oddziału do drugiego. Było tam jeszcze wielu ludzi „dawnych” (tak się wtedy mówiło) i wszyscy oni wątpili w powodzenie mojej prośby, mówiąc: „Jeśli nawet otrzyma Pani zlecenie na wagon, to i tak główny naczelnik, surowy komunista, nie podpisze”. Poprosiłam, aby wskazano mi jego gabinet i weszłam prosto do niego, bez zapowiedzi. Rozpaczliwe położenie połączone z modlitwą zawsze daje człowiekowi siły. Zdziwił się. Bez zbędnych słów powiedziałam: „Prośba moja jest ogromna, ale pan ma możliwość uczynić coś dobrego. Proszę mi dać pozwolenie na wagon, abym mogła wraz z rodziną pojechać na południowy Kaukaz”. Milcząc spojrział na mnie badawczo: „A bardzo to jest potrzebne?” Ja mówię: „Tak! Bardzo!...”

Wziął i napisał: „Natychmiast wypełnić moje polecenie i przekazać do dyspozycji wagon na nazwisko obywatelki N. oraz skierować na służbę w zarządzie kolei miasta Groznego jej córkę”.

Nasza radość i zdziwienie nie miały granic. Wagon doczepiono tego samego dnia i wyjechaliśmy. Pierwsze dwa dni tej jazdy były jednym z najlepszych i najszczęśliwszych momentów naszego zaszczutego życia. Na trzeci dzień moja najstarsza córka zachorowała na dezynterię i gdy przyjechaliśmy do Groznego, nie mogła wstać i pójść do naczelnika kolei, by przyjąć się do pracy. Za jego pozwoleniem przez cały miesiąc mieszkaliśmy w wagonie; padał deszcz, było brudno, wilgotno i zimno. Pod koniec października na moją prośbę o przyjęcie do pracy córki, wciąż jeszcze osłabionej po chorobie, inżynier-muzułmanin, naczelnik kolei, odpowiedział:

„Niestety, to niemożliwe”. Nie miał ani jednego wolnego miejsca. Ponownie opowiedziałam mu o naszej bardzo trudnej sytuacji. Przecież byliśmy dosłownie nędzaczami, głodnymi i zamęczonymi. Tak, wtedy, w latach 20-tych ludzie, którzy nie mieli kamiennego serca, mogli pomóc innemu w potrzebie. Wziął mój dokument na wagon, przepisał go na Władykaukaz i powiedział: „Jako naczelnik całego okręgu wydaję polecenie, aby przyjęto tam pani córkę do pracy, do biura kolei”. Nie wiedziałam, jak mu dziękować. Stary wagon znów zatrzeszczał na wszystkich łączeniach i pojechaliśmy z powrotem do Biesłanu, a stamtąd linią kolejową do Władykaukazu. W wagonie mieliśmy żelazny piecyk i na każdym przystanku zbieraliśmy resztki węgla, kawałki drzewa i szczapki.

Gdy przyjechaliśmy, kierownictwo stacji pozwoliło nam pozostać w wagonie jedynie przez trzy dni, do czasu znalezienia mieszkania i to tylko dlatego, że moja córka miała skierowanie do pracy na kolei. W czasie drogi znów poczuła się gorzej – leżała chora, w przejmującym chłdzie. Gdy poszłam z dziećmi nabierać czegoś, żeby zapalić w piecu, o mało nie aresztowało mnie kolejowe CzK: chodzenie po torach jest zabronione. A przecież nie ma zupełnie nic do jedzenia! Co było robić? Pytam, czy w mieście jest monaster. Wiem przecież, że tylko tam można znaleźć współczucie i pomoc bliźniemu w potrzebie. Okazało się, że w pobliżu dworca jest żeński monaster Matki Bożej Iwierskiej. Poszłam tam i poprosiłam przyjazne mniszki, żeby zaprowadziły mnie do igumenii. Na widok wyrazu twarzy, sposobu bycia dobrej matuszki Teofanii, od razu ogarnęło mnie ciepło. Bardzo szybko zaprzyjaźniłyśmy się i umiłowaliśmy się wzajemnie. Gdy opowiadałam o nas i poprosiłam o darowanie mi niewielkiej ilości drzewa i surowych ziemniaków, to przysłuchujące się ze współczuciem mniszki zakrzyrzały chórem: „Matuszka, pobłogosławcie, pójdziemy z nimi i zaniemy drzewo i coś do jedzenia!”.

W tamtym czasie we Władykaukazie już się zaczynał głód. Monasterowi zabrano niemal cały majątek. Przyszłam z powrotem do wagonu w towarzystwie dwóch mniszek, które niosły nie tylko wór z drzewem i nie tylko gotowane ziemniaki, ale również chleb i olej. Dla Irenki przyniosły lekarstwo. Przez trzy dni chodziły ze mną po mieście i bardzo pomogły w znalezieniu dość dużego i jasnego pokoju. Przez wszystkie te dni przynosiły do wagonu drzewo i jedzenie. Irenka mogła już wstać i sama chodzić. Po dwóch dniach sama poszła do zarządu i od razu dostała pracę w kancelarii służby ruchu. Zaczęliśmy otrzymywać niewielki, jak to nazywano, przydział – dla każdego po 150 gram chleba, zaś mąż, który zamieszkał w tym samym mieszkaniu w sąsiednim pokoju, zaczął nam pomagać. Mimo to ciężko było bez majątku: trzeba było płacić za pokój, drzewo, jedzenie itd. Mniszki poradziły mi, abym poszła i poprosiła o modlitwę u pewnej mieszkającej we Władykaukazie jurodiwej, która nazywała się Anastazja Andriejewna.

Obcowanie z ludźmi prowadzącymi takie świątobliwe życie uważałam za wielkie szczęście i poszłam natychmiast, z radością. Przed rewolucją przez wiele lat, zimą i latem, mieszkała ona na podwórku, w koszu na śmieci. Jak wiadomo, jurodwi cieszyli się ogromnym poważaniem wśród rosyjskich wiernych prawosławnych; ich słowa przyjmowano z wiarą, chociaż nieraz trzeba było się długo zastanawiać nad ich sensem, zanim się go zrozumiało. To, co mówili, czasami spełniało się natychmiast, a czasami ich proroctwo albo ostrzeżenie stawało się jasne dopiero po upływie długiego okresu czasu. Matuszka Anastazja Andriejewna cieszyła się szczególnym szacunkiem, gdyż za swoje święte życie otrzymała od Boga dar jasnowidzenia. Mniszki opowiadały, że przed samą rewolucją, w Boże Narodzenie, po liturgii, gdy biskup kończył molebeń i ludzie zaczęli już całować krzyż, do soboru weszła matuszka Anastazja Andriejewna. Chodziła po cerkwi w mniszej mantii i z posochem. Cała mantia była pokryta przyszytymi czerwonymi wstążkami, a lewą pachą niosła indyka. Parafianie pytają biskupa: „Władyko, popatrzcie, co się z nią dzieje, co oznaczają te czerwone wstążki i ten indyk w cerkwi?”. – „Zostawcie ją, – powiedział Biskup – ona niczego nie robi tak po prostu, nie wolno jej przeszkadzać”.

W soborze, jak to często można było zobaczyć, z prawej strony, przed sołęką były dwa zadaszony trony; były to miejsca Pary Monarszej, pozostawione na pamiątkę ich wizyty we Władykaukazie. Podeszła do Carskiego tronu, posadziła na niego indyka, z każdej strony złożyła mu pokłon, z powrotem wzięła go pod pachę i wyszła z soboru. Biskup, poruszony, powiedział: „Najwyraźniej naszemu Monarsze grozi niebezpieczeństwo i na jego tronie zasiądzie ktoś inny, dla Rosji niepożądany”.

Po zagarnięciu władzy przez bolszewików, zabroniono jej mieszkać w koszu na śmieci na podwórku i nakazano przenieść się do jakiegoś domu. Zgodziła się jedynie na to, by zbito jej ze sklejki mikroskopijną chatynkę z jednym malutki okienkiem, ale bez pieca, mimo, iż w srogie zimy mróz przekracza tam czasami 20 stopni poniżej zera. Każdy, kto miał kłopoty, udawał się do niej. Poszłam, zapukałam i z przejęciem wypowiedziałam, jak należało: „Władco Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną”. Ona zza drzwi odpowiedziała „Amin” i wyszła do mnie ze słowami: „Co się stało, Mario?”. Pokłoniłam się jej i mówię: „Matuszka, nie jestem Maria, tylko Natalia”. A ona powtarza: „Nie, nie jesteś Natalia, tylko Maria” i pogłaskała mnie po policzku, a następnie wyniosła jabłko ze słowami: „A to dla dzieciątek, dla dzieciątek”.

Za każdym razem, gdy u niej bywałam, z dobrocią przekazywała im placek, lub coś innego darowanego jej przez czcicieli – ale sama nigdy niczego z tych rzeczy nie jadła. W jaki sposób się żywiła i co jadła było tajemnicą nawet dla mniszek, które nic nie czyniły bez jej błogosławieństwa.

W monasterze bywałam prawie codziennie. Bardzo dobrze rozumiałyśmy się z mniszkami, w szczególności z dobrą matuszką igumenią. Nie miała wykształcenia i pochodziła z prostej, chłopskiej rodziny, ale był obdarzona cudowną, pokorną duszą.

20. IGUMENIA ANTONINA

Nastąpił rok 1922. Pewnego razu przychodzę do matuszki igumenii, a ona mi mówi: „Chciałabym wyjawić Pani pewną tajemnicę, o której wiem tylko ja, matuszka-skarbnik oraz moja kielejnica, riasoformna mniszka. Chodźmy”. Przeprowadziła mnie przez kilka pokojów. W ostatnim z nich, w którym znajdowały się spiralne schody prowadzące na strych, siedziała druga igumenia. Od razu zrozumiałam, że to igumenia, gdyż miała na piersi złoty krzyż. Była urzekająca, nie tylko swoim delikatnym, uroczym pięknem duchowym, ale także niezwykłym pięknem zewnętrznym. Była jeszcze stosunkowo młoda. Nie wyglądała na swoje czterdzieści lat. Przez trzy miesiące, nie bacząc na silne mrozy, siostry ukrywały ją na strychu, z rzadka tylko puszczając ją na dół, do pokoju, aby mogła się ogrzać. Wszystko odbywało się w pełnej tajemnicy. Jedzenie i wszystkie inne niezbędne rzeczy zanosila jej jedynie kielejnica. Z nią również bardzo szybko znalazłyśmy wspólny język i przywiązałyśmy się do siebie. Była bardzo utalentowana, pochodziła z dobrej, arystokratycznej rodziny.

Opowiedziała mi swoją historię. Była igumenią monasteru żeńskiego w mieście Kizlar na Kaukazie. Na początku rewolucji, gdy rabowano wszystko, a w szczególności monaster, wtargnęła do nich grupa bolszewickich bandytów, wszystko zniszczyła, ograbiła i zastrzeliła kilka stawiających opór mniszek.

Gdy na krótki czas Kizlar dostał się w ręce Białej Armii, to ktoś, niewiadomo kto, wskazał ludzi winnych zrujnowania monasteru i morderstwa na mniszkach. Zostali rozstrzelani. Gdy Biała Armia się wycofała, a bolszewicy stali się całkowitymi panami sytuacji, zaczęli dociekać, kto wydał tych ludzi Białym. Obwiniono o to całkowicie niewinną matuszkę igumenię i postanowiono się z nią rozprawić. Bóg jednak pomógł jej uciec nocą, doszła do monasteru władykaukaskiego, gdzie została ukryta przez igumenię Teofanię. Na całym Kaukazie rozklejono ogłoszenia: „Ten, kto wskaże miejsce pobytu byłej igumenii Monasteru Kizlarskiego Antoniny, otrzyma za jej głowę 3000 rubli w złocie”. Przez całe półtora miesiąca widywałam się z nią niemal każdego dnia. Pewnego razu, w bardzo mroźną noc, gdy leżało nadzwyczaj dużo śniegu, o pierwszej w nocy ktoś puka w moje okno. Obudziliśmy się ze strachem. Któż inny może nocą pukać do okna, jak nie GPU? Odsunęłam zasłonkę i nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Ujrzałam matuszkę Antoninę, w białym futrze baranim, podtrzymywaną z obu stron przez matuszkę-skarbnika i kielejnicę Anfię. „Szybko, szybko, otwierajcie, chowajcie matuszkę!”

Weszły. Zgasiliśmy światło, by nie zwracać nocą uwagi i co usłyszeliśmy? Usłyszeliśmy o nadzwyczajnym cudzie Bożym. Kilka dni wcześniej, o czym nie wiedziałam, do monasteru przyszła młoda panna, która przedstawiła się jako księżna Trubecka. Ze łzami prosiła igumenię o przyjęcie, mówiąc, że rodzice jej zostali rozstrzelani, majątek ograbiono, ona zaś pozostała w swoim nieszczęściu sama. Tak się umiała przypodobać i tak umiała zdobyć zaufanie, że igumenia w prostocie duszy nie tylko ją przyjęła i przygarnęła, ale nawet wyjawiała jej tajemnicę matuszki Antoniny. Panna natychmiast zniknęła, gdyż była agentem GPU, poszukującym matuszki Antoniny. Tej samej nocy monaster został okrążony przez wojsko, w taki sposób, by nikt go nie mógł opuścić. Nastąpiło przeszukanie, zażądano wydania matuszki. Gdy przybiegła do niej kielejnica, aby ją o tym powiadomić, powiedziała: „No to co robić? Jeśli Bóg zechce, żeby mnie znaleźli, to niech tak będzie, a jeśli nie ma na to Jego Woli, to zamknie On ludziom oczy i będą patrzeć, a nie ujrzą. Chodźmy, wyjdziemy przez nich”. Siostry ubrały matuszkę w futro, po czym poszły i na oczach wszystkich czerwonoarmistów wyszły prosto przez bramę. Dowódca krzyczy: „Kto tam teraz wyszedł przez bramę? Kogo wyprowadzano?” Słyszały wszystko, gdyż były dopiero kilka kroków dalej. Czerwonoarmiści odpowiedzieli: „Nikogo nie widzieliśmy”. – „Jak to, przecież ktoś wychodził, w białym futrze baranim, prowadzony przez dwie mniszki”. Ale wszyscy zaprzeczają i nie rozumieją, co się dzieje z dowódcą. Przeszukali, przewrócili wszystko i odeszli z niczym. I w ten sposób matuszka dotarła do mnie.

Oczywiście byłam szczęśliwa, że mogę ją ukryć, ale pobyt u nas był dla niej dość ryzykowny, gdyż sami lada chwila spodziewaliśmy się aresztowania. Mówię: „Sprawia mi ból myśl o tym, czym będę mogła karmić

matuszkę. My bardzo źle się żywimy”. Mniszki na to odpowiadają: „Ależ my będziemy dwa razy dziennie przynosić obiad i kolację”. Przesiedziały do rana, matuszka Antonina została u nas, one zaś poszły do monasteru i wkrótce przyniosły jej jedzenie. Przynosiły dwukrotnie każdego dnia, przez dwa tygodnie, w czasie których matuszka mieszkała u nas. Nie można jej było nie pokochać. Dzieci za nią przepadały, i nawet mój mąż, który w ogóle był dość obojętny wobec wszystkiego, odnosił się do niej z szacunkiem i lubił z nią rozmawiać.

W tamtym czasie była możliwość uzyskania schronienia za pieniądze u Inguszy w górach. Monaster chciał to załatwić, ale zażądali takiej nieprawdopodobnej sumy, że nawet cały majątek, którym jeszcze po ograbieniu władał monaster, nie wystarczyłby na jej zapłacenie. Postanowiliśmy niczego nie załatwiać, a zdać się na Wolę Bożą i zostawić matuszkę u nas, tym bardziej, że tak bardzo ją wszyscy polubiliśmy. Bardzo cierpiała na myśl, że jeśli ją znajdą, to nie tylko ona, ale my również będziemy odpowiadać. Oczywiście, wszystko to mogło dokonać się tylko cudem i tylko dzięki wyjątkowej Bożej Opatrzności. Przecież po tym, jak nie znaleziono jej nocą w monasterze, w czasie przeszukania, mimo monstrualnej sieci śledczej GPU, nikt nie wyszedł, dokąd chodzą dwa razy dziennie mniszki z jedzeniem.

Tak minęły dwa tygodnie. We wspólnym pokoju, w którym mieszkałam ja i pięcioro dzieci, wydzieliłam jej kąt za zasłonką z gazy. Stało tam łóżko, nad którym wisiała ikona i paliła się przyniesiona z monasteru lampadka. Pewnego razu widzę, a matuszka przez całą noc modli się tak gorąco, że łzami, na kolanach. Było to widać przez gazę i nie mogłam spać, gdyż udzielał mi się jej stan duchowy.

Wczesnym rankiem zwraca się do mnie i mówi: „Mam do pani gorącą prośbę. Proszę iść do błogosławionej Anastazji Andrejewnej i powiedzieć jej tylko te słowa: «Matuszka Antonina prosi o wasze błogosławieństwo»”. Poszłam. Błogosławiona, przywitała mnie, jak zawsze nazywając Marią i zapytała, czego potrzebuję. Powiedziała, że matuszka Antonina prosi ją o błogosławieństwo. „Tak! Tak!... Powiedz jej, żeby się niczego nie bała, niech tak będzie, niech wypełni to, co sobie zaplanowała i o co się modliła, niech idzie do wielkiego czerwonego domu państwowego, niech idzie”.

Przekazałam matuszce Antoninie jej odpowiedź. Twarz matuszki dosłownie rozbłysła. „Postanowiłam, że dzisiaj oddam się w ręce GPU. Świadomość tego, że możecie za mnie odpowiadać, jest dla mnie wielką męką. I chociaż podczas modlitwy odczuwałam strach i wątpliwości, to teraz, po słowach błogosławionej, nic i nikt nie może mnie powstrzymać”. Wraz z dziećmi zalaliśmy się łzami. Jakaż tu jeszcze nadzieja... GPU to przecież coś niewypowiedzianie przerażającego. Pożegnała się z nami płacząc, ale poszła z zadziwiająco spokojnym obliczem, jaśniejącym i dobrym. Była w mantii, a na piersi miała złoty igumeński krzyż. Bez względu na wszystkie nakazy i wymogi, nie ściągała odzieży mniszej. Minęła ponad godzina. Siedzieliśmy w milczeniu, pogrążeni w bólu, myśleliśmy o jej losie, gdy nagle moja 11-letnia Natasza, patrząc w okno, zakrzyła: „Matuszka idzie!”. Była taka radosna, taka niezwykle dobra, że nie można tego opisać. Oto jej opowieść:

„Przyszłam do GPU, a dyżurny zapytał, w jakiej sprawie. Odpowiedziałam, że przedstawię się i opowiem wszystko tylko naczelnikowi. Poszli i przekazali. On polecił powiedzieć, że nikomu nie wolno naruszać zasad przyjęcia. Odpowiedziałam, że tylko z nim będę rozmawiać. W tym momencie otworzyły się drzwi na korytarz i wyjrzał sam naczelnik. Zobaczył mnie i powiedział: «Proszę wejść». Weszłam. «Czego sobie życzycie?» – «Dajecie za moją głowę 3000 rubli. Sama ją wam przyniosłam...» – «Kim jesteście?!» – «Jestem igumienia Antonina z Monasteru Kizlarskiego». Był do tego stopnia zdumiony, że wstał i mówi: «Wy... Wy jesteście igumienia Antonina? I sami do nas przyszlście?» – «Tak, już mówiłam, przyniosłam wam swoją głowę». Z szufladki pod stołem wyciągnął moją fotografię, a ja wyciągnęłam z kieszeni taką samą. «Jesteście wolni... Idźcie, dokąd chcecie!». Na odchodnym powiedział: «Jestem zobowiązany prawnie do tego, żeby za rok wyznaczyć wam jakąś karę».

Nikt nie śledził matuszki, gdy opuściła GPU, nikt się nas nie czepiał. Oficjalnie zamieszkała w monasterze i mieszkała tam przez rok. Później dowiedziałam się, że nakazano jej przez rok służyć w hotelu komunistycznym w Rostowie. Również wtedy nie ściągnęła mantii, ani krzyża. Żaden komunista nie dopuszczał do tego aby mu służyła, wszyscy odnosili się do niej bez złości i bez obrazy, a nawet się jej kłaniali. W 23-cim roku takie coś było jeszcze możliwe, ale rzecz jasna tylko jako część oczywistego cudu, który się na niej dokonywał. Dwanaście lat później, w Aktiubińsku w Kazachstanie, gdzie mieszkałam z zesłanym tam synem, poznałam Archimandrytę Arseniusza, również przebywającego na zesłaniu. Wspomniałam o niej podczas jednej z rozmów, na co Archimandryta powiedział: „Ja dobrze znam matuszkę Antoninę i opowiem Pani o tym, co było dalej. Po zakończeniu kary zebrała wokół siebie 12 mniszek i pojechała do Tuapse, aby wysoko w górach założyć tajny skit. W tamtym czasie wielu mnichów ze zrujnowanych monasterów miało nadzieję prowadzić życie pustelnicze w górach, chcąc uciec od bolszewickich prześladowań. Ale GPU było sprytniejsze. Jako leśniczych zatrudniono śledczych i agentów, którzy odnaleźli wszystkie skity i mieszkania pustelników, spośród których niemal wszystkich rozstrzelano na miejscu. Gdy igumienia Antonina weszła na szczyt wielkiej, wysokiej góry,

spotkała tam jednego z mnichów należącego do skitu, w którym ja mieszkałem. Nasi mnisi nie czekając, natychmiast wykopali pod korzeniami olbrzymich drzew coś w rodzaju jaskiń, pomieszczeń mieszkalnych, takich samych, jak u nas, a następnie urządzili cerkiew. Mieszkaliśmy tak niezbyt długo, z radością pomagając im w ich potrzebach. Spośród 14 mnichów nie rozstrzelano jedynie mnie, jako jeszcze stosunkowo młodego, w porównaniu z innymi. Zostałem zesłany na 8 lat do oddalonego łagru na Syberii, a po tych 8 latach na osiedlenie w Ałma-Acie. Igumenia Antonina i mniszki zostały aresztowane, ale nie były rozstrzelane na miejscu, tylko wywiezione. Nic mi nie wiadomo o dalszych losach tej wspaniałej mniszki”.

21. GŁÓD

Do lata 1922 żyło się nam stosunkowo pomyślnie, dzięki pracy mojej córki i pomocy męża. Mój 14-letni syn Piotr, wiedząc, że po zakończeniu siedmioletniej szkoły nie będzie miał prawa ze swoim nazwiskiem kontynuować nauki na uczelniach wyższych, poprosił, abyśmy go oddali do czteroletniego technikum kolejowego. Dostać się tam było bardzo trudno i został przyjęty tylko dlatego, że dyrektor nie był komunistą, a także z tego powodu, że egzamin wstępny zdał najlepiej ze wszystkich, chociaż do szkoły chodził jedynie przez trzy lata.

Najstarsza córka miała niezbyt mocne zdrowie, jej słabe płuca źle znosiły władzykaukaski klimat. Przełożeni zaproponowali jej przeniesienie na budowę linii kolejowej do miasta Nalczik. Nalczik był w dawnych czasach znany jako najlepszy w Rosji kurort dla chorych na płuca. Wszyscy z radością przyjęliśmy propozycję. Dostaliśmy mieszkanie w odległości 4 wiorst od miasta, w zabranym komuś sadzie, owoców którego, rzecz jasna, nie mieliśmy prawa zbierać; zresztą w sadzie było tylko kilka drzew. Dokoła nas, na całym terytorium osiedla letniskowego, rosły przepiękne sady, obfitujące w przepiękne owoce, które nie były dla nas. Dostaliśmy letni domek, całkowicie nie przystosowany i nie nadający się do mieszkania zimą, ale dla nas, takich wyrzutków, jak nazywali bolszewicy inteligencję, powinno wystarczyć. Lato jakoś przeżyliśmy. Irenka pracowała do sierpnia, gdy nieoczekiwanie przerwano budowę kolei i w efekcie została bez pracy. Nie mogła wykonywać żadnej pracy fizycznej, więc od lipca zaczęłam jeździć do rejonu osetyńskiego, gdzie znajdowały się stacje kozackie; pracowałam tam przy żniwach i młóćce. Brałam ze sobą po kolei któreś ze średnich dzieci i one też trochę pomagały, a Irenka z dwoma najmłodszymi zostawała w domu. Za pracę karmili dobrze, wracałam co 3-4 dni na jeden dzień do domu, przywoziłam biały chleb, arbuzy, melony, a nawet słoninę, zaś po zakończeniu prac przywoziłam pszenicy na zimę. Tego roku kozacy jeszcze przez trzy miesiące mieli się czym żywić, jeszcze bolszewicy się za nich nie zabrali, ale na całym Kaukazie zaczynał już panować katastrofalny głód, z powodu którego umierali ludzie. Nie byłam przyzwyczajona do pracy tego rodzaju, była dla mnie ciężka, nieznośny żar zalepiał oczy i zazwyczaj dostawałam jedną z najgorszych robót, jaką było odgarnianie od maszyny plewów i słomy. Tutaj nie można się było rozczulać, a trzeba było, skoro już się najęłam, pracować przez cały dzień i nie zostawać w tyle za innymi. Moja Tania podawała snopy do maszyny, wszyscy uważali ją za wyjątkowo ładną i serce bolało, gdy młodzi kozacy zalecając się do niej, żartowali i krzykali: „No, Tańka, nie zostawaj w tyle, z życiem, z życiem!”. Dzieci lubiły te wyjazdy także dlatego, że w owej dawnej, bardzo bogatej stacji z kilkoma tysiącami mieszkańców często bywały pogrzeby. Tamtejszy zaś kapłan, który bardzo mi współczuł z tego powodu, że bieda zmusiła mnie do najemnej pracy u chłopów, brał nas na pominki¹⁸, które były świętą tradycją u kozaków. Na podwórku zazwyczaj stawiano długie stoły dla biednych, zbite z desek specjalnie na tę okazję. Taborety i ławeczki do siedzenia były tylko dla kapłana, służących w cerkwi, nauczyciela i krewnych zmarłego; mnie z dziećmi także zawsze włączano w tę grupę, zapewne na prośbę kapłana. Wszyscy zaś pozostali, których czasami było ponad setkę, siedzieli na gołej ziemi. Przyjeżdżali oni głównie z miast, wygnani na żebry przez głód. Podawano zazwyczaj tłustą zupę wieprzową albo barszcz, rozmaite placki, mięso kurczaka duszone z ziemniakami, konieczne kompot i piwo domowe bez ograniczeń, a także puszysty biały chleb, ile kto chciał. Nie upłynął nawet rok, gdy samych kozaków zaczęto wywozić za burżujstwo na Syberię i mieszkańcy stacji sami musieli prosić chleba u innych, zaś głód nasilał się w niepohamowanym tempie. Po zakończeniu robót całymi dniami chodziłam z dziećmi do lasu, sąsiadującego z daczami. Na jego skraju była ogromna ilość dzikich jabłoni z kwaśnymi owocami, dzikich grusz i muszmuły. Dalej, w kierunku gór wznosił się dziewiczy bukowy las, z drzewami na dwa objęcia ramion, a nawet grubszymi.

„Mamusiu, po co ty zbierasz to wszystko, popatrz, przecież zawalone jest już pół balkonu!”. Odpowiadałam: „Nie martw się, wszystko się przyda, to będzie jedyne nasze pożywienie i uratuje nas od śmierci głodowej”.

18 Pominki –uczta pogrzebowa.

Ludnością miejscową w tamtym rejonie byli Kabardyńcy. Był to naród stosunkowo pokojowy, od samego początku żywiący wielką nienawiść do bolszewików, ale nie do wszystkich Rosjan. Ciekawe, że gdy wpadał w ich ręce Rosjanin, to oni, muzułmanie, nakazywali pokazać krzyżyk na piersi. Jeśli krzyżyk był, to wypuszczali, a jeśli nie – często rozstrzelali. Oczywiście działa się tak nie z powodu ich szacunku do Krzyża, a dlatego, że słyszeli, iż ci, którzy noszą krzyżyki to nie bolszewicy. Wkrótce komuniści-bezbożnicy, którym z jakichś powodów groziło niebezpieczeństwo ze strony Kabardyńców, zaczęli nosić krzyżyki. Cel usprawiedliwiał środki.

Gdy prosiłam o możliwość poszukania ziemniaków na ich uprzątniętych polach, nie tylko zawsze pozwalali, ale sami rzucali do koszyka kilka sztuk ziemniaków. Żywiliśmy się nimi codziennie, starając się oszczędzać mąkę, otrzymaną z zapracowanej pszenicy. Kabardyńcy zawsze chodzili z bronią. Sędzia miejski z Nalczika, wraz ze swoją dopiero co poślubioną, młodą żoną (którą znałam), poszli na spacer i zaszli dość daleko do lasu. Wieczorem nie wrócili, nazajutrz również. Zameldowano na GPU. Zaczęły się poszukiwania i znaleziono ich oboje, byli zastrzeleni.

Minął wrzesień, jakoś przeżyliśmy. W październiku zaczęliśmy głodować. Odwiozłam Piotrusia do Władykaukazu, do szkoły, gdzie został umieszczony w internacie. Karmili źle i bardzo mało. Miejscowi krewni mogli jednak czymś pomagać swoim uczniom. Piotruś był słabego zdrowia, również z powodu prześladowań, jakie cierpieliśmy ze strony bolszewików. Po ciężkim reumatyzmie zarówno stawów, jak i mięśni całego ciała, po niewiarygodnych mękach, w czasie których nie można go było dotknąć (tak cierpiał ten dziewięcioletni chłopiec) – zaczął powoli i długo dochodzić do siebie. Wciąż jednak chorował na zapalenie wsierdza sercowego. Choroba ta zaczęła się jeszcze w Jarosławiu w 1917 roku. Był zimny dzień, leżał z ciężką anginą, z bardzo wysoką temperaturą. Już od chłopięcych lat był wystraszony i bardzo wrażliwy. Przybiegł ktoś ze służących, aby powiedzieć, że przez kuchnię przechodzi kilku czekistów z przeszukaniem. Siostra miłosierdzia, która mi przy nim pomagała, powiedziała: „Ma wysoką gorączkę, przestraszy się, szybko proszę go znieść do lekarza naprzeciw”. Zawinęłam go w prześcieradło i odniosłam na drugą stronę ulicy. Właśnie ten lekarz go leczył. Chłopiec mimo przenosin mocno się przestraszył. Lekarz powiedział, że przy tej szczególnej odmianie anginy, na którą chorował, nie wolno go było ruszać. Nastąpiły komplikacje i przez półtora miesiąca leżał w męczarniach, a potem zaczęła się płaszawica (taniec św. Wita). Przez cztery miesiące wykręcało go we wszystkie strony. Dzięki Bogu jego stan uległ poprawie, ale została mu choroba serca, która była zawsze powodem mojego lęku o niego. Choroba ta była jeszcze jedną ważną przyczyną, z powodu której nie mogłam uciec w 17-ym roku za granicę. Przez długi czas musiałam go nosić na rękach, a przecież było jeszcze dwoje malutkich dzieci. I oto teraz w żaden sposób nie mogę mu pomóc się wyżywić. Pod koniec listopada pojechałam go odwiedzić. Wzięłam ze sobą trochę dzikich gruszek, a pewna dobra kobieta dała mi dla niego dodatkowo jeszcze jajka. To był wielki skarb i już sobie wyobrażałam, jak uśmiech rozjaśni jego bladą twarzyczkę, gdy wyciągnę i dam mu trzy duże jajka. Oczywiście nie wypuszczałam węzełka z rąk ani na chwilę. Na stacji Biełan trzeba było przez całą noc czekać na pociąg, przy mrozie przekraczającym 10 stopni. Obraz, który tam ujrzałam, był przerażający: starcy, ludzie w średnim wieku, dzieci – chwiali się na nogach, podobni do szkieletów i jęczeli z głodu. Wszędzie trupy. Przez długi czas nie mogłam wejść pod dach dworca – był tak bardzo nabit ludźmi, że stanowili oni jedną gęstą masę żywych i martwych ciał. Jeslibym tego sama nie widziała i nie przeżyła, to chyba bym nie uwierzyła. Mimo całej mojej troski o węzełek, wyrwano mi go. Było to dla mnie prawdziwym nieszczęściem – jakże przyjadę do mojego kochanego chłopca z pustymi rękoma?

Płakałam gorzko. Zmarłam i wcisnęłam się na dworzec. Zdawało się, że się szpilka nie wciśnie, a jednak bez końca napływający na pół martwi ludzie coraz bardziej ugniatali masę ludzką. Trzeba było tak stać do rana. Człowiek w płaszczu czerwononarmisty, stojący obok mnie, niechcący nastąpił butem na koniuszek mej nogi. Wciąż go prosiłam o to, by zszedł z mej nogi, ale było to niemożliwe. Nad ranem paleczrobił się całkiem czarny i zdrętwiały, bolał mnie potem przez wiele lat. Gdy tylko zaświtało i zbliżał się czas przyjazdu pociągu, zaczęto wszystkich wyganiać na zewnątrz. Na wspomnienie o tym przechodzą mnie dreszcze. Ludzi, którzy jeszcze mogli sami chodzić, albo przynajmniej się jakoś ruszać, po prostu wypychano, zaś martwych, którzy umarli na stojąco, brano za głowę i za nogi, rzucano na wielkie wozy i wyrzucano do dołu za stacją. Widziałam na własne oczy, że niektórzy z nich jeszcze się ruszali, ale jeśli nawet ktoś z wożących zwracał na to uwagę, to cynicznie stwierdzał, że i tak umrą.

Podjechał pociąg. Ledwie zdążyłam usiąść, gdy wbiegło dwóch ludzi, z wyglądu chuliganów, spekulantów, których wtedy było zatrzęsienie. Rzucili mi worek pod nogi. W worku było coś mokrego. Odsunęłam się. Zwróciła na to uwagę kobieta siedząca naprzeciw. Worek leży, nikt nie nadchodzi, a zbliżamy się do Władykaukazu. Po przyjeździe poczekałam, aż wszyscy wyjdą i nikogo nie będzie. Worek wciąż leżał. Spróbowałam

go podnieść, ważył gdzieś około puda¹⁹, pachniał śledziem. Nie było nikogo, nawet konduktora. Podniosłam worek i wyniosłam go z wagonu, chcąc go oddać na milicję. Wychodzę, tamta kobieta na mnie czeka. Pyta: „A pani dokąd z tym workiem?”. Mówię: „Chcę go zanieść na milicję kolejową”. Ona zaś na to: „Chyba po to, żeby panią posadzili! Przecież to jasna rzecz, że na stacji Bieślan było przeszukanie, łapali złodziei, spekulantów. Ci dwaj, którzy rzucili worek, musieli się ukryć i to wszystko”. Zarzuciła sobie worek na ramię i mówi: „Chodźmy szybko”. Poszła do przodu, a ja za nią z wielkim niepokojem, nie wiedząc, co chce zrobić i kim jest. Przeszła dwie ulice, weszła do bramy jakiegoś domu, przełożyła do swojego worka połowę śledzi i mówi: „Niech pani to bierze i się nie boi, tylko szybko, póki nikt nie widzi”. Nigdy w życiu nie byłam w takiej sytuacji: cudze, może nawet kradzione, a ja to biorę! Ale długi głos już szepcze: „Piotruś jest głodny, zostało ci to posłane w miejsce ukradzionego woreczka, a właściciel i tak się nie znajdzie”. Wzięłam i zaniósłam Piotrusiowi. Chociaż bez chleba, ale zawsze to jedzenie. Jakże się on z nich cieszył! Potem oczywiście spowiadałam się z tego, ale kapłan nie uznał mojego postępków za złodziejstwo.

22. NALCZIK

Pobyłam z nim trochę i musiałam jechać z powrotem do Nalczika. W Bieślanie prawie natychmiast udało mi się wcisnąć do wagonu towarowego. Na stację Nalczik przyjechałam o ósmej wieczorem. Iść samotnie cztery wiorsty było niepodobna. Postanowiłam więc przesiedzieć noc i iść wcześniej rano. Jednak milicja kolejowa (innymi słowy – GPU) nie pozwoliła zostać i rozkazała wyjść. Pomyślałam sobie, że pójdę, będę pukać do domów, może znajdzie się ktoś dobry i pozwoli przenocować: znajomych nie miałam. Gdy tak myślałam, podchodzi do mnie trzech mężczyzn, porządnie ubranych i pytają: „Nad czym tak myślicie? Dokąd chcecie iść?”. Ja mówię: „Na osiedle Dolińskie”. – „Proszę iść z nami, jesteśmy lekarzami z sanatorium. W pobliżu osiedla nasze drogi się rozchodzą, ale my odprowadzimy was do samego domu”. Długo odmawiałam. Śniegu było w tamtym roku bardzo dużo. Z braku innych miałam na nogach wielkie męskie buty wojskowe. Zazwyczaj chodziłam w tak zwanych „kabardyńskich tłokach”. Są to w prosty sposób uszyte kołpaki z ostrym nosem, o wiele większe od nogi. Kabardyńcy najpierw obwijali nogi ciepłym kaukaskim suknem, potem słomą, a potem znowu suknem, w taki sposób, jak w Rosji obwijają się onuce. „Tłoki” były uszyte z nie wyrobionej krowiej skóry i przed założeniem zawsze musiały namakać w wodzie, bowiem wysychały i można je było ubrać tylko wtedy, gdy były mokre. Nie miałam niczego, czym mogłabym obwinąć nogi i ubierałam mokre „tłoki” na gołe nogi. W mroźne dni, w czasie chodzenia, zmieniały się w oblodzoną skorupę. Dzięki łasce Bożej nie dostałam reumatyzmu. I z tego powodu sąsiad z pobliskiego domu, młody mężczyzna, dał mi swoje ogromne buty. Zaczęłam wyjaśniać lekarzom, że boli mnie palec i że z powodu obtartych nóg nie nadążę za nimi, ale oni bardzo uprzejmie nalegali i w końcu mnie przekonali.

Nie rozumiałam, że potrzebny im był po prostu ktoś do rozmowy. Po tym względem się na mnie zawiedli, a ja też popełniłam błąd, gdyż byli to lekarze sowieccy, o czym dane mi się było przekonać. Była jasna, księżycowa noc, ale niebo przykrywały chmury, więc robiło się to ciemno, to jasno. Z lewej strony, za rzeką, w górach, słychać było przerażające wycie szakali, które tam nazywane są czekałki. Lekarze mówią: „Żeby tylko nie natknąć się na wilka! One lubią w nocy wafęsać się w tych krzakach”. Nagle jeden z nich szepnął: „Szybko chowajcie się w krzaki!”

Drogą jechał konno Kabardyniec z bronią. Na tle gór, w świetle księżycy, w burce – wyglądał pięknie. Na szczęście nie miał ze sobą psa i nie zauważył nas. W przeciwnym wypadku, jak mówili lekarze, zastrzeliliby co najmniej jednego. Chmury zakryły księżyc i zrobiło się znacznie ciemniej. Zaczął padać drobny śnieg. Przeszliśmy niewiele ponad połowę drogi, gdy zaczął walić gęsty śnieg i powiał bardzo mroźny wiatr. Doprowadzili mnie do rozwidlenia dróg i oświadczyli: „Tam nam nie po drodze, idziemy w lewo, a wy teraz jesteście już blisko osiedla i nie zgubicie drogi”. Nie było sensu ich prosić, zresztą nie chciałam, ale przestraszyłam się, gdyż nie było widać ani drogi, ani najmniejszego choćby światełka. Padający śnieg był jak gęsta masa. Od razu się zgubiłam i nie mogłam odnaleźć drogi do osiedla. Nagle upadłam w jakiś dół, w zaspy śniegu. Bardzo się przestraszyłam, ale gdy doszłam do siebie, to pojęłam, że upadłam z nasypu budowanej linii kolejowej. Ujrzałam zarysy drzew – znalazłam się w lesie. Natychmiast zgubiłam torowisko, ale myślałam, że trzeba iść na prawo. Szłam przez las, zupełnie nie wiedząc, dokąd. Chmury się nieco przeczłodziły i zaczęłam odróżniać zarośla, które

19 Pud – rosyjska jednostka wagowa, 1 pud = 16,38 kg.

w ciemnościach wydawały mi się to wilkiem, to Kabardyńcem, to jakimiś potworami, wyciągającymi swoje łapy. Kształt kolczastych krzaków, dzikich grusz, tarniny, czy innych sam w sobie jest jakiś fantastyczny, a nocą – w szczególności.

Chodziłam tak długo, bojąc się zbłądzić do dzikiego lasu bukowego. Do świtu było jeszcze daleko, mroźny wiatr przybierał na sile, znowu sypnął śnieg, nogi bolały. Upadłam po raz drugi i tym razem leżałam przez kilka minut, nie mając siły się podnieść. Myśl o tym, że tu, gdzieś blisko, są moje dzieci, same, i nawet nie podejrzewają, że za chwilę (tak się zdawało) zamarznię, była straszna. W końcu jednak podniosłam się i poszłam dalej. Wpadłam na tarninę. Czuję, że to nie jest pojedynczy krzak, a coś w rodzaju gęstego ogrodzenia, więc poszłam dotykając ją rękami, w nadziei, że w pobliżu jest jakiś dom.

Z pokłutymi rękoma widzę w końcu światło w okienku za płotem, w odległości jakichś 30 kroków. A co będzie, jeśli natknęłam się na kabardyński auł? Najpierw rzucą się na mnie psy podobne do chartów, z potem sami gospodarze spotkają niezbyt miło, o ile wcześniej nie zostaną rozerwana przez psy. Znalazłam przejście i poszłam w kierunku światła. Dalej już nic nie pamiętam. Gdy odzyskałam przytomność, ujrzałam że koło mnie stoją dwie najstarsze córki, wystraszone, całe we łzach. Obok nich stoi staruszek, Ukrainiec, o imieniu Pawło, wraz z żoną i synem. Osiedle było bardzo duże i dzięki łasce Bożej, przeszłam przez las na jego drugi kraniec. Domek Pawła był pierwszy od strony lasu. Staruszek potem opowiadał: „Słyszę, że ktoś krzyknął: «Na pomoc!» Mówię do syna: «Słyszałeś?» On na to: «Co takiego?» – «Przecież ktoś krzyknął «na pomoc», jakiś kobiecy głos». A syn mówi: «Ojczy, któż to chodzi w taką burzę i zamieć i to jeszcze o pierwszej w nocy?» Wziąłem światło i mówię: «Idziemy, wyraźnie słyszałem». Wyszliśmy i widzimy, że niedaleko, na śniegu, leży człowiek.

«Przecież to nasza znajoma pani z osiedla!» – powiedziałem i podałem nazwę ulicy”. Podnieśli mnie i przynieśli do siebie do domu. Syn poszedł powiadomić moje dzieci. Po raz drugi już groziło mi zamrożenie i po raz drugi Bóg mnie wyratował. Śnieg i mróz nie utrzymał się w Nalcziku długo, wkrótce przyszła odwilż i w grudniu, w ciągu dnia, było tak ciepło, jak na wiosnę. Był tylko wielki brud, no i nocą niewielkie mrozy. W domu nieznośna wilgoć i chłód. Mieliśmy żelazny piecyk, ale nie mieliśmy drewna. Niedaleko, w odległości około wiorsty od domu, był w lesie parów, gęsto porośnięty na stokach leszczyną i suchymi drzewami. Co trzy dni, wcześniej rano, gdy dzieci jeszcze spały, brałam siekiere, dwa pasy, wielkiego psa od sąsiadów, który się do mnie przywiązał, i szłam sama do parowu. Córek, które bardzo nie chciały, żebym chodziła sama, nie brałam ze sobą, ze względu na możliwość natknięcia się na Kabardyńców. Zrąbywałam długie gałęzie leszczyny i związywałam je pasem. Czasami było nieznośnie ciężko, ale ja nigdy nie padałam duchem i zawsze wszystko to, na co starczało sił, wydawało mi się łatwe. Najpierw wlokłam po ziemi pierwszą wiązkę, po 15 sążniach ją zostawiałam, szłam po drugą i tak przenosiłam jedną za drugą aż do domu. Z jedzeniem było już całkiem źle, kończyły się gruszki i nieszpułki. Pod koniec listopada przychodzi sąsiad i mówi: „Chciecie mięso?” – „Oczywiście, że chcemy, bardzo!” – odpowiedzieliśmy chórem. „No to chodźcie, w parowie leży martwy koń, jeszcze miękkie. Najwyraźniej złamał nogę i Kabardyniec go zastrzelił”. Sąsiad poszedł ściągać skórę, a troje najstarszych dzieci poszło za nim z jego siekierami, aby narąbać mięsa. Piszę troje, gdyż kilka dni wcześniej przyszedł z Władykaukazu 14-letni Piotruś. Wyższe kierownictwo szkolne, dowiedziawszy się, że w szkole kolejowej uczy się arystokrata, nakazało wydalic go natychmiast, bez względu na to, że był jednym z najlepszych uczniów. I w taki sposób ten biedny, całkiem głodny chłopiec, przeszedł około stu wiorst na piechotę.

Sąsiad zdarł skórę, a ja wyszłam im na spotkanie z dwójką najmłodszych. Nie chciałam, aby oglądały, jak się rąbie konia. Już z daleka słyszałam ich wesoły śpiew i śmiech. Wzięłam od nich tylną nogę, której oczywiście nie mogłam podnieść, chociaż koń był niewielki. Położyłam więc sobie kopyto na ramię i wlokłam ją po rzadkim błocie, a dzieci niosły tyle, ile każdy mógł. Sąsiad, dobry chłopiec, również Ukrainiec, dał nam stągiew, miał oprócz tego zapas soli, więc też się z nami podzielił. Pomógł nam rozrąbać mięso na małe kawałki. Na drugi dzień obmyliśmy wszystko w bystro płynącej rzece i posoliliśmy. Mięsa wystarczyło na miesiąc. Jedliśmy je z taką rozkoszą, jakby to był najsubtelniejszy przysmak. Ale i to się skończyło i znowu nie było co jeść. Wtedy najstarsza córka poprosiła: „Puść mnie, pojedę do Batumi, mówią, że tam jest dobrze, poszukam jakiegoś zajęcia”. Z początku nie chciałam o tym słyszeć. Jakże mogłabym wypuścić 18-letnią córkę, chociaż i mądrą, samą jedną w takich strasznych czasach? Ale upierała się, dowodziła, że w przeciwnym wypadku i tak wszyscy umrzemy tu z głodu. Tak, tylko konieczność, konieczność i brak innego wyjścia, mogła wymusić moją zgodę. Otrzymała darmowy bilet w pociągu osobowym, gdyż, jak już pisałam, pracowała przedtem na kolei. Ugotowaliśmy ostatni z zapasu kawałek koniny, dałam jej też ostatnie, marne pieniądze. Pojechała, a ja z rozpaczny nie mogłam sobie znaleźć ni miejsca, ni spokoju, zarzucając sobie, że pozwoliłam jej odjechać. Ósmego dnia po odjeździe przychodzi nieznajomy człowiek ze stacji i mówi: „Proszę iść szybko na stację, wzywa panią pani córka, jest bardzo chora i nie może chodzić”. I znow ten sam sąsiad zaprzął wóz i sam mnie zawiózł na stację.

Moje biedactwo, zachorowała po drodze, wracając z Batumi, gdzie nie mogła niczego znaleźć z powodu nieczułości ludzkiej i nieludzkiego do niej stosunku. Zachorowała na tyfus plamisty. Na jakiejś stacji wyciągnięto ją z wagonu i położono w szpitalu. To, co zrobiła potem, mogła uczynić tylko dzięki wierze, modlitwie i sile woli. Zrozumiawszy, że przyjdzie jej umrzeć w szpitalu, samej, z dała ode mnie, uciekła z wysoką gorączką, wsiadła do wagonu towarowego i przyjechała do Nalczika. Dalej nie mogła już iść i leżała w kącie na peronie. Przywiozłam ją do domu. Nigdy nie zapomnę, jaka była szczęśliwa. Poprosiłam w sanatorium o lekarza, opowiedziałam o naszej tragicznej sytuacji. Przyszła kobieta-lekarz, lat około czterdziestu, nadzwyczajnie wrażliwa, która okazała się ochrzczonej Żydówką. Pod wieczór również malutki Andrzejek dostał temperatury i zachorował na zapalenie płuc. Tego serdecznego stosunku, jaki miała do nas ta lekarka, nigdy nie będę mogła zapomnieć. Nie tylko chodziła do nas dwa razy dziennie ponad pół wiorsty, ale jeszcze dodatkowo przynosiła moim chorym dzieciom jedzenie, jakie tylko mogła. W tamtym czasie Bóg prawdziwie chronił przed śmiercią moje dzieci. Żadne z pozostałych dzieci nie zaraziło się tyfusem, mimo, iż o izolowaniu chorej nie mogło być nawet mowy. Zarówno Irenka, jak i Andrzejek nie odpuszczali mnie ani na krok. Większą część dnia i nocy spędzałam siedząc na jej łóżku z Andrzejkiem na rękach, a w nocy kładłam się koło niej, z drugiej strony mając Andrzejka. Chorowali ciężko i długo, ale w końcu wyzdrowieli. Bardzo wczesnym rankiem wciąż musiałam ich zostawiać i iść po drzewo. Męża już dawno nie było. Pojechał szukać pracy na południowy Kaukaz. W końcu trzeba było podjąć jakąś decyzję i doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie wrócić do Władykaukazu, mimo wszystko tam łatwiej znaleźć pracę, no i jest monaster, który pomoże. Udało się dojechać dzięki temu, że w wagonach towarowych jeździło się za darmo. Był piątnasty lutego. Tego samego dnia udało się nam znaleźć mroczny pokój w suterenie, brudny i niewygodny, ale i za to dziękowaliśmy Bogu.

Irenki na kolej nie przyjęli, choć przecież straciła swoje miejsce ze względu na przerwana budowę linii kolejowej. Była burzujką, jak nas nazywano, a nowy naczelnik był komunistą i nie zgodził się przyjąć jej do pracy. Mimo tyfusu i głodu, dzięki klimatowi Nalczika, stan jej zdrowia wyraźnie się polepszył. Wyglądała świeżo i trochę przytyła. Nie wypuszczałam jej z domu, codziennie rano stałam na bazarze i brałam każdą robotę – sprzedawałam pierożki, robiłam wyszywki, szylałam kapelusze, nosiłam cegły, a ona zostawała w domu z małymi. W tamtym czasie, wbrew zwyczajnym prawom przyrody, we Władykaukazie nagle zapanował mróz. W ciągu jednego dnia zrobiło się jak na północy: wszystkie drzewa pokryły się szronem, mróz przekroczył dziesięć stopni. Idę przez podwórko monasterskie, gdzie spędzałam, tak, jak przedtem, każdą wolną chwilę. Z naprzeciwnika szybko idzie, opierając się na kij, błogosławiona matuszka Anastazja Andriejewna. Do niej też chodziłam, tak, jak dawniej. Gdy pisałam o niej, zapomniałam dodać, że była bardzo garbata. W monasterze dowiedziałam się, że to nie garb, lecz że nosi ona na plecach pudowy wór z piaskiem, a oprócz tego łańcuchy i włosienicę.

A więc matuszka idzie tak szybko, że mantia się jej rozwiewa. Zobaczyła mnie, przywołała ręką i znowu nazywając Marią, mówi: „Mario, Mario, idź szybko do soboru i pocałuj ikonę Matki Bożej, która leży na anafolu, w prawej nawie, Matka Boża z Dzieciąciem na rękach zamarzła”. Pytam ją ze strachem i zdziwieniem: „Jak to – zamarzła, Matuszko?” A ona na to: „Ot tak, zamarzła...”. Potem podniosła swoje błękitne oczy do nieba, popatrzyła tak przez kilka sekund, nagle uśmiechnęła się radośnie, zwróciła się do mnie i powiedziała: „Tylko pamiętaj... na zawsze!” I poszła dalej. Matuszki Antoniny już wtedy nie było, mniszki same starły się jakoś wyżyć, głodowały i nie mogłam szukać u nich pomocy. Wiosną była jeszcze jakaś praca, a latem zrobiło się całkiem źle. Przez trzy miesiące – maj, czerwiec, lipiec nie widzieliśmy ni grama chleba i żywiliśmy się w ten sposób, że kupowaliśmy na w pół zgniłe obierki z ziemniaków, płacąc czasami nawet po 15 milionów za wiadro. Wtedy pieniądze liczyło się milionami. Były to czasy NEP-u²⁰, ale dla nas nie miało to żadnego znaczenia, był to jeden z najcięższych okresów naszego życia. Kiedyś szłam przez miasto z malutkim Andrzejkiem. Z naprzeciwnika idzie kobieta z dużą białą bułką w rękach. Biedne dziecko, westchnęło i powiedziało: „Jakaż ona szczęśliwa!”. Po policzkach popłynęły mu ogromne łzy. Po raz pierwszy w życiu poprosiłam o jałmużnę w postaci kawałka chleba. Kobieta ułamała kawałek i dała Andrzejkowi.

Pewnego razu stałam na bazarze, oczekując propozycji pracy – jak zwykle na boso, z powodu braku obuwia. Obok mnie stała pewna młoda dama i trzymała w rękach sukienkę na sprzedaż. Czas mijał, pracy nikt nie dawał, kobieta zaczęła płakać. Zapytałam, dlaczego tak płacze. – „Mój mąż, były oficer i nasze trzyletnie dziecko umierają z głodu. Wyniosłam na sprzedaż moją ostatnią sukienkę i nie sprzedawałam. Co mam jeszcze

20 NEP – skrót od Nowaja Ekonomiczieskaja Politika. NEP oznaczał odejście polityki ekonomicznej Sowietów od komunizmu wojennego w kierunku wprowadzenia niektórych mechanizmów rynkowych. Pozwolono na prowadzenie małych przedsiębiorstw (zwłaszcza w usługach i rolnictwie), przy zachowaniu monopolu państwowego w głównych gałęziach przemysłu. W 1929 NEP został ostatecznie odrzucony na rzecz powrotu do wcześniejszych metod.

robić? Jakże wrócę do domu z pustymi rękoma?”. Po tych słowach zupełnie zalała się łzami. W żaden sposób nie mogłam jej pomóc, sama niczego nie miałam, ale mimo to mówię do niej: „Proszę mi dać swój adres, nie mam nic, ale pomyślę, co można zrobić”. Ze łzami wróciła do domu, a ja idę i myślę: „Co ja narobiłam? Dałam jej jakąś nadzieję, a przecież bezpodstawnie. Wiem, co zrobię: dam ten adres pierwszemu napotkanemu porządnie ubranemu, wyglądającemu na dobrze sytuowanego człowiekowi i poproszę o pomoc”. Tak się akurat złożyło, że przechodziłam przez podwórko cerkiewne. Wchodzę z jednej strony, a z drugiej strony wchodzi jakaś dama w żałobie, ubrana w elegancki, angielski kostium; wyglądała jak najbardziej odpowiednio dla mojej prośby. Gdy się zrównaliśmy, przeprosiłam i mówię: „Ze względu na pani ubiór i wygląd ośmielam się pani wręczyć ten adres z prośbą o udzielenie pomocy”. Opowiedziałam jej o nieszczęściu i łzach tamtej młodej damy. Odpowiedziała: „Oczywiście, z radością, bezzwłocznie pomogę i uczynię, co będzie w mojej mocy. A czy pani może mi pomóc w pewnej sprawie?” Mówię: „A w czymże ja mogę komukolwiek pomóc?” – „Czy nie wie pani, gdzie mogłabym znaleźć pewną damę (tu wymieniła moje nazwisko)? Szukam jej po całym mieście i nikt nie jest mi w stanie udzielić informacji, gdzie mieszka. Ma pięcioro dzieci i znajduje się w wielkiej potrzebie”. Nie wiedziałam co odpowiedzieć, ale bardzo się zmieszałam. „A czy to przypadkiem nie o panią chodzi? Gdy tylko ujrzałam panią z daleka, od razu zrozumiałam, że to pani!” Odpowiedziałam: „Tak, to moje nazwisko...” Dama bardzo się ucieszyła i wzięła mój adres. Wieczorem podjechał wóz i jakiś młody robotnik przywiózł od niej masę jedzenia: były tam i białe chleby, i olej, i rozmaite kasze, ziemniaki, a nawet cukier.

Przekazała także liścik, w którym prosiła, abym do niej przysłała. Trudno opisać naszą radość. Dopiero wtedy dzieci przyznały się do tego, że nie chciały mnie zasmucać i pod moją nieobecność chodziły po cudzych śmietnikach, aby oprócz obierek od ziemniaków jeść jeszcze zebrane skórki od arbuzów i melonów. Owa dobra dama nazywała się W.P. Szejder, a jej mąż był profesorem biologii. W ciągu dwóch miesięcy zaopatrywała nas we wszystkie niezbędne produkty, ja zaś szylałam i naprawiałam dla niej i jej męża bieliznę, starałam się odwdziżyć pracą, na ile mogłam. Wyjechali potem do Moskwy, a ja wraz z dziećmi do miasta Derbent. Mój mąż dostał tam pracę i zaproponował, żebyśmy przyjechali. Cieszyłam się z tego, że pojedziemy o wiele bardziej na południe Kaukazu, gdzie panował całkiem inny klimat. Śnieg tam leży nie dłużej, niż jeden dzień, mrozy są rzadkością, a w styczniu pogoda jest taka, jak pod koniec marca w Jarosławiu. Nie trzeba będzie się tak troszczyć o ogrzewanie, a poza tym raczej nie służyło się, by panował tam głód. Jednak po roku głód dotarł także do Derbentu. Również i tam na bazarach podejrzani ludzie zaczęli sprzedawać podejrzane cienkie pierożki ziemniaczane, faszerowane mięsem, o którym powszechnie mówiono, że jest ludzkie. Było to całkiem możliwe, gdyż na obszarach, na których panował absolutny głód, ludzie często przepadali bez śladu, i to nie tylko z powodu GPU. Często ludzie jedli swoich bliskich, również umierających z głodu. Byli świadkowie, którzy widzieli, jak matki jadły swoje dzieci. Kiedyś historia ujawni i potwierdzi te przerażające fakty. Teraz ludzie jeszcze za bardzo się boją, nawet ci, którzy uciekli za granicę, i nie są w stanie tego opublikować.

23. DERBENT

Mój mąż dostał dobrą pracę przy odbudowie zrujnowanej szkoły sadownictwa i ogrodnictwa. Rozkoszowałam się tamtejszą przyrodą. Gdy podjeżdżaliśmy do Derbentu, wpadłam w zachwyt: miasto leżało na samym brzegu niebiesko-zielonego, zawsze niespokojnego Morza Kaspijskiego, łagodnie wznosiło się na górze pokrytej winoroślą. Na jej szczycie znajdowały się stare i malownicze ruiny wielkiej twierdzy z czasów Tamerlana. Niedaleko od niej znajdowała się dzielnica perska, właściwie – perskich Tatarów, niżej zaś, w pewnej odległości, dzielnica żydowska. Tamtejsi Żydzi obrażają się, jeśli nazywać ich Hebrajczykami, a nie Żydami, tak, jak to było w czasach Starego Testamentu²¹. Na dole, nad samym morzem, zamieszkuje ludność mieszana, z dużą ilością Rosjan, którzy w większości osiedlili się tam już po rewolucji.

Było ciepło jak w lecie. Mieszkanie, do którego przyjechaliśmy, leżało na uboczu. To się nam spodobało. Był to niewielki domek byłego właściciela szkoły, otoczony krzakami granatów. Poraziły mnie one swoim pięknem: były nie tylko obfite w całkiem już dojrzałe granaty, ale jednocześnie pokryte pąkami i pięknymi, czerwonymi, wręcz odlanymi z wosku, gęstymi kwiatami. Nie wiedziałam, że coś takiego zdarza się w przyrodzie. Wyjaśniono mi, że jest to wyjątkowa właściwość, należąca tylko do granatów: przez cały rok dają owoce

21 W języku rosyjskim Żydów nazywa się najczęściej jewriejami, czyli „Hebrajczykami”. Natomiast słowo żyd, normalnie używane w języku polskim, w języku rosyjskim uważane jest za wyjątkowo obraźliwe.

i jednocześnie kwitną. Nie mają za to żadnego zapachu. Inżynier (po naszymu – figowiec), migdał, orzech włoski i morwa były pięknym i bogactwem sadu. W niewielkiej odległości znajdowała się byle jak zaorana ziemia, z zaschniętą winną latoroślą, dzieło rąk ord bolszewickich, które niszczyły i doprowadzały do ruiny majątki prywatne, do jakich zaliczała się przez rewolucją także szkoła sadownictwa i ogrodnictwa. Jej właściciel był Rosjaninem. Natomiast winnice żydowskie jeszcze w 1923 roku pozostawały w rękach swoich właścicieli. Czuliśmy się jak w raju na ziemi. Młodsza ze starszych dwóch córek, która ukończyła już siedemnaście lat, wstąpiła na służbę do zarządu kolei. Starsza natomiast jeszcze w 1922 roku poznała się z pewnym byłym oficerem armii Denikina, któremu nie udało się wyjechać z Rosji (ocalał cudem) i została jego narzeczoną.

Nasze szczęście nie trwało długo. Już po miesiącu mój mąż odszedł z pracy. Nie miał cierpliwości do tego, by długo pozostawać na jednym miejscu i wciąż szukał czegoś nowego. Jednak niczego nowego nie znalazł, gdyż w tamtym czasie szlachetnie urodzonym bardzo trudno było znaleźć pracę i musieliśmy opuścić mieszkanie. I znów poszukiwania, znów walka o byt. Znaleźliśmy pomieszczenie bez podłogi, na ziemi, w domku z cegły samanowej, zakopcone i całe w pajęczynach. Wszystkie lepsze miejsca w mieście były zajęte. Wieczorem, tego samego dnia, w którym czyściliśmy i przygotowaliśmy pomieszczenie, znowu stało się straszne nieszczęście z moją biedną, cudowną pod każdym względem Irenką. Mimo, iż zawsze była cierpliwa i powściągliwa, zakrzyczała nagle strasznym głosem. Stałam obok niej i ujrzałam, jak ze strasznym krzykiem opęda się od czegoś głową. Ukąsił ją skorpion i wpił się w jej szyję. Nie podejrzewałam, że tam są skorpiony. Upadł na ziemię. Na krzyk przybiegły trzy gospodynie, siostry w starszym wieku, zakręciły się nerwowo i przyniosły flaszeczkę z jakimś olejem, wlały w dziurki, które zostały po ukąszeniu skorpiona (o szerokości co najmniej dwóch milimetrów), tym samym olejem zmoczyły watę i przywiązały do bolącego miejsca, które znajdowało się na tylnej części szyi, pod włosami.

Był to wyciąg z tychże skorpionów, jedyny środek, który może wybawić od śmierci po ich ukąszeniu. Ból zaczął mijać i dzięki Bożemu miłosierdziu nie pojawiło się zapalenie, a moja droga córka szybko doszła do siebie. Po tym wydarzeniu przyroda straciła dla mnie całe swoje piękno. Troski, bóle i Boże miłosierdzie w tych nieszczęściach towarzyszyły nam wtedy wszędzie i zawsze. Święty Mikołaj był z nami. Piszę „wtedy”, gdyż wówczas Jego Miłosierdzie było całkowicie oczywiste, widoczne dla oczu, wręcz dotykalne rękami. Teraz, gdy utraciłam wszystkie dzieci, co do jednego, rozumiem Jego Miłosierdzie i w Nim pokładam nadzieję. On przez bóle, troski i smutki wzywa nas do przyszłego życia wiecznego (tak mnie, jak i moje dzieci, o ile któreś jeszcze żyje). Ostatecznie nie zamieszkaliśmy w tamtym pokoiku, mimo namów trzech bardzo miłych gospodyń, które zapewniały, że ukąszenia skorpionów nie są normalnym zjawiskiem, a wyjątkowo rzadkimi, nieszczęśliwymi wypadkami.

Piotruś, jak już pisałam, nie miał prawa do nauki w żadnym technikum, czy szkole zawodowej, nie mówiąc już o jakiegokolwiek szkole wyższej. Dlatego po zakończeniu siedmiolatki (tak się te szkoły nazywały), która nie dawała żadnego wykształcenia, wyraził pragnienie odbycia praktycznej nauki podstaw techniki i został przyjęty do zajezdni kolejowej jako uczeń-czeladnik. Niejednokrotnie przypominało mi się określenie Tołstoja „stromie górki”. Tak, ten chłopiec z wadą serca i ze skłonnością do nawrotów reumatyzmu stawów przeszedł prawdziwe „stromie górki”. Zawsze cichy, pokorny, cierpliwy, niósł wielki krzyż, nie na swoje lata, niósł go twardo i mężnie, stawiając sobie za swój główny cel zdobycie wykształcenia, po to, aby jak najprędzej stanąć na nogi i stać się moim pomocnikiem.

Gdy otrzymał propozycję wstąpienia do Komsomołu, odmówił. Było to możliwe, ale ci, którzy to uczynili, byli przedmiotem szczególnej uwagi ze strony GPU i mogli być już spokojni co do dalszych losów swojego ziemskiego życia przy bolszewikach. Ciągle jakoś wierzyłam, że naród nie wytrzyma kary Bożej za odstępstwo od Boga, nawróci się, przyniesie pokajanie i nastąpi koniec wszystkich mąk, ale większość narodu rosyjskiego z obojętnością spoglądała na wyniszczenie, na męki wszystkich najlepszych ludzi, którzy pozostawali wierni Bogu i nie oddali pokłonu bestii. Pierwszy rok był dla Piotrusia straszny. Komuniści-maszyniści pastwili się nad nim, nie jeden raz w ciągu dnia wysyłając po wódkę. Nie było ani jednej ciężkiej pracy, której nie spychaliby na jego barki, gdy nikt inny nie chciał jej wykonać. Oto przykłady. W czasie bezśnieżnej zimy, gdy następował mróz, przy burzy od strony morza padał nie śnieg, a marznący deszcz, który zmieniał się w odłamki gruszkowatego kształtu. Na brzeg wyrzucało zamarznęte dzikie kaczki, z przewodów telegraficznych spadały wróble. Zajezdnia znajdowała się na samym brzegu morza. Okazało się, że tender²², wypełniony wodą, przecieka i trzeba było znaleźć dziurę. Rozkaz komunisty, naczelnika zajezdni: „Włóż do wody i znajdź dziurę”. Każdy komsomolec by odmówił, ale jemu nie wolno, po prostu rozstrzelaliby za nieposłuszeństwo wobec władzy. Tak,

22 Tender – wagon specjalnej konstrukcji do przewozu węgla (lub – rzadziej – oleju opałowego) i wody dla parowozu.

jak był – w butach i skórzanej kurtce roboczej, mój chłopiec przez ponad godzinę stał po ramiona w lodowatej wodzie, tak długo, aż znalazł dziurę. Przyszedł do domu całkowicie oblodzony, długo nie można było mu ściągnąć butów. Myślałam, że teraz już ostatecznie go utracę, bo wydawało się niemożliwe, żeby nie zachorował. Ale u Boga wszystko jest możliwe. Innym razem trzeba było zanitować dół parowozu, który z powodu naprawy stał nad rowem ściekowym, dokąd ściekał zeń mazut. Było to również w mroźny dzień i leżąc na plecach, cały w mazucie, musiał on wykonać tę straszną robotę, której nie można było wykonać inaczej, jak tylko na leżąco.

Następnego dnia stosunek do niego uległ pewnej poprawie i te nieludzkie dusze ujrzały w nim cichego, dobrego kolegę, zawsze gotowego do pomocy wszystkim razem i każdemu z osobna. Tak, matka ma wiele radości z powodu dzieci, ale przeżywanie ich cierpień jest nie do zniesienia. Jakże byłoby lekko, jeśliby wszystkie ich męki można było wziąć na siebie.

Po ukąszeniu Irenki przez skorpiona otrzymaliśmy od zarządu kolei dwupokojowe mieszkanie, z powodu służby Piotrusia w zajezdni. Mąż dostał pracę w leśnictwie o 20 wiorst od Derbentu. Piotruś zarabiał zupełnie mało pieniędzy, ale za to otrzymywaliśmy chleb i jakieś artykuły, mąż też zarabiał i oddawał nam trochę. Choć bardzo skromnie, ale dało się żyć.

Wobec tego, że przyjechalśmy pod koniec września, to trwał jeszcze zbiór późnych odmian winogronu i Żydzi-wytwórcy wina bez problemu przyjmowali do pracy, płacąc za dniówkę wiader dowolnego rodzaju winogron. Oczywiście chodziłam i ja, i dzieci, ale była to już końcówka i po kilku dniach zbiory się zakończyły. Wszyscy tamtejsi Żydzi zajmowali się produkcją wina i w tamtym czasie, jak już pisałam, wszyscy jeszcze byli gospodarzami w swoich sadach. Wino było wytwarzane najbardziej prymitywnym sposobem, zapewne jeszcze z czasów Starego Testamentu. W wielkiej kadzi, o średnicy gdzieś półtora sążnia, stało troje-czworo ludzi z podkasanymi powyżej kolan spodniami. Bosymi nogami tłoczyli winogron, a sok wyciekał przez kran. Wino bardzo dobre, ale zawsze starałam się nie pamiętać o tych bosych nogach. Lubiliśmy także chodzić zbierać kłosa pszenicy na skoszonych polach, położonych w górach, z których otwierał się cudowny widok na morze. Ale i tutaj przyroda była zatruta: takiej ilości pcheł, jaka tam była (być może z powodu sąsiedztwa brudnej dzielnicy perskiej) nie można sobie wyobrazić; napadały dosłownie tysiącami i w szczególności oblepiały boscie nogi.

Mój mąż mieszkał w pobliżu małej stacji w środku lasu. Bardzo mnie ciekawiła roślinność, niespotykana na północy. Pierwszy raz na własne oczy zobaczyłam, czym są liany i w jaki sposób oplatają las. Pewnego razu widziałam niewielkiego węża, wiszącego na dużej wysokości głową w dół, który trzymał się ogonem za sęk drzewa. Najbardziej podobała mi się wielka ilość cudownych pieczarek, zdarzały się także prawdziwki.

Jeździłam tam często i zbierałam je wczesnym rankiem, prawie przy samej stacji. Potem suszyłam na zimę. Większość ogromnych drzew to były dęby, z których zbieraliśmy żołędzie na kawę. Głębiej w lesie, na bardziej odsłoniętych miejscach, rosła dzika pigwa.

W tamtym czasie nie pracowałam i mogłam odpocząć, ale zbliżał się głód. Pewnego razu poszłam pooglądać dzielnicę żydowską. Moim największym marzeniem było pojechać choć raz w życiu do Jerozolimy. Oprócz duchownej tęsknoty za Grobem Bożym i Świętościami Palestyny, interesowały mnie starotestamentalne miasta, ich budowa, ulice i cała przyroda, o której dużo czytałam i którą oglądałam na obrazach. Nawet po weselu nie interesowała mnie zwyczajowa podróż do Paryża, czy do Włoch, ale bardzo prosiłam męża, żeby się zgodził na wyjazd do Jerozolimy, lecz on nie podzielał moich poglądów, uważając je za pusty wymysł.

Podchodząc do osiedla, poczułam radość: wydało mi się ono jakby zakątkiem Jerozolimy. Chciałam przejść i pooglądać dokładnie wewnętrzne podwórka i pomieszczenia, poznać, choćby powierzchownie, codzienny byt tamtejszych Żydów gdy nagle, po moich pierwszych krokach, dosłownie rzuciły się na mnie dwie stare Żydówki, które wyskoczyły ze swoich domów i zaczęły ciągnąć, każda w swoją stronę, mówiąc coś szybko w swoim języku.

Oczywiście niczego nie rozumiałam i w żaden sposób nie byłam w stanie się domyślić, o co chodzi i czego ode mnie chcą. Jakoś wyrwałam się z ich wczepionych we mnie rąk i szybko poszłam do domu, odprowadzana nieprzyjawnymi krzykami.

Okazało się, że była sobota i nie miały one prawa zapalić ognia. W piecu wszystko gotowe, jedzenie przyzykowane, drzewo ułożone, szczapki podłożone, obok leżą zapałki, ale podpalić ma prawo jedynie chrześcijanin, a nie żyd. Zapewne mahometanom też nie dawali podpalać, gdyż zawsze przechodziło ich tam wielu, ale ich nie wołali. Powiedziano mi, że bardzo obraziłam te dwie stare Żydówki.

Zadziwiające i bardzo ciekawe, w jaki sposób w ogóle starali się obejść swoje prawa. Naprzeciw nas mieszkała bogata rodzina. Pewnego razu widzę taki obrazek: do bramy podjechał powóz z parą dobrych koni. Za nim szło nie mniej, niż trzydzieści kobiet w kwefach, ale kwefy nie były opuszczone na twarz, tylko podniesione nad głowami. Na lewym ramieniu niosły amfory z wodą. Rozdzieliły się: dwie stały przy tylnych kołach, dwie

przy stopniach powozu, dwie przy przednich kołach, a pozostałe parami przed końmi. Z bramy wyszedł mężczyzna i stara Żydówka, niosąca na rękach świeżo narodzone niemowlę w bogatym, niebieskim kocyku. Siedli do powozu, i w chwili, gdy woźnica podniósł lejce, wszystkie Żydówki zaczęły oblewać koła powozu; w miarę, jak konie kroczyły, oblewały one drogę przed nimi. Okazało się, że ósmy dzień niemowlęcia wypadł na sobotę i wieźli go do synagogi na obrzezanie, a w sobotę Żydzi mogli podróżować tylko po wodzie.

Ich ceremonie ślubne były bardzo piękne. Widziałam je na ulicy. Przebogate suknie z brokatu, najrozmaitszych kolorów, błyszczące od złota, podobne do sarafanów oraz białe kwefy. Na początku idą młodzi, ona z kwefem opuszczonym na twarz; potem rodzice, krewni, znajomi, a na końcu wiano. Najpierw niosą ogromny biały chleb, o średnicy co najmniej arszyna, pokryty w całości złotymi napisami, potem szkatułki z drogocенnościami, następnie, na osłach – jadą pierzyny, poduszki, kołdry i ciąg kufrów, o długości zależnej od bogactwa. Natomiast bardzo się nam sprzykrzył płacz nad umarłymi, który rozlegał się na prawie każdej ulicy. W drzwiach od strony ulicy, które zawsze były w takich przypadkach otwarte, można było zobaczyć, jak na podłodze, na matach, wokół trójnoga z ogniem, siedzą w kucki kobiety-płaczki w czarnych narzutach i przeciągle, smętnie lamentują, naśladując płacz. Czas płaczu zależy od wielkości majątku krewnych zmarłego. Po śmierci biednego płacz mógł trwać przez kilka dni, a im ktoś był bogatszy, tym dłużej płakano, czasami nawet przez cały rok. Ilość płaczek też zależała od środków materialnych.

Widziałam, jak chowali zmarłych. Zmarłemu nie pozwalają przebywać w domu dłużej, niż godzinę. Gdy tylko umrze, nie wkładają go do trumny, ale jak najszybciej (im szybciej, tym lepiej) zawijają go w coś czarnego i kilku mężczyzn biegnie z nim co sił w nogach na cmentarz. Widziałam też to, o czym przedtem tylko czytałam w Biblii – jak rwą swoje włosy, rozrywają na strzępy swą odzież, i to nie tylko z nieszczęścia, ale także w czasie kłótni, a kłótnie między nimi zdarzały się zawsze i wszędzie, nawet na ulicy i przy ludziach. Czasami wpadali w taką wściekłość, że w ruch szły noże.

Po dwóch latach naszego pobytu w Derbencie również i tam zaczęto stosować bolszewickie prawa. Ewidencja plantacji winogron obejmowała nie tylko plantację jako całość, ale ewidencjonowano także ilość lato-rośli i wszystkich drzew owocowych. Następnie zaczęli odbierać własność prywatną, aż wreszcie w czasie spisu ludności wszyscy dawni właściciele sadów i winnic zostali zesłani na Syberię. Jak dowiedziałam się później, nie ominęło to również tamtejszych Żydów, z ich starotestamentalnym, patriarchalnym światem i wiarą. Tamtejsi Żydzi nie zostali postawieni w jednym rzędzie z sowieckim Żydostwem, które korzystało z wszelkich praw i przywilejów.

W dzielnicy perskiej nie było nic szczególnie ciekawego. U Żydów wszędzie było czysto, zarówno w domach, jak i na podwórkach, na których nawet najbiedniejsi mieli fontannę. U Persów zaś był brud, sprawiali wrażenie jakiegoś dzikiego narodu, który nawet nie słyszał o prymitywnej choćby kulturze. Dowodziły tego ich święta i zabobony. W czasie, gdy tam przebywaliśmy, miało miejsce pełne zaćmienie księżyca. W chwili, gdy nastąpiła ciemność z ich osiedla wydobyły się niewyobrażalne dźwięki i wycie. Mój Piotruś poszedł wtedy ze swoimi kolegami z pracy, aby popatrzeć, jak Persowie będą przeganiać się nieczystą, która ukradła księżyc. Wszyscy, od małego do najbardziej niedołęznego starca, wyszli na płaskie dachy swoich małych domków z bębniami, trąbami, talerzami miedzianymi itd. i zaczęli w nie bić z całej siły, jednocześnie krzycząc, wyjąc, grożąc i machając czym się dało: kołdrami, szmatkami, pogrzebaczami, aby przegnać diabła. Raz na trzy lata mieli święto narodowe, które nazywało się Saksej-Waksej. Nie poszliśmy go oglądać, gdyż kończyło się ono w ten sposób, że po długiej, zręcznej i pięknej dzigitówce, której towarzyszyły dzikie tańce, młody Pers, który otrzymał najwyższy aplauz tłumu, wykonywał taniec, w trakcie którego wpadał w stan całkowitej egzaltacji, wyciągał kindżał i na oczach wszystkich zakłuwał się na śmierć. Był to ich święty obyczaj, ofiara jakiejś czarownicy Lutnie, która w dawnych czasach w czasie wojny uratowała Persję od wrogów.

To był ostatni raz, gdy świętowali to święto. Bez względu na wszystkie protesty tego pół dzikiego plemienia, które przywykło do tej tradycji, bolszewicy ją znieśli. Jesliby to uczynili w imię chrześcijaństwa, to można byłoby się z tego cieszyć.

24. CZECZEŃCY

Jakoś dociągnęliśmy do wiosny. Moje dwie starsze córki niemal jednocześnie wyszły za mąż. Nie zadowalało mnie ani jedno, ani drugie małżeństwo, ale im nie przeszkadzałam, mimo, iż były one dla mnie nowym rozgoryczeniem. Pozytywną stroną było to, że w ten sposób wyrwały się z głodu i nieustannej, całkowitej nę-

dzy, jakiej doświadczaliśmy przez wszystkie te lata. No i było jeszcze jedno, wielkie pocieszenie – że obydwaj mężowie, chociaż i niezbyt religijni, to jednak wierzyli w Boga i wzięli ślub cerkiewny bez przymusu z mojej strony. Przeżyliśmy lato. Pogoda w październiku była cudowna, wręcz gorąca. Rozkoszowaliśmy się kąpielami w morzu. Bałam się bardzo, gdy fale przewalały się nad głową, serce mi zamierało z powodu dzieci, ale potem przyzwyczaiałam się, widząc, że żaden z kąpiących się nie tylko nie ma obaw, ale wręcz przeciwnie – każdy stara się jeszcze dalej wyjść na spotkanie fal. Morze Kaspijskie, jak już pisałam, jest zawsze wzburzone i jego wody nieustannie uderzają w brzeg.

Mój mąż wkrótce pozostawił kolejne miejsce pracy i wrócił do nas. Teraz trzeba było jeszcze i jego karmić, a nie było prawie nic do jedzenia. Na bazarze ceny poszły strasznie do góry. Zaczęła się zwyczajna w takich sytuacjach spekulacja i tak zwane paskarstwo²³, gdy trzeba było jeździć gdzieś daleko, by dostać mąkę żytnią, lub ziemniaki. W styczniu jeździłam na północ, za Grozny, w straszliwych, już opisywanych warunkach jazdy na kolei. Ale mimo to ciekawiły mnie nowości. Na przykład taki obrazek: mroźna, księżycowa noc. W pobliżu malutkiej stacji, w której nie pozwolili nocować, pali się ognisko. Dokoła siedzą paskarze i ja wśród nich, ale do ognia przychodzą nie tylko ludzie: z dolnych partii gór wychodziły do ognia szakale i siadały sobie, niczym psy, na tylne łapy, w odległości nie większej, niż 50 kroków. Podobne trochę do zjezonych wilczków, trochę do obdartych lisów ze sterczącą sierścią. Ich oczy płonęły jak ogniki, wyły i szczękały zębami. Momentami zbierały się na śmiałość i podchodziły coraz bliżej do ludzi i do ognia. Wtedy ktoś rzucał w nie płonąca głównią – odchodziły, ale po kilku minutach znów wracały i tak aż do świtu. Gdy człowiek nie jest sam, a jest kilku ludzi, wtedy się nie rzucają. Ale gdy jest ich dużo, i trafiają na samotnego człowieka, niechybnie go rozerwą.

Piotrusiowi, jako pracownikowi kolei, przysługiwała każdego roku bezpłatna podróż dla matki w dowolnie wybrane miejsce. W grudniu, podczas drugiego roku jego pracy na kolei postanowiłam pojechać do Moskwy z malutkim, 8-letnim Andrzejkiem. Piotruś i 11-letnia Natasza zostali z ojcem i najstarsza Irenka też została w Derbencie. Chociaż mieszkała w oddzielnym mieszkaniu, to w pełni mogłam na nią liczyć. Miałam bilet w porządnym wagonie, z sześćoosobowymi przedziałami, połączonymi korytarzem. Pasażerami byli w większości bogato ubrani Żydzi (były to początki NEP-u), z Baku i Tyflisu, i tylko dwa przedziały były zajęte przez Persów. Andrzejek był nadzwyczaj ładny i wesoły i Persowie bawili się z nim przez cały dzień. Chociaż z trudem mogliśmy się porozumieć, byli jednak wśród nich tacy, którzy mówili trochę po rosyjsku i opowiedzieliśmy sobie, dokąd jedziemy. Czestowali nas z Andrzejkiem cudownymi orzechami włoskimi z cienką skorupką, rodzynkami i figami. Do stacji Gudermes pozostawał jeszcze tylko jeden przystanek. W Gudermesie kierownikiem ruchu był inżynier G., z którym poznaliśmy się jeszcze w Nalcziku. Wiedząc, że wybieram się do Moskwy, poprosił, abym zrobiła sobie przerwę w podróży i odwiedziła go wraz z żoną. Ubrałam więc Andrzejkowi ciepłą kurtkę i czapkę, gdyż była zima, w wagonie zresztą też było zimno. Sama zaś się nie ubrałam, myśląc, że jeszcze zdążę. O godzinie czwartej po południu podjechaliśmy do ostatniego przystanku, do rozjazdu w Inczche. Pociąg się tam zazwyczaj nie zatrzymywał, lecz tym razem stanął. Nie zwróciliśmy uwagi sądząc, że to jakaś normalna rzecz w czasie jazdy – pociąg z naprzeciwka, czy też może coś innego. Stoimy. Okna zamarły. Stoimy godzinę, stoimy dwie, pasażerowie się niepokoją, nie ma ani jednego konduktora, i nikt nie przychodzi, żeby poinformować, co się stało. Stoimy jeszcze godzinę, zrobiło się całkiem ciemno, i rozlegają się jakieś krzyki. Skład był długi, a nasz wagon znajdował się na samym końcu. Dzikie krzyki zaczęły się przybliżać i nagle do naszego wagonu wpada dwudziestu Czezeńców, strasznych, rozbestwionych, w ogromnych papachach, wszyscy z bronią i pochodniami w rękach. W pierwszej chwili pomyślałam, że to GPU kogoś szuka, gdyż jeden z nich krzyczał po rosyjsku: „Pieniądze dawaj!” Ale zaraz zrozumiałam, że to napad rozbójników. Zawczasu, zanim jeszcze przyszli do naszego przedziału, przymknęłam drzwi. Dwaj Żydzi, którzy z nami jechali, wyskoczyli, Czezeńiec szarpnął drzwi, ja znowu chciałam je przymknąć, wtedy uderzył mnie kolbą w piersi i upadłam na siedzenie. Na szczęście nic mi się nie stało. Wybił okno i zaczął wyrzucać z przedziału wszystkie rzeczy.

Wykorzystałam ten moment, złapałam Andrzejka i wysliznęłam się koło niego i innych Czezeńców do sąsiedniego przedziału, gdzie jechali znajomi Persowie. Było ich tam pełno, gdyż wszyscy wcisnęli się do tego przedziału. Ja nie wypuszczałam Andrzejka z rąk. Mężczyzna siedzący najbliżej drzwi złapał mnie za talie obiema rękami, szybko nas posadził sobie na kolana i powiedział: „Siedz i milcz”. Znów Boże miłosierdzie. Gdy tylko weszłam, zdążyli zatrzaskać drzwi. Czezeńcy zaczęli szarpać drzwi i bić w nie kolbami. Persowie drżącymi głosami zaczęli przez zamknięte drzwi prosić, żeby ich zostawili w spokoju i cały czas krzyczeli „Allah, Allah” i coś jeszcze. Gdy jednak zmuszono ich do otwarcia drzwi, Persowie ruchem oczu przykazali nam z Andrzejkiem schować głowy. Schowaliśmy je wciskając się w palto Persa. Jeden z nich, trzęsąc się, wyjaśniał

coś rozbójnikom wymieniając imię Allacha. Zostawili przedział w spokoju i zamknęli drzwi. Okazało się, że Persowie zaręczyli, iż oprócz muzułmanów nikogo innego w przedziale nie ma. Wszędzie, w każdym narodzie są dobre serca! Czeczeńcy poszukiwali Rosjan i w ogóle komunistów.

Gdy wszyscy już poszli, można było oprzytomnieć i wyjść na korytarz. Oczom przedstawiał się niewesoły widok. Wszystkie okna wybite, mężczyźni w samej bieliźnie krzyczą z rozpacz, wielu ludzi płacze. Stracili wszystko, zabrano im złoto (a tego Żydzi mieli niemało), które chowali na sobie. W naszym wagonie, oprócz mnie, była jeszcze tylko jedna kobieta i Czeczeńcy zabrali ją, tak jak i wszystkie kobiety z całego pociągu. Nieszczęsne kobiety, złapane przez Czeczenów lub Inguszy, nigdy już nie wracały.

Na niebie pojawił się księżyc w pełni, chwycił mróz, a ja zostałam bez płaszcza, gdyż wszystkie moje rzeczy wyrzucili przez okno. Dobrze, że przynajmniej wcześniej ubrałam Andrzejkę. Całe torowisko było zarzucone walizkami, kocami, koszami, które rozbójnicy szybko zbierali i układali na szczególnego rodzaju dwukółkach. Czeczeńcy mieszkają (albo raczej – mieszkali) w górach, niemal na samych szczytach, i rzeczywiście, bardzo trafne jest porównywanie ich z orłami. W tamtym czasie nie można było do nich dotrzeć żadnymi środkami komunikacji. Teraz w gazetach piszą, że z powodu ich powstania przeciwko sowieckim, komunistycznym prawom i reżimowi całe ich plemię przymusowo przesiedlono na Syberię. Bardzo wątpliwe, czy dadzą radę przystosować się do tamtejszego klimatu i warunków życia, które są całkowicie odmienne. Jest oczywiste, że o ile jeszcze plemię to nie wymarło całkowicie, to wkrótce nawet pamięć o tym narodzie zniknie z powierzchni ziemi.

Okazało się, że z rozjazdu Inczche przez dwa dni dzwoniło na stację Chasaw-Jurt z prośbą o przysłanie ochrony wojskowej, gdyż podejrzane grupy Czeczeńców zjeżdżały z gór na swoich dwukółkach i rozmieszczały się w pobliżu stacji. Stamtąd odpowiedziano, że już niedawno wzywano pociąg pancerny i alarm okazał się fałszywy. Gdy z Chasaw-Jurtu dzwoniło na rozjazd, mówiąc, że nasz pociąg osobowy już odjeżdża, to nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi, ale mimo to pociąg puścili. Dyżurny telegrafista stacji i jeszcze trzech pracowników kolei leżeli w tym czasie związani. Gdy nasz pociąg podjeżdżał i powinien był nie zatrzymując się jechać dalej, na rozjeździe w Inczche nie dali sygnału, że droga jest wolna i pociągu nie spotkał dyżurny, zgodnie z tym, jak powinno było być. Wobec tego maszynista zatrzymał pociąg. Wtedy do parowozu natychmiast wskoczyli Czeczeńcy, związali maszynistę i palacza i zaczęli się włamywać do wagonu bagażowego, ale nie udało im się tego dokonać, gdyż był opancerzony. I przez te trzy godziny, w czasie których staliśmy, Czeczeńcy grabili pociąg, począwszy z pierwszego, a skończywszy na ostatnim, naszym wagonie. Nikogo nie zabili. Gdy zaczęli szybko odjeżdżać, z załadowanymi do granic możliwości dwukółkami, to pasażerowie, którzy wyskoczyli z wagonów oraz konduktorzy uwolnili związanych i pociąg mógł ruszyć w kierunku Gudermesu. Dopędzić ich było nie sposób. Koniki całkiem malutkie, podobne do osłów, dwa koła o średnicy nie mniejszej od sążnia, między nimi coś w rodzaju skrzynki i nadzwyczajna szybkość. W Gudermesie spotkał mnie mój znajomy i wziął do siebie. Andrzejek był mocno wystraszony, a ja niewiele mniej, i nie chciałam już jechać do Moskwy, a wracać do domu. Ale znajomy namówił mnie, żebym się przełamała, gdyż w przeciwnym wypadku strach zostanie we mnie na zawsze. Dał mi swoją ciepłą kurtkę i po upływie kilku godzin pojechaliśmy. Podróż tam i z powrotem minęła bez problemów.

25. PODWIG PODROSTKA

W styczniu i lutym nic szczególnego się nie wydarzyło. Pascha w 1924 roku była bardzo wczesna. Mąż leżał chory. Pogoda w noc paschalną była straszna. Padał mokry śnieg i wiał mocny wiatr, ale jak tu nie pójść na jutrznię? No i trzeba było poświęcić mały kulicz, zrobiony z ogromnym trudem. Najstarsza córka też była chora, młodszych dzieci nie wzięłam ze względu na niepogodę – i poszłam sama.

Stary kapłan, o. Mikołaj, był bardzo dobry. Nie we wszystkich miastach, ale jednak jeszcze gdzieś istniały cerkwie i to te nie należące do „Żywej” Cerkwi, a tak zwane „Tichonowskie”²⁴. Gdy zaczęli wynosić chorągwie, to nagle, ze wszystkich stron nadlecieli przebrani komsomolcy w strasznych maskach przedstawiających bestię z rogami, okrążyli procesję i bardziej nawet, niż bestialskim wyciem, wizgiem i szczekaniem starali się zagłuszyć śpiew. Kapłan nie zawahał się ani na chwilę i wszystko zostało odsłużone tak, jak zawsze, w należyтым porządku. Gdy zaśpiewali przy drzwiach świątyni „Chrystus Zmartwychwstał”, dziki ryk, wycie, rechot i bluźnierstwa

24 Czyli wierne Patriarsze Tichonowi, znajdujące się w jego jurysdykcji.

osiągnęły swoje straszne apogeum. Do świątyni nie weszli, ale czekali przed cerkwią i gdy ludzie zaczęli wychodzić, wrywali z ich rąk węzłki z kuliczkami, paschami, pisankami, rzucali w błoto i deptali nogami. W tamtych latach takie rzeczy działy się we wszystkich miastach.

Wczesną wiosną w Derbencie zaczyna się putina, czyli masowy połów ryb. My znowu nie mieliśmy wtedy nic do jedzenia. Nawet na kolei prawie w ogóle przestali dawać chleb. Mąż miał zapalenie płuc. Trzeba było coś wymyślić. Poradzono mi, żebym poszła na oddalone o cztery wiorsty miejsca połowów, gdyż tam można było jakoś za darmo dostać trochę ryb. Poszłam z dwójką najmłodszych. Pogoda była przepiękna. Na brzegu znajdowały się długie, niskie budowle podobne do spichlerzy, pod nimi zaś były głębokie cementowe jamy, rozciągające się na całą ich długość i szerokość. Zaraz przy nich, na brzegu, stały dwa kieraty, ale poruszane nie przez konie, ale przez półnagich Persów. Przy każdym z kieratów pracowało około dwudziestu ludzi. Kręcili je, chodząc dokoła i nawlekali sieci na skrzydła. Z tych skrzydeł z sieciami, o długości ponad 100 sążni, wyskakiwały na piasek ogromne śledzie kaspijskie, a czasami bardzo duże byczki. Rzucali się na nie oczekujący ich Żyd i Żydówki i zbierali je do worków, momentami wrywając je sobie wzajemnie, przy czym dochodziło między nimi do bójki. Był to sposób na przetrwanie dla wielu ludzi, również i nam Bóg dał tę możliwość – przez cały miesiąc sprzedawaliśmy je na bazarze i w taki sposób żyliśmy z nich wraz z mężem i z dziećmi. Oprócz tego, że żyliśmy z ryb, czasami miewałam też trochę pieniędzy. Starszy nadzorca, Rosjanin, nakazywał przeganiać Żydów, gdyż przeszkadzali w pracy, Persowie zaś, nie krępując się, bili ich kijami. Tamci odchodzili trochę, a po chwili znów wracali i podbierali ryby.

Wreszcie zabroniono im to robić pod groźbą aresztu. Nadzorca podszedł do mnie i zapytał: „Co Panią, inteligentną damę, zmusza do takiej roboty – noszenia na plecach mokrych ryb na odległość czterech wiorst?” Odpowiedziałam: „Skrajna nędza i niemożność otrzymania pracy”. Powiedział: „Może Pani przychodzić co rano i nikt Pani nie będzie przeszkadzał”. To był dopiero 1924 rok. Tych ryb, które wyskakiwały na piasek nie brali na zasolenie, gdyż najpierw należałoby je opłukać, a w porównaniu z tą ilością ryb, którą wyciągano na brzeg w tak zwanych workach (w środku sieci), płukanie takiej znikomej ilości ryb było tylko stratą czasu. Dobry połów przekraczał 4000 pudów²⁵. Gdy skrzydła z sieciami były naciągnięte na kieraty i worek z rybami znajdował się przy samym brzegu, to po przerzuconych mostkach podjeżdżał do niego cały rząd taczek. Następnie wielkimi sakami wybierali ryby z łódek, składali na taczki, podwozili do spichlerzy, wybierali jesiotry, karpie i inne duże ryby, a żywe śledzie układali w dole, koło którego stało dwóch ludzi, zasypujących je solą.

Co rano chodziłam tam z dziećmi bez obawy, że będą mnie bić kijami. Dzieciom dawałam do niesienia w miarę ich możliwości, po kilka funtów, sama zaś niosłam na plecach czasami nawet ponad pud. Przynosiłam ryby do domu, zostawialiśmy sobie trochę ryb do jedzenia na jeden dzień, resztę zaś zanosłam na bazar, gdzie pewien sprzedawca brał je ode mnie po bardzo marnej cenie. Wszystko szło dobrze, tylko że od tego o mało co nie postradałam życia.

Myślę, że było to przyczyną ciężkiej malarii, na którą zachorowałam. Leżałam w szpitalu od 5 kwietnia do 5 grudnia. Padał ulewny deszcz, dzieci zostawiłam w domu, a sama nie mogłam nie iść, gdyż nie było nic do jedzenia na następny dzień. Szłam cztery wiorsty, tam i z powrotem w deszczu, z workiem pełnym mokrych śledzi na plecach. Przemokłam do suchej nitki i po powrocie do domu długo się trzęsłam, nie mogąc się zagrzać.

Pewnego razu, gdy wracałam do domu drogą, wzdłuż której po obydwu stronach rosły sady owocowe, zachwycałam się kwitnącymi brzoskwiniami i migdałami. Wszystko wydawało się takie wiosenne, młode i radosne. Ale zaniepokoiła mnie pewna sytuacja i cały nastrój prysł, zmieniając się w jakąś niepojętą dla rozumu trwogę. Było coś niewiadomego i tajemniczego w tej cudownej przyrodzie. W każdym sadzie, przy wejściu, stał słomiany szałas. I oto na jednym z nich przysiadł nieznany mi dotąd czarny ptak i zakrzyczał trzy razy jakimś ciężkim i ostrym głosem. Ptak ten był trochę większy od wrony, całkowicie czarny. Nie spodobał mi się i ogarnęło mnie jakieś niejasne wewnętrzne przeczucie. Obok przechodziło dwóch ludzi, słabo mówiących po rosyjsku. Jeden z nich powiedział do drugiego: „Tutaj będzie dzisiaj nieboszczyk”. Na pytanie, dlaczego tak myśli, odpowiedział: „Przecież to ptak śmierci! – wymienił jego imię, ale nie zrozumiałam – Tam, gdzie zakrzyczy trzy razy, w tym domu będzie śmierć”. Po upływie trzech dni od tego dnia, w którym tak mocno przemokłam, strasznie zachorowałam i leżałam w wysokiej gorączce. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciw nas, mieszkał maszynista, nie komunista, wierzący, wraz z żoną. Zaznajomiliśmy się i odwiedzaliśmy się wzajemnie. Mieli dwóch synów, Wołodę i Wasię, w wieku siedmiu i sześciu lat. Po obydwu stronach ulicy rosły białe akacje, które zaczęły już kwitnąć. I oto dokładnie naprzeciwko mojego okna, lecz po drugiej stronie ulicy, pod oknami maszynisty usiadł na drzewie ten czarny ptak, trzy razy zakrzyczał i odleciał. Pomyślałam, że to mi ptak

oznajmia śmierć. Nie minęło dziesięć minut, jak wbiegł mój Andrzejek, przestraszony i wzburzony do granic możliwości, z krzykiem: „Mamusi! Zadusiło Wołodę i Wasię!”. Mimo gorączki podniosłam się na łóżku i widzę: nieszczęsna matka biegnie i pod obydwu rękami trzyma swoich martwych chłopców. Okazało się, że bawili się w ogromnym dole, z którego czerpano piasek dla miasta. Mieszkańcy niejednokrotnie zgłaszali zarządowi miasta, że dół należy ogrodzić, gdyż bawią się w nim dzieci, a jedna ze ścian grozi zawaleniem, ale nikt na to nie zwracał uwagi. Chłopcy bawili się tam bez wiedzy rodziców i zabiła ich spadająca bryła.

Nie mniej wstrząsający był inny przypadek. W tym domu, gdzie mieliśmy dwa pokoje, na dole, na pierwszym piętrze, mieszkał niemłody już inżynier, z żoną i siostrzenicą-sierotą, bardzo śliczną, 17-letnią Marusią. Mieli wystarczające środki do życia, udało im się coś tam zachować, poza tym on zajmował dobrą posadę. Wujek miłował swoją siostrzenicę, żal mu jej było, ale jego żona jej nienawidziła. Dostownie nie dawała jej żyć, besztala ją całymi dniami, męczyła różnymi robotami, niejednokrotnie głodziła. Marusia, gdy tylko miała chwilkę czasu, ze swoimi łzami i nieszczęściem przybiegała do mnie. Bardzo mi jej było żal, polubiłam ją, pocieszałam jak umiałam. Na tym samym podwórku był jeszcze drugi, niewielki dom, w którym na pierwszym piętrze mieszkała wdowa, Ukrainka, z dorosłą córką i dwoma synami.

Było to wkrótce po śmierci dzieci maszynisty. Leżałam jeszcze w domu, a nie w szpitalu. Ukrainka przychodzi do mnie we łzach i mówi, że jej córka ciężko zachorowała, przyleciał ptak śmierci, usiadł na parapecie i trzykrotnie zakrzyczał. W żaden sposób nie można jej było przekonać, że to przecież wcale nic pewnego. – „Nie, dzisiaj w moim pokoju będzie śmierć”. I rzeczywiście, śmierć przyszła tej nocy, ale nie śmierć jej córki, a biednej Marusi.

Okazało się, że dwa dni wcześniej jej wujek i ciocia wyjechali na miesiąc na wczasy. Marusi zostawili pieniądze na jedzenie. Ona zaś zrobiła coś takiego: nakupiła wszystkiego, co tylko można, zaprosiła znajomą młodzież, ugościła, poweseliła się, straciła większą część pieniędzy, pożegnała się z wszystkimi jakoś tak dziwnie i wbiegła nocą do pokoju Ukrainki z krzykiem: „Ratujcie, otrułam się!” Ale na lekarza było już za późno, gdyż upadła martwa na podłogę.

Wkrótce poszłam do szpitala, gdzie leżałam przez cztery miesiące z ciężką odmianą malarii. Przez cały ten czas miałam wysoką gorączkę. Nic nie pomagało. Przestałam już przypominać żywego człowieka, wynoszono mnie na łóżku do szpitalnego sadu, gdyż w pokoju było mi duszno. Leżałam tam prawie przez całą dobę bez ruchu. Derbent to jedno z najbardziej malarycznych miejsc na Kaukazie.

Mąż znalazł pracę, ale całkiem nie umiał dbać o dzieci. Żywiły się bardzo źle, gdyż był to czas głodu. Córka oczekiwała dziecka i przychodziła do mnie po dwa i trzy razy dziennie i przynosiła kawę. Zmuszano mnie do picia, bo byłam taka słaba, że nie mogłam jeść. Dwójka najmłodszych przez większą część dnia również była przy mnie. Gdy niepokoiłam się o ich wyżywienie zawsze wesoło mówiły: „Mamusi, nie martw się, jesteśmy najedzeni”. Później dowiedziałam się, że wynalazły pracę, która bardzo się im podobała, ale nie chcieli mnie w to wtajemniczać do czasu, aż wyzdrowieję. W każdą sobotę rano chodzili z torbami albo workami do dzielnicy żydowskiej i zapalali wszystkim piece, za co ich szczerze obdarowywano orzechami włoskimi, suszonymi melonami, gruszkami, migdałami, figami i rodzynkami. Najadali się smakołykami i jeszcze dawali je Piotrusiowi i ojcu. Jak im to przyszło do głowy? Biedne dzieci, pewnie wyszukiwały wszelkiej możliwości jakiegoś zarobku.

Lekarze uważali, że powrót do zdrowia jest dla mnie niemożliwy i poinformowali moją Irenkę, że powoli gasnę i nie ma już możliwości umocnienia organizmu. W ich opinii jedyną rzeczą, którą można by uczynić (choć wątpliwe, czy coś by dała) – to przewieźć mnie do Moskwy, na rodzinną ziemię, żeby zmienić obcy dla mnie klimat. Sądziła jednak, że jest mało prawdopodobne, abym przeżyła drogę do Moskwy.

Druga córka mieszkała z mężem w Rostowie nad Donem. Zajmował on wysokie stanowisko inżyniera kolejowego w południowym zarządzie kolei. Napisano do niego list z prośbą o umożliwienie przewiezienia mnie. Natychmiast przyjechała po mnie jego żona, a moja córka Tania. Wniesiono mnie na noszach do wagonu sanitarnego. Gdy Irenka się ze mną żegnała, była przekonana, że rozstajemy się na zawsze. Umiała jednak zapanować nad sobą i pocieszała mnie, mówiła, że wkrótce do nich powrócę i znowu będziemy razem. Mając silną wolę, nie pozwalała też płakać młodszym. Z powodu tych ciężkich przeżyć po odjeździe pociągu zaczęły się u niej bóle i trzeba ją było odwieźć do szpitala, gdzie po kilku godzinach urodziła się moja pierwsza wnuczka, Nineczka, o dwa miesiące za wcześnie. Była taka krucha i słaba, że jedynie miłość matki mogła ją donosić w grzałkach. Dowiedziałam się o tym dopiero w Moskwie, w szpitalu. Po drodze musiałam zatrzymać się na dwa tygodnie w Rostowie, gdyż lekarz, wezwany do mnie do wagonu polecił odwieźć mnie na dwa tygodnie do szpitala ze względu na słabość serca. Po dwóch tygodniach odwieziono mnie do Moskwy, gdzie leżałam jeszcze przez cztery miesiące. Ogółem chorowałam od 5 kwietnia do 5 grudnia na ciężką odmianę złośliwej malarii tropikalnej – tak nazwano tę chorobę na deseczce znajdującej się nad moją głową.

Choroba była całkowicie wyjątkowa i najbardziej uciążliwe z tego powodu były wizyty masy nieznanymi ludźmi, którzy ciągle przyjeżdżali z innych szpitali i z Instytutu Malarii, przywożąc studentów medycyny i czytając opis mojej choroby. Ale niestety, nie miałam prawa, które w dawnych czasach przysługiwało ludziom leżącym w szpitalach, nie dopuścić do tych wizyt. Płaciła za mnie dyrekcja kolei w Derbencie, jako za matkę znajdującego się tam na służbie Piotrusia i w ten sposób byłam własnością Związku Sowieckiego. Personel szpitala, w większej części składający się jeszcze z ludzi „dawnych”, był bardzo troskliwy i serdeczny. Lekarze mi powiedzieli, że w czasie konsyliów nie było ani jednego głosu za możliwością wyzdrowienia. Tęsknota za dziećmi nie odstępowała ode mnie ani na krok przez cały czas mojej choroby. Gdy zaczęłam wracać do zdrowia i uczyłam się chodzić, przy pomocy dwóch lasek, po ośmiu miesiącach leżenia, wypuszczono mnie ze szpitala, abym dochodziła do siebie u moich krewnych w Moskwie. Po tygodniu oświadczyłam, że wracam do Derbentu. Wszyscy się oburzyli: „Jak to, wracasz tam, gdzie dostałaś malarii? Nie dopuścimy do tego”. Wezwali lekarza, a on powiedział: „W żadnym wypadku!” I znów, ufając w to, że u Boga wszystko jest możliwe, postawiłam na swoim.

Posadzili mnie do wagonu, zapłacili kierownikowi pociągu za to, żeby się mną opiekował, i pojechałam, nie będąc nawet jeszcze w stanie chodzić bez lasek. Podróż miała trwać cztery doby. Wysłałam telegram. Na peronie byli wszyscy moi najbliżsi. Tak! Byłam wtedy bardzo szczęśliwa. Tylko Piotruś miał jakąś bladą i smutną twarz. Od razu poczułam, że stało się coś złego. Ujrzałam moją czteromiesięczną wnuczkę, z ogromnymi pięknymi oczami. Nie mogłam wypuścić z objęć moich najmłodszych, wszyscy mnie otaczali.

Obraz Świętego Biskupa Mikołaja, który nierozłącznie towarzyszył mi w szpitalu, przywiódł mnie z powrotem do domu. Niepokoił mnie tylko wygląd Piotrusia. Na moje pytanie zadane tego samego dnia nie odpowiedział, dał mi dojsć do siebie po przeżytej radości i odpocząć, a następnie, pozostawszy ze mną sam na sam, ze zmienioną twarzą i z przejęciem powiedział: „Mamusiu, jestem komsomolcem. Ale nie potępiaj mnie, najpierw wysłuchaj!” Żaden grom nie poraziłby mnie bardziej, niż ta wiadomość. Nie mogłam oddychać. Jak to?! Mój chłopczyk, mój umiłowany syn i coś takiego?! Przez jakiś czas nie mogłam wypowiedzieć ni słowa, aż wreszcie powiedziałam: „Nie wiem, co było tego przyczyną, ale jeśli nie odejdziesz z komsomołu, to nie mam już syna Piotrusia”. Zbladł całkowicie i powiedział: „Tak, odejdę, ale wysłuchaj, co mam na swoje usprawiedliwienie! Wezwali mnie do komórki komsomołu i zapytali, dlaczego do nich nie należę. Odpowiedziałem, że ze względu na moje przekonania nie mogę być członkiem komsomołu. Wtedy oświadczyli: «Albo zaraz podpiszesz, że wstępujesz do komsomołu, albo natychmiast zostanie wysłany do Moskwy telegram z nakazem wyrzucenia twojej maki ze szpitala, gdyż ty, jako kontrrewolucjonista, zostaniesz wyrzucony z pracy!» Mamusiu! Powiedziałem, że poradzę się ojca. No a tato powiedział: «Wstąp oczywiście, przecież nie można dopuścić, by chorą mamę wyrzucili ze szpitala na ulicę!»”. Zrozumiałam jego cierpienia, wiedziałam, czym grozi mu odejście z komsomołu, ale nie mogłam się na to zgodzić, wolałam już przeżyć straszny ból jego męczeństwa. Prosił mnie tylko, żebym mu pozwoliła nie oświadczać otwarcie o odejściu, a po prostu nie iść na dwa zebrania, które odbywały się codziennie; w takim wypadku uważano, że osoba jest automatycznie wykluczona z komsomołu. Miłość i litość zmusiły mnie do tego, abym się na to zgodziła: przecież miał dopiero 16 lat! Wyrzucili go (tak to się u nich nazywało), ale nie wiem, jak to się stało, że nie zwolnili z pracy w zajezdni i wkrótce zdał egzaminy na ślusarza-praktyka. Jako sumienny pracownik pewnie był w zajezdni potrzebny.

26. JEJSK

Po upływie miesiąca znowu dostałam ataków malarii, ale już nie takich, jak przedtem. Chorowałam przez trzy dni, w większości chorobę przechodziłam z przerwami – to byłam zdrowa, to leżałam około tygodnia. Postanowiliśmy przeprowadzić się na Północny Kaukaz, do miasta Jejsk nad Morzem Azowskim. Było to miejsce nie malaryjne, dobry kurort. Pojechalśmy tam po czterech miesiącach.

Podczas drogi znowu leżałam w chorobie, ale gdy zbliżyliśmy się do Jejska, poczułam się całkowicie dobrze i przez dwa lata nie chorowałam. Wyczerpana chorobą, nie mogłam mieć nadziei na żadną pracę fizyczną, a na służbę nikt by mnie nie przyjął, zresztą – sama nie chciałam. Zięć, mąż mojej córki Irenki, nie od razu znalazł pracę, mój mąż zaś nieoczekiwanie pojechał do Moskwy do brata. Nie widziałam go po tym wyjeździe przez pięć lat. Pierwszego dnia po przyjeździe zięciowi udało się znaleźć pokój, ale bardzo malutki, tak bardzo, że nawet na krótki czas nie mogliśmy się w nim wszyscy zmieścić. W dodatku u Nataszy i Andrzejka zaczynał się koklusz i trzeba było ich odseparować od słahtutkiej, malutkiej Nineczki. Powiedziano mi, gdzie można

znaleźć pokój. Na spotkanie wyszła, albo raczej – wypłynęła bardzo gruba gospodyni, kupcowa, spojrzała na naszą odzież, na węzłki i powiedziała: „Nie, takich oberwanych lokatorów nie wpuszczę, w dodatku z takimi manatkami, po co mi to?” Ciężko było to słyszeć, ale co było robić, sama wiedziałam, że pierwszy lepszy żebrak wyglądał lepiej od nas.

Było nas czworo: Piotruś, ja i dwoje najmłodszych. Gospodarz okazał się człowiekiem serdecznym i powiedział: „Co ty patrzysz na ubranie. Ktoś może przyjść bogato ubrany, a potem nie będziesz wiedziała, jak się od niego uwolnić”. Następnie zwrócił się do mnie i powiedział: „Zbliża się noc, gdzie wam się jeszcze podziewać, macie tu pokoik, przenocujcie, a potem zobaczymy, co Bóg da”. Pościeliliśmy swoje łachmany na błyszczącej, malowanej podłodze i zasnęliśmy, jak zabici. Następnego dnia gospodyni zmiękczyła swoje serce, okazało się, że wcale nie jest taka nieczuła, a trzeciego dnia oświadczyła: „No to już mieszkać, gdzie się macie podziąć”. Co kilka dni przynosiła po kawałku chleba albo ciasta i prosiła mnie, bym wieczorami przychodziła do nich porozmawiać albo poczytać coś z Pisma Świętego, gdyż obydwójce nie umieli czytać, ale lubili chodzić do cerkwi.

Gdy po dwóch miesiącach przeprowadzaliśmy się do innego, większego pokoju, smutno nam było rozstać się ze sobą. W tamtym czasie Piotruś zaczął pracować na stacji węzłowej, 50 kilometrów od Jejska, już jako pomocnik maszynisty, a pokoik był całkiem malutki, nie można się było nawet odwrócić, on zaś potrzebował odpoczynku w przerwach pomiędzy swoimi dyżurami na parowozie. Co drugi dzień przyjeżdżał do domu. Przynosił ze sobą prawie cały swój zarobek. Dwa ostatnie miesiące przed tym, jak zaczął pracę, były wyjątkowo trudne.

Kapłanem w soborze w Jejsku był stary protojerej, ojciec Bazyli, który razem ze swoją matuszką bardzo mi przypadł do serca. Andrzejek miał 12 lat i na moją i jego prośbę ojciec Bazyli wziął go do cerkwi na prysłużnika. Do 1927 roku nie opuścił ani jednej służby i bardzo się szczylił tym, że przynosił do domu chleb, albo jakieś inne artykuły spożywcze, które mu ojciec Bazyli oddawał z tego, co sam otrzymywał za treby.

W tamtym czasie głodu jeszcze w Jejsku nie było. To bardzo bogaty kraj i bez względu na podatki i odbieranie przez władzę wszystkiego, co się dało, jego mieszkańcy dawali sobie radę, szczerze obdarowywali i dbali o swoich kapłanów. Ale zanim Piotruś został przyjęty do pracy, nie mieliśmy absolutnie żadnych pieniędzy i żyliśmy w skrajnej nędzy. Pewnego razu słyszę w cerkwi, jak kapłan zwraca się do wiernych takimi słowami: „Bracia i siostry, po nabożeństwie sam obejdem was wszystkich z talerzykiem z prośbą, abyście zechcieli pomóc pewnej kulturalnej damie, która wraz z trójką dzieci żyje w zupełnej nędzy”. Ani przez chwilę nie pomyślałam, że chodziło o pomoc dla mnie i dowiedziałam się o tym dopiero wtedy, gdy do domu przyniesiono 25 rubli. A tamtym czasie w Jejsku to były już jakieś pieniądze i można było za nie żyć, a nawet kupować mleko.

Piotruś dostał się na służbę na kolei, mój zięć też znalazł pracę, więc ze spokojem zaczęłam robić pierniczki z miodem arbuзовym, którego jest tam pod dostatkiem; sprzedawałam je na bazarze. W taki sposób dożyliśmy do końca 1926 roku. Na początku 1927 roku zobaczyłam na bazarze kwiaty z drewnianych wiórów. Nie były nawet zbyt podobne do kwiatów, ale szły dobrze, popyt był duży. Spróbowałam zrobić coś takiego, wyszło coś podobnego do kwiatka i sprzedałam to momentalnie. Od tego czasu kwiaty stały się dla nas ogromną pomocą, na tyle, na ile okoliczności pozwalały się nimi zajmować. Gdy się wprawiłam w ich produkcję, moje wyroby zaczęto zauważać, a nawet wyczekiwano ich na bazarze, żeby zdążyć je kupić przed innymi. Zaszczyciono mnie nawet ogromnym (tak mi się zdaje) komplementem, który przypomniał mi bajkę Kryłowa „Osioł i słowik”. Podeszły dwie Ukrainki. Jedna mówi: „Baczy, jaki cwity, jak żyweńki!”²⁶. Chciała kupić, ale druga odpowiedziała, że są zupełnie nieciekawe. „Jak się takie kwiaty postawi w chacie, to wyglądają całkiem, jak żywe. A przecież i bez nich żywych kwiatów jest dużo. A tam, u tamtej babci, to co innego: róża taka czerwona, a pąk niebieski i zupełnie to nie podobne do kwiatka”. Kupiły od tej babci. Ale zdarzali się też znawcy. Otrzymałam od pewnej damy zaproszenie do Rostowa. Sama robiła kwiaty i oddawała do zjednoczenia kwiatowego. Prosiła mnie, abym robiła tyle kwiatów, ile mogę i dwa razy w miesiącu woziła do Rostowa. Oddawała je jako swoje i dzieliłyśmy się dochodem. Życie stało się lżejsze, mogłam nawet kupować mięso, a w lecie rozkoszowaliśmy się melonami i arbuзami. Oczywiście o mojej pracy natychmiast dowiedział się wydział finansowy. Przyszli z przeszukaniem, chcąc sprawdzić rozmiar mojej produkcji i wielkość zapasów materiału. I chociaż zapasów nie miałam, a pracowałam sama żeby jakoś skromnie przeżyć, obłożyli mnie podatkiem i zaczęli się nieoczekiwanie pojawiać i kontrolować.

W 1927 roku, na drugi dzień Paschy, dostaję telegram: „Proszę przywieźć wszystko, co jest, najwięcej czerwonych”. Myślę – oho, jakiś sowiecki pogrzeb. Nie miałam gotowych czerwonych, ale wzięłam to, co było,

26 Popatrz, jakie kwiaty, jak żywe! [ukr.]

i pojechałam. Okazało się, że to pogrzeb nie jednego, a czterdziestu ludzi. Wydarzyło się coś, co dla wierzących było oczywistym przejawem Sądu Bożego i co wzbudziło wściekłość komunistów. Pod Rostowem jest ogromny zakład maszyn rolniczych. Robotnicy, w ilości 40 ludzi, odmówili pracy w dzień Zmartwychwstania Chrystusowego, mówiąc, że Bóg ich za to ukarze. Nie zwracając uwagi na groźby, odmówili.

Wtedy 40 komunistów oświadczyło: „No to my wam udowodnimy, jak to Bóg karze i pojedziemy za was”. Co zrobiono z tymi, którzy odmówili, nietrudno sobie wyobrazić, następną Paschę zapewne spędzali na Syberii. Jednak niczego nam o nich nie było wiadomo, natomiast z komunistami stała się rzecz następująca. Czterdziestu ludzi wsiadło na otwartą ciężarówkę. Szofera, który również nie chciał się podporządkować, zmuszono do wyjazdu. Jeszcze w granicach miasta trzeba było przejeżdżać przed tory. Dróżnik nie zdążył zamknąć szlabanu i szybko nadjeżdżający parowóz zabił wszystkich, co do jednego, oprócz szofera, którego cudem wyrzuciło z ciężarówki. Następnego dnia widziałam procesję czterdziestu czerwonych trumien wiezionych na otwartych ciężarówkach, udekorowanych drzewkami choinkowymi, kwiatami i czerwonymi flagami, oczywiście przy muzyce wielkiej orkiestry wojskowej. Następnego roku nikt już nie ośmielił się odmówić, a więc nie było już takich, którzy uważaliby to za grzech, a jeśli nawet były takie jednostki, to pewnie nie mogły się z tym zdradzać, żeby nie podpaść GPU. Był również taki wypadek w Jejsku, gdy Bóg ukarał komunistę w chwili wypowiedzania bluźnierstwa. Przyjechał znany (pewnie i za granicą) profesor, protojerej Wwiedieński²⁷ (niektórzy twierdzili, że ochrzczony Żyd). Pozwolono na przeprowadzenie dyskusji na temat tego, czy Bóg w ogóle istnieje, czy też nie. Oczywiście ani ja, ani nikt z moich bliskich nie był tam obecny, więc mogę przekazać jedynie to, o czym wszyscy wszędzie mówili. Wwiedieński nie uznawał Zbawiciela za Syna Bożego. Obecne duchowieństwo zaczęło się z nim spierać. Na to podniósł się komisarz miasta i wskazując na zegarek, znajdujący się na jego ręku, powiedział: „Jest w tej chwili godzina za dziesięć szósta. Zobaczymy, czy Bóg, jeśli jest, ukarze mnie za moje słowa”. I ośmielił się wypowiedzieć straszliwe bluźnierstwo na Boga (na szczęście nie wiem, co to były za słowa), a następnie zaczął się śmiać. W chwili, gdy się śmiał, zadzwonił telefon stojący przed nim na stole. Bierze słuchawkę, blednieje i wybiega pędem z zebrania. Dokładnie za dziesięć szósta jego jedyny, dziesięcioletni syn, niechcący się zastrzelił w czasie zabawy z rewolwerem, zapomnianym przez ojca na biurku w gabinecie.

Słyszałam potem, że nawet tę oczywistą karę Bożą komunistę-bluźniercę uznał za przypadek, nie nauczyła go ona rozumu i pozostał niewierzącym (a przecież nawet demony wierzą i drżą) – czyli wrogiem Boga.

27. BÓG – SĘDZIA

Jak wspominałam, Piotruś pracował jako pomocnik maszynisty na węźle kolejowym. Nie była to żadna miejscowość, a jedynie zajezdnia, w której zmieniały się parowozy i obsada pociągów dalekobieżnych. Pewnego razu przysłano tam, jako praktykanta, młodego komsomolca, który miał zdawać egzamin na pomocnika maszynisty. Przez całe trzy miesiące nie odstępował od Piotrusia, odnosząc się do niego w jak najbardziej przyjazny sposób. Piotruś też był wobec niego miły, ale nigdy mu się specjalnie nie zwierzał. Był to człowiek leniwy, nie wiedział absolutnie nic i bez pomocy Piotrusia nie zdałby egzaminu. Jednak Piotr przygotował go wszechstronnie i egzamin zdał. Przed wyjazdem powiedział mu na osobności: „Jesteś dobrym kolegą, porządnym i w dodatku mi pomogłeś: bez ciebie nie zdałbym tego egzaminu. Dlatego dam ci pewną radę i zdradzę pewną tajemnicę. Byłem umieszczony przy tobie na trzy miesiące przez GPU. Bądź na to zawsze gotowy, uważaj na siebie i bądź ostrożny”.

Tak właśnie, w podły sposób, śledzono, tak trudne było życie: nigdzie, ani na chwilę, człowiek nie był wolny i zabezpieczony przed zdradą i szpiegostwem! Z tego właśnie zrodziła się grzeszna nieufność wobec niemal wszystkich świeżo poznanych ludzi. Nawet ludzie wysokich ideałów, którzy przeżyli wiele lat w Rosji sowieckiej, nie mogli w sobie przemóc podejrzliwości i nieufności.

Latem 1926 roku pojechałam, z dwójką najmłodszych, do Moskwy. Miałam bezpłatny bilet, chciałam odwiedzić bliskich i pojechać na grób mojego ojca, którego miłowałam bezgranicznie. Bilet bezpłatny, przysługujący raz do roku, był jedynym przywilejem związanym ze służbą na kolei. Ci, którzy nie byli komsomolcami,

27 Aleksander Iwanowicz Wwiedieński ur. w 1889 – jeden z liderów ruchu obnowlenczeskiego, czyli „odnowicielskiego” w rosyjskim Prawosławiu w latach 1922-1946. Od 1941 roku „Pierwszy Hierarcha Cerkwi Prawosławnej w ZSRR” (tzw. „żywej” cerkwi). Najważniejszy ideolog tego ruchu. Wyświęcony na kapłana w 1914 roku. W 1923 roku wyświęcony na Biskupa Krutickiego (mimo pozostawania w związku małżeńskim, co było dopuszczalne w „żywej” cerkwi; w konsekwencji, już jako „biskup”, ożenił się jeszcze raz). Zmarł w 1946 roku.

ani komunistami, byli zawsze jak nie lubiany pasierb złej macochy. Cała młodzież mogła się uczyć we wszystkich szkołach wyższych, naukowych, technicznych czy zawodowych, ale oni – nie. Wszyscy mieli prawo do darmowego wypoczynku, ale oni – nie; wszyscy korzystali z pełnego wyżywienia, ale oni – nie; w czasie urlopu wszyscy mieli bilety turystyczne tam, dokąd chcieli, ale oni – nie, itd.

A więc – pojechaliśmy. W tamtym czasie jeszcze nie wyrabiałam kwiatów i zupełnie nie miałam pieniędzy. Gdy przyjechaliśmy na cmentarz Skorbiaszczeński, w pobliżu mogiły mojego ojca kapłan służył za kogoś panichidę, mówię więc do dzieci: „Widzicie, dzieci, jakie to przykre, że nie możemy zapłacić kapłanowi, żeby odsłużył za dziadka panichidę”. Idziemy i widzimy, że na jego mogile coś jaskrawie błyszczy, coś jakby szkiełko na słońcu. Podchodzimy, a w wezłowie u ojca leży całkiem nowiutki, dosłownie tylko co wybity, połtinnik²⁸. Byliśmy wstrząśnięci. Andrzejek z radością podbiegł do batuszki i poprosił o odsłuzenie panichidy. W tamtym czasie srebrne 50 kopiejek było jeszcze coś warte. W zbeszczeszczonej Rosji było zawsze wiele cudownych zdarzeń, zarówno natychmiastowej kary Bożej, jak i cudownego ratunku z powodu wiary ludzkiej.

Prorok Eliasz

Mniszka, która mieszkała w stancyi Kaukaskiej (na środkowym Kaukazie), opowiadała mi, że pewnego razu w dzień proroka Eliasza (20 lipca) wszyscy ludzie, kolchozami, zbierali pszenicę. Niebo pokrywało się chmurami, więc zaczęli się spieszyć. Od wieków w dzień proroka Eliasza, poza rzadkimi wypadkami, ma miejsce burza i nie jest to ludowe podanie, a fakt, który obserwowałam w przeciągu mojego długiego życia. Niektórzy zaczęli przypominać, że to dzień proroka Eliasza i przekonywali, że trzeba się schować do stodoły, tym bardziej, że czarna chmura nadciągała szybko i złowieszczy grom było słycać już nie w oddali, a niemalże nad samą głową. Jeden z przewodniczących kolchozu, komunista, pozwolił sobie na bluźnierczy wybryk: zwrócił się do proroka Eliasza słowami, których nie powtórzę, powiem tylko tyle, że zaprosił go, aby podjechał do nich na swoim rydwanie. Rozległ się zgodny, pełen aprobaty śmiech. Dwie młode kobiety przestraszyły się tych słów i rzuciły się do wyjścia ze stodoły, w której stłoczyli się wszyscy z powodu deszczu, który już lunął i powiedziały: „Uważajcie, żeby zaraz naprawdę nie podjechał do was prorok Eliasz”. Dobięły do wielkiego dęba, stojącego samotnie w polu i schowały się pod nim. Wtedy pojawiła się oślepiająca błyskawica i uderzył straszliwy grom, natychmiast spalając stodołę z wszystkimi, którzy wyśmiewali Proroka. Dwie kobiety zaś tylko przemokły.

„Nieznajoma”

Moja siostra, która została w Moskwie i mimo, iż była dawniej frejliną²⁹, nie została aresztowana, a celowo przez władze pozostawiona na wolności (o czym napiszę w innym miejscu), opowiedziała mi następującą historię, którą słyszała na własne uszy.

Pewnego razu stała w kolejce po naftę, chcąc kupić sztuczną oliwę do lampadki. Sprzedawano ją rzecz jasna nie dla takiego użytku, ale wierzący wiedzieli, dlaczego staruszki ją kupują. Kolejka była bardzo długa, w najlepszym razie na godzinę stania i dlatego siostra z kolejki zapytała, czy jest oliwa. Koło niej stał młody strażak w mundurze. Odwraca się do niej ze słowami: „Ech, babciu! Teraz to niemożliwe”. Ona, myśląc, że to kpina i nie dopuszczając niczego innego, odpowiedziała: „Dla was, młodych, to niemożliwe, a dla nas było i jest możliwe”. – „Proszę nie myśleć, że to z mojej strony żart; sam przyszedłem po oliwę do lampadki”. Rozległ się porozumiewawczy śmiech wielu osób. „W naszej wsi wydarzył się tak niezwykły cud, że nie sposób nie uwierzyć w niego i, oczywiście, w Boga. Widziałem go na własne oczy i żadna moc nie zmusi mnie, bym przestał wierzyć”. – „No to proszę i nam opowiedzieć o tym cudzie”, – poprosili go niektórzy z drwiną, inni zaś ze strachem Bożym, ale tych drugich, poza moją siostrą, było bardzo niewiele. „Opowiem z radością, nie będę ukrywał” – powiedział strażak. Wszyscy zamilkli.

„W naszej wsi była ubożuchna biedaczka. Urodziła się kaleką: nie miała nóg i przez całe życie chodziła na czworaka. Któż by jej nie znał! Przez czterdzieści lat przypętała na schody przed cerkwią i prosiła o jałmużnę. W naszym ispołkowie zwołano zebranie na temat kułaków (czyli najbardziej pracowitych, nie pijących chłopów), rozkułaczania i ich wysiedlania. Obecność była dla wszystkich obowiązkowa. Przypętała również biedaczka i została przy samych drzwiach. Nagle wchodzi nieznana nikomu kobieta, cała w czerni, nachyla

28 Połtinnik – 50 kopiejek, 9,998 gram srebra próby 900.

29 Frejlina – dwórka na dworze carskim.

się nad nią i mówi: „A ty co tu robisz? To nie jest miejsce dla ciebie! Chodź za Mną!” Wyszła, a za nią wypęzła również kaleka. „Od dawna jesteś taka?” – zapytała Nieznajoma. – „Od samego urodzenia”. – „A chcesz być zdrowa?” – „A jakże nie chcę, matulu!” – „No, to idź z Bogiem”. Z tymi słowami znikła, a u naszej biedaczki nie wiadomo skąd wzięły się nogi! Przecież ich nie było! Wstała i sama poszła do domu. Co się u nas działo! Zbiegła się cała wieś, nawet niewierzący nie mogli niczemu zaprzeczyć, bo znali ją wszyscy. Cała okolica wpadła w popłoch, szli i jechali, każdy chciał na własne oczy zobaczyć. W końcu sprawa doszła do władz, one również wpadły w popłoch, przysłały na śledztwo GPU. Niczego nie mogą powiedzieć, gdyż sprawa jest oczywista. Wtedy ogłosili, że to czary, jakiś wróg wskazał na córkę diakona, więc posadzili ją w piwnicy, i obiecali, że się z nią rozprawią za to, że wzburzyła czarami całą okolicę.

Wtedy wchodzi Ta Kobieta, która uzdrowiła kalekę i pyta: „Za co posadziliście córkę diakona?” – „Przecież ona w jakiś nieznany sposób wzburzyła wszystkich mieszkańców”. – „Córka diakona jest niewinna, to Ja zrobiłam, więc Mnie zamknijcie”. Tak uczynili – córkę diakona wypuścili, w kobietę zamknęli na wielką kłódkę. Gdy rankiem otwarto piwnicę, nikogo w niej nie było”.

Wszyscy słuchali w milczeniu, każdy przyjął opowiadanie tak, jak chciał. Nie ma wątpliwości, że za takie rozgłoszenie cudu Bożego człowiek ten został męczennikiem za wiarę.

„Pionierka”

Jeszcze ciekawszą historię słyszałam osobiście od siostr ze szpitala Botkińskiego w Moskwie. W 1927 lub 1928 roku, nie pamiętam, leżała w szpitalu 10-letnia dziewczynka, bardzo ciężko chora na gruźlicę kręgosłupa. Cierpiała niewiarygodnie. Jej cierpienia przeżywał cały personal szpitala. Dziewczynka była cicha, pokorna, cierpiała ponad rok i po cichu wszyscy czekali na jej śmierć jak na wybawienie z mąk. Śmierć jednak nie chciała do niej przyjść.

Jej rodzice byli prostymi chłopami z podmoskiewskiej wsi. Jej siostra codziennie rano przywoziła do Moskwy mleko i codziennie ją odwiedzała. Pewnego razu dziewczynka obudziła się z wielką trwogą i zalewała się łzami, ale nikomu nie chciała wyjaśnić, dlaczego. Gdy przyszła do niej siostra, powiedziała jej: „Dzisiaj w nocy, we śnie, szłam po białych schodach, które prowadziły do nieba. Szło tam wielu ludzi, dorosłych i dzieci, były też takie dziewczynki, jak ja. Szliśmy długo i na końcu widzieliśmy białe światło. Gdy podeszliśmy bliżej, ujrzeliśmy, że to Światło wychodziło od Kogoś, Kto stał na samym szczycie. Jednych przepuszczał do wielkich świetlistych drzwi, a innych – nie... Łagodnie przepuścił dwie dziewczynki, które szły ze mną, a mnie zatrzymał. «Ty nie możesz tutaj wejść, jesteś pionierką» – powiedział”. I zaczęła prosić siostrę, aby poszła do nauczyciela, zarządzającego szkołą i powiedziała, żeby skreślił ją z listy pionierek. Tak bardzo prosiła, z takimi łzami, że siostra poszła do nauczyciela i poprosiła, by skreślił dziewczynkę z listy. Odpowiedział na to: „Toż to bzdura, jakieś chore brednie, ja jej wykreślać nie będę, zostanie pionierką, a ty jej powiedz, że skreśliłem, i już”.

Następnego dnia, po przyjściu do szpitala, siostra zastała chorą w jeszcze większych łzach. Znowu widziała ten sam sen i gdy siostra, pragnąc ją uspokoić, powiedziała, że ją wykreślono i że nie jest już pionierką, odpowiedziała: „To nieprawda! Nieprawda... On mnie nie przepuścił. Idź znowu, powiedz, że ja nie chcę, niech mnie wykreśli! I jeszcze idź do cerkwi i poproś u kapłana o wielką czerwoną księgę. Pewnego razu, gdy nikt nie widział, zaszłam, żeby zobaczyć, jak jest w cerkwi, bo przecież nigdy nie widziałam. Kapłan trzymał wielką czerwoną księgę i czytał. Poproś go, żeby dał mi tę księgę”. Mówiła to wszystko, leżąc bez ruchu. Już od wielu miesięcy nie mogła podnieść głowy. Siostry ze szpitala mówiły, że nie dało się bez łez patrzeć na nieszczęście tego umierającego dziecka, że było w tym nieszczęściu coś szczególnego, budzącego lęk w duszy. Powiedziały mleczarce, żeby za wszelką cenę zażądała wykluczenia jej z pionierów. Poszła do nauczyciela i nie odstępowała tak długo, dopóki nauczyciel nie wykreślił dziewczynki i nie rozdarł jej dokumentów. Potem poszła do kapłana i opowiedziała o wszystkim. Był wstrząśnięty. Wielka czerwona księga to była Ewangelia. „Przecież nie mogę jej dać cerkiewnej Ewangelii, mam tutaj strony z rozerwanej Ewangelii, odnieś jej”.

Gdy następnego ranka weszła do szpitalnej sali, ze zdziwieniem ujrzała, że dziewczynkę otaczają lekarze i siostry, a ona sama siedziała pełna radości i jakaś taka zupełnie niezwykła. Wyciągnęła swoje rączki, chudziutkie, jak pałeczki, wzięła kartki z rąk siostry, przycisnęła do piersi i powiedziała: „On, Ten Świetlisty, ze szczytu schodów, powiedział mi: «Dzisiaj zabiorę cię do Siebie, nie jesteś już pionierką”. Po tych słowach opadła na poduszkę i westchnęła po raz ostatni. Bóg wziął ją do Siebie.

Człowiek wierzący, który wie, czym jest pionierstwo, opowiadanie to przyjmuje bez wątplenia, jako możliwy fakt, który jest wzruszający, ale nie zadziwiający.

W większości przypadków są to dzieci nieochrzczone. Nie będę tu dociekać przyczyn, dla których rodzi-

ce oddają swoje dzieci szatanowi już od urodzenia. Czy to przekonania, czy to strach przed aresztowaniem i zesłaniem za ochrzczenie dziecka, czy jeszcze jakieś inne pobudki – wszystko jedno, fakty są takie, że zamiast Świętego Sakramentu Chrztu nad dziećmi dokonywano obrzędu „październiczenia”³⁰, dzieci nazywały się „październiczatkami”³¹ i otrzymywały imiona: Lenin, Stalin, Ninel (czyli Lenin od tyłu), Maja (ku czci 1 maja) itp. Październiczatkami nazywano je ku czci dnia 25 października, czyli dnia przewrotu bolszewickiego w Rosji. Nie wiem, na czym polegał ten straszny obrzęd, gdyż nigdy przy nim nie byłam obecna. Bywali przy nim, oprócz ludzi obojętnych, idących na tę ceremonię, żeby się najęść, jedynie komuniści. Do 6-go roku życia dzieci były październiczatkami, następnie automatycznie przechodziły na następny stopień – pioniera, a wreszcie, w 16-tym roku życia do komsomołu, gdzie już samodzielnie, w uroczysty sposób, wyrzekały się Boga. Mogę tu przytoczyć następujący przykład:

„Komsomołka”

Moja młodsza córka miała przyjaciółkę, Lenę M. Jej matka była wierząca i za żadne skarby nie chciała, żeby córka wstąpiła do komsomołu. Ta ostatnia nie była nawet pionierką i została ochrzczona. Miała ona brata, byłego oficera Białej Armii, który mieszkał w Serbii. Ojciec zaś był generałem, który zginął na polu bitwy. Brat napisał do Leny, że jeśli wstąpi ona do komsomołu, to musi wiedzieć, że brat się jej wyrzeknie. (W czasach Berii i Jeżowa taki list w ogóle by nie dotarł). Lena miała niezwykle długie i piękne włosy. Jej dwa gęste warkocze kończyły się poniżej kolan. Matka była bardzo dumna z jej włosów. Pewnego dnia Lena wróciła skądś do domu i matka wpadła w niewyobrażalne przerażenie: warkocze zostały odcięte aż do samej głowy. W odpowiedzi na pełne przerażenia pytanie matki Lena oświadcza: „Jestem komsomołką”. Głupia dziewczynka poddała się propagandzie, została pouczona, aby nie uprzedzać matki i zgodnie z zasadami komsomołu obcięła warkocze. Matka w niczym nie mogła znaleźć pocieszenia i gotowa była wyrzec się córki, ale ta jeszcze nie przeszła obrzędu przyjęcia do komsomołu. Obrzęd ten był spowity głęboką tajemnicą i nie miałam pojęcia o jego istocie, dopóki sama Lena mi o niej nie opowiedziała. Wiosną, tak samo nieoczekiwanie, jak i poprzednim razem, przysłała do domu i oświadczyła: „Odeszłam z komsomołu”. Wiadomość ta jednocześnie uradowała i zaniepokoiła matkę – tak, jak pisałam już o tym przy okazji mojego syna, wszyscy wiedzieli, co prędzej czy później oczekuje tych, którzy odeszli. Lecz oto opowiadanie Leny: „Wszystkich, którzy mieli przejść obrzęd przyjęcia, zaprowadzono do lasu. Na polanie na skraju lasu rozpalono ognisko. Dopóki podnosząc rękę składaliśmy różne przysięgi, dało się jakoś wytrzymać, ale gdy polecono mi trzykrotnie przeskoczyć przez ogień, jednocześnie wygłaszając straszne wyrzeczenie się Boga, odmówiłam i za nic nie chciałam się zgodzić, i oświadczyłam, że odchodzę z komsomołu”. Miała 16 lat.

Sąd nad Bogiem

W tamtym czasie mój Andrzejek uczył się w siedmiolatce, miał 12 lat. Nauczyciel języka rosyjskiego ogłosił, że będzie dyktando pod tytułem „Sąd nad Bogiem”. Andrzejek odłożył pióro i odsunął zeszyt. Nauczyciel zauważył to i pyta: „A ty dlaczego nie piszesz?” – „Nie mogę i nie będę pisać takiego dyktanda”. – „Jak śmiesz odmawiać? Siadaj i pisz”. – „Nie będę”. – „Ja cię do dyrektora zaprowadzę!” – „Jak chcecie, wyrzucajcie mnie, ale «Sądu nad Bogiem» pisać nie będę”. Nauczyciel podyktował i wyszedł. Andrzejka wzywają do dyrektora. Ten patrzy na niego ze zdziwieniem. Niezwykła rzecz: 12-letni chłopiec, a taki twardy i niezachwiany, i w dodatku bardzo spokojnie odpowiada. Dyrektor najwyraźniej miał jeszcze gdzieś w głębi serca iskrę Bożą i nie zdecydował się, aby donieść komu trzeba o nim i o mnie, jako matce, ale powiedział: „Ale ty jesteś dzielny! Idź!”. A cóż ja mogłam powiedzieć mojemu drogiemu chłopcu? Objęłam go i podziękowałam mu. Wszystko to mu się zbierało i w 1933 roku, w wieku 17 lat, został zesłany po raz pierwszy.

„Zadowolony”

Znałam w Jejsku pewnego wyjątkowo porządnego człowieka, właściciela wielkiego sadu. Zabrali mu oranżerie, które potem stały puste, gdyż drzewa owocowe i kwiaty, za które otrzymał na wystawach niejeden złoty medal, zostały wyrąbane i spalone. Miał niewielki własny dom i to, co mu zostało – malutki, cudowny sad.

30 Ros. oktiabrienija, od słowa oktiabr’ –październik.

31 Ros. oktiabrietami.

Wszyscy wierzący w jego rodzinie gorzko opłakiwali los Monarchy i całej Rodziny Carskiej. Czasami nie mógł się powstrzymać i ze łzami Go wspominał, rzecz jasna tylko przy swoich. Mimo to pewnej nocy przyszli po niego, aresztowali i wywieźli. Po dwóch miesiącach nadeszła wiadomość, że jest w więzieniu w Charkowie, razem z byłym komendantem wojskowym miasta Jejska. Po dwóch latach został zwolniony. Wkrótce potem zachorował i umarł, nie będąc w stanie znieść tego wszystkiego, co się działo. Opowiedział mi pewną interesującą i bardzo dla bolszewików charakterystyczną historię, która miała miejsce w czasie jego uwięzienia. Przebywali tam w ciasnej celi ogólnej, spali na brudnych pryzkach, karmiono ich bezlitośnie źle, przymierali głodem. Pewnego razu naczelnik więzienia wzywa ich obu po nazwisku i nakazuje iść za sobą. Wszyscy wiedzą, że gdy wzywają bez rzeczy, to znaczy, że na rozstrzelanie, gdyż przesłuchania dawno już zostały zakończone. „No, myślimy, oto nadchodzi nasz koniec. Ale posadzili nas nie do «czarnej wrony», a do samochodu osobowego. Przewieźli nas kilka ulic i zatrzymali się przed ładnym domem. Przeprowadzili przez wielki, jasny korytarz, otworzyli drzwi i wpuścili nas do czystego pokoju z dwoma łózkami, przykrytymi porządnymi kocami. Przy każdym łóżku stał stolik, a na nim zapalki i papierosy”. Ściągnęli z nich brudną odzież więzienną i ubrali w czyste szlafroki. „Dopóki nadzorca nie wyszedł i nie zamknął za sobą drzwi, mogliśmy jedynie w milczeniu i zdumieniu przerzucać się spojrzeniami. Gdy zostaliśmy we dwóch, zaczęliśmy sobie łać głowę i snuć rozmaite przypuszczenia, co to wszystko może znaczyć. O 10 wieczorem przynieśli smaczną kolację, złożoną z dwóch dań. W czasie jedzenia otwierają się drzwi i wchodzi kierownictwo więzienia oraz dwóch Anglików z tłumaczem. Naczelnik zwraca się do nich ze słowami: «O, proszę zobaczyć, w jakich warunkach przebywają u nas aresztowani z inteligencji. Sami ich zapytajcie, czy są zadowoleni». Oczywiście odpowiedzieliśmy, że jesteśmy zadowoleni. Anglicy bardzo wszystko pochwalili i wyszli. Po godzinie znowu ubrano nas w nasze brudne ubrania i zawieziono do tego samego więzienia i do tej samej celi”. Wszelkie komentarze są tu zbyteczne.

28. KOBIETY-OPRAWCZYNIE

W tamtym czasie mieszkaliśmy w mieszkaniu u prostych i bardzo dobrych ludzi, którzy dopiero co się pobrali. On był synem drobnego handlarza, zmarłego kilka lat wcześniej. Młody gospodarz, jako syn kupca, został już obdarty i zrujnowany. Pewnej nocy pukają do moich drzwi. Przychodzi przestraszona gospodyni i żołnierz GPU. „Chodźcie, będziecie świadkiem przy przeszukaniu u waszych gospodarzy”. Nieprzyjemna sprawa, ale nie wolno odmawiać. Przedstawiono zarzut, że ojciec gospodarza miał niewielką zaległość podatkową i dlatego postanowiono skonfiskować mienie syna, jako spadkobiercy. Gospodarze pokornie milczeli, wszystkie rzeczy wpisywano do protokołu. Prowadzący przeszukanie, ujrzawszy na stole złoty zegarek, zwinny, zapewne wyuczonym złodziejskim ruchem schował go do kieszeni. Nie uszło to uwadze gospodarza, który powiedział: „Zegarek też powinien zostać zapisany, dlaczego pan go schował?” Wtedy przedstawiciel władzy szepnął mu do ucha, ale tak, że nawet ja słyszałam: „Powiedz jeszcze słowo, a wcale nie będzie ci wesoło, gdy ja się z tobą policzę”. Był to zwyczajny chwyt przeprowadzających przeszukanie w imieniu prawa.

W 1926 roku życie wszystkich ludzi stało się gorsze od niewolnictwa. Odbierano wszelką własność – ruchomą i nieruchomą. W Jejsku przy każdym domku był sad owocowy. Głównie drzewa morelowe i dużo brzoskwiniowych. Wiosną komisja policzyła wszystkie drzewa i zabroniła zbierać z nich owoce. Właściciele mogli podnosić tylko spady, a i to do czasu, aż rozpocznie się zbiór państwowy. Za miastem budowano zakład przetwórstwa. Urodzaj w tamtym roku był wyjątkowy. Do czasu zbiorów zakład nie był jeszcze gotowy. Wielka ilość furmanek na zlecenie woziła strząśnięte morele. Tak na marginesie, morel nigdy się nie strząsa, a ściaga się je ostrożnie, szczególnie wtedy, gdy (a tak było tym razem) są już przejrzałe. Tysiącami pudów zwalano je prosto na kupy. Gdy ludzie doświadczeni robili uwagę, że w taki sposób dobro się zmarnuje, dawano odpowiedź taką, jak zawsze, czyli, żeby nie pouczali, gdyż to nie ich sprawa. Zarządcami zaś, jak i wszędzie, byli albo złodzieje, albo kryminaliści. Z jakiegoś też powodu wszędzie szanowano pastuchów, ludzi całkowicie niewykształconych i tępych. W ciągu trzech dni obdarto sady w całym mieście. Następnego dnia wielkie kupy owoców osiadły i we wszystkich kierunkach pociekły potoki soku. Jest oczywiste, jak się to wszystko skończyło. Owoców żadnych nie zakonserwowano, nie można ich było wykorzystać nawet na ocet, gdyż nie było beczek, a cała masa spleśniała i zeschła. Przykłady takie były niezliczone.

Gdy jeszcze mieszkaliśmy w Nalcziku, wczesną wiosną przyjechała pokazowa komisja agronomiczna, składająca się z chłopaczków-gołowosów, którzy zakończyli kursy przyspieszone. Celem ich przyjazdu było nauczenie Kabardyńców i miejscowych chłopów rosyjskich, jak należy siać proso, czyli jak wykonywać coś, co

ludzie ci robili z dziada pradziada. Chłopi i Kabardyńcy prosili, aby pozwolono im siać tak, jak uczyło ich wieloletnie doświadczenie, ale „uczona” młodzież nie wyraziła zgody. Postanowili w ten sposób: „My zasiejemy jedną działkę wzorcową, a wy drugą, zobaczymy, u kogo będzie lepiej”. Zaorali, przywieźli ziarno. Chłopi szepotali między sobą, podśmiewali się na stronie, ale umówili się, że niczego nie będą po sobie pokazywać. Zasiali, rozeszli się. Na działce chłopów gęsto pokazały się wschody, a u komsomolców nie było nic. U chłopów proso już się kłosi, a u nich – goła ziemia. I cóż się okazało? Młodzi agronomowie zasiali nie proso, a obłupioną kaszę jaglaną. Oczywiście, śmiać się z tego można było tylko w kułak, albo przy szczelnie zamkniętych drzwiach, by nie znaleźć się w GPU. W tamtym czasie miały już miejsce niesłychane bezeceństwa. Wszystkich, którzy nie zgadzali się na kolchozy, natychmiast aresztowano. Zaczęto łupić kułaków i zsyłać na Syberię, jako tych, którzy rzekomo wzbogacili się dzięki eksploatacji siły roboczej. A któż to był – owi kułacy? To byli najlepsi ludzie rolniczego trudu, którzy nie przepijali swojego majątku, a dzięki swojej pracy od rana do nocy umieli sobie i domek zbudować, i kilka drzew owocowych posadzić, a w najlepszym wypadku dorobić się trzech świń i trzech krów. Aresztowano zresztą już za dwie krowy, jeśli gospodarz miał jeszcze robotnika. Gdy teraz przechodzę koło chłopów w Niemczech i widzę, że najbiedniejsi mają po 6-7 krów, a majątni nawet po kilkadziesiąt, to staje mi przed oczyma ohydny obraz sowieckiego rozboju. Aresztowania rozpoczęły się w pełni żniw. Całkowicie niewinnych chłopów zaganiano, jak stada owiec, do stodół, gdzie byli przetrzymywani nawet po 2-3 dni bez jedzenia, na stojąco, zbici w jedną masę, w międzyczasie zaś rozstrzygano o ich winie odnośnie dostatniego sposobu życia. Głównymi decydentami byli dawni obibocy, pijacy, w dużej części – pastuchy. Najgorszymi sędziami były baby, zawsze okazywały się najokrutniejsze, szczególnie kobiety pracujące w oborach. Święty prorok Dawid mówi: „Biada temu narodowi, w którym najnikczemniejsi wynieśli się nad innych, wszędzie tam wtedy znajdziesz nieprawego”. Jakże celne to słowa jeśli chodzi o trzymającą władzę ordę bolszewicką.

Tu i ówdzie na kaukaskich stanicach można było spotkać kobietę w czerwonej chuście, ze straszną twarzą, którą przezywano Maruśka. Wszystkie drzwi stały przed nią otworem. Gdy podchodziła do jakiegoś bufetu, tam, gdzie jej jeszcze nie znano, przedstawiała jakiś dokument, a następnie żądała dla siebie bezpłatnie wszystkiego, czego tylko dusza zapagnie. Zaciekawiałam się, co to za osoba. Powiedziano mi, że jej zasługi zostały wysoko ocenione przez najwyższe władze. Była przodownicą mąk oficerów, własnoręcznie wybijała im oczy rozżarzoną drutem. Mówiono, że ma ataki biesnowania i pomieszało się jej w głowie. Miałam w Taganrogu wujka, bardzo dobrego i szanowanego w całej okolicy lekarza. Opowiadał mi o wszystkich początkowych bestialstwach rewolucji, których dopuszczały się nie tylko uprawnione potwory z CzK, a potem z GPU, ale każdy, kto tylko chciał poznać się nad ziemianami, wojskowymi i innymi bogatymi ludźmi (władze do tego zachęcały i za to nagradzały). Wujek wielokrotnie musiał się stykać z takimi ludźmi. Jeszcze na ziemi dotykał ich Sąd Boży, jak najstrasniejszy. Wszędzie widzieli siłę nieczystą, prześladowała ich dniem i w szczególności nocą. Mieli ataki, gotowi byli oddać wszystko, co wcześniej nagrabili, błagali o przypisanie środków nasennych, żeby zapomnieć, lecz krwawe obrazy coraz wyraźniej, coraz realniej stawały przed ich oczyma, chociaż zapewne nie płynęły z sumienia, gdyż jeśli tych obrazów nie było, oni dalej, ze spokojem, kontynuowaliby swój proceder. Czyż mógł tu pomóc jakikolwiek środek medyczny? Najwięcej takich ataków zdarzało się wśród marynarzy, padali, toczyli pianę i bili na oślep, szczególnie w obecności dużej liczby ludzi. Widziałam coś takiego na stacji kolejowej w Rostowie nad Donem. Gdy byłam w 1944 roku w Pradze, spotkałam kapłana, który uciekł z sowieckiej Rosji. Przy herbacie, w domu arcybiskupa, opowiedział mi interesującą historię, którą tutaj jego słowami przekazuję.

„Przed rewolucją byłem starostą w soborze w Saratowie, miałem duży majątek i własny dom. W 1920 roku zostałem za to zaaresztowany i wraz z innymi 40-tu ludźmi przewieziony łódką na środek Wołgi, gdzie nas umieszczono w ładowni zakotwiczonej tam barki. Byli tam najprzeróżniejsi ludzie, również duchowni. Wśród nich znajdował się pełny dostojęstwa arcybiskup. Warunki były ekstremalne, ale my, wszyscy ludzie wierzący, znajdowaliśmy pocieszenie w rozmowach i wspólnie szeptanych modlitwach. Pewnego ranka przyprowadzono trzech zaaresztowanych marynarzy. I tak już było źle, bardzo źle; ale wraz z ich przybyciem życie stało się całkowicie nieznośne. Dzień i noc bestialsko z nas drwili. Gdy dostawaliśmy paczki, zabierali wszystko: to, co najlepsze zachowywali dla siebie, pozostałe zaś rzeczy wyrzucali za burtę. Próbowaliśmy protestować, przekonywać, szczególnie pokorny biskup, ale od tego było jeszcze gorzej. Głodowaliśmy, ale o skardze nie mogło być mowy, gdyż zemsta z ich strony byłaby jeszcze gorsza. W ten sposób minęło około dwóch tygodni, po upływie których owych trzech marynarzy wezwano na przesłuchanie na pokład. Po trzech godzinach przyprowadzono ich z powrotem, z rękoma związanymi z tyłu: zostali skazani na rozstrzelanie. Bez względu na ich podłość wobec nas, wszystkich ogarnęła litość i współczucie, chciało się coś powiedzieć, jakoś ich podtrzymać. Próbowaliśmy to robić, szczególnie biskup. Ale cóż może pocieszyć rozbestwionego bezbożnika? Zapytaliśmy, czego by chcieli. Jeden poprosił o jedzenie, drugi o papierosa, a trzeci milczał ponuro. Gdy wszyscy położyli się spać, również

i ja położyłem się do futrzanego worka, który miałem ze sobą, gdyż była jesień, bardzo zimno i nie mogłem inaczej zasnąć. Nagle podchodzi do mnie ów trzeci marynarz i mówi: „Na przykład pan, jak widziałem, ma do czynienia z duchowieństwem. To proszę mi powiedzieć: gdzie jest wasz Bóg? Jeśli by był, to nie pozwoliłby, żeby mnie, całkowicie niewinnego człowieka, skazano na śmierć za coś, czego nie uczyniłem. Nie ma, nie ma Boga!”. Odpowiadam mu na to: „A dlaczego pan uważa, że Bóg karze pana właśnie za ten czyn, którego, jak pan mówi, nie jest pan winny? Być może kiedyś przedtem popełnił pan inne, równie ciężkie przestępstwo?” On na to odpowiada: „Tak, z zemsty zabiłem naszego kapitana, a gdy jego malutki syn rzucił się na mnie w jego obronie, zabiłem również i syna”. – „No to sam pan widzi. Jako człowiek niewierzący nie pokajał się pan i właśnie dlatego teraz musi się pan męczyć. Lecz Bóg jest Bogiem Miłosiernym i Wszechprzebaczącym. Nawet teraz mógłby panu wybaczyć i wybawić od śmierci, jeśli by się pan do Niego pomodlił”. On na to szybko i nerwowo mówi: „Proszę mnie nauczyć, proszę mi powiedzieć choćby króciutką modlitwę i będę się modlił”. Zacząłem się zastanawiać, jakiej modlitwy go nauczyć i nagle czuję, że wszystko zapomniałem, nie mogę sobie przypomnieć ani jednego słowa. On zaś coraz bardziej o to błaga. I wtedy dałem radę przypomnieć sobie tylko jedno: „To niech pan mówi choćby dwa słowa: *Gospodi, pomiluj*”. Marynarz odszedł, ale widziałem, jak bardzo prosił o wybawienie. Nad ranem zasnąłem, ale za chwilę wszystkich nas obudził krzyk, którym wzywano tych trzech. Po chwili usłyszeliśmy salwę z broni. Przeżegnaliśmy się, gdy nagle wbiegł ten, który się modlił – z krzykiem: „Jest Bóg! Jest Bóg!”. Po chwili, gdy przyszedł do siebie i nieco się uspokoił, powiedział: „Cały czas się modliłem i mówiłem: *Gospodi, pomiluj!* Wreszcie się zmęczyłem i wpadłem w zapomnienie. I widzę – podchodzi do mnie staruszek i tak łagodnie mówi: «Nie bój się, Bóg cię usłyszał, idź z wiarą». Gdy nas już ustawili i zaciągnęli zamki, to jeden z dwóch skazanych powiedział: «Czekajcie, uwolnijcie go, on zeznawał zgodnie z prawdą, że nie brał udziału w naszym przestępstwie, jest niewinny». Rozwiązali mi ręce i puścili mnie”. Po tym wydarzeniu całkiem opuścił baręk.

„Przez cały rok niczego o nim nie wiedziałem, – kontynuował kapłan. – Zostałem wypuszczony miesiąc później. W paschalną noc, jako starosta, przyszedłem do cerkwi przed wszystkimi i ujrzałem plecy klęczącego człowieka. Jego sylwetka wydała mi się znajoma. Podchodzę bliżej do ikony Zbawiciela, przed którą się modlił i widzę, że człowiek ten płacze. Nie chciałem przeszkadzać i odszedłem. I wtedy przypominałem sobie tego człowieka, który z taką wiarą się modlił: to był ów wybawiony marynarz. Na służbie wypowiadał się i przyjął Najświętsze Tajemnice. Po zakończeniu służby wręcza mi 50 tysięcy rubli na cerkiew i prosi o przyjęcie, ale nie uznałem za możliwe tego uczynić, gdyż wedle jego słów pieniądze te zostały zdobyte przestępstwem i z tego powodu nie chciał ich już posiadać. Zaczął mnie błagać o ich przyjęcie, więc razem poszliśmy do władzy, lecz on również uznał ich przyjęcie na potrzeby cerkwi za niemożliwe. „Pieniądze te – to cena łez ludzi. Nie mogę już ich im zwrócić, więc proszę je przekazać innym potrzebującym. Niech na rachunek jednych ludzi otrzymają pomoc i uradują się inni ludzie”. Władca zgodził się na takie rozwiązanie i pieniędzmi tymi pocieszyliśmy wiele biednych rodzin. Było to w 1920 roku”.

Wszyscy aresztowani, którzy byli przesłuchiwanymi przez śledczych GPU twierdzą, że nie ma nic gorszego na świecie od kobiet-śledczych. Niektóre z nich to kobiety-oprawczynie, które z rewolwerem w rękach, przed samym zamordowaniem swojej ofiary, jeszcze ją kokietują.

29. SPRAWIEDLIWI

A jednak nie tylko same przerażające rzeczy widziałam w ciągu tych 25 lat. Wiele napisałam o cudownych łaskach Bożych. Niektórych ludzi, żyjących sprawiedliwie, Bóg chronił przed gwałtowną śmiercią z rąk bolszewików. Spotkania z nimi były największym szczęściem i pocieszeniem.

Gdy bywałam w Rostowie przy okazji sprzedaży kwiatów, usłyszałam o dziwnym i cudownym, 106-letnim starcu, ojcu Janie Domowskim, który mieszkał w Rostowie w wolno stojącym, małym domku. Od rana do nocy przychodzili do niego ludzie prosząc o radę i pocieszenie. Dokonał się na nim oczywisty cud Bożej ochrony przed GPU. Niejednokrotnie przychodzili do niego, aby go zaaresztować, ale nawet GPU ze swoją fizyczną i satanistyczną siłą nie było w stanie tego zrobić.

Wierzący zawsze dyżurowali, w dzień i w nocy, i w razie potrzeby przy jego domku w mgnieniu oka zbierał się tłum. Oczywiście, gdyby nie Boża pomoc, skuteczny opór przeciwko satanistycznej sile byłby niemożliwy. Starzec umarł w swojej celi w 1927 roku, z powodu starości.

Byłam u niego dwukrotnie. Z tego starego latami, lecz zawsze młodego duchem starca płynęła cudowna

nabożność. Zazwyczaj leżał na swojej kozetce i przyjmował gości nie wstając, ubrany w podriasnik. Czasami wstawał i razem z odwiedzającym podchodził do kąta, gdzie wisiało mnóstwo ikon i wiele lampad nad całkowicie przykrytym stołem, na którym odprawiał służbę Bożą. Był wysoki, zupełnie nie zgarbiony, i wydawało się, że można by z niego malować obraz przedstawiający Apostoła. Gdy przyjmował mnie po raz pierwszy, rozmawiał nie wstając, a gdy po raz drugi – wstał i modlił się w świętym kąciku. Gdy wypuścił mnie z błogosławieństwem i byłam już za drzwiami, zaczął mnie wołać z powrotem po imieniu. Gdy wróciłam, wciąż stał w kąciku, ubrany w epitrachil. Położył mi rękę na głowie i przez kilka minut modlił się cicho, następnie powoli pobłogosławił mnie dużym krzyżem ze słowami: „Od nagłej śmierci”. Zrozumiałam, że ściągnął ze mnie coś strasznego, co mi groziło, a co widział w swojej prozorliwości. Niejednokrotnie znajdowałam się w zagrożeniu niechybnej, jak się zdawało, śmierci i zawsze pamiętałam o tych jego słowach i błogosławieństwie. Gdy byłam u niego po raz pierwszy, to służąca mniszka wpuściła mnie do środka, mimo, iż nie wypuścił jeszcze innej kobiety. Ona nie płakała, ale zanosila się od płaczu, o coś go błagając. Nie mogłam nie słyszeć rozmowy, gdyż stałam przy nich, a on nie nakazał mi odejść, najwyraźniej trzeba było, bym jeszcze bardziej umocniła się w swoich uczuciach i opinii o komunistach. „Batuszka, ja go kocham, mam z nim kilkoro dzieci, jakże ja od niego odejdę? Przecież to mój mąż!” – mówiła. On zaś odpowiedział: „Zostaw go i odejdz. Kobieta wierząca w Boga nie może być żoną komunisty”. I z tym zakazem, cała we łzach, wyszła od niego, a on w ostatnich słowach powiedział: „Przebaczenia za to nie będzie nigdy”.

W tym samym roku byłam w Rostowie w czasie, gdy wysadzali w powietrze ogromny sobór. Na szczęście nie widziałam tego wstrząsającego obrazu, ale poczułam drżenie całego miasta i straszny huk, niczym grom. Następnego dnia widziałam kupy rozwalonych kamieni. Nie podeszłam blisko, gdyż ogarniało mnie przerażenie i sama przychodziła do głowy modlitwa: „Niech zmartwychwstanie Bóg i niech rozproszą się Jego wrogowie”. Wkrótce wysadzono w powietrze sobór w Taganrogu. Sobór ten był zwieńczony ogromną złotą kopułą, podtrzymywaną przez 12 Apostołów, napisanych w bardzo piękny i barwny sposób. W tamtym czasie świątynie niszczone jak Rosja długa i szeroka. Zazwyczaj zaczynało się od wysadzania soborów, potem przechodzono do mniejszych cerkwi. Wszystkie drogocenneści wnoszono zawczasu: święte naczynia, szaty kapłańskie, lampady i wszystko to, co było ze złota, srebra i drogocennych kamieni, wywożono cenne starodawne przedmioty i obrazy, pozostałe zaś, nawet jeśli były cudowne, niszczone i bezczeszczone. Wszystko to sprzedawano, albo oddawano Żydom celem sprzedaży za granicą. Nie sposób sobie wyobrazić ile drogocennych rzeczy zostało zagrabionych i w dużej części wywiezionych z Rosji lub przywłaszczonych przez przedstawicieli władzy. Wszak same skarby carskie były warte miliardy. W samej tylko Granitowej Pałacie w Moskwie znajdowały się takie kamienie w historycznych oprawach, jakich nie ma na całym świecie, a raczej, jakich nie było do tamtych czasów.

A jakich tylko dzieł sztuki nie było w starodawnych majątkach szlachty rosyjskiej! W majątku mojej babci był wielki obraz, którego, jak pamiętam, bardzo się w dzieciństwie bałam: byli to dwaj średniowieczni rycerze naturalnej wielkości, oryginał Rembrandta. Obraz ten został wywieziony z Wersalu. Dziad mojej matki, znany ataman kozacki, graf Płatow, otrzymał go wraz z innymi cennymi rzeczami jako dar od Francji w czasie podpisywania pokoju w Paryżu, po zakończeniu wojny 1812 roku. Obraz należał do starszego brata mojej matki – mojego wujka. Na samym początku rewolucji został on uwięziony jako ziemianin i marszałek szlachty. Cały jego majątek rozgrabiono, a Rembrandt przepadł.

W tamtym czasie jeszcze zostawiano jakieś świątynie, które służyły cerkwi „żywej” i „odnowionej”³². Oczy-

32 „Żywa” cerkiew, zwana również obnowlenczestwom – „cerkiew” powstała w Rosji po 1917 roku. Jej celem było „odnowienie” cerkwi, demokratyzacja zarządu cerkwią, modernizacja liturgii. Najważniejszymi działaczami byli: metropolita w stanie spoczynku Antoni (Granowski), protojereje: Aleksander Wwiedeński (patrz wyżej), Dymitr Krasnicki, Płatonow, Krasotin. Żywiści nie uznawali Patriarchy Tichona za głowę cerkwi, zaś Cerkiew Prawosławną (nazywaną przez nich „tichonowcami”) odrzucali jako „kontrrewolucyjną”. W latach 1922-1927 (do deklaracji lojalności metr. Sergiusza) „żywa” cerkiew była jedynym organizmem cerkiewnym na terenie ZSRR uznawanym przez władze sowieckie, a także przez inne cerkwie lokalne, np. przez patriarchaty greckie (!). W połowie lat 20-tych znacznie ponad połowa rosyjskiego episkopatu i parafii znajdowała się w jurysdykcji żywistów (w latach 1922-23 do żywistów należał również metr. Sergiusz Stragorodski, późniejszy autor Deklaracji lojalności). Politycznie „żywa” cerkiew stała na gruncie całkowitej lojalności wobec władzy sowieckiej. Jeśli chodzi o życie cerkiewne, propagowała „komunistyczne chrześcijaństwo”, dostosowanie chrześcijaństwa do współczesnego ustroju państwowego, „uproszczenie” i „uwspółcześnienie” życia chrześcijańskiego. Pod hasłem „powrotu do tradycji” zezwolono na żonaty episkopat, powtórne małżeństwa kapłanów, zaś ludzie świeccy mogli żenić się i rozwodzić bez ograniczeń. Zmienioną liturgię prowadzono w języku rosyjskim. Kalendarz cerkiewny postanowiono dostosować do świeckiego, państwowego (co oznaczało wprowadzenie nowego stylu kalendarza, łącznie ze zmianą daty świętowania Paschy); wprowadzono do kalendarza cerkiewnego święta państwowe (np. cerkiewne świętowanie rocznicy rewolucji bolszewickiej). Odnośnie kapłanów postanowiono, że kapłan jest kapłanem tylko w cerkwi, w trakcie nabożeństwa, zaś poza cerkwią nie powinien się odróżniać strojem i zachowaniem od osób świeckich. Wiernych „żywej” cerkwi hierarchia zmuszała do podpisywania rozdawanych przez GPU ankiet, w których uznawali prawomocność i sprawiedliwość bolszewickiego przewrotu. O ile w zakresie reform

wiecie nikt spośród prawdziwie wierzących nie chodził do tych miejsc bluźnierstwa. Nie mogę nawet tego nazywać świątyniami, czy cerkwiemi. Gdy wysadzono w powietrze świątynię Chrystusa Zbawiciela w Moskwie, która wewnątrz, począwszy od ogromnych ikon autorstwa słynnych artystów, a skończywszy na posadzce, cała była z marmuru i z subtelnej mozaiki, można było zobaczyć, jak święte resztki ikon, walające się na ogromnych górach ruin, wywożono ciężarówkami i wysypywano jako tłuczeń na ulice. Uczyniono to w tym celu, by ludzie nogami deptali świętość. Chcąc nie chcąc trzeba było chodzić po takich chodnikach i ulicach. Całe rozkoszne metro, z którego tak dumni są bolszewicy, zbudowano z różnokolorowych marmurów pochodzących ze zburzonych starodawnych cerkwi i z pomników ze zniszczonych cmentarzy. Śmiecie i nawóz z ulic zbierano do worków, uszytych z drogich, złotych i srebrnych fełonów. Na miejscu bardzo bogatego cmentarza Skorbiaszczeńskiego, przy dawnym, całkowicie zniszczonym Monasterze Skorbiaszczeńskim, zbudowano park kultury z różnymi rozrywkami. Na cmentarzu tym był pochowany mój ojciec, który zmarł w 1914 roku. Zaproponowano krewnym otwarcie mogił i przewiezienie trumien ze zmarłymi na cmentarz Wagańkowski. Byłam wtedy na Kaukazie. Moja siostra przewiozła ojca. Było to bardzo trudne i bardzo dużo kosztowało, ale udało się jej przechować coś, do czego nie dobrało się GPU. Było to w dziesięć lat po jego śmierci. Podwieziono trumnę cynkową i przełożono do niej pierwszą trumnę. W 1941 roku znów zaproponowano otwarcie grobu i wywiezienie szczątków na odległość wielu wiorst od Moskwy, gdyż na miejscu cmentarza Wagańkowskiego planowano wykopać jezioro dla celów sportowych i pływania. Nie wiem, co moja siostra zrobiła z grobem ojca, matki, brata i drugiej siostry, ale ja nie miałam środków na to, by przewieźć moją córkę, zmarłą w 1930 roku. Obwieszczono, że wszystkie trumny, które pozostaną w ziemi, zostaną wygrzebane i spalone. W czerwcu zaczęła się wojna i nie wiem, co było dalej. Na miejscu dawnych świątyń organizowano zazwyczaj jakieś miejsca rozrywki: kina, kawiarnie, pijalnie piwa, itd., zaś w prezbiteriach tańczono, oddawano się rozpuście, organizowano atelier mody, na miejscu ołtarzy rozbierano się, przymierzano bieliznę i sukienki. Nie zamierzam tu wyjaśniać istoty cerkwi „odnowionych” i „żywych”, z tego powodu, że po prostu nie interesowałam się robotą złego ducha i nie znam jej w szczegółach. Wiem tylko, że mianowano tam kapłanami kogo popadło, święcenia nie były konieczne, z celem poderwania autorytetu prawdziwej, Apostolskiej Cerkwi Prawosławnej. Kapłani mogli się rozwodzić, żenić powtórnie bez żadnych ograniczeń, chodzić do teatru, kina, karczmy itd. Biskupi byli również żonaci i nie odmawiali sobie rozrywek. W czasie, gdy nie służyli w cerkwi, chodzili w świeckich ubraniach. Za chrzest święty i ślub ścigano aż do samej wojny, pogrzeb z kapłanem był zabroniony aż do momentu, gdy patriarchą został Aleksy³³, próbowano zmuszać siłą do pogrzebów z muzyką. Ileż z tego było niepotrzebnego bólu dla wielu ludzi. Do roku 1930 albo 1928, nie pamiętam, pozwalano na swobodne współżycie, bez ograniczeń wiekowych, a nawet bez rejestracji. Nie da się opisać tego, co wyprawiało się w szkołach koedukacyjnych. Nierzadko 14-letnie dziewczynki zostawały matkami, państwo zabierało dzieci, a matki kontynuowały naukę. Nie pamiętam w którym roku, ale nawet bolszewicy wprowadzili w końcu rejestr obywatelski. Propaganda bezbożnictwa była prowadzona wszędzie. Na wszystkich ulicach, na ścianach domów i urzędów rozklejano plakaty: „Religia – opium dla ludu” i „Naszą bronią – propaganda”. GPU chodziło po prywatnych mieszkaniach i sprawdzało, czy nie wiszą na ścianach ikony, a tych, którzy nie chcieli dobrowolnie ściągnąć ikon, zsyłano najpierw na 5 lat, a po upływie tego terminu na kolejne 10 lat bez prawa do korespondencji i wtedy już ludzie ci ginęli bez śladu. W taki właśnie sposób straciłam już ponad 10 lat temu dwóch moich młodszych synów, Piotrusia i Andrzejka – za wiarę i niechęć do najmniejszych kompromisów. Od pierwszego dnia rewolucji, przez cały czas mojego pobytu w tym piekle przez naszymi obrazami płonęła lampadka. Nie zaaresztowano mnie tylko z powodu kłamstwa politycznego, potrzebnego dla mamienia zagranicznych ambasad.

Mydlono im oczy, że zsyłani są tylko „polityczni”, w dowód czego wskazywano na mnie, na przebywającą w Moskwie moją siostrę, frejlinę Cesarzowej, inne stare damy i mężczyzn o znanych nazwiskach, którzy nie zostali aresztowani. Było to cały czas to same podłe kłamstwo. Ja osobiście straciłam 12 członków mojej rodziny, a ze strony męża – siedmioro.

W 1922 roku moja 18-letnia bratanica została na ulicy złapana za to, że rozmawiała ze znajomym po angielsku. Przez cały rok przetrzymywano ją w samotności, w bardzo ciężkim więzieniu, obwiniając o

cerkiewnych „żywa” cerkiew początkowo poniosła porażkę, o tyle wybrana przez nią droga politycznej lojalności wobec władzy sowieckiej została de facto przejęta przez Patriarchat Moskiewski metr. Sergiusza po 1927 roku (co objawiło się całkowitym przejściem polityki kadrowej w Cerkwi metr. Sergiusza w ręce GPU). „Żywa cerkiew” uległa samolikwidacji w 1946 roku i weszła w struktury Patriarchatu Moskiewskiego metr. Sergiusza.

33 Chodzi o Aleksę I (Simańskiego), Patriarchę Moskiewskiego od 1945 do 1970 roku.

szpiegostwo. Od urodzenia była wychowywana najpierw przez nianię, a potem przez guwernantkę-Angielkę. Była ich razem czwórka braci i siostr i wszyscy za to zginęli. Mój brat³⁴, a jej ojciec, właśnie stracił żonę, która umarła w szpitalu własną śmiercią. W swoim nieszczęściu mógł oprzeć się jedynie na tej właśnie córce, mądrej i nadzwyczaj dobrej dziewczynie, tylko w niej miał pomocnicę w wychowaniu trójki młodszych dzieci. Prosił, udowadniał jej niewinność – ale wszystko na próżno. Po kilku miesiącach zachorowała na ciężką formę gruźlicy. Wiosną leżała w szpitalu więziennym. 4 maja sytuacja była już beznadziejna i mojemu bratu pozwolono na widzenie. Zarówno on sam, jak i biedna chora błagali o to, aby pozwolono jej umrzeć w domu. Nie pozwolono. Umarła 6 maja nad ranem, a o trzeciej po południu bratu przyniesiono powiadomienie, w którym przyznano, że jego córka została omyłkowo aresztowana, że zdjęto z niej oskarżenie o szpiegostwo i że może ją zabrać do domu. Jakże pełna zła, typowa satanistyczna drwina! Jej ciało oddano bratu. Po dwóch latach jej nieco młodszy brat został powołany do służby wojskowej i wywieziony do Odessy. Po miesiącu przyszło powiadomienie o jego śmierci. W jaki sposób i na co umarł – nie wiadomo, ale możliwe, że również za język angielski. Po upływie kolejnego roku druga córka została zesłana do obozu na Syberii, a najmłodszy syn posadzony do więzienia Butyrskiego w Moskwie. Mój biedny brat nie wytrzymał bólu i śmiertelnie zachorował. Przed jego śmiercią, syn poprosił o przewiezienie z więzienia do szpitala, na pożegnanie z ojcem. Wszyscy płakali, gdy ten całkowicie niewinny (dla większości było to oczywiste) młodzieniec został wprowadzony do sali w towarzystwie dwóch uzbrojonych żołnierzy GPU. Dano im pięć minut. Ojciec, czując nadchodzącą śmierć, prosił o przedłużenie widzenia choćby o minutę, a obejmującego go syna siłą odrywali od umierającego ojca. Jak tylko wyprowadzili go za drzwi, ojciec umarł.

Mój drugi brat³⁵ umarł na zesłaniu w Archangielsku. Mój trzeci brat, Piotr³⁶, o którym pisałam, pierwsze dwanaście lat rewolucji prawie w całości spędził na zesłaniu, a w 1934 roku, po sądzie, ślad po nim zaginął, o czym jeszcze napiszę. Moja młodsza³⁷ siostra w chwili wybuchu wojny była już od 12 lat na zesłaniu i niczego o niej nie było wiadomo. W więzieniu zmarło dwóch moich wujków i trzech braci mojego męża. Dwóch moich synów, jak już wspominałam, w 1937 roku zginęło bez śladu, o czym w dalszym ciągu napiszę szczegółowo.

Poznałam stare małżeństwo, bardzo religijne, a nawet więcej – wedle powszechnej opinii byli to ludzie o życiu świętym i sprawiedliwym. W carskich czasach on sprawował bardzo wysokie stanowisko w okręgu irkuckim, na Syberii. Nazwiska nie podaję. Ludzie ci stracili w Białej Armii trzech synów. On – wielokrotnie aresztowany, niejednokrotnie spędzał ponad rok w ciężkich warunkach więziennych. Byli oczywiście kompletnie zrujnowani, doprowadzeni do całkowitej nędzy. Często można było zobaczyć, jak ten wysoki staruszek, z białą, bujną brodą, o wyglądzie prawdziwego bojara, chodził po bazarze z koszykiem, albo workiem i zbierał odpady warzywne. Mieli w Chabarowsku ostatniego, najstarszego syna, byłego oficera lejbgwardii pułku huzarów, który do 1926 roku jakimś cudem nie tylko ocalał, ale nawet był na posadzie kierownika uzupełniania stanu koni; był żonaty, miał córkę i mógł wspierać rodziców tylko bardzo niewielkimi kwotami. Nie będąc ani komunistą, ani złodziejem, musiał się zadowalać skrajnie małymi środkami. Bardzo przeżywał biedę swoich rodziców. Udało mu się załatwić delegację i darmowy przejazd celem zakupu koni, nie pamiętam, dokąd, ale dzięki temu mógł urwać dwa dni, żeby zobaczyć się z ojcem i matką. Spotkałam go, był dobrym człowiekiem, żyjącym uczciwie, tak samo wierzącym, jak i oni. Bardzo sympatyczny i przystojny, miał około trzydziestu lat.

Pokazał mi kilka portretów Monarchy, Monarchini i wielkich książąt, wszystkie z odręcznymi podpisami i z ciepłymi słowami, pokazał mi też swój portret w huzarskim mundurze galowym. Nie pochwaliałam go za to, gdyż wożenie przy sobie takich portretów to była niepotrzebna nieostrożność. Powiedziałam mu o tym, a on na to odpowiedział: „Mój Władca do samej śmierci będzie przy mnie”. Spędził u rodziców trzy dni i pojechał z powrotem. Przez kilka miesięcy nie było od niego żadnych listów, aż wreszcie przyszła bolesna wiadomość od jego żony. W czasie drogi powrotnej aresztowało go GPU, portrety mu odebrano i został rozstrzelany bez sądu. Staruszkowie zostali pozbawieni ostatniej pomocy, a byli kiedyś wielkimi ziemianami w guberni charkowskiej. Spotkałam ich w trzy lata po moim wyjeździe do Moskwy. Byłam u nich

34 Chodzi tu o najstarszego brata Autorki – Dymitra Władimirowicza Istomina (więcej wiadomości na jego temat i na temat pozostałych członków rodziny w dodatku 3)

35 Leonid Władimirowicz Istomin.

36 Piotr Władimirowicz Istomin.

37 Barbara Władimirowna Istomina. Zginęła w 1937 roku.

z polecenia pewnego starca, należącego do Cerkwi Katakumbowej, na czele której stał Metropolita Józef³⁸. Byli to ludzie wielkiej modlitwy, cierpliwie niosący postłany im przez Boga krzyż.

W 1930 roku moja córka Irena, która, jak już wspominałam, po 1918 roku nie mogła już dojść do pełni sił, zachorowała i miała silne bóle w okolicy wątroby. Miejscowi lekarze uznali, że operacja jest konieczna, ale wobec tego, że na miejscu nie było chirurgów specjalistów, postanowiliśmy wszyscy pojechać do Moskwy. W duszy odczuwałam wszechobejmujące przygnębienie, które dusiło mnie ciężkim oczekiwaniem nieszczęścia. I nieszczęście to wkrótce mnie dopadło: dwa tygodnie przed śmiercią córki straciłam syna. To był początek – nie kolejnych, znanych już problemów – ale zesłanych mi ogromnych nieszczęść i bólu. Pojechalśmy. Znalazienie mieszkania było niezmiernie trudne. Przez jakiś czas, że dwa tygodnie, mieszkaliśmy z męczącą się w bólach Irenką w pokoiku u brata mojego męża. Gdybyśmy wiedzieli, że nie ma obiecane przez męża pokoju, to zostalibyśmy w Jejsku, ale przyjechalśmy i nie było innego wyjścia. Wreszcie znaleźliśmy pokoik 6 arszynów na 6 arszynów i przeprowadziliśmy się tam w liczbie siedmiu osób: zięć, chora Irenka, Natasza, Piotruś, Andrzejek, ja i wnuczka Nineczka. Spaliliśmy na pryczach, jedno nad drugim. Irenka dostała się do szpitala dopiero po upływie miesiąca. Nie bacząc na to, że lekarze nalegali na natychmiastową operację w okolicach wątroby, sowiecki profesor-komunista Burdenko uniemożliwił pójście do szpitala, dowodząc, że ma gruźlicę otrzewnej i operacja jest niepotrzebna. Gdy jednak okazało się, że jest konieczna, było już za późno. Otwarli rejon żołądka, zrobili ranę na pięć werszków³⁹. Żołądek okazał się zdrowy. W międzyczasie dojrzał ogromny wrzód na wątrobie i z powodu wielkiej ilości ropy nie można było zaszyć rany. Bóg będzie sądził profesora – niewiadomo, czy operacja nie była naumyślnie odciągana przez tyle czasu, wbrew opinii innych lekarzy. Wśród wszystkich sposobów, jakich czepiali się bolszewicy, aby zniszczyć warstwę szlachecką, zdarzały się również takie przypadki. Po upływie 40 dni rozstałam się z nią na zawsze. Przez cały ten czas nie odstępowałam od niej, dyżurowałam we dnie i w nocy, spałam obok, na krzesłach, gdyż opieka była straszna i nie można było nikomu ufać. Pozwolono mi na to. Do ostatniej chwili, bez względu na jej straszne cierpienia, nie traciłam nadziei na wyzdrowienie. Wszyscy byli wstrząśnięci jej pokorą i nieprawdopodobną cierpliwością. Jako osoba głęboko wierząca, umierała z pełną świadomością swojej śmierci, ani na chwilę nie przerywając modlitwy. Raz w tygodniu przywoziłam jej Nineczkę, poza którą świata nie widziała. Mimo to, widząc po raz ostatni swoje 6-letnie dziecko nie wpadła w rozpacz, jedynie ogromne łzy milczącego bólu zdradzały stan jej duszy. Powiedziała do mnie: „Mamusiu, oddaję ją tobie. Od teraz jest twoja. Wiem, że umieram”. W przeddzień śmierci powiedziała: „O, jestem jeszcze żywa i leżę tutaj, ale druga ja, lekka, jak powietrze, stoję już przy swoim ciele”. Na dwa tygodnie przed jej śmiercią przyniesiono mi, na szczęście nie przy niej, list żałobny z Francji. Powiadomiono mnie o nieszczęśliwym wypadku w Nicei i nieoczekiwanej śmierci mojego syna Mikołaja. Ta straszna wiadomość była dla mnie niczym grom z jasnego nieba, nie będę tego opisywać. Wiedziałam tylko jedno: muszę tę wiadomość ukryć przed Irenką, gdyż przedwcześnie by ją zabiła. Od dzieciństwa byli nierozłącznymi przyjaciółmi. Tak, Bóg nie posyła krzyża, który przekraczałby siły danego człowieka. I siły takie znalazły się we mnie, dałam rady wziąć się na zewnątrz w ręce. Przez trzy godziny nie mogłam powiedzieć ani słowa i przestraszyłaby się, gdyby to było w jej obecności. Powiedziałam potem, że coś mnie zatrzymało.

Po kilku dniach zadała mi pytanie: „Dlaczego, gdy mówię o Koli, twoje oczy napęcznieją się łzami?” Odpowiedziałam, że otrzymałam wiadomość o jego chorobie, a ona na to: „Nie płacz, mamusiu, na pewno znajduje się w lepszych warunkach, niż ja tutaj w tym sowieckim szpitalu”. Zmarła 19 lutego 1931 roku. Pozwolono mi zabrać ją z kostnicy i pochować. Po śmierci dwojka moich drogich, dorosłych dzieci wszystkie trudności życia, opisywane wcześniej, okazały się nagle takie blade i niewielkie.

W czasie choroby Irenki za mąż wyszła młodsza, Natasza. Zostałam z Piotrusiem, Andrzejkiem i Ninecz-

38 Metropolita Józef (Pietrowych) Piotrogrodzki (1872-1937). Od 1909 Biskup Uglicki, wikariusz Metropolity Jarosławskiego; od 1920 Biskup Rostowski, wikariusz jarosławski; 1920-1925 tymczasowo zarządzał eparchią nowogrodzką; 1923-1926 eparchią jarosławską. W 1926 roku mianowany Biskupem Leningradzkim, przez władze nie został dopuszczony do pełnienia obowiązków. W 1927 roku odrzucił Deklarację lojalności metr. Sergiusza i stanął na czele jednej z kilku grup niepominających (zwanej czasami w literaturze iosiflanami, od imienia metr. Józefa; w grupie tej było początkowo 11 biskupów). W 1928 roku podpisał oficjalny akt o odejściu od metr. Sergiusza, za co został przezeń pozbawiony katedry i suspendowany (zawieszony w wykonywaniu obowiązków duszpasterskich). Zawieszenia nie uznał, uważając metr. Sergiusza za niekanonicznego uzurpatora władzy cerkiewnej (patrz przypisy nt. metr. Sergiusza). Aresztowany w 1929 roku i zesłany do Kazachstanu, stał się symbolem Istinnio Prawosławnej Cerkwi, czyli Cerkwi Prawdziwie Prawosławnej, zwanej najczęściej Katakumbową. W 1937 roku został aresztowany w czasie fali masowych represji wobec duchowieństwa i wraz z metropolitą Cyrylem (Smirnowem), również odrzucającym Deklarację lojalności, rozstrzelany pod Czimkentem w dniu 20 listopada. Kanonizowany przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną Za Granicą, dotychczas nie kanonizowany przez Patriarchat Moskiewski.

39 Werszek – dawna rosyjska miara długości, równa 4,45 cm.

ką. W niedługim czasie ożenił się również Piotruś. Dysponowaliśmy bardzo niewielkimi środkami, ledwie wystarczało na jak najskromniejsze wyżywienie. Po trochę robiłam kwiaty, ale ze strachu przed aresztowaniem z powodu braku świadectwa podatkowego, sprzedawałam je bezpośrednio ludziom. Andrzejka przyjął do siebie profesor akademii rolniczej Prianisznikow, jako ucznia-praktykanta w laboratorium biologicznym. Syn zaczął otrzymywać niewielką zapłatę.

30. ZWIERZĘCY STRACH

Wybiegłam naprzód, więc teraz wracam do roku 1927, do czasów, gdy jeszcze mieszkaliśmy w Jejsku. W roku tym w Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej miało miejsce wydarzenie, które zasadniczo zmieniło nasze życie. Przestaliśmy chodzić do cerkwi.

Wyszedł słynny, historyczny dekret⁴⁰ metropolity Sergiusza⁴¹, który spowodował podział wśród wiernych. Jak wiadomo, wzywał on naród rosyjski do uznania władzy sowieckiej, „cieszenia się jej radościami i dzielenia jej smutków”. Wprowadzał modlitwę za władze w czasie liturgii⁴². Był to polityczny manewr sług szatana. Metropolita Sergiusz wszedł w kontakt z GPU.

Gdy dekret dotarł do Jejska od razu poczułam, że to chytry podstęp szatana i powiedziałam: „Andrzejku, do naszej cerkwi pójdziemy tylko wtedy, gdy o. Bazyli nie uzna modlitwy za władze”. Byłam pewna, że ten dostojny, pobożny protojerej, nie bacząc na słuchy o okrutnych prześladowaniach tych, którzy nie przyjęli dekretu, nie zawaha się ani na chwilę. Od razu spadły na mnie narzekania, spory i podziały, dowody, że „Cerkiew zawsze pozostaje Cerkwią obdarzoną łaską Bożą”. Problem ten przeżywałam bardzo ostro i postanowiłam jechać do Moskwy, gdzie miałam nadzieję znaleźć osoby, których autorytetowi mogłabym zaufać i to tylko w

40 Chodzi o tzw. Deklarację lojalności metropolity Sergiusza. Ze względu na rozmiary jej pełnego tekstu, zamieszczamy go na końcu niniejszych Wspomnień.

41 Metropolita Sergiusz (Stragorodski) – (1867-1944). Hierarcha Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Od 1901 Biskup Jamburski, wikariusz Sankt-Petersburski; od 1905 Biskup Fiński i Wyborski; od 1911 członek Świętego Synodu. Jako członek Świętego Synodu był zwolennikiem reform cerkiewnych, zajmował opozycyjne stanowisko wobec św. Cara Mikołaja i utrzymywał kontakty z rewolucjonistami. Po abdykacji św. Cara Mikołaja, wraz z innymi członkami Synodu, uznał i pobłogosławił Rząd Tymczasowy. Był jedynym przedrewolucyjnym członkiem Świętego Synodu, którego Rząd Tymczasowy pozostawił na swoim stanowisku. Od 1917 arcybiskup Włodzimierski i Szujski, w 1918 otrzymał godność Metropolity. Aresztowany w styczniu 1921, wypuszczony na wolność na Paschę tego samego roku. W czerwcu 1922, po aresztowaniu Patriarchy Tichona, wraz z innymi biskupami – Eudokimem (Mieszczerskim) i Serafinem (Mieszczeriakowym) uznał „żywą” cerkiew i przyłączył się do niej. W sierpniu 1923 roku przyniósł za to publiczne pokajanie w Monasterze Dońskim, na ręce Patriarchy Tichona. Od 1924 Metropolita Niżgorodzki. W 1927, jako tzw. Zastępca Strażnika Tronu Metropolitalnego, objął władzę w Cerkwi i dnia 16 (29) lipca 1927 opublikował tzw. Deklarację lojalności, w której wstąpił na drogę bezwarunkowej lojalności wobec władzy sowieckiej (pełny tekst Deklaracji zamieszczono na końcu książki). Wydał rozporządzenie o wnoszeniu w czasie nabożeństw modlitw jego imienia, zamiast imienia metr. Piotra Krutickiego (patrz przypis w rozdziale 36) oraz o obowiązkowej modlitwie za władzę sowiecką. Treść Deklaracji i kanoniczność objęcia władzy przez metr. Sergiusza zostały odrzucone przez większą część biskupów i wiernych i doprowadziła do rozbitcia Cerkwi Rosyjskiej na część lojalną wobec władzy sowieckiej i współpracującą z nią (pod omoforem metr. Sergiusza) oraz potępiającą władzę sowiecką – Cerkiew Katakumbową, poddaną bezwzględny prześladowaniom komunistycznym. (Opócz tego istniały jeszcze „żywa cerkiew” i Cerkiew Zagraniczna). Na czele sprzeciwu wobec działalności metr. Sergiusza stanął metr. Józef (Pietrowych – patrz wyżej), który oskarżył go o uzurpatorstwo władzy cerkiewnej oraz niszczenie kanoniczności Cerkwi Rosyjskiej. Przeciwnicy metr. Sergiusza twierdzili, że w sytuacji, gdy wciąż przy życiu pozostaje metr. Piotr (Kruticki) – Strażnik Tronu Patriarszego, metr. Sergiusz nie ma prawa podejmować tak radykalnych działań w zakresie zarządu Cerkwią. (Metr. Piotr, będący w więzieniu bolszewickim, odmówił zrzeczenia się praw Strażnika Tronu Patriarszego, za co został zamordowany w 1937 roku). Deklarację z zadowoleniem przyjęli obnowieńcy z „żywej cerkwi”. Metropolita Sergiusz jako głowa cerkwi lojalnej wobec Sowietów zaprzeczał publicznie faktom prześladowania prawosławnych chrześcijan przez bolszewików, twierdząc, że zamykanie świątyń jest związane z „rozpowszechnianiem się w kraju ateizmu” i dokonuje się z woli samych wiernych. Biskupi oraz kapłani, którzy sprzeciwili się Deklaracji, byli suspendowani przez metr. Sergiusza, a następnie zsyłani i mordowani przez GPU (o czym wspomina również Autorka niniejszych Wspomnień; o skali prześladowania biskupów – patrz przypisy do Deklaracji lojalności w dalszej części książki). 4 września 1943 roku, w czasie ożywienia religijnego, które nastąpiło na okupowanych przez Niemców terenach ZSRS, odbyło się spotkanie Stalina z metr. Sergiuszem i dwoma innymi metropolitami, w czasie których poprosili oni Stalina o zwołanie soboru i wybór Patriarchy. Stalin zapewnił, że rząd ZSRS okaże wszelką pomoc i 8 września 1943 zebrał się sobór biskupów lojalnych wobec władzy sowieckiej, na którym metropolita Sergiusz został wybrany Patriarchą (intronizacja odbyła się 12 września). Zmarł w maju 1944 roku. Droga lojalności hierarchii cerkiewnej wobec bezbożnej i bluźnierczej władzy świeckiej w prawosławnej literaturze otrzymała nazwę sergiaństwa.

42 Ros. pominowienije właskiej. Stąd odrzucających modlitwę za władzę lub za metr. Sergiusza jako głowę Cerkwi nazywano niepominajuszczimi.

tym przypadku, gdy ich opinia będzie się pokrywać z moją. Twardo postanowiłam: „Moja noga nie stanie w cerkwi, gdzie będą się modlić o spokojnie życie z beliarzem”. Przyjeżdżam do Moskwy i ku mojej ogromnej radości, zastaję tam swojego brata, który akurat został zwolniony z zesłania. Mieszkał nie w Moskwie, a na dacy pod miastem, gdyż nie miał prawa mieszkać w stolicach. Tego dnia, przypadkowo, przyjechał nielegalnie do Moskwy. Miałam tam także siostry, które również na mnie napadły i za mój pogląd były gotowe się mnie wyrzec. Potem zrozumiałam, że to wciąż ten sam zwierzęcy strach, instynkt samozachowawczy, gdyż ci, którzy uznali modlitwę za władzę na liturgii, nie byli prześladowani w tak straszny sposób. Brat bardzo się ucieszył z mojego powodu, myśleliśmy w ten sam sposób. „Idź do dawnego Monasteru Podwyższenia Krzyża Świętego, – powiedział, – jest tam wspaniały, dość młody kapłan o. Aleksander, jego wierze możesz w pełni zaufać”. Mój biedny brat, a raczej – niezwykle szczęśliwy – był prześladowany za wiarę przez całe 30 lat rewolucji (do mojego wyjazdu z Rosji). Zwolniono go po pięciu latach zesłania i pozwolono osiedlać się w dowolnym miejscu oprócz stolic. Do cerkwi w swojej osadzie nie chodził. Tak długi, póki o. Aleksander nie został jeszcze zamęczony i służył, miał rzadką możliwość przyjeżdżania na służby. Gdy w Moskwie nie było ani jednej świątyni, w której nie modlono by się za władzę, zupełnie nie chodził do cerkwi. Wzywają go na GPU: „Dlaczego nie chodzą do cerkwi?” (Wiedzieli, że był ostatnim przy Carze pełniącym obowiązki prokuratora Świętego Synodu i że jeśli nie chodził do cerkwi, to z tego powodu, że jej nie uznawał). „Odpowiedziałem, – mówił, – że wolę modlić się w domu”. – „Przecież my wiemy, dlaczego nie chodzą. Nie uznajecie naszego metropolity”. – „Nie rozumiem, jakiego wy możecie mieć metropolitę, skoro prześladowacie wiarę i cerkiew!” – „Bardzo dobrze rozumiecie, że mówimy o metropolicie Sergiuszu”. – „A, jeśli tak, to ja go nie uznaję”.

Do domu go już nie wypuścili i wysłali na nowe zesłanie, na nowe cierpienia. Po 1937 roku słuch po nim zaginął. Z Kazachstanu, gdzie się wtedy znajdował, wysłali go nie wiadomo dokąd, bez prawa do korespondencji. Twardy w wierze i niezachwiany w męstwie był ten mój brat. Ostatni raz sądzono go w 1937 roku przy drzwiach otwartych. Ludzie, z którymi rozmawiał, którzy widzieli tego przedwcześnie postarzałego człowieka, o pięknym obliczu i wnętrzu, pełnego godności, opowiadali, że mieli ochotę pokłonić mu się aż do ziemi. Nie bronił się, ale twardo szedł na mękę za Chrystusa.

A więc za jego radą poszłam do cerkwi dawnego Monasteru Podniesienia Krzyża Św. Przyszłam na początek liturgii. Zarówno oblicze kapłana, przyszłego męczennika, jak i sam sposób jego służenia dogłębnie mną wstrząsnęły. Dawno, nie pamiętam już kiedy i gdzie, nie czułam się tak dobrze duchowo. Zresztą – nie mogło być inaczej. Czuło się, że wszyscy modlący się w świątyni doświadczali tego samego. Panowała pełna pobożności cisza, zabronione było wszelkie chodzenie, rozmowy, nawet szeptem. Nie było również zbierania pieniędzy na tacę, który zazwyczaj narusza głęboki, modlitewny stan duszy. Tylko przy drzwiach była puszcza na wszystkie potrzeby cerkwi. Śpiewał amatorski chór, złożony z jeszcze nie aresztowanych parafian. Po zakończeniu służby zapytałam o Aleksandra, kiedy mogłabym z nim porozmawiać. Odpowiedział: „Zaraz skończę treby, proszę posiedzieć w lewej nawie, przyjdę do pani i porozmawiamy”. „Pani przyjezdna?” – zapytał. Odpowiedziałam: „Tak, z daleka, z Kaukazu”. Ściągnął szaty i podszedł do mnie w czarnym podriasniku, przepasany paskiem, niczym posłusznik, chociaż nie był mnichem. Zawsze zauważałam, że oblicza takich ludzi są rozświetlone jakimś szczególnym, nieziemskim pięknem. Usiadł koło mnie. Opowiedziałam mu o moich przeżyciach spowodowanych dekretem metropolity Sergiusza, powiedziałam, że postanowiłam ani sama nie chodzić, ani nie pozwalać Andrzejkowi przysługiwać w świątyni, w której będą się modlić za władzę sowiecką. Bardzo się ucieszył i dał na to błogosławieństwo, mówiąc: „Sergiusz – to sługa ojca kłamstwa. Słusznie pani oceniła sytuację i nigdy, w żadnych okolicznościach proszę nie iść na nabożeństwo, gdzie będą się modlić za władzę sowiecką, proszę nawet nie wchodzić w kontakt z takim duchowieństwem, nawet wtedy, gdyby przyszło umrzeć bez spowiedzi i bez pogrzebu”. Jego słowa wlały się do mojej duszy niczym strumień czystej wody. Stały się one źródłem ogromnych cierpień tu, na ziemi, ale jednocześnie źródłem życia dla duszy i oto już ponad 20 lat minęło od tej rozmowy, a ja nie zdradziłam swoich twardych poglądów i jego nakazu. Wieczorem wypowiadałam się u niego. Moją bezgraniczną miłość do dzieci i strach przed ich utratą nie uważałam za coś niemilego Bogu i nic mu o tym nie mówiłam, lecz nagle powiedział: „Nie wolno w tak bardzo kochać dzieci, proszę przypomnieć sobie słowa, które św. Symeon powiedział do Matki Bożej, że Jej Duszę miecz przeniknie. No więc te słowa zostały wypowiedziane do wszystkich matek w Osobie Matki Bożej, pani duszę miecz przeniknie z powodu pani dzieci”. Wtedy jakoś nie pomyślałam, że Bóg dał mu dar prorocstwa, a teraz, po 20 latach, gdy zostałam sama na świecie bez moich siedmiu dzieci, wspominam jego słowa. Tak! Za bardzo je kochałam. O losie cerkwi i o. Aleksandra napiszę dalej.

Po spowiedzi, następnego dnia, pojechałam do Jejska. Natychmiast poszłam do o. Bazylego. Wchodzę i widzę: o. Bazyli, z rękami założonymi z tyłu, nerwowo chodzi tam i z powrotem po pokoju, matuszka zaś

gorzko płacze. Pomyślałam, że musiało się u nich wydarzyć jakieś nieszczęście i pytam, co się stało. Matuszka z głośnym szlochem odpowiada: „Proszę sobie wyobrazić, że o. Bazyli na GPU podpisał, że zgadza się modlić się za władze, a także zgodził się na wszystko inne, nawet zobowiązał się donosić o wszystkim, co zostanie mu wyjawione w czasie spowiedzi”. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. „Ojciec Bazyli, czyżby to była prawda? Czy mógł ojciec zrobić coś takiego?” Z wielkim wzburzeniem na zapadłej twarzy odpowiedział: „Nie wystarczyło ducha, by zostać męczennikiem”.

Nieszczęsny, tak, tak właśnie: nieszczęsny – i takich było wielu. Po powrocie do domu powiedziałam dzieciom: „Nie będziemy już więcej chodzić do cerkwi”. W Jejsku były trzy cerkwie i wszyscy kapłani podpisali się pod deklaracjami lojalności wobec Sergiusza. Do 1930 roku byliśmy pozbawieni nabożeństw cerkiewnych.

Pierwszą rzeczą, o którą się pytałam po przyjeździe do Moskwy było to, czy są jeszcze świątynie, w których trzymają się jeszcze nakazów św. Patriarchy Tichona i nie modlą się za anatematyzowane przez niego władze. Okazało się, że są dwie: św. Mikołaja „Wielki Krzyż” na Iljince, gdzie Andrzejek od razu zaczął przysługiwać i gdzie Bóg przywiódł nas na pogrzeb mojej Irenki i Serbskie Podworie na Solance. Dawny Monaster Podniesienia Krzyża Świętego był zamknięty, o. Aleksander został aresztowany i wysłany na Daleką Północ, na tak zwaną „Niedźwiedzią Górę”, gdzie został zamęczony na śmierć. Opowiadano mi o nim, że pracował przy wyrębie lasu, wszyscy zesłańcy odnosili się do niego z pobożnością, nawet nadzorcy nie śmieli na niego podnosić głosu. Oczywiście nie podobało się to kierownictwu GPU i nie rozstrzelali go, ale zamęczyli, coś mu zrobili w głowę. W przeddzień śmierci pozwolono przybyłej z Moskwy żonie na widzenie z nim. Był zdrowy i, jak zawsze, rześki na duchu; prosił ją, aby w jego imieniu ponownie przekazała wszystkim nie zesłanym jeszcze parafianom, by twardo trzymali się jego nakazów i nigdy nie wchodzili w kontakt z sergiańskimi kapłanami. Nazajutrz kierownictwo więzienia oświadczyło, że powiesił się w nocy. Jakież straszne, szatańskie kłamstwo! GPU niejednokrotnie stosowało ten chwyt celem dyskredytacji ludzi sprawiedliwego życia, odbierających cześć ze strony wiernych. Oczywiście nikt z wiernych nie uwierzył w to złośliwe łgarstwo, a już tym bardziej żona, która o tym wszystkim opowiadała. Pokazali jej jego martwe ciało. Miał mocno spuchniętą głowę. Do GPU dotarły słuchy, o których mówiono również w Moskwie, że w święta, w ukryciu, w czasie pracy służył na pniu św. Liturgię i wielu ludzi widziało, jak do czaszy zstąpił ogień. Wedle czasu i miejsca mogło tu chodzić tylko o niego i GPU go zniszczyło...

W Moskwie na ulicy spotkałam pewnego bardzo mi bliskiego człowieka, opowiedział mi swoją historię, bardzo ciekawą dla tych, którzy wierzą w Boga i w cuda, przez Niego posyłane.

31. ŚW. MĘCZENNIK O. WŁODZIMIERZ

Miałam bliską przyjaciółkę, N.B., znałyśmy się jeszcze z czasów dzieciństwa. Była trochę starsza ode mnie i wyszła za mąż o dwa lata wcześniej. Pierwszego roku urodził się jej syn Włodzimierz. Chłopiec już od samego urodzenia robił wielkie wrażenie swoimi ogromnymi, czarnymi, jakby smutnymi oczyma i nadzwyczajnie łagodnym charakterem.

Drugiego roku urodził się jej syn, Borys, również zadziwiający wszystkich od pierwszego dnia swojego życia na świecie, ale czym innym – nadzwyczajnie niespokojnym charakterem i żywością. Bardzo lubiłam niańczyć tych dwóch chłopaków i się nimi zajmować. Włodzimierz rósł taki, jaki się urodził. Nigdy, już od najmłodszych lat, nie chciał się bawić z innymi dziećmi. Siadał tylko cicho w kąciку, czasami wręcz robiło się jakoś dziwnie – o czym może myśleć ta mała główka? Ojciec i matka, obydwójce wierzący i religijni, bardzo się nim niepokoiili. Jedyne, co lubił – to chodzić do cerkwi. Gdy nadszedł czas wstępowania do gimnazjum, jego matka mówiła mi: „Nie wiem, jak Wowa da radę się uczyć, myślę, że zupełnie nie jest do tego zdolny, że w ogóle jest jakiś nie całkiem normalny: nic go nie interesuje, wiecznie milczy i myśli o czymś nie na swój wiek...”

Tymczasem – przeszedł przez wszystkie klasy jako prymus! Rodzice zaczęli rozumieć jego religijność, lecz gdy po zakończeniu gimnazjum oświadczył, że dalszą naukę pragnie kontynuować w akademii duchownej, byli wstrząśnięci. Jeszcze nie uświadamiali sobie jego silnego pragnienia podążania po drodze duchowej i nalegali, żeby najpierw zakończył uniwersytet, a potem, gdy nie zmieni swojego zamiaru, pobłogosławią go na wstąpienie do akademii duchownej. „Jesteś jeszcze bardzo młody, – mówili, – posłuchaj rodziców”. Spełnił ich prośbę i zakończył prawo na Uniwersytecie Moskiewskim. Skończył nie w cztery, a w trzy lata, wtedy na to pozwalano. Po zakończeniu uniwersytetu wstąpił do akademii duchownej, został wyświęcony na diakona, a następnie, w 1917 roku, na kapłana.

Nie chciał się żenić, ale wedle ustawy cerkwi nie miał prawa być bezzennym. Jego rodzina przyjaźniła się z pewną, również pobożną rodziną, w której młodzianka córka umierała na suchoty. Lekarze dawali jej najwyżej miesiąc życia. Znała młodego Włodzimierza i wiedziała, że umiera. Dokonała wielkiego czynu: zgodziła się wyjść za niego za mąż, żeby on, jako wdowiec, miał prawo zostać kapłanem. Była tak słaba, że z jej strony była to święta ofiara. Po powrocie z cerkwi do domu już się nie podniosła i po dwóch tygodniach zmarła.

Włodzimierz wstąpił na drogę, której pragnął i na którą został wybrany przez Boga już od urodzenia. Od samego początku wzbudził miłość i szacunek parafian. W 1924 roku jego rodzice zostali wysłani na tak zwaną „wolną” zsyłkę do Tweru. Nie mieli prawa opuszczać miasta i zawsze musieli być pod nadzorem GPU. On zaś miał prawo służyć. Jego kazania wyróżniały się wielką odwagą już od samego początku, a gdy wyszedł dekret Sergiusza, wzywał wierzących, by się jemu nie podporządkowywali. Wedle słów świadków, jego kazania miały nadzwyczajną moc duchową. Pewnego dnia przyszedł do rodziców, aby się pożegnać, gdyż ktoś go uprzedził, że nocą zostanie aresztowany. Prosił ich, żeby w żadnym przypadku, nawet w chwili śmierci, nie zapraszali kapłana, który wszedł w kontakt z GPU. Tej samej nocy został aresztowany i rozstrzelany w Moskwie (w 1930 roku).

Jego brat Borys, gdy zaczęło się rewolucyjne wrzenie, poddał się propagandzie, wstąpił do komsomołu, a następnie, ku wielkiemu bólowi rodziców, został członkiem związku bezbożników. Ojciec Włodzimierz jeszcze za życia starał się go nawrócić do Boga, błagał o opamiętanie, i, zapewne, wiele się modlił za duszę brata, ale ten pozostał niewzruszony. Po zamordowaniu o. Włodzimierza w 1928 roku został przewodniczącym związku bezbożników w Pietropawłowsku w Kazachstanie, dokąd wyjechał po tym, jak ożenił się z dziewczyną-komso-molką, która również była bezbożnicą.

Wiem, że zarówno jego rodzice, jak i rodzice narzeczonej oświadczyli, że jeśli nie połączą się związkiem cerkiewnym, to się ich wyrzekną. Mimo skrajnej różnicy w poglądach i celach życiowych, Borys kochał ojca i matkę. Wraz z narzeczoną postanowili spełnić żądanie rodziców i choć wyśmiewali się z sakramentu, to jednak pobrali się w tajemnicy. W tajemnicy z tego powodu, że w przeciwnym wypadku zostaliby rozstrzelani. Niczego więcej o nich nie wiedziałam, gdyż nie mieszkalam w Moskwie.

W 1935 roku byłam przez kilka dni w Moskwie i spotkałam tam Borysa. Z radością rzucił się ku mnie, mówiąc: „Zbawiciel, dzięki modlitwom mojego brata, o. Włodzimierza, nawrócił mnie do Siebie”. Oto jego opowieść:

„Gdy się pobieraliśmy, matka mojej narzeczonej pobłogosławiła ja obrazem «Zbawiciela Nie Ludzką Ręką Uczynionego» i powiedziała: «Tylko daj mi słowo, że Go nie wyrzucicie, niech nawet nie będzie wam teraz potrzebny, ale nie wyrzucajcie». Rzeczywiście, nie był On nam potrzebny i leżał w stodole, w kufrze z niepotrzebnymi rupieciami. Po roku urodził się nam chłopiec. Oboje bardzo pragnęliśmy dziecka i jego narodziny były dla nas szczęściem, ale dziecko urodziło się chore i słabiutkie, z gruźlicą szpiku kostnego. Udało się nam zachować jakieś środki i nie żałowaliśmy pieniędzy na lekarzy, a i ja zarabiałem wystarczająco dobrze. Wszyscy mówili, że w najlepszym wypadku, przy dobrej opiece i zawsze leżąc w gorsecie gipsowym, chłopiec może dożyć do wieku sześciu lat. W tym momencie wyjechalśmy do Kazachstanu, pokładając nadzieje w lepszym klimacie. Byłem tam przewodniczącym związku bezbożników i prześladowałem cerkiew. Dziecko miało już pięć lat i jego zdrowie wciąż się pogarszało. Dotarło do nas, że do Pietropawłowska został wysłany na osiedlenie się znany profesor, specjalista od chorób dzieci. Z naszego przysiółka do najbliższej stacji trzeba było jechać konno 25 wiorst. Do Pietropawłowska kursował tylko jeden pociąg na dobę. Z dzieckiem było już całkiem źle; postanowiłem pojechać i zaprosić profesora do nas. Gdy podjeżdżałem do stacji, ujrzałem odjeżdżający pociąg. O kilka chwil się spóźniłem. Co robić – zostać, czekać kolejną dobę i zostawić żonę samą? A jeśli dziecko umrze beze mnie? Pomyślałem i wróciłem z powrotem. Przyjeżdżam i widzę następującą scenę: matka, zawodząc, stoi na kolanach przy łóżku i obejmuje stygnące nóżki chłopca.

Miejscowy felczer właśnie wyszedł, ze słowami, że to już ostatnie chwile. Siadłem przy stole, naprzeciw okna, wziąłem głowę w ręce i pograżyłem się w rozpacz. I nagle – widzę, na własne oczy, że otwierają się drzwi stodoły i wychodzi z nich zmarły mój brat, o. Włodzimierz, trzymając w rękach, obliczem przed siebie, nasz obraz Zbawiciela. Zamarłem: widzę, jak idzie, widzę, jak wiatr rozwiewa jego długie, jasne włosy, słyszę, jak otwiera drzwi wejściowe, słyszę jego kroki. Całkowicie osłupiałem i zlodowaciałem, niczym marmur. Wchodzi do pokoju, podchodzi do mnie, w milczeniu wręcza mi obraz i znika, niczym zjawa. Nie da się opisać słowami, co się we mnie działo, rzuciłem się do stodoły, odnalazłem w kufrze obraz i położyłem go na dziecko. Rankiem było całkowicie zdrowe! Przybyli leczący go lekarze i tylko rozkładali ręce. Ściągnęli gips. Ani śladu gruźlicy! I wtedy wszystko zrozumiałem, rozumiałem, że Bóg jest, rozumiałem modlitwy brata!

Natychmiast powiadomiłem o swoim odejściu ze związku bezbożników i nie ukrywałem cudu, który się u mnie dokonał. Wszędzie i zawsze opowiadam o tym, co się wydarzyło i wzywam do wiary w Boga. Natych-

miast wyjechaliśmy do moich rodziców pod Moskwę, gdzie zamieszkali po zakończeniu zsyłki. Ochrzciliśmy syna imieniem Georgij”.

Pożegnałam się z Borysem i nigdy go już więcej nie widziałam. Gdy przyjechałam do Moskwy w 1937 roku, dowiedziałam się, że po chrzcie wyjechał z żoną i dzieckiem do Kisłowodzka na Kaukazie. Borys wszędzie, otwarcie mówił o swoich błędach i wybawieniu. Po roku, będąc całkowicie zdrowym, zmarł nagle i lekarze nie znaleźli przyczyny. Sprzątnęli go bolszewicy...

32. ŚW. MĘCZENNIK O. WALENTYN⁴³

W cerkwi Mikołaja „Wielki Krzyż” służył bardzo stary, znany ze swojej niezachwianej postawy wobec bolszewików, otwarcie sprzeciwiający się Sergiuszowi i jego dekretovi, o. Walentyń Świącicki. W czasie jego nabożeństw cerkiew była przepelniona do tego stopnia, że ludzie stali nie tylko na schodach, ale cały tłum pozostawał jeszcze na ulicy. Oczywiście bolszewicy zamęcziliby go na zesłaniu, gdyby nie zachorował i nie umarł własną śmiercią.

Słuchy o nim rozniosły się bardzo daleko i władza bolszewicka, u której cel zawsze „uświęca” środki, chciała za pomocą najwykleszszego kłamstwa zdyskredytować go w oczach wiernych. Gdy umierał i leżał nieprzytomny, we wszystkich gazetach wydrukowano list, jakoby napisany przez niego przed śmiercią, w którym rzekomo kaja się i żałuje swych błędów, zrozumiałwszy je w ostatnich chwilach swojego życia i zwraca się z prośbą do wszystkich parafian, aby podążali jego śladem. Prosi o lojalność wobec metropolity Sergiusza, o przyjęcie dekretu i modlitwę za władze. Pod listem znajdował się sfałszowany podpis. Bolszewicy zrobili mu wspaniały pogrzeb. Udało się im wprowadzić w błąd wielu parafian, którzy przeszli do cerkwi sergiańskich, ale ci, którzy mieli dar rozumu, ujrzawszy sfałszowany podpis, przejrżeli kolejny podstęp diabelski.

Był to straszny, niewyobrażalnie straszny czas. Tych, którzy odmówili modlitwy za władze i nie zgadzali się podpisać żądań związanych z dekretem, natychmiast aresztowano i rozstrzeliwano, bez względu na ich ilość. Jak przekazywano sobie szeptem w tamtym czasie, w ciągu jednego miesiąca w Moskwie rozstrzelano do 10 tysięcy ludzi, począwszy od metropolitów, a skończywszy na psalomszczykach, zaś ludzie świeccy, jak Rosja długa i szeroka, byli milionami rozstrzeliwani, wtrąceni do więzień, zsyłani w straszne warunki obozów koncentracyjnych Północy i Syberii. Łubianka w Moskwie stała się miejscem masowego męczeństwa. Przechodnie starali się omijać ów dom śmierci GPU, gdyż daleko roznosił się zeń nieznosny, trupi smród. Trupy wywożono nocami, starano się to robić w jak największej tajemnicy, ale nie nadążano z wywożeniem.

Nie wszyscy duchowni, którzy odmówili, byli natychmiast aresztowani. Niektórych, znanych ze swojej twardej postawy, celowo pozostawiano w świątyniach, bez względu na ich kazania, wzywające do nie podporządkowywania się dekretovi. Robiono to celowo. GPU śledziło i zapisywało wszystkich odwiedzających te świątynie, i ludzie ci byli stopniowo aresztowani, albo po prostu znikali, tak samo, jak kapłani, oskarżeni z art. 58 pkt 10 o kontrrewolucję. W początkowym okresie duchowieństwo, które uznało Sergiusza, pozostawiono w spokoju, ale jak tylko opadła pierwsza fala aresztów i rozstrzelań, spośród nich zaczęto wyławiać tych, w których satanistyczna władza czuła wiarę w Boga, a którzy podporządkowali się z małoduszności albo z naiwności. Istotą wszystkich tych prześladowań była oczywiście walka sług antychrysta z wiarą w Boga, a oskarżenie o kontrrewolucję było tylko usprawiedliwieniem tych prześladowań.

Osoba metropolity Sergiusza była ze wszech miar podła, płaszcząca się przed władzami. Wielu ludzi zadawało sobie pytanie: „Czyżby metropolita Sergiusz rzeczywiście brał udział w prześladowaniach i niszczeniu cerkwi?” Niektórzy nie mogli przyjąć, że on rzeczywiście brał w tym aktywny udział, ale, niestety, tak właśnie było. Całkowicie zaprzedał się szatanowi. Mogę tu przytoczyć znany mi osobiście przykład, który potwierdza jego rzeczywiste w tym ucześnieństwo.

W cerkwi św. Mikołaja-Wielki Krzyż śpiewała w chórze młoda dziewczyna, bardzo skromna i sympatyczna. Cała jej rodzina była religijna i, co za tym idzie, nie uznawała cerkwi sergiańskiej. Poznaliśmy się z nimi i niejednokrotnie jeździłam do nich z Andrzejkiem na daczę pod Moskwą. Wieroczką służyła na poczcie głównej

43 O. Walentyń Świącicki (1881-1931) – duchowny prawosławny pochodzenia polskiego (po ojcu Bolesławie, który był rzymskim katolikiem). Duchowny syn przep. Anatola Optyńskiego. Wyświęcony na kapłana w 1917 roku, wzywał publicznie do walki z bolszewizmem i „żywą cerkwią”. Odrzucił Deklarację metr. Sergiusza i zerwał z nim łączność kanoniczną i modlitewną. Za nie uznawanie metr. Sergiusza aresztowany na Paschę 1928 roku i zesłany na Syberię. Zachorował na ciężką chorobę nerek i zmarł w 1930 roku. W czasie pogrzebu (ciało pozwolono przewieźć do Moskwy) wyszło na jaw, że nie uległo ono rozkładowi.

w Moskwie, była bardzo uprzejma i wdzięczna. Do jej wydziału przychodził służbowo jakiś naczelnik z GPU, spodobała mu się, zaczął do niej zagadywać i ku przerażeniu jej i całej rodziny, zapytał o adres. Pewnego razu, wzbudziwszy u wszystkich przerażenie, nieoczekiwanie przyjechał na dachę. Wszak celów tych strasznych ludzi nigdy nie można było do końca poznać. Przywitawszy się, wyciągnął pudełko ciastek, w owym czasie coś niedostępnego dla prostego śmiertelnika i dał Wieroczce, z prośbą, aby przyjmując go jako gościa. Zaczął przyjeżdżać często i starać się o jej względy. Wszyscy zapewne żegnali się ukradkiem, prosząc o wybawienie od takiego gościa, ale nie było wyjścia. Pewnego razu zastał on u nich nas z Andrzejkiem. Wyglądał na 30 lat, miał dość interesującą powierzchowność. Niemal natychmiast poszli na spacer, ojciec i matka Wieroczki zostali, a my z Andrzejkiem wycofaliśmy się pospiesznie. Wieroczka mówiła, że mógłby się jej nawet spodobać, ale sama myślała o tym, że jest nie tylko naczelnikiem wydziału GPU, ale w dodatku zarządzającym sprawami cerkiewnymi, odpychała ją od niego i budziła przerażenie. Oświadczył się jej. Odmówiła. „Jakże mogłabym być pana żoną, skoro nie tylko jest pan niewierzący, ale jest pan prześladowcą cerkwi? Nigdy i za nic nie mogę się na to zgodzić.” W czasie rozmów starał się wszelkimi sposobami oderwać ją od wiary w Boga, ale była nieugięta, tym bardziej, że była jedną z ulubionych duchowych córek zamężonego o. Aleksandra. Jednak ten nie ustawał, groził, że zastrzeli ją i siebie, przy czym pewnego razu wręcz wyciągnął rewolwer i w nią wycelował. Wciąż ich odwiedzał. Rodzina znalazła się w strasznym położeniu. Nie mogli ani spać, ani jeść. Mówili tylko o jednym: czym się to wszystko zakończy – zemstą, czy też może zostawi ich w spokoju. Wieroczka miotła się, jak złowiony ptaszek, starała się wyrwać ze szponów jastrzębia. Pewnego razu, w czasie służby na poczcie, wezwali ją i przekazali wezwanie do natychmiastowego stawienia się na Łubiance w jakimś gabinecie... Okazało się, że to jego gabinet. Nakazał jej wziąć słuchawkę, sam wziął drugą i zatelefonował do metropolity Sergiusza. „Proszę posłuchać tej rozmowy”, – powiedział do niej. Rozmowa dotyczyła zniszczenia jednej z moskiewskich cerkwi, przy czym Sergiusz nie tylko nie protestował, ale uczestniczył w tym przerażającym działaniu, wyrażając swoją zgodę. „Słyszała pani? – powiedział naczelnik. – Takiemu właśnie duchowieństwu się kłaniać”. Ona odpowiedziała, że wydarzenie to nie może zachwiać jej wiarą w Boga i że metropolity Sergiusza już wcześniej nie uznawała, teraz zaś dodatkowo upewniła się, że nie pomyliła się co do niego. Naczelnik powiedział: „Moja matka była wierząca, ja też modliłem się, nawet gdy osiągnąłem już dojrzałość, ale pewne wydarzenie, o którym nie będę opowiadał, tak na mnie wpłynęło, że doszedłem do bezbożnictwa”. W sercu tego człowieka, gdzieś w samej jego głębi, było jeszcze współczucie, ale, rzecz jasna, nie wobec wszystkich ludzi, tylko wobec Wieroczki, którą, najwyraźniej, rzeczywiście kochał. Zostawił ją w spokoju. Minął rok i nie została aresztowana, nie znam dalszych jej losów. Mówili, że wyszła za mąż za innego.

Mogę przytoczyć jeszcze jedną historię, charakteryzującą metropolitę Sergiusza, gdyż również osobiście słyszałam ją od naocznego świadka. Moja starsza siostra miała przyjaciółkę – Manię P. Była ona córką biednego subiekta sklepowego. Jej rodzice byli obojętni wobec religii. Latem Mania przez długi czas pomieszkiwała w naszym majątku i często z nią rozmawiałyśmy. Mówiła ona w taki sposób, w jaki mówią miliony ludzi, zbitych z tropu przez szkołę: „Jestem niewierząca, ale wiem, że jest coś wyższego, a czy to Bóg – nie wiem”. I ta właśnie Mania opowiedziała mi z oburzeniem następującą historię. W tamtym czasie odbywało się zagęszczenie mieszkań i musiała chodzić do wydziału mieszkaniowego i starać się o pokój dla siebie. „Siedzę w poczekalni i czekam na swoją kolej. Wchodzi mnich, stary już i tłusty. I chociaż w tych sprawach w ogóle się nie orientuję, to zrozumiałam, że to nie prosty mnich, ale ktoś ważniejszy. Służalcho i uniżenie zwraca się do pracujących tam komsomolców, nazywając ich towarzyszami. Zrobiło mi się za niego wstyd. (Mania nie była komsomolką i gardziła nimi). Jeden z nich mówi: „Zaraz zadzwonię”. – „Ależ nie, dajcie, ja sam porozmawiam, po cóż będziecie się kłopotać, towarzyszu”. Chciał wziąć słuchawkę, ale ten nie pozwolił. Wezwał kogoś i mówi: „Wiedzie, jakoś tak nie wypada, co też ludzie powiedzą? Przy telefonie jest metropolita Sergiusz, zastępca patriarchy, nie da się nic zrobić, żeby nie zagęszczać jego pokoju i nie zasiedlać u niego mieszkańców?” Odpowiedź była pozytywna i metropolita Sergiusz odszedł z pokłonami. I chociaż nie interesuję się sprawami cerkwi, to było mi wstyd za niego”, – powiedziała Mania.

Po zmarłym o. Walentynie w cerkwi Mikołaja-Wielki Krzyż było jeszcze dwóch kapłanów, ale zniknęli w niewyjaśnionych okolicznościach. Potem przyszedł o. Michał Ł. i zaproponował, że będzie proboszczem. Powiedział słowo, którym kupił parafian i większość prosiła go o pozostanie. Służył przez dwa lata. Udało mu się wielu parafian usposobić do siebie przychylnie. Między innymi i mój Andrzejek, jak to się mówi, świata poza nim nie widział. Ale nie mogło się podobać, że poza służbą chodził po cywilnemu, miał przystryżone włosy i piękną powierzchowność. Służby znał bezbłędnie, nie był więc kapłanem-samozwańcem, ale mimo wszystko swoim ubraniem wprawiał w zakłopotanie. Niektórzy doświadczeni ludzie ostrzegali, żeby nie ufać i być ostrożnym. Na początku 1932 roku cerkiew została zamknięta. O. Michała widziano na ulicy w mundurze

GPU. Okazało się, że był prowokatorem: wydał wszystkich swoich parafian. Przez jakiś czas nikt nie został aresztowany i wszyscy przeszli do Serbskiego Podworcia na Solance. Andrzejek przysługiwał również tam. W pierwszym tygodniu Wielkiego Postu byłam trochę spóźniona i bardzo się spieszyłam, Andrzejek pojechał wcześniej. Była mocna gołoledź. Po wyjściu z tramwaju poszłam szybkim krokiem i upadłam koło Bramy Iljińskiej. Poczułam piekący ból z lewej strony i nie mogłam iść do cerkwi, lecz pojechałam z powrotem do domu. Temperatura natychmiast się podniosła i rankiem doszła do 40 stopni. Lekarz zdiagnozował złamanie lewego żebra i zapalenie opłucnej. Odwieziono mnie do szpitala. Bardzo się niepokoiłam tym, że moja 8-letnia już wnuczka i Andrzejek, mimo swoich 17 lat zupełnie jeszcze dziecko, zostaną sami beze mnie. Andrzejek pracował niedaleko od szpitala i czasami po trzy razy dziennie przybiegał, żeby zapytać, jak się czuję. Lubili go wszyscy i wszędzie. Opowiadała mi siostra dyżurna i lekarka, jak Andrzejek przybiegł o 12 w nocy: „Proszę pokazać mi mamusię, choćby przez drzwi.” – „Andrzejku, przecież w nocy nie wolno, co ty sobie wymyślasz?” Na co on zaczyna tak uprzejmie prosić, że nie można odmówić. „Cóż z tobą robić. Zginiemy przez ciebie!” I w ten sposób jednak udaje mu się odstąpić zasłonkę przy drzwiach do sali, upewni się, że żyję i wychodzi z radością. Chorowałam długo i ciężko. Piątego tygodnia zaczęła się poprawa, a szóstego zaczęłam już pomału wstawać. W Sobotę Łazarzową siedzieli już u mnie mój syn Piotruś z żoną i Andrzejek. Podeszedł lekarz i mówi: „No, Andrzejku, zaraz cię ucieszę: zabieraj jutro mamę, teraz może już dochodzić do siebie w domu”. Piotruś, jako starszy syn, bardzo chciał sam po mnie przyjechać, ale miał ważną pracę i postanowiono, że następnego dnia, dokładnie o 6 wieczorem Andrzejek przyjedzie taksówką. Cała trójka wyszła w wesołym nastroju. Leżę w pustej Sali, w której oprócz łóżka niczego więcej nie było. Leżę ubrana i dosłownie czekam na kogoś. O 12 w nocy słyszę lekkie pukanie w okno. Patrząc, stoi mój zmarły syn Kola i mój brat Włodzimierz, zabity w Karpatach w 1915 roku. Kola mówi: „Iwan z nami, mamusiu, już pora!”. Jak to bywa we śnie, w mgnieniu oka znalazłam się sama w jakimś niezwykłym miejscu. Naprzeciw mnie, z prawej strony, widzę przecudny obraz gór, w malowany nieznany mi na ziemi farbami (oczywiście po przebudzeniu już ich nie pamiętałam), ale we śnie stałam oczarowana i mówię: „Cóż to? Przecież na ziemi nie ma takich farb!”. Na lewo ode mnie znajdowało się niezliczone mnóstwo śnieżnobiałych, ciągnących się ku niebu drzew, stojących w cichej, lustrzanej wodzie. Między drzewami nieskończone mnóstwo białych, świetlistych łódek wszelkich rozmiarów, począwszy od malutkich. W każdej łódce leży jaśniejący człowiek, również w bieli. Wprost zaś, naprzeciwko mnie, w oddali, straszne, wzburzone, całkiem czarne morze. Również znalazłam się w łódce i widzę, że z lewej strony od mnie jest moja zmarła matka, z prawej zaś – moja Irenka. Nie zdążyłam jeszcze dojść do siebie od radości ze spotkania, gdy czuję, że moja łódeczka się kołysze. Mówię: „Mamusiu, moja łódeczka się kołysze!”. A ona odpowiada: „Tego nie może być, ten, kto jest tutaj, znajduje się na wiecznym odpoczynku!” W tym momencie moja łódeczka jakby zerwała się kotwicy i uniosła się ku straszному morzu. Słyszę, jak moja matka mówi: „To znaczy, że jeszcze nie nadszedł twój czas!” Wtedy obudziłam się z nieprawdopodobnie ciężkim uczuciem, że oto wpadam w jakieś straszne burze życiowe i wyraźnie poczułam, że coś złego stało się z Andrzejkiem i że go nie zobaczę.

33. MŁODY MĘCZENNIK ANDRZEJ

Sen okazał się proroczy. Zaczęłam płakać, siostra, która podeszła, przestraszyła się, że coś mnie boli, zaczęła mnie uspokajać, ale ja twardo stałam na swoim: „Z Andrzejkiem stało się nieszczęście!”. I rzeczywiście, stało się, takie, o którym nawet nie myślałam – przecież był jeszcze tak młody. Siostra wezwała lekarza, dali krople, prosili, żebym się uspokoiła, mówili, że to jedynie wytwór fantazji słabego organizmu, ale ja czułam, że się nie mylę. Tak było przez cały dzień. Nie mogłam jeszcze utrzymać się na nogach i siostra stała ze mną przy oknie z widokiem na aleję, po której przez bramę szpitala wjeżdżały samochody. Również o 6 wieczorem pokazała się taksówka. Siostra na to: „O, proszę, jedźcie pani Andrzejek. A pani coś wymyśliła i się zamartwia”. Z taksówki wychodzi Piotruś ze swoją młodziutką żoną... A przecież mówił, że o tej godzinie nie może opuścić pracy. Z wielkim trudem utrzymałam się na nogach. Wchodzą i starają się ukryć wzburzenie. Pytam: „Gdzie Andrzejek, co z Andrzejkiem?” Piotruś mówi: „Nie martw się, mamusiu, na pewno wszystko dobrze się skończy, ale Andrzejka aresztowali dziś w nocy i zabrali”.

Trzeba było zdobyć informację, w którym więzieniu został osadzony. Nie miałam siły, żeby wstać, samej jeździć i dowiadywać się, ale mi pomogli. Znajdował się w więzieniu na Butyrkach. W czwartek, w Wielkim Tygodniu, pewna dobra kobieta zawiozła mnie do więzienia, trzymając pod rękę. Pozwolono mi przekazywać

mu co tydzień bieliznę i żywność. W sobotę zawiozłam mu paschę i malutki kulicz, ale oczywiście, nie w formie paschy i kulicza, a jako chleb i słodki twaróg w kubeczku. Pisanki nie były dozwolone, zaś jajka na twardo trzeba było rozcinać na pół, bez skorupki. Do paczek należało dołączać spis zawartości i między linijkami złożyłam mu życzenia z okazji Zmartwychwstania Chrystusowego. Jakaż to była radość, gdy przyniesiono mi dokument zwrotny z potwierdzeniem otrzymania paczki, w którym składał mi życzenia i pisał, że jest rześki i całuje mnie. To była łaska Boża. Nadzorca, który przekazywał, albo nie czytał, albo przeczytawszy – uzalił się nad nami i przepuścił. Potem, przez całe trzy miesiące, w czasie których przebywał w więzieniu, za każdym razem pisaliśmy do siebie po kilka słów. W większości przypadków zostały gęsto zamazane atramentem, ale trzy razy się udało. Po trzech miesiącach przyszedł do mnie nieznany pan w starszym wieku. Właśnie wyszedł z więzienia, w którym za religię siedział w jednej celi z Andrzejkiem, i akurat jechał na wolne zesłanie do Kazachstanu (dawnej Kirgizji przy Górach Ałtajskich, ze stolicą Ałma-Atą, dawne miasto Wiernyj). Można sobie wyobrazić, jak bardzo się cieszyłam.

Opowiedział mi, że cała cela, w której znajduje się 300 osób, lubi Andrzejka i nazywa go Aniołem Stróżem. Jeśli kogoś ogarnęła tęsknota i smutek – od razu był przy nim Andrzejek, jakaś kłótnia i dochodzi do bójki – już zjawia się Andrzejek i za każdym razem albo rozśmieszy smutnego, albo pogodzi skłóconych. „Miłowaliśmy go, ale żywiliśmy też wielki szacunek do tego niemalże jeszcze dziecka” – powiedział pan G.

Wyobrazić sobie to przerażenie, które ogarnia człowieka wzywanego na przesłuchanie do śledczego może tylko ten, kto go doświadczył. Zazwyczaj przesłuchanie prowadzone jest nie przez jednego, ale przez kilku ludzi. Biskupi nie wytrzymywali tego i mdleli na sam widok warunków przesłuchania, jeszcze przed jego rozpoczęciem. Wezwali Andrzejka. Wrócił do celi z przygnębieniem na twarzy, cały we łzach. Wszyscy go otoczyli i pytają – niczego nie odpowiada. Przez trzy dni nie chciał niczego jeść, ani pić. Wreszcie powiedział: „Ja oszukałem Boga! Przy wypełnianiu protokołu śledztwa pokazano mi dosłownie wszystko, co mówiłem na spowiedzi o Michałowi i wszystko zrozumiałem. Gdy trzeba było udzielić odpowiedzi na pytanie: «Jaki jest twój stosunek do modlitwy za władze?», przestraszyłem się i napisałem: «Obojętny»”. „Biedny chłopiec – powiedział przybysz – Jakaż to czysta dusza!”. Gdy wezwano go ponownie na przesłuchanie, aby uzgodnić zeznania, zwrócił się do śledczego słowami: „Zanim rozpocznie się drugie przesłuchanie, proszę o protokół pierwszego przesłuchania”, – „Po co ci on?” – zapytał śledczy ze zdziwieniem. „Chcę zmienić jedno zeznanie”. – „To ciekawe”, – powiedział tamten. Dano mu protokół, wziął pióro ze stołu, zakreślił słowo „obojętny” i napisał: „Odrzucam”. Z tym panem mieszkaliśmy potem razem w Ałma-Acie i byliśmy wielkimi przyjaciółmi.

W czasie oczekiwania w kolejce na przekazanie paczki w poczekalni więziennej poznałam wielu ludzi, również pogrążonych w bólu po aresztowaniu ich bliskich. Pewnego razu przychodzi starszy pan o bardzo dobrych manierach. W więzieniu zamknięto mu dwie siostry, staruszki. Za co? Otóż w czasie przekazania znaleziono fragment przepisanej ręcznie akatysty do św. Ioanna Woina⁴⁴, i to akurat ostatnie wezwanie: Radujusia, Ioannie Woinie. Przeszukujący przeczytali i mówią: „A! Cieszyście się z wojny!”. Bez dalszych wyjaśnień aresztowano je i osadzono w więzieniu. Siedziały przez trzy miesiące, zanim udało się udowodnić, że to modlitwa, a „Ioann Woin” to imię Świętego. Oto, za jakie rzeczy siedzieli i męczyli się ludzie! Wśród odwiedzających więzienie z paczkami zdarzali się i tacy, którym aresztowano dzieci 10-12 letnie. Dzieci te, tak, samo, jak dorośli, wysyłano do łagrów Syberii za to, że w szkole powiedziały coś przeciwko władzy. W większości przypadków rodzice takich dzieci zostawali zamęczeni lub ginęli bez śladu.

Po trzech miesiącach pozwolono mi na widzenie z Andrzejkiem przez kratę, w obecności wartownika z GPU. Oznaczało to, że wkrótce zostanie wysłany. Spis był wywieszany na jeden dzień naprzód, pozwalano odprowadzić do pociągu i przekazać to, co się da, nawet pieniądze. Co rano brałam ze sobą swoją wnuczkę Ninczkę i sprawdzałyśmy spis. Jeśli nie wysyłaliby go etapem, a swobodnie, chciałam jechać wraz z nim. Miałam rozdartą duszę: bałam się brać Ninczkę w nieznane, a zostawić Andrzejka, żeby jechał sam – nie miałam siły. Postanowiłam odwiedzić moją kochaną sierotkę do rodziny rozstrzelanego o. Włodzimierza, o którym pisałam, gdyż jego matka i ojciec byli moimi największymi przyjaciółmi na świecie. Miałam zamiar przyjechać później i odebrać ją, gdy już się jakoś urządzimy. Musiałam pojechać do nich pod Moskwę, by poprosić ich o zgodę. Poszłam do prokuratora i zapytałam, na jakim etapie jest sprawa mojego syna, mówiąc, że muszę wyjechać na jeden dzień i boję się przepuścić jego wyjazd. Pokopał w papierach i powiedział: „Śledztwo w jego sprawie będzie zakończone nie wcześniej, niż za dwa tygodnie”. Wyjechałam, ale mimo to bardzo mocno się martwiłam. Następnego ranka pojechałam do więzienia jak zawsze, z Ninczką. Zapomniałam okularów, ale ona umiała już czytać. Podniosłam ją, a ona nagle mówi ze strachem: „Babciu! Andrzeja wczoraj wysłali!”. Mój ból był nie

do opisania. Później dowiedziałam się, że wysłano cały transport, wszyscy odprowadzali i zaopatrywali w to, co niezbędne, a mój biedny Andrzejek do ostatniej chwili przed odjazdem czekał i zamartwiał się, że mnie nie ma. Wywieźli go bez grosza, bez jedzenia i bielizny. Natychmiast pojechałam do prokuratora. Było to oczywiste, zamierzone szyderstwo i triumf szatańskiej złośliwości tego, gorszego od wszelkiego gada i zwierzęcia, człowieka. Na moje pytanie, dlaczego powiedział, że śledztwo będzie trwało co najmniej dwa tygodnie, odpowiedział: „Pomyłka zawsze może się zdarzyć”. Dowiedziałam się tam, że Andrzejek został wysłany etapem do Ałma-Aty, do Kazachstanu. Na pytanie, jak długo będą jechać, uzyskałam odpowiedź: „Pociąg jedzie tranzytem, za pięć dni będą na miejscu”. I znów łgarstwo. Tego samego dnia z wielkim bólem rozstałam się z wnuczką, której ojca zesłano na dwa lata z powodu oskarżenia o jakieś niewłaściwe sprawozdanie i odwiozłam ją do swoich przyjaciół. Byłam jej i babcią, i matką. Było to 15 lipca.

Gdy zbliżałam się do Ałma-Aty, nie wiedziałam zupełnie, co robić, gdzie nocować i czy w ogóle znajdę jakiś pokój. Miałam list do pewnego zesłanego tam agronoma, ale nadawca listu nie znał jego adresu. Wśród pasażerów zobaczyłam dostojnego człowieka i z jakiegoś powodu od razu pomyślałam, że to profesor. Tak właśnie było. Zwróciłam się do niego z pytaniem, czy przypadkiem nie zna tego agronoma, do którego był zaadresowany list. Okazało się, że to jego bliski przyjaciel, ale że w go tej chwili niema, gdyż jest w delegacji.

Profesor też był zesłańcem, miał żonę i dwoje dorastających dzieci, jeden pokój, więc nie mógł mnie zaprosić nawet na jedną noc. Ale postanowił, że weźmie mnie, abym odpoczęła po długiej drodze i wtedy coś się wymyśli, chociaż bardzo wątpił, czy da się znaleźć najmniejszy chociaż kącik, tak bardzo wszystko jest przepełnione zesłańcami. Jego żona przyjęła mnie bardzo serdecznie i żalowała, że nie mają miejsca. Na podwórku była niewielka szopa, zawalona drewnem i rupieciami. Pierwszej nocy wynieśli mi na podwórko łóżko polowe, a potem postanowili uporządkować szopę i tam przygotować miejsce. Było bardzo gorąco i mogłam nie obawiać się przeziębienia, ale robiło się strasznie, gdy wszyscy dokoła ryglowali drzwi w obawie przed grabieżami ze strony Kirgizów, ja zaś zostawałam sama w szopie, w zupełnie obcym mieście. W ten sposób żyłam do 26 sierpnia, codziennie po dwa razy bywając na dworcu i pytając o transport z Moskwy. Gdy byłam na peronie 26 sierpnia, podszedł do mnie jakiś funkcjonariusz GPU: „Obywatelko, co wy tu zawsze robicie na peronie? Na kogo czekacie?” Opowiedziałam mu, jak zabrali mojego chłopca, jak wyjechał bez niczego, że wielokrotnie pisałam telegramy na punkty zbiorcze po drodze z Moskwy do Ałma-Aty i że nie otrzymałam ani jednej odpowiedzi, chociaż zawsze była ona z góry opłacona. I teraz boję się, czy moje najmilsze dziecko przypadkiem nie umarło... Gorzko płakałam i zdawało mi się, że coś dobrego przemknęło przez jego twarz. „Idźcie do więzienia etapowego i tam czekajcie. Dzisiaj z Moskwy przyjedzie 300 ludzi”. Poszłam z nadzieją i stanęłam przed bramą więzienia, po drugiej stronie drogi, za małym płotkiem. Nie minęła jeszcze godzina, gdy na drodze od strony stacji pojawiły się dorożki, a nich ów naczelnik. Krzyknął do mnie: „Wasz syn przyjechał!”. Wspomniałam słowa Dostojewskiego o darowanej cebulce i pomyślałam, że te słowa z jego strony to również ta cebulka, którą mi podarował. Dowiedziałam się, że mój chłopak jest żywy i że go zobaczę. Dodał: „Gdy wszystkich spiszemy, dam wam widzenie”. Trzeba było czekać jeszcze około dwóch godzin i po upływie tego czasu na drodze prowadzącej od strony stacji ukazał się obłok pyłu i rozległ się tupot kroków wielu ludzi. Upał był nie do zniesienia. Szli, okrążeni z obydwu stron łańcuchem żołnierzy GPU z wycelowaną w nich bronią, niczym owce na rzeź prowadzone – głównie kapłani, mnisi, mniszki, a wśród nich świeccy. Transport składał się niemal wyłącznie z zesłanych „za religię”. Natężyłam całą uwagę, by wśród masy głów nie przepuścić Andrzejka, gdy usłyszałam pełen radości i zdumienia krzyk: „Mamusia!”.

Wszyscy chcąc nie chcąc podnieśli głowy. Był wyższy od wszystkich i ujrzałam rozświetloną, drogą mi twarz. Zagnali ich na skwer, tam spisywali i przez cały czas mogliśmy się widzieć. Po zakończeniu wpuszczono mnie i mogliśmy się objąć. I on, i ja, zapomnieliśmy o wszystkich nieszczęściach i o całym świecie. Zabrali go za więzienne ogrodzenie, a ja pełna szczęścia poszłam do swojej szopy. Nie został zesłany do więzienia, ale na tak zwaną wolną zsyłkę i według prawideł więzienie etapowe powinno było po upływie tygodnia wypuścić go do miasta, aby zamieszkał na wolności i poszedł do pracy według swojego wyboru. Ale postanowienie to jedna rzecz, a jego wypełnienie to coś zupełnie innego: spędził w więzieniu nie tydzień, a trzy miesiące. Na szczęście nie siedział zamknięty w celi, a mógł swobodnie chodzić po dużym obszarze, otoczonym kamiennym murem, dokąd chciał i kiedy chciał. Gdy Andrzejek ośmielił się kiedyś zapytać tego samego naczelnika, dlaczego tak długo go nie wypuszczają, ten uznał to za bezczelność i zaczął mu robić różne przeszkody.

Dali mi przepustkę, pozwolili przychodzić do niego i siedzieć nawet przez cały dzień, co też i czyniłam. W tamtym czasie miałam możliwość kupowania różnych artykułów w torgsinie⁴⁵. Mój syn przekazał mi bowiem

45 Torgsin, ros. Торгсин – sieć sklepów walutowych działająca w Związku Sowieckim w latach 1931-1936 (skrót od rosyj-

z Francji niewielką sumę pieniędzy. Mogłam karmić Andrzejkę, a nawet go rozpieszczać, gdyż podczas drogi bardzo głodował – dawali im tylko po kawałku żytniego chleba i wrzątek. Był chudy jak patyk. Niemal wszyscy, oprócz mojego biedaka, mieli jedzenie, które dostali przy odjeździe. Niestety, nie jechał z duchownymi, którzy na pewno by się z nim podzielili, ale posadzono go, jako jedyne, do wagonu z kryminalistami. Razem z nim jechał były chorąży kozacki, który przez cały czas jadł jakieś tłuste rzeczy i ani razu nie zaproponował mu choćby resztek; nadzorcy zaś kradli chleb i dawali go bardzo mało. Wagon szczelnie zamknięty, okna zabite, żeby w nich nie patrzono, było więc całkiem ciemno. Duchota. Wody prawie nie dawano, jechali przez półtora miesiąca.

Warunki życia w więzieniu etapowym były straszne. Jeden za drugim i jeden koło drugiego – długie, ostre dachy ze słomy, nad ziemią. Mieściło się pod nimi po 300 przebywających razem mężczyzn i kobiet. Dachy stały nad wykopanymi w ziemi rowami o szerokości jednego sąnia. Trzeba było zejść kilka stopni na dół; po obydwu stronach rowu, na ziemi, podłożywszy swoje ubrania, mieścili się ludzie. Światło wpadało tylko z dwóch stron – od wejścia i od wyjścia na końcu. Kupowałam na bazarze melony, arbuzy i nosiłam, ile mogłam, żeby tylko mieć możliwość znajdować się razem z Andrzejką. Do jedzenia dawano chleb i, jako zupę, jakąś straszną lurę, dwa razy dziennie. Dawano w naczyniach, w których kryminaliści po jedzeniu prali brudne skarpetki i pełną robactwa bieliznę. Wielokrotnie zwracałam się do GPU z prośbą o wypuszczenie go do mnie. Miał do tego prawo i bardzo wielu już wyszło, ale jego nie puszczały. Do wierzących był najostrejszy stosunek. Wreszcie, po półtora miesiąca dali pozwolenie na to, żebym go zabierała do siebie na dzień, z tym, że do wieczornego apelu miał już być z powrotem. Spanie było straszne. Wszyscy ci nieszczęśnicy zawaszawili do tego stopnia, że nie było środków na zwalczenie tego zła. Ubierał się w czystą bieliznę, którą prałam w zimnej wodzie w potoku, a na drugi dzień rano był już cały zasypany wszami. Z powodu wszystkich tych antysanitarnych warunków, złego odżywiania i ciągłego niedojadania zaczęła się epidemia czerwonki.

Rano, gdy przychodziłam po Andrzejkę, widziałam, jak wynoszono zmarłych, czasami po kilka osób. Bałam się za niego tak strasznie, że trudno to opisać, a wszystko to zaczęło się wkrótce po jego przyjeździe. Bezsilność, niemożność wyrwania tego niewinnego chłopca z tych koszmarnych warunków były bardzo męczące. To było gorsze od niewolnictwa. Pewnego razu przychodzę, a Andrzejek mnie nie spotyka. Serce mi zabiło w oczekiwaniu nieszczęścia. Schodzę do rowu, a mój chłopiec leży w gorączce, z czerwonką, na ziemi, z dachem nad samą głową, nie ma czym oddychać, powietrze było zabójcze. Pobiegłam do lekarza, bardzo dobrego i serdecznego, który również był zesłańcem, chociaż już nie młodym. Gdy powiedziałam, że Andrzejek zachorował, jęknął ze współczuciem i powiedział: „Biedny Andrzejek, taki dobry chłopak, cały czas się bałam o niego. Co z nim teraz zrobić? Proszę zobaczyć, nie mam w szpitalu ani jednego miejsca, leżą na stołach, pod stołami, po dwie osoby na łózkach. Wiem, co zrobić: mamy takie rozporządzenie, które mówi, że przypadku przepełnienia chorymi, możemy, za zgodą GPU, odsyłać chorych do miasta, do szpitala Czerwonego Krzyża”.

Napisał podanie i powiedział: „Proszę szybko iść do GPU i na podstawie mojego podania prosić o zezwolenie. Potem proszę go tam odwiedzić, tam jest całkiem nieźle – lekarze i siostry (poza naczelnikami) to zesłańcy”. Poszłam, przeczytali i powiedzieli: „Dla waszego syna – żadnych wyjątków”. Prosić ich – to to samo, co wyciskać wodę z bezdusznego kamienia. „Powiedziałem: nie, to znaczy – nie”. Mimo to, z wielkim bólem poszłam do szpitala, gdzie sekretarką była znajoma mi mniszka. Opowiedziałam jej o sytuacji. Przeżegnała się, usiadła i napisała: „Z rozporządzenia GPU przyjąć do szpitala tego i tego, chorego na czerwonkę”.

Przeraziłam się i przestraszyłam, co z nią będzie, ale ona ze spokojem kazała mi iść, wziąć transport i natychmiast przewieźć Andrzejkę. Na niej prawdziwie wypełniły się słowa Zbawiciela, że nie ma większej miłości nad tę, gdy ktoś duszę swoją położy za przyjaciół swoich. Poszłam, wynajęłam konia i przywiezłam Andrzejkę. Leżał przez dwa tygodnie, przez cały dzień byłam albo przy nim, albo na szpitalnym podwórku. Lekarze i personel troszczyli się o niego; dzięki Bożej łasce GPU o niczym się nie dowiedziało. W tym czasie, gdy leżał w szpitalu Czerwonego Krzyża, w więzieniu etapowym miało miejsce zdarzenie, które po raz kolejny pokazało mi, że to, co jest dla nas nieszczęściem, gdyż nie znamy dróg Bożych, często prowadzi do dobra. W jedną noc przyjechał tam transport i zabrał wszystkich, którzy jeszcze mogli chodzić, do 300 osób, kobiet i mężczyzn. Trzeba było zwolnić miejsce dla nadchodzącego, nowego transportu.

Wysłali ich pociągiem na roboty do Taszkentu, mówili, że na trzy tygodnie. Tymczasem wróciło tylko 30 osób! Wszyscy umarli na tyfus plamisty, albo na czerwonkę, którą zarazili się już wcześniej. Przywieźli ich do Taszkentu późną nocą, nie było dla nich miejsca, zaprowadzili ich do porzuconych kirgiskich jurt. Była

skiego targowia s inostrancami, handel z cudzoziemcami). Pierwotnie sklepy dla cudzoziemców gdzie za złoto i zagraniczne dewizy również obywatele sowieccy mogli nabywać towary konsumpcyjne bez ograniczeń.

połowa listopada, bez ustanku padał deszcz, zaś rankiem występowały przymrozki, niecodzienne dla tamtego klimatu. W jurtach była woda. Ludzi zagnano do nich gwałtem. Stali dopóty, dopóki mieli siłę, potem z wyczerpania siadali, albo wpadali do wody. Nad ranem wszyscy przymarzli. I wtedy zaczęli umierać. Wśród nich była stara księżna W., bardzo dobra i cicha osoba. Do końca kary trzech lat (za tytuł książęcy) zostało jej jeszcze dwa miesiące. Nie robiła nic innego, jak tylko myślała i liczyła dni do wolności, a tymczasem znalazła śmierć w tych strasznych warunkach, o których żaden z jej krewnych, o ile w ogóle jacyś zostali przy życiu, nigdy się nie dowie.

Andrzejek, po wyzdrowieniu, został wreszcie wypuszczony do mnie. Był koniec listopada. W tym czasie agronom, do którego miałam list z Moskwy, wrócił z delegacji i oddał nam swoją małą kuchnię. Mieszkaliśmy tam i spaliśmy na płaszczu.

Jeśliby nie tęsknota za wnuczką, byłibyśmy z nim tak szczęśliwi! Niebawem w tamtejszym klimacie mrozy dochodziły do 10 stopni. A ja przez dziurawy dach mojej szopy mogłam liczyć gwiazdy. Woda stojąca w jakimś naczyniu zamarała do samego dna. Jeśliby nie pewna dobra Tatarka, nie wytrzymałabym. Mieszkała w tym samym podwórku i była żoną naczelnika milicji. Nie wiem, czy o tym wiedział (bo milicja to jednak nie GPU), lecz ona co wieczór przychodziła i okrywała mnie (byłam ubrana w słabiotkie zimowe ubranko) kocami, a na wierzch kładła pierzynę.

Profesor W...in, który na początku przywiózł mnie do siebie, pracował w gospodarce rolnej. Była tam wtedy wystawa gospodarki rolnej i dał Andrzejkowi pawilon warzywny do urzędzenia. Dobrze sobie poradził, po zamknięciu wystawy otrzymał pudowego arbuza i dwa słoiki dżemu – z melona i z dyni. Nie wiem, kogo sowieci chcieli oszukać tą wystawą. Niedostatek żywności nie był w tym czasie jeszcze śmiertelny, ale wygłodzeni Kirgizi z pełnymi wściekłości komentarzami, rzucając groźbami, stawali przed bogato zaopatrzonymi pawilonami, pełnymi zakąsek, ryb, słodczy, itd. W tamtych rejonach takie rzeczy nie były przeznaczane dla mieszkańców, a jedynie dla komunistów. Widziałam taką scenkę, która w operetce wzbudziłaby śmiech, ale w tamtej sytuacji doprowadzała do łez. Oczekiwano na komisję ekspertów z Moskwy i miał ich przyjmować świeżo upieczony naczelnik kraju, komunista rodem z Kirgizów. Zegnano setki ludzi. Na estradzie orkiestra, muzyka, a przed nią ów naczelnik i eksperci. Przedstawiciele pawilonów podchodzili do nich po kolei, z talerzami pełnymi rozmaitych smakołyków, a ci próbowali je widelcami, przy czym przy każdym kolejnym talerzu, gdy napelniali oni swoje usta, orkiestra grała tusz, a głodni musieli krzyżeć „hurra”. Sama widziałam.

Pewnego dnia wieczorem nasz gospodarz, agronom, zaproponował, żebyśmy na głos przeczytali „Diabelski krąg” Czechowa. W czasie lektury, w miarę, gdy bardzo wyraźnie i jasno wyjawiał się przyszły charakter rosyjskiego bolszewizmu w dążeniu do niszczenia, kruszenia, rujnowania wszystkiego, co stare, nasz gospodarz nieoczekiwanie skoczył z miejsca i szybko otworzył drzwi wejściowe. „Nie wiedziałem, że mam dodatkowych słuchaczy” – powiedział. Pod oknem stał funkcjonariusz GPU z jakimś aparatem przyłożonym do ściany. Na drugi dzień agronom został aresztowany i wywieziony.

34. NAUCZYCIEL KOMUNIZMU SZEMIENIOW

Miasto miało oryginalny charakter i bardzo mi się podobało. Szczególnie ciekawił mnie orientalny bazar. Karawany objuczonych wielbłądów, pięknie rozłożone dywany – pekińskie, bucharskie i miejscowe, różnobarwne wojłoki dla jurt, namioty z brezentowym dachem, a obok nich, prosto z węgli albo z rozna – tłusta baranina i specjalne ciasto, pieczone z całą masą przypraw korzennych. Zwały precudnych melonów, arbuźów, olbrzymich, mięsistych pomidorów, jabłka „aporty”, po dwa na kilogram (z powodu tych właśnie jabłek miasto nazywa się Ałma-Ata, czyli „ojciec jabłek”), nawołujące okrzyki kupców rozmaitych narodowości, wzywających do swoich namiotów, ubranych w narodowe, malownicze kostiumy; rozległy rynek staroci, na którym czasami można było trafić na stare, interesujące dzieła sztuki. Cały ten żywy, pstrokaty obraz bardzo mnie przyciągał i często, niemal codziennie tam chodziłam. Tak było jeszcze w 1933 roku!

Z powodu częstych trzęsień ziemi domki tam były parterowe. A jakie sady przy każdym z nich! – coś cudownego, dosłownie raj na ziemi. Gruszki duchesse, brzoskwinie, winogron – mogły konkurować z najlepszymi owocami świata. Miasto niepostrzeżenie podnosi się ku Góróm Ałtajskim. Przez centrum miasta płynie tak zwany główny aryk – jest to kanał, z dnem i brzegami wyścielonymi kamieniem, w którym płynie czyściutka, góraska woda. Ulice są proste, biegną prostopadle do gór, a po ich obydwu stronach płyną wesoło szemrzące strumyki, woda z których używana jest do picia; za strumykami stoją rzędy ogromnych topól i wąskich, dłu-

gich, prawie równych z topolami brzoź, sięgających samego nieba. Nie można było pragnąć niczego więcej. Tak było aż do 23 grudnia (według starego stylu), gdy z GPU przyszło rozporządzenie, nakazujące Andrzejkowi, bez podania przyczyn, już na drugi dzień, czyli w Wigilię Bożego Narodzenia, wyjechać na osiedlenie do miasta Aktiubińska⁴⁶. Kwestionować nie wolno. Już wcześniej słyszeliśmy, że to bardzo nieprzyjazne miasto, w którym, oprócz zesłańców, mieszkali niemal wyłącznie całkowicie niekulturalni Kirgizi. Zarząd gospodarki rolnej, w której pracowało wielu profesorów-zesłańców, dał mu pismo do tamtejszego młyna parowego z prośbą o przyjęcie go do pracy. Cóż było robić, pojechaliśmy ze smutkiem...

Do Aktiubińska przyjechaliśmy o 12 w noc Bożego Narodzenia. Wyszliśmy na stację i postanowiliśmy przesiąść do rana, gdyż niczego i nikogo nie znaleźliśmy. Był silny mróz i z półtora metra śniegu. Funkcjonariusz GPU nakazuje odejść. Gdy próbujemy wyjaśnić, że Andrzejek jest zesłańcem i że nikogo tu nie mamy, słyszymy krótką odpowiedź: „To nie nasza sprawa. Idźcie stąd”. Wtedy Andrzejek pokazał pismo do młyna i poprosił, żeby pozwolili mi zostać i posiedzieć w przejściu, do czasu, aż nie wróci. Poszedł szukać młyna. W mieście nie było żadnego oświetlenia, tylko w oddali jaśniała smuga światła elektrycznego. Byłam w strachu. Noc, sam jeden w obcym mieście, w którym mieszka taki na wpół dziki naród – i poszedł, mój biedny syn. Ale mimo młodych lat był bardzo dzielny i mądry. Długo chodził, aż spotkał Kirgiza, który nie mówił co prawda po rosyjsku, lecz słowo „młyn” zrozumiał i wskazał na to światło, widniejące w oddali.

Czekałam na niego dwie godziny. I oto przyjeżdża na niskich saniach. Doszedł do młyna i w jednym okienku zobaczył ogień. Zastukał... Wyszedł inteligentny mężczyzna, okazało się, że to księgowy z młyna, również zesłańca, który nie kładł się spać z powodu nie oddanego jeszcze sprawozdania rocznego. Andrzejek pokazał mu list z zarządu z Ałma-Aty i powiedział mu o tym, iż jego matkę przeganiają z dworca i że prosi o pozwolenie przywiezienia jej tutaj na nocleg. Ten zbudził koniucha, kazał mu zaprząć konia i jechać po mnie. Wesół miał twarz mój Andrzejek, zadowoloną. Pozwolili nam spać na stołach w kancelarii. Było ciepło i cieszyliśmy się z takiego końca nocy Bożego Narodzenia. Rankiem koniuch zaproponował nam poszukać sobie pokoju, ale wobec trudności i naszego położenia materialnego zaprosił nas do siebie. Miał żonę, obydwójce byli starszankami po 70 lat. Mieli czyściutki pokój w piwnicy. Wydzielili nam kącik na podłodze i do czasu znalezienia innego pomieszczenia spaliśmy na podłodze w jednym kącie, w drugim spał prosiaczek, a w trzecim, na dwóch łóżkach z pierzynami – gospodarze. Z powodu braku inteligentnych pracowników Andrzejka już następnego dnia wzięli do laboratorium, gdzie przez pół roku był pomocnikiem laboranta. Po pół roku, mocą nakazu z Ałma-Aty był już starszym laborantem.

Ponury, zimny i nieprawdopodobnie zaśnieżony Aktiubińsk na wiosnę nie zrobił się ciekawszy, ale pod ciepłym słońcem wszędzie można się ogrzać. Bardzo ciężko było bez cerkwi. Co prawda była tam cerkiew, ale sergiańska. W czasach carskich było to miasto przestępców politycznych. Ten początkowo mały dopiero w ostatnich 50 latach zaczął się rozbudowywać. Ogromny młyn parowy, zatrudniający 600 robotników został zorganizowany już na samym początku. Kraina to była pustynna, zupełnie pozbawiona jakichkolwiek drzew, nie mówiąc o owocowych. Pod tym względem było to całkowite przeciwieństwo bogatej przyrodniczo Ałma-Aty. Znajdowały się tam natomiast bezkresne pola pszenicy i innych upraw zbożowych. Ogrody były tam dobre, szczególnie jeśli chodzi o pomidory, słodkie i smaczne; zastępowały one brakujące owoce. Niemal każdy z mieszkańców miał po jednej krowie, na więcej nie pozwalano, za drugą krowę właściciel zostałby zaliczony do „kułaków”, a potem zesłany na Sybir. Co ciekawe, z powodu nieprawdopodobnych kradzieży – bywało, że bydło wyciągano przez rozebrany sufit – ludzie trzymali krowy w tym samym pokoju, w którym spali. Co prawda utrzymywali wszystko w czystości, sprzątali po kilka razy na dobę, ale i tak wszędzie unosił się zapach obornika. Nie było tam żadnych kwiatów, oprócz tulipanów na wiosnę. Mieszkańcom zaś, mimo, iż częściowo byli to Ukraińcy, nie chciało się sadzić ogródków (na przykład z malwami i słonecznikami, tak, jak to bywa na Ukrainie). Było za to mnóstwo arbuzów i melonów. Za miastem, zamknięta równymi, zielonymi brzegami, wśród zarośli wierzbowych, płynie mała, przezroczysta rzeka, w której widać całe jej piaszczyste dno. Wydawało mi się, że taki właśnie musi być Jordan i często, gdy sama bywałam w domu, chodziłam tam i siadałam na brzegu.

W lecie był upał do 50 stopni, a w zimie mróz do 50 stopni. Nieprawdopodobny kurz. Prawie wszyscy chodzili w specjalnych okularach. W dawnych czasach była to część odległego dziś Morza Aralskiego⁴⁷. W mieście wszystko, na ponad ćwierć arsyzna, zasypane jest małutkimi muszelnkami. One to właśnie, zgniatanymi koniami i ciężarówkami, zmieniają się w pył i dostają się do butów, tak, że w czasie chodzenia wielokrotnie

46 W linii prostej Aktiubińsk jest odległy od Ałma-Aty o ok. 1700 km.

47 W linii prostej Aktiubińsk jest odległy od Morza Aralskiego o ok. 450 km.

trzeba je wytrzepywać. W tamtym czasie mieszkaliśmy w malutkim pokoiku, na podłodze z ziemi, na której stało wielkie, podwójne łóżko, bardzo wielki stół, zajmujący pół pokoju i dwa krzesła. Pewnego razu spotykam znajomą rodzinę z Moskwy, błakającą się w beznadziejnych poszukiwaniach jakiegos pomieszczenia. On – były kamerpaż, ona – zaangażowana w sprawy cerkiewne, zostali zesłani z dwójką synów, 17 i 15 lat, również na trzy lata. Wzięłam ich do siebie. Jeśli człowiek tego pragnie, pokój zawsze rozciąga się jak guma. Mąż i żona na stole, synowie pod stołem, a ja z Andrzejkiem na łóżku. Było wesoło, dobrzy byli z nich ludzie, mieszkaliśmy razem przez dwa miesiące: gdzie zgoda, tam nie ciasno. W końcu znaleźli dwupokojowe mieszkanie, a nam pewien nauczyciel ze szkoły zaproponował przeprowadzkę do siebie do domu. Oni zamieszkali w spokoju, całkiem sami, a my wpadliśmy na bezbożnika, aktywnego komunistę. Takiego człowieka-bestii nigdy przedtem w swoim życiu nie spotkałam. Przede wszystkim nie chciał, żebyśmy w swoim pokoju powiesili ikony: „Żeby mi tego w moim domu nie było!” Wobec tego, że nie tylko podporządkowałam się, ale nawet powiesiłam lampadkę, to przezwiał mnie w strasznie bluźnierczy sposób i zniechęcił.

Męczył nie tylko nas. Swojego rodzzonego ojca wygnał z jego własnego domu, absolutnie bezprawnie oświadczywszy, że dom jest jego (komunisty) własnością (komuniści mają własne prawa). Bił swoją matkę staruszkę, która na jego widok trzęsa się i nie miała; gdy jego 17-letni, niemy i głupiutki brat nie wykonał jakiejś roboty na podwórku albo w domu, tak strasznie bił go po głowie, że nieraz ciekła mu z uszu krew i prawie zupełnie ogłuchł. Matce i bratu dawał głodowe racje, dla niego zaś zawsze przygotowywano syty i tłusty obiad, który zjadał w ich obecności, siedząc wraz z nimi przy jednym stole. Gdy wychodził na lekcje do szkoły, jego biedna, stara matka i brat wylewali przede mną swój strach i przerażenie. Musiałam po cichutku gotować coś dla nas na maszynie naftowej, gdyż nie pozwalał mi gotować u nich w kuchni, zabraniał mi smażyć czeokolwiek, żeby w domu nie było zapachu. Ojca staruszka uczynił najemnym stróżem na basztanach⁴⁸ i przez to, że wiosną, latem i jesienią, niezależnie od pogody, musiał on mieszkać w szałasie z gałęzi, zaś zimą w zimnej piwnicy w domu – zachorował. Miał w oczywisty sposób chore serce, nogi mu puchły nieprawdopodobnie, a pewnego razu przywieziono go furmanką do domu, jęczącego z bólu. Byłam tego wszystkiego naocznym świadkiem. Wyszedł syn: „A ty co, nierobie, przyjechałeś? Pracować się nie chce, co? Syn ma utrzymywać, a jakże! Natychmiast z powrotem i żeby mi tego więcej nie było!”

Zawieźli z powrotem. Po dwóch dniach znowu przywieźli. Syna-bestii nie było w domu. Woźnica z głupiutkim bratem ledwie zaciągnęli ojca na szklany balkon, na którym, na stole, kipiał samowar. „Oj, jakże by się chciało herbatki!”, – powiedział. Jego biedna żona naląła mu szklankę, wszyscy się oglądali, czy nie nadchodzi syn, a on zjawił się jak na zawołanie. Natychmiast się rozbawił i chciał go wygnać, ale staruszek nie mógł wstać. Pili herbatę w milczeniu, ojciec nie śmiał wziąć cukru, syn za to wrzucał po kilka kawałków do szklanki. Byłam w drugim kącie, myłam tam swoje naczynia. Staruszek poprosił o pomoc, chciał już wstać i pójść położyć się do swojego pokoju, znajdującego się obok, gdy rozległ się krzyk: „Patrzcie go, ale wymyślił! Do pokoju! Marsz do piwnicy, wyśpij się, a jutro – do roboty!” Staruszek nic nie odpowiedział, sprowadzili go do piwnicy, w której stało jego łóżko. Nazajutrz, o siódmej rano, gdy syn poszedł budzić go do pracy, staruszek był już martwy.

Oto typowy okaz! Syn prostego, zamożnego chłopca, skończył wyższą sowiecką szkołę, ubrał na siebie dobry garnitur (zapewne kradziony) i został bezbożnikiem-komunistą, nauczycielem w szkole. Dom był zbudowany przez ojca i wszystko należało do niego.

My musieliśmy to znosić. Mimo ciągłych poszukiwań nie mogliśmy znaleźć pokoiku. I wtedy akurat otrzymuję telegram z Moskwy, od zięcia, ojca Nincezki: „Proszę przyjechać i zabrać Nincezkę”. Przedtem wielokrotnie pisałam do niego i błagałam, żeby mi ją oddał, moją drogą dziewczynkę, oddaną mi na łożu śmierci przez moją zmarłą Irenkę, ale on się nie zgadzał. Kochał ją po swojemu. Od moich przyjaciół zabrał ją do siebie. Po śmierci mojej córki ożenił się z komunistką. Swoją miłość do Nincezki poświęcał na rzecz swojej miłości do kobiet. Oczywiście żenił się po sowiecku, to znaczy po prostu przyprowadzał do domu to jedną, to drugą żonę. Ta była już druga. Nincezka tak bała się tej kobiety, budzącej w niej obrzydzenie, tak oburzała się jej namowami do odrzucenia wiary, że, biedulka, przestała być podobna do siebie i strasznie cierpiała. I dlatego otrzymałam ten telegram.

Wyjechałam natychmiast. Było to akurat przed sowieckim świętem 17 października. 15-go doświadczyłam radości spotkania ze swoim Piotrusiem, a 16-go został aresztowany. Dosłownie została mi darowana możliwość zobaczenia się z nim przed zesłaniem. Następnego dnia wyjechałam z Nincezką, a jego od razu wysłali do Kazachstanu, ale nie na wolne zesłanie, a do łagru. Po pół roku zamienili mu obóz na wolne zesłanie w mieście

48 Basztan – ogród na stepie, przeznaczony pod uprawę warzyw.

Pietropawłowski. W tamtym czasie jednym z największych komisarzy we władzy był Jenukidze⁴⁹, to on właśnie pomógł w jego przeniesieniu. Wkrótce Jenukidze został rozstrzelany jako kontrrewolucjonista. Do Piotrusia przyjechała jego młoda żona z małym dzieckiem, też Irenką, która urodziła się już po moim wyjeździe z Moskwy. Przeżyli tam pomyślnie prawie całe trzy lata. W końcu ich córka, a moja wnuczka, umarła w ciągu trzech dni na zapalenie opon mózgowych.

I tak, przywiozłam Nineczkę do mieszkania tego strasznego komunisty. Biedna, słabiutka, nadzwyczajnie cicha dziewczynka, już w Moskwie nastraszona, znów znalazła się w warunkach strachu i przerażenia. Często wciskała się w kąt i chowała się w cokolwiek, żeby tylko nie słyszeć jego wyzwisk i krzyków. Pewnego razu, wiedząc, że przyjdzie najwcześniej za trzy godziny, smażyłam na obiad racuchy w oczekiwaniu Andrzejka. Nagle, całkowicie niespodziewanie, przyszedł. Poczuvszy zapach, szarpnął zamkniętymi drzwiami do naszego pokoju, wyrwał zamek, zrzucił patelnię z racuchami na podłogę, a palącą się maszynkę naftową z całej siły rozbił na kawałki o podłogę. Na szczęście paliła się słabo i zgasła, nie zapalając rozlewającej się nafty. Następnie, złapawszy taboret, wymachiwał nade mną i z bluźnierczymi słowami, jak biesnowaty, chciał uderzyć mnie w głowę. Nie wiem, jak udało mi się wyslizgnąć i uciec na ulicę. Był chłodny, zimowy dzień, a ja byłam bez płaszcza. Na szczęście Nineczki nie było w domu, poszła się pobawić do sąsiadki, która ją polubiła i żałowała; w przeciwnym wypadku śmiertelnie by się przestraszyła. Dała mi chusteczkę i pobiegłam do młyna, do Andrzejka, gdyż ostatnie słowa wykrzywane za mną, brzmiały: „Jak wrócisz, zabiję ciebie i twojego Andrzeja”.

Andrzejek się zwolnił i poszliśmy na milicję, oczywiście znów nie wiedząc, czy znajdziemy tam obronę, czy też komunistę. Poprosiliśmy o spotkanie z naczelnikiem, posłano nas do rejonowego. Gdy weszliśmy, od razu zrozumieliśmy, że człowiek ten był z porządnych, którzy w jakiś sposób się uratowali i nabraliśmy otuchy. Opowiedzieliśmy o całym incydencie. Opowiedzieliśmy o całym zajściu. Poleciał natychmiast wysłać dwóch milicjantów i przyprowadzić nauczyciela pod strażą, a nas poprosił, żebyśmy szczegółowo o nim opowiedzieli. „Dawno poluję na tego chuligana”. Przyprowadzili go. Zachowywał się swobodnie, nachalnie i zwróciwszy się do naczelnika oraz zebranych funkcjonariuszy milicji, rozpoczął mowę: „Towarzyszu naczelniku, uważam, że tych łajdaków – arystokrację i ziemian dawno by trzeba wyniszczyć, a błąd władzy polega na tym, że za miękko z nimi postępuje”. Starał się jeszcze coś powiedzieć, myśląc, że wywiera mocne wrażenie swoją uczonością, gdy naczelnik zapytał: „Skończyłeś, Szemieniow? To słuchaj: jeśli pozwolisz sobie choć jednym słowem nie tylko na grubiaństwo, ale nawet na nietakt wobec tych ludzi, to ja się z tobą policzę i posadzę do więzienia. Słyszysz?” Do nas zaś powiedział: „Idźcie spokojnie do domu, więcej was nie zaczepi”. Trzeba było widzieć tę pełną miłości podłogę, odmienioną postać oszołomionego nauczyciela! Do domu już nie poszliśmy, sąsiadka, u której była Nineczka, oddała nam przedpokój w swoim mieszkaniu i przeniosła nasze rzeczy do siebie. Całe miasto wiedziało o tym wydarzeniu. Wszyscy znali tę bestię, szczególnie rodzice dzieci, które uczyły się w szkole i zaproponowano nam pokój, bardzo blisko od młyna, u bardzo dobrych chłopów. Dzięki składaliśmy Bogu za to, że szczęśliwie uniknęliśmy czegoś gorszego ze strony nauczyciela i za to, że w pokoju i po przyjeździe zaczęliśmy życie z nowymi gospodarzami. Nineczka poweselała i uspokoiła się. Mieszkaliśmy u nich ponad rok. U nich też zdarzyło się nieszczęście: ich starszy syn, dziesięcioletni, został samowolnie pionierem. Bali się go. W tamtym czasie wszędzie, w szkołach, w gazetach, a nawet na ścianach były ogłoszenia, że dzieci, które wydadzą swoich ojca i matkę za poglądy kontrrewolucyjne, za ikony w domu, a nawet w przypadku, gdy poinformują, że rodzice mają schowane jakieś rzeczy, albo artykuły spożywcze, otrzymają nowy garnitur i bezpłatną wycieczkę na Krym, z bezpłatnym utrzymaniem. Gdy tylko zobaczą, że chłopczyk się zbliża, mówią szybko jeden do drugiego: „Jasiek idzie, cicho, Jasiek idzie”. On zaś przysłuchuje się wszystkim i za najmniejszą uwagę grozi, że wyda. Oto, jakie wychowanie dawali dzieciom. Oczywiście, nie wszyscy co do jednego byli tacy i choć rzadko, to jednak zdarzali się również ludzie nie zepsuci bolszewickim wychowaniem. W gazetach na ostatniej stronie był zawsze spis dzieci-bohaterów, na przykład: „Mikołaj Smirnow, uczeń takiej i takiej klasy, za zdradę rodziców otrzymuje taką i taką nagrodę i zostaje wpisany na listę dzieci-bohaterów, zaś jego ojciec za ukrycie trzech worków mąki zostaje zesłany na Syberię”.

W Andrzejka pracy, na młynie, też było niełatwo. Dyrektorem był tam komunistą ze związku bezbożników, typ bardzo podobny do nauczyciela, u którego mieszkaliśmy. Gdy się dowiedział, że Andrzejek został zesłany za religię, od razu go znienawidził. Starał się go obrażać i robić mu wszelkie nieprzyjemności, do tego stopnia, że nie wydawał należnych mu artykułów żywnościowych, a w tamtym czasie z jedzeniem było coraz trudniej. Pewnego dnia siedzimy na ganku z Nineczką i czekamy na powrót Andrzejka z pracy. Jest już spóźnio-

49 Abel Safronowicz Jenukidze (1877-1937) – sowiecki działacz partyjny i państwowy, pochodzący z Gruzji. W 1932 roku napisał książkę o historii bolszewizmu na Kaukazie, po czym został oskarżony o umniejszenie w niej roli Stalina, w 1935 wykluczony z partii, a następnie aresztowany i rozstrzelany.

ny, a ja mam przecucie czegoś niedobrego. Widzimy, jedzie wóz, a na nim ktoś leży, wóz podjeżdża... – jakże trudno pisać o tym i znowu to przeżywać, ale niech wszyscy się o tym dowiedzą, ci, którzy nie wiedzą, albo nie wierzą na skutek kłamliwej propagandy o „sowieckim raj”! Niech poznają prawdę o tym, jak cierpiał mój w niczym nie winny, biedny syn; takich, jak on, były miliony i cyfra ta nie jest nic a nic przesadzona. Konstytucja Stalina na cały świat wieściła, że dzieci nie są odpowiedzialne za rodziców – ani za urodzenie w wyższych warstwach, ani za ich czyny. W momencie wybuchu rewolucji Andrzejek miał trzy latka, a Piotruś osiem. Na wozie leży Andrzejek, oczy zamknięte i jakby zakrwawione, język opuchnięty, wysunięty na zewnątrz, spodnie na kolanach wyglądają na przepalone, na prawym kolanie mała, a na lewym duża, okrągła rana na całe kolano. Niczego, oczywiście, nie może powiedzieć, leży spokojnie, bez jęków. Nic nie rozumiejąc, w zupełnej rozpacz, siadłam przy nim i zawiozłam do szpitala. Pobiegłam do lekarza. Oczekujący ludzie, mimo, iż widzieli stan przywiezionego chorego, podnieśli krzyk: „Do kolejki, do kolejki, co to za pchanie się, stawaj do kolejki!” Nie posłuchałam nikogo, wbiegłam do pierwszego gabinetu, prosząc o podejście do furmanki. Poszła kobieta-lekarka, popatrzyła i pobiegła po innych lekarzy. Podnieśli go i pomogli mu iść. Zebrali się wszyscy i mówią, że jest poparzony i otruty jakąś zasadą. Po obejrzeniu go powiedzieli, że oczu już raczej nie będzie można wyleczyć i że nie będzie widział. Ale Miłosierny Zbawiciel nie dodał mu jeszcze i takiej próby i już po miesiącu oczy widziały tak samo dobrze, jak przedtem; język się schował, mógł jeść, ale na lewym kolanie została mu już na zawsze głęboka, okrągła dziurka, szrama prawie na całe kolano. W bolszewickiej Rosji, niczym w czasie plag egipskich, pojawił się specjalny, nieznany dotąd rodzaj pasożytów na zbożach chlebowych, zebranych już do spichlerzy, a także na mące. Oczywiście informacje na ten temat są starannie skrywane przed światem i brak ziarna, skutkujący głodem, wyjaśnia się suszą, nieurodzajem. Ale to znowu kłamstwo, wciąż to samo kłamstwo. Ów pasożyt nazywa się „kleszcz chlebowy”, podobny jest do szkła, rozprzestrzenia się błyskawicznie, i gdy jego ilość w mące, albo w chlebie, osiąga pewien określony procent, nie mogą być one spożywane przez człowieka, ale idą na nawóz, albo dla świń. Mówią, że jeśli ktoś ma absolutny wzrok, to może zobaczyć tego kleszcza nawet bez mikroskopu: zarażone ziarno jakby niezauważalnie oddycha, kołysze się, ale nie mogą tego potwierdzić. Gdy tylko odkryją kleszcza po raz pierwszy, spichrze są opryskiwane roztworem sody kaustycznej. Tak właśnie było w tym przypadku. Opryskiwającemu powinni dać nieprzemakalną odzież, skórzane rękawiczki i maskę przeciwgazową. Żadnej z tych rzeczy nie mieli. Żaden z robotników nie chciał tego wykonać. Dyrektor wezwał więc Andrzejka i chociaż to zupełnie nie wchodziło w zakres jego obowiązków, jako laboranta, nakazał mu iść opryskać spichlerz zarażony przez kleszcza. Zesłaniec nie mógł odmówić. Rezultat opisałam. Spalone kolana to wynik spadających kropli, język i oczy – wdychania. Andrzejek doszedł do siebie i wrócił do pracy. Po dwóch miesiącach przyszedł do domu całkowicie rozstrojony i zdezorientowany i zaczął opowiadać: „Przychodzę rano do młyna, a przy bramie spotyka mnie stary młynarz, oszust o wieloletnim doświadczeniu, kłania się i mówi: «Dzień dobry, towarzyszu kierowniku!». Przeszedłem obok, przyjąwszy te słowa za zwykłą kpinę. Idę dalej, a robotnicy zwracają się do mnie tymi samymi słowami, pytam więc jednego z nich: «Co to znaczy, czemu się umówiliście, żeby kpić ze mnie?» – «Jak to – kpić? Przecież nakazem z Ałma-Aty zostałeś wyznaczony na kierownika laboratorium». Nie uwierzyłem: mnie, zesłańca, 19-letniego? To niemożliwe, to byłoby dla mnie prawdziwym, nowym nieszczęściem! Przeszedłem do laboratorium, wzywają mnie do dyrektora. Ze złością rzuca mi papier, mówiąc: «Masz, czytaj!» I uwierzyłem, w tę straszną prawdę, gdy przeczytałem nakaz: «Zwolniony zostaje kierownik laboratorium B., a na jego miejsce zostaje mianowany A.»” To stanowisko jest prawie równe dyrektorowi. Bez podpisu i pozwolenia kierownika nie można wypuścić z młyna ani puda mąki, a młyn każdego dnia wypuszczał ich tysiące. Dyrektor był zły, jak nigdy. Bogacił się na zмовach i oszustwach z młynarzem i zrozumiał, że to koniec, gdyż wiedział, że nakłonić mojego Andrzejka do oszustwa, albo zmusić go do ustępstwa było niemożliwością. Oczywiście tajne kontrole, złożone z doświadczonych zesłańców, od razu wykryły, że od momentu, jak Andrzejek został laborantem, jakość mąki się polepszyła. Trzeba było, żeby również ilość produkcji się zwiększyła. „Co robić, mamusiu? Przecież ja nie mogę walczyć z tymi starymi, doświadczonymi wilkami, przecież zaraz mnie zjedzą! Próbowałem odmówić, ale dyrektor powiedział, że to nie od niego zależy”. Biedny kierownik takiej wielkiej i odpowiedzialnej sprawy zapłakał. Poradziłam mu, żeby poszedł do GPU i wyjaśnił, że „nie czuje się na siłach podołać tak odpowiedzialnemu zadaniu, w którym potrzebne jest doświadczenie zarządzania i że boi się, że zawiedzie pokładane w nim zaufanie”. Poszedł od razu i powiedział: „Jestem teraz pod waszą władzą, nie mam żadnej ochrony i proszę GPU o ochronę i ściągnięcie mnie z tego stanowiska”. Odpowiedziano mu na to: „To zrobił zarząd główny, my nie możemy niczego zrobić, staraj się nie zawieść zaufania i nie martw się”.

35. MYTARSTWO

I tak się zaczęła jego nowa męka. Nałożył zakaz na ogromną ilość mąki, przeznaczoną dla armii w okręgu moskiewskim, jako na niezdatną do użytku. Przychodzi do niego młynarz i mówi z wściekłością: „Ty co, chcesz z nami walczyć? My ci utrzymamy rogów!” – „Róbcie, co chcecie. Do mąki dodano piasku.” – „Posłuchaj, towarzyszu – zaczął ten przymilnym głosem, – nie stawiaj przeszkód. To prawda, dodaliśmy troszeczkę piasku, ale przecież nikt tego nie zauważy”. Okazało się, że w nadziei na to, że go złamię, załadowali już pociąg: był gotowy do odjazdu bez jego pozwolenia i podpisu. Wzywają do dyrektora. „Nie pozwalasz na odjazd, uważaj, żebyś sobie nie złamał karku, pociąg już załadowany, chyba nie będziemy go rozładowywać?” – „Nie mogę dać pozwolenia, mam instrukcje, których, jako uczciwy pracownik, nie złamię, to po pierwsze. A po drugie, w Moskwie przy odbiorze też zdarza się, że sprawdzają i to mnie powieszają, a nie was”. Dyrektor również spuścił z tonu i miał nadzieję, że go przekona, ale się omylił. Trzeba było wyładować mąkę i spożytkować na wielkiej hodowli świni, która znajdowała się przy młynie.

Innym razem, wiedząc, że w jednym ze spichlerzy mąka jest zarażona kleszczem i że nie dał on pozwolenia na użytkowanie jej dla celów spożywczych, wypieklili dzienną dostawę chleba o wartości 6 tysięcy rubli. Poszedł do piekarni i wziął chleb do analizy, okazało się, że zawiera kleszcza w ilości niedopuszczalnej. Nałożył zakaz na dostawę tego chleba. I znów – spór u dyrektora, znów argument, że nie można już wypieć nowej porcji chleba na dany dzień. Andrzejek złożył raport, którego ten nie mógł podpisać, a który mówił, że jako zarządzający laboratorium stwierdza niezdatność mąki do użytku i że ściągą z siebie odpowiedzialność, a dyrektorowi proponuje wziąć na siebie pozwolenie na wydanie chleba. W efekcie chleb wywieziono do świnia, a robotnicy dopiero następnego dnia otrzymali podwójną porcję. Wychudł mój Andrzejek, walka z kanciarzami-komunistami była ponad jego siły, zresztą, mało kto by się na to zdecydował, bo oznaczało to życie w strachu przed oszczerstwem i zemstą. Niejednokrotnie pisał do zarządu, zwracał się do GPU, ale nie zwalniano go ze stanowiska. Wreszcie poszedł i oświadczył: „Róbcie ze mną, co chcecie, ale ja już nie mam siły”. Po tygodniu przyszedł z Ałma-Aty nakaz: „A. ma nauczyć technika (nie pamiętam nazwiska) i po zdaniu przez niego egzaminu będzie uznany za zwolnionego z kierowania laboratorium”. Przez trzy miesiące walczył z mało zdolnym technikiem. Wreszcie, 29 kwietnia tamten zdał egzamin i Andrzejek pełen radości wrócił do domu. Z serca spadł mu ogromny, przyniatający kamień. 30-ego kwietnia przychodzi do pracy, a tu na podwórku malują dwie ogromne postacie ze sklejki: na jednej był przedstawiony wróg komunizmu Chamberlain, a na drugiej Andrzejek. 1-go maja, w dzień powszechnego święta, miała być manifestacja i mieli nieść te figury na jej początku. Andrzejek poszedł do GPU i o tym opowiedział. Niezwłocznie, przy nim, zadzwonili do dyrektora, telefonicznie go upomniano i nakazano natychmiast zniszczyć figurę Andrzejka. 2-go maja, gdy podchodził do młyna, na bramie ujrzał ogromny plakat: „A. zwolniony z pracy jako kontrrewolucjonista”. (Była to zemsta dyrektora, gdyż zwolnienie z pracy laboranta leżało w zakresie jego uprawnień).

To, że został zwolniony z takiej pracy, przyniosło ulgę, ale znowu nie mieliśmy żadnych środków do życia, a przecież było nas troje. W tamtym czasie w Aktiubińsku był tak straszny głód, że na każdej ulicy leżały trupy, albo ludzie dogorywający, umierający z głodu. W większości byli to biedni, miejscowi Kirgizi. Po placu targowym, z rozdzierającymi duszę krzykami, biegały malutkie dzieci, porzucone przez swoje matki. Widziałam, jak sadzały je na schodkach cerkiewnych i szybko uciekały. Czasami też przechodnie zabierali je ze sobą i również zostawiali przed cerkwią. Wieczorem podjeżdżała ciężarówka i dokądś zabierała te dzieci. Jak się zdaje, takie krążyły słuchy, po prostu je mordowano. Kilka razy próbowałam zwrócić uwagę milicji na jakiegoś umierającego, ale oni tylko machali ręką i mówili: „A co tu z nimi robić?”

Andrzejek nie musiał długo czekać na pracę. Po czterech dniach otrzymał propozycję zatrudnienia jako laborant-instruktor na elewatorze, miał uczyć kandydatów na laborantów. 10-go zaczął pracę, a 13-go w miejscowej gazecie ukazał się tekst: „Trudno się dziwić, że kontrola, przysłana z Moskwy, ustaliła winowajcę kradzieży, skoro przyjmowaniem ziarna kieruje były arystokrata A., (całe kierownictwo elewatora było wówczas oddane pod sąd), zesłany za działalność kontrrewolucyjną”.

Nie wierzyliśmy własnym oczom. Napisaaliśmy sprostowanie, że to nieporozumienie, że A. dopiero od trzech dni pracuje w elewatorze, i to nie przy przyjmowaniu ziarna, a w laboratorium. Zaniósł do gazety. Gazeta odmówiła wydrukowania, poszedł do prokuratora GPU, a ten mu powiedział: „Badzo dobrze wiemy, że ty jesteś absolutnie uczciwym człowiekiem i że to oszczerstwo przeciwko tobie. Ale według ustawy pewna kategoria osób nie ma prawa do tego, aby się rehabilitować w druku”. To oskarżenie wpłynęło nie tylko na samopoczucie duchowe Andrzejka, ale także na jego serce, jako kolejne z całej serii fałszywych oskarżeń. Mimo to, jako człowiek głęboko wierzący, w przerwach pomiędzy zmartwieniami, był zawsze wesoły i twardy. Kon-

trolującym wykazano niezbiecie, że nigdy nie pracował jako przyjmujący ziarno i że dopiero od trzech dni był w elewatorze, ale jednak nakazała zwolnić go z pracy.

Wtedy zatrudnił go u siebie, jako pomocnika i zastępcę, okręgowy inspektor produkcji chlebnej. Andrzejek myślał, że zawsze będzie przy nim, ale ten, choć i uczciwy, był leniwym człowiekiem, lubiącym odpoczynek na łonie rodziny i mieszkał kilka wiorst za miastem (nie komunista). Poza tym często jeździł po okręgu i, jak mówił do Andrzejka, ze spokojem pozostawia na swoim stanowisku takiego uczciwego pracownika. Pewnego razu wyjechał i długo nie wracał. Do obowiązków inspektora należało przeprowadzanie (dwa razy w miesiącu) kontroli młyna, z którego Andrzejek został zwolniony. Sytuacja była trudna i nieprzyjemna: stał teraz wyżej od dyrektora młynu.

Wezwał inspektora, a ten nakazał mu na piśmie samemu przeprowadzić kontrolę. Po obejrzeniu i sprawdzeniu wszystkich spichlerzy i składów, Andrzejek wydał orzeczenie: wobec wysokiego stopnia zarażenia kleszczem przerwać pracę młyna na trzy dni. Dyrektor wpadł we wściekłość: „Ty zwariowałeś! Czy ty sobie wyobrażasz, co to znaczy zatrzymać taki młyn!? Przecież to setki tysięcy strat!” – „Wiem, ale mimo to uważam zatrzymanie młyna za konieczność”. Dyrektor poszedł na skargę do GPU. GPU natychmiast wezwało inspektora i następnego dnia wyznaczono komisję złożoną z przedstawicieli GPU oraz osób zarządzających piekarnictwem. Można sobie wyobrazić wzburzenie młodego zesłańca i przerażenie przed groźącymi mu konsekwencjami, gdyby uznano jego rozporządzenie za bezpodstawne: zostałby oskarżony o naumyślne szkodzicielstwo i sąd byłby krótki. Nie spaliśmy przez całą noc, przecież siły były wręcz nieprawdopodobnie nierówne.

Błady, ale jak zawsze opanowany, z modlitwą w sercu, poszedł mój zamęczony prześladowaniami Andrzejek do młyna, w którym miała się rozstrzygnąć kwestia jego życia i śmierci. Oczekiwaliśmy z Nineczką na jego powrót przez kilka godzin. Już z daleka poznaliśmy po szybkim kroku i machaniu ręką, że jest wesoly. Komisja i inspektor produkcji chlebnej podpisali się pod protokołem uznającym prawidłowość rozporządzenia zastępcy inspektora produkcji chlebnej A. i młyn zatrzymano na trzy dni. Dyrektor wysłał do Ałma-Aty meldunek z prośbą o zwolnienie z pracy, gdyż nie życzył sobie podporządkowywać się chłopaczkowi-zesłańcowi, którego w dodatku zwolnił za działalność kontrrewolucyjną. Nie wypadało go zwolnić, wszak komunista, wielki aktywista, członek związku bezbożników. GPU wezwało Andrzejka i powiedzieli mu: „Nie mamy żadnych zastrzeżeń wobec twojej pracy, wybierz sobie taką robotę, jaką chcesz, ale nie wypada, żeby zesłańiec zajmował takie odpowiedzialne stanowisko”. Już następnego dnia Andrzejkowi zaproponowano stanowisko kasjera w bardzo wielkiej, miejscowej spółdzielni. Całe niewielkie miasto wiedziało o jego przejściach na różnych stanowiskach, kierownik nie był komunistą i potrzebował uczciwego pracownika. Tutaj się już przestraszyłam. Przecież przez jego ręce i na jego odpowiedzialność będą przechodzić ogromne kwoty pieniędzy. Ale wziął się do tego śmiało, zaczął otrzymywać o wiele lepszą zapłatę i otrzymał podziękowanie za złożone po trzech miesiącach sprawozdanie.

Pewnego razu przyszedł do domu bardzo wzburzony i obrażony. Przyjechała z Moskwy kontrola. Dowiedziawszy się, że kasjerem jest młody zesłańca o znanym, szlacheckim nazwisku, udzieliła kierownikowi nagany i nakazała natychmiast zwolnić. „Wy co, chcecie, żeby ukradł pieniądze i się schował? Czyż można takich ludzi zatrudniać przy odpowiedzialnej pracy z pieniędzmi?” Kierownik odpowiedział (wszystko w obecności Andrzejka): „Dopiero teraz jesteśmy spokojni. Przed nim byli tu sami komsomolcy, którzy się potem ukrywali, jeden z 25 tysiącami, a drugi z podobną kwotą”. Kontrola wyznaczyła swojego komsomolca. Kierownik nie chciał całkowicie niewinnego Andrzejka zostawić bez środków do życia i zaproponował mu jedyne wolne miejsce w kartotece. Mój biedak poczuł się obrażony i mówi do mnie: „Nie chcę tego, po co to, wszyscy będą się śmiali: z kasjerów i do kartoteki? Za nic nie chcę”. Uznałam, że nie powinien odmawiać, ale wziąć to miejsce. Bardzo nie chciał, ale nigdy nie postępował wbrew mojemu życzeniu. Kontrola pojechała po miastach i osadach okręgu aktiubińskiego. Po dwóch miesiącach, w drodze powrotnej do Moskwy, przyjechali do spółdzielni i ich pierwsze pytanie brzmiało: „No co, zadowoleni jesteście z nowego kasjera?” – „Toż przed trzema dniami zabrał 20 tysięcy i się ukrył. Gdzie go teraz szukać?” Andrzejek przychodzi i triumfuje. Komisja pozwoliła przyjąć go z powrotem.

Miał jeszcze przed sobą rok zesłania i już do końca pracował na tym stanowisku. Pewnego razu wzywają go do GPU i mówią: „Jutro jest ogólne zebranie wszystkich robotników, ma ono wyrazić zgodę na przyjęcie lub nie przyjęcie kogoś do służby wojskowej. Będziesz kandydatem. Wezwą ciebie, ale gdy zapytają, za co zostałeś zesłany, to uważaj, nie mów przypadkiem, że za religię i za cerkiew”. – „A co mam odpowiedzieć?” – „Powiedz, że za oskarżenie o kontrrewolucję z artykułu 58 punkt 10”. Nie wzywali go, ale zaocznie postanowili go przyjąć. Bardzo się tym martwiliśmy, przecież jeżeli postanowili przyjąć, to nie wolno odmawiać (to nie kwestia religii), ale wiadomo, że w żadnym wypadku tego nie chcieliśmy. Wyznaczono pobór, otrzymuje wezwanie na komisję

poborową. Mówię do niego: „Wiesz co, idź do GPU i zapytaj: przecież Piotrusia odrzucili z powodu nazwiska, zamieścili o tym wzmiankę w paszporcie, da Bóg, może i ciebie odrzucą”. Tym razem bał się posłuchać mojej rady. Obejrzeni go, znaleźli silną nerwicę serca, dali długie odroczenie, skierowali na leczenie. Następnego dnia czytamy w miejscowej gazecie: „Podli ludzie z arystokracji pchają się do armii, żeby wnieść rozkład w jej szeregi. Trzeba ich wyjawiać i wyrzucać”. Wyrzuciłam mu nieposłuszeństwo. Poszedł, nie powiedział dokąd. Po powrocie do domu opowiedział o tym, co zrobił, w nadziei, że całkiem go zwolnią:

„Poszedłem do rady wojskowej, obradującej razem z GPU i poprosiłem, aby pozwolono mi wejść. Wszedłem: za ogromnym stołem, nakrytym czerwonym sukniem, siedzą wysocy oficerowie z orderami. Wszyscy popatrzyli na mnie ze zdumieniem: wszak to niebywałe nachalstwo! «O co chodzi?» – zapytał jeden z nich. Odpowiedziałem: «Oglądała mnie wczoraj komisja wojskowa i przyjęła warunkowo, aż wyleczę serce. Przyszedłem oświadczyć, że jestem z arystokracji i to utytułowanej». Popatrzyli wszyscy po sobie i najważniejszy powiedział: «Zuch jesteś, że przyszedłeś». Sami rozumieli, że żeby to zrobić, trzeba było ogromnej determinacji, trzeba było umieć zwyciężyć w sobie strach przed nimi. Zostawili go w spokoju i po dwóch miesiącach zakończył się okres jego zesłania. Nie dali mu żadnych ograniczeń i mógł wrócić nawet do Moskwy, ale pomyśleliśmy, że im dalej od centrum, tym bezpieczniej i postanowiliśmy wrócić do Ałma-Aty i tam się jakoś urządzić. Ciągnęła nas tam też inna, najgłówniejsza strona życia: dowiedzieliśmy się, że istnieje tam Cerkiew Katakumbowa.

36. CERKIEW KATAKUMBOWA

W Aktiubińsku przez ponad rok byliśmy bez służby Bożej. Pocieszenie nadeszło niespodziewanie. Przyjechał tam stosunkowo jeszcze młody archimandryta, o. Arseniusz. Był znajomym tej zesłanej rodziny, o której już pisałam, a która mieszkała z nami na początku w ziemiance i spała na stole oraz pod stołem. Dali mu nasz adres i zaraz przyszedł i został na nocleg. W nocy cicho odprawił świętą liturgię i mogliśmy przyjąć Najświętsze Tajemnice. To był ten sam mnich, którego nie rozstrzelali w Tuapse, ale zesłali go na 10 lat i który przekazał mi wieści o igumenii Antoninie⁵⁰. Od niego po raz pierwszy się dowiedziałam, że w Rosji istnieje tajna Cerkiew Katakumbowa, na czele której stoi Metropolita Petersburski Józef⁵¹, zorganizowana z błogosławieństwa Metropolity Piotra Krutickiego⁵², z którym, mieszkając na zesłaniu w Czimkencie, odległy o 100 wiorst od Ałma-Aty, pozostawał przez cały czas w tajnych kontaktach. Archimandryta Arseniusz był wyświęcony przez metropolitę i miał zaszczyt utrzymywać go materialnie. Cerkiew w Ałma-Acie była głęboko pod ziemią, oświęcał ją sam Metropolita, który w tajemnicy przyjeżdżał w tym celu.

Tak, jak mi nakazał o. Aleksander, zamęczony na Miedwieżej Górze pod Murmańskim, nigdy, ani ja, ani Andrzejek, nie wchodziliśmy w kontakt z duchownymi sergiańskimi, którzy modlili się za władze i za metropolitę Sergiusza.

Pewnego razu przyszedł do nas ze znajomymi, wciąż tymi samymi, szacowny z wyglądu, akademik protojerej, o. Makary. Już wcześniej wiedziałam, że jest sergianinem. Takich również zsyłali, tych, w których wyczuwali szczerą wiarę w Boga, tak straszną dla szatana w formie władz sowieckich. Przyszedłszy do nas podniósł rękę,

50 Patrz rozdział 21.

51 Patrz przypis w rozdziale 29.

52 Metropolita Kruticki Piotr (Polański) (1862-1937). Będąc człowiekiem świeckim, zaangażowanym w życie cerkiewne, został namówiony przez Patriarchę Tichona do tego, aby przyjął monaszeństwo, kapłaństwo i biskupstwo i pomógł mu w kierowaniu sprawami cerkiewnymi w warunkach prześladowań bolszewickich. Propozycję przyjął ze słowami: „Nie mogę odmówić. Jeśli odmówię, będę zdrajcą cerkwi, ale jeśli się zgodzę – to wiem, że sam sobie podpisuję wyrok śmierci”. W 1920 roku został Biskupem Podolskim, wikariuszem moskiewskim. W latach 1920-1923 zesłany. Po powrocie z zesłania, w 1923 roku mianowany arcybiskupem, a następnie Metropolita Krutickim. Był jednym z najbliższych współpracowników Patriarchy Tichona, zdecydowanym przeciwnikiem „żywej cerkwi”. W 1925 roku, po śmierci Patr. Tichona, jako trzeci Strażnik Tronu Patriarszego, wobec niemożności przybycia do Moskwy metr. Cyryla (Smirnowa) i Agatangela (Preobrażeńskiego), stanął na czele Cerkwi Rosyjskiej. W tym samym roku aresztowany, przed swoim aresztowaniem wydał rozporządzenie o swoich tymczasowych zastępcach, na których wyznaczył kolejno: metr. Sergiusza (Stragorodskiego), metr. Michała (Jermakowa) i metr. Józefa (Pietrowych). Wznoszenie imienia metr. Piotra w czasie nabożeństw, jako głowy Cerkwi, pozostawało obowiązkowe. Po 1925 roku przez wiele lat więziony, za odmowę zrzeczenia się praw Strażnika Tronu Metropolitalnego zamordowany przez bolszewików w 1937 roku. W 1997 roku kanonizowany przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną Patriarchatu Moskiewskiego. Interpretacja rozporządzenia metr. Piotra o tymczasowych zastępcach Strażnika Tronu Patriarszego, na podstawie której metr. Sergiusz objął pełnię władzy w Cerkwi była wielokrotnie kwestionowana, w tym również przez samego metr. Piotra (patrz jego list do metr. Sergiusza na końcu niniejszej książki).

by mnie błogosławić, ale ja się uchyliłam i nie przyjąłam błogosławieństwa, mówiąc: „Proszę o wybaczenie, batuszka, ale nie mogę przyjąć waszego błogosławieństwa. Wiem, że należycie do cerkwi sergiańskiej i modlicie się za władze i za Sergiusza”. Był całkowicie zaskoczony, zwrócił się z podniesioną ręką do Andrzejka, ale i on nie przyjął błogosławieństwa. Wyszedł bez słowa, mocno obrażony i powiedział do mojej znajomej: „To, że ta stara dama tak postąpiła, to jeszcze mogę jakoś zrozumieć, ale to, że ten chłopczyzna śmiał nie przyjąć mojego błogosławieństwa, to oburzające”. Po kilku dniach znów przychodzi i już nie próbuje błogosławić, a mówi: „Bardzo mnie zaciekawiliście – pani i pani syn, chciałbym porozmawiać i poznać wasz punkt widzenia”.

Przedstawiłam swój określony pogląd na cerkiew sergiańską i na Sergiusza. Potem często się widywaliśmy, często rozmawialiśmy, zajmując całkowicie przeciwstawne stanowiska. W swoim pokoju urządził coś w rodzaju małej cerkiewki, służył obiednię i prosił, żeby Andrzejek przychodził śpiewać i czytać, nie wspominając modlitewnie ani władz, ani Sergiusza. Odmówiliśmy. Czas mijał, zaprzyjaźniliśmy się, ale nie jeśli chodzi o sprawę cerkwi, chociaż z jego strony pojawiły się nutki sympatii wobec naszych poglądów. Pewnego razu odbył dyskusję z przybyłym jeszcze raz do nas archimandrytą Arseniuszem, ale obydwaj pozostali przy swoich poglądach.

Był zesłany tylko na dwa lata i gdy zesłanie się skończyło, przyszedł się pożegnać i powiedział: „Nasze rozmowy nie przeszły bez śladu i bez rezultatu. Jadę do Moskwy i tam znajdę odpowiedź na to, co nas dzieli. Obiecuję, że jeżeli przekonam się, że nie mam racji, uczciwie dam pani o tym znać”. Wyjechał. Po trzech miesiącach nadszedł list od jego syna, w którym powiadał, że jego ojciec wkrótce po przyjeździe do Moskwy oficjalnie się wyrzekł i odszedł z cerkwi sergiańskiej. Odmówił służenia, za co został zesłany na 10 lat, bez prawa do korespondencji, w niewiadome miejsce.

W to, co się w ogóle działo w tamtym czasie, wręcz trudno uwierzyć. Czasami brałam od ludzi robotę – szycie sukienki, albo bielizny, po to, by zarobić trochę pieniędzy. Przychodzi kobieta, która, jak się okazuje, jest nauczycielką z miasta Aralska, nad Morzem Aralskim. Przyjechała, jak sama mówiła, „łodzić się”: był to przykład inteligencji sowieckiej, która mówiła jak najbardziej wulgarnym i prostackim językiem. Czego i w jaki sposób mogła ona uczyć dzieci – to prawdziwa zagadka. Nosila jedwabne sukienki. Potrzebowała sukienkę wyjściową w gości i do cerkwi. Na moje pytanie, czy w Aralsku naprawdę jest cerkiew, odpowiedziała: „A jakże! Mamy wspaniałą kobietę-kapłana!”. Myślałam, że się przesłyszałam i zapytałam ponownie: „Co pani mówi, kapłan-kobieta?” – „No tak! A co się pani tak dziwi? Czy to nie wszystko jedno, skoro ona i spowiada, i komunię daje, i wszystko robi, tak, jak mężczyzna?” Na widok mojego przerażenia i strachu wobec czegoś takiego, bardzo się obraziła, zapewne widząc we mnie głupie zacofanie. Tak! Czegóż tylko nie widziałam, czegóż nie doświadczyłam, ale to – to już przekraczało wszelkie skrajne odstępstwa, które działy się wtedy w cerkwi przy bolszewikach.

W ten sposób postanowiliśmy znowu przeprowadzić się do miasta Ałma-Aty. Było to w sierpniu. Jechaliśmy wszyscy w troje, z weselem i ulgą, choć przez chwilę nie myśląc o nowych nieszczęściach. Andrzejek wolny! Na każdej stacji kupowaliśmy i smakowaliśmy owoce, od których się odzwyczailiśmy w ciągu tych trzech lat. Spotkał nas archimandryta Arseniusz i przywiózł do bardzo miłego pokoiku, znowu bez podłogi, na ziemi, ale było to jedyne, co mógł dla nas znaleźć i w dodatku u wierzącego, samotnego chłopca, który potrafił uciec z łagru na północy, przedrzeć się na samo południe i zbudować domek z dwiema izbami. Domek był w sadzie. Z gospodarzem w jednym pokoju mieszkał stary, prawie całkowicie niewidomy kapłan, zesłany z Petersburga, dawny bliski przyjaciel o. Jana Kronsztadzkiego. Ojciec Jan przed śmiercią oddał mu swój pikowany podriśnik, który miał ze sobą. Czasami z gór przyjeżdżał pustelnik, stary mnich, brat gospodarza. Gospodarz go sprowadził, gdy już miał dla niego miejsce, chcąc razem zamieszkać, ale ten, w obawie przed prześladowaniami, osiedlił się w górach. Wszyscy my, nawet Nineczka, znaleźliśmy się w tym środowisku, które było nam bliskie. Zrobiliśmy w pokoju prycze: na dole spał Andrzejek, nad nim Nineczka, a ja spałam na niewielkim piecu, zaś w zimie, gdy się paliło, spałam na stole. Jakże dobrze nam było! Jeśliby nie wieczny strach przez GPU, to bylibyśmy w pełni szczęśliwi. Andrzejek zatrudnił się w laboratorium przy rzeźni. Nineczkę oddałam do szkoły. Jakże ciężko było temu miniaturowemu, słabutkiemu dzieciątku! Pewnego razu przychodzi ze szkoły (jeszcze na samym początku), cała we łzach, i mówi ze szlochem: „Babciu, ja więcej nie pójdę do szkoły, nie pójdę za nic! Jeden chłopiec zobaczył na mnie krzyżyk, złapał go, zaczął zrywać, wołać innych uczniów, otoczyli mnie, wszyscy szarpali, skakali dokoła i rechotali. Weszła nauczycielka, zobaczyła, że płaczę i nie wiem, jak się z tego wyrwać, dowiedziała się, o co chodzi i pyta: «A po co ty nosisz krzyż?» Odpowiedziałam: «Bo wierzę w Boga, i moja mamusia wierzyła, i babcia, i będę nosić krzyż». Nauczycielka wysłała ją do domu, gdyż nie mogła się uspokoić i przestać płakać i powiedziała, żeby babcia natychmiast przyszła do szkoły, do kierowniczk. Pochwaliłam, pocieszyłam i uspokoiłam moją dobrą wnuczkę. Poszłam do szkoły: „Co to, czyż wam nie wiadomo, że

noszenie krzyży jest zabronione?” Odpowiedziałam, że wiem, ale nie podporządkowuję się i nie ściągnę go z mojej dziewczynki, ponieważ jestem wierząca. „Po raz pierwszy spotykam się z czymś takim, – powiedziała. – Krzyż należy zdjąć!” Odmówiłam i, rzecz jasna, natychmiast zabrałabym ją ze szkoły, ale nie miałam prawa, gdyż nauka w szkole była obowiązkowa, zaś w przypadku sprzeciwu dziecko było rodzicom odbierane i stawało się własnością Sowietów. Wtedy kierowniczką powiedziała: „Ściągnijcie krzyż z szyi, żeby nie było go widać, i skoro już odmawiacie zupełnego ściągnięcia, to przyczepcie, albo przyszyjcie do koszuli”. Poradziłam się O.A. i z jego błogosławieństwa tak właśnie zrobiłam, żeby nie wystawiać na kłopoty dziecka, które z tego powodu cierpi i żeby nie stwarzać okazji do drwienia ze świętego Krzyża. Zarówno Andrzejek, jak i Nineczka zawsze nosili na sobie krzyż, ale nie wisiał on na sznurku, na szyi, a był przyszyty. W dodatku zaczęła się nowa dla nas próba: Nineczkę zmuszali do wstąpienia do pionierek. I znów ta mądra dziewczynka z twardością człowieka dorosłego odmówiła i na pytanie „dlaczego” znów odpowiedziała: „Ponieważ jestem wierząca w Boga”. I znów mnie wzywają. W końcu, dzięki łasce Bożej, do naszego rozstania w 1942 roku i pewnie już na zawsze, nie została ani pionierką, ani komsomołką.

Nineczka była bardzo rozwinięta, bardzo poważna jak na swoje lata, gdyż od urodzenia przeżywała same nieszczęścia i miała wrodzony talent do rysowania. Piszę „miała”, gdyż wszystkie wyżej podane fakty były zbierane przez GPU i po osiągnięciu określonego wieku ludzi takich aresztowano i zsyłano na męki do łagru na Sybir. Nineczka miała 17 lat, gdy się z nią rozstałam, kończyła szkołę, będąc przez wszystkie 9 klas najlepszą uczennicą. Pragnę mieć nadzieję, że jej ojciec, u którego mieszkała przez ostatnie trzy lata, gdy byliśmy razem, nie zachwiał jej przekonaniem, gdyż byłoby to dla mnie nowym nieszczęściem; był to człowiek kompromisu, i nadzieję pokładałam tylko w jej twardości i pamięci o matce i o mnie. Gdy w Ałma-Acie skończyła 11 lat, było święto Puszkina. Każda szkoła miała przynieść na wystawę coś ku czci Puszkina. Postanowiono na podstawie rysunków, drukowanych w gazecie „Stolica i Zagroda” (jeszcze z carskich czasów) narysować farbami bardzo powiększony rysunek domu, w którym urodził się Puszkina, grób jego niani i jeszcze jakieś dwa rysunki, razem – cztery. Nikt, nawet z najstarszych klas, nie chciał się tego podjąć. Ktoś powiedział: „O, pewnie Nineczka da radę”. Wzywają ją do pokoju nauczycielskiego, a ona, jak już pisałam, urodziła się niedonoszona, w siódmym miesiącu, i taka już została – miniaturowa, ale bardzo milutka, z wielkimi, czarnymi, wyraźnymi oczyma. Nauczyciele z innych klas, którzy jej nie znali, uśmiechnęli się. Pokazali jej rysunki i kierowniczką szkoły zapytała: „Nineczko, dasz radę to narysować?” W odpowiedzi zabrzmiał cichutki, zawstydzony głosik: „Spróbuję”. – „No to tak: jeśli zrobisz, dostaniesz materiał na nową sukienkę, na bieliznę i dodatkowo pudełko dobrych farb akwarelowych z pędzlami”. U nas z ubraniami było bardzo słabo, po powrocie do domu powiedziała: „Babciu, jeśli to zrobię, to tobie będzie łatwiej, nie będziesz musiała kupować materiału na sukienkę, już ja się postaram ze wszystkich sił”. To, co zrobiło to 10-letnie dziecko, było całkowicie nieprawdopodobne. Gdy te obrazy powieszono w ramach na wystawie, to zarówno miejscowi, jak i przybyli z wielu innych miejsc, nawet z Moskwy, nauczyciele i ludzie zajmujący się oświatą pytali o autora i koniecznie chcieli zobaczyć tego utalentowanego ucznia, który jest autorem tych obrazów. Oczywiście oczekiwali, że zobaczą, czy poznają kogoś ze starszych klas i nie chcieli uwierzyć, że to praca dziewczynki, która nie miała jeszcze 11 lat.

Minął miesiąc, minął drugi – a materiału ani farb nie widać. Wzywają ją do tak zwanej komórki komsomolskiej i oświadczają: „Rada komsomółu postanowiła, że nie otrzymasz żadnej nagrody za rysunki, ponieważ odmówiłaś zostania pionierką”. Po powrocie do domu nie płakała, a powiedziała jedynie: „Nic mi od nich nie trzeba, ale jacyż oni są obrzydliwi, ci komsomolcy!”. Tak! Miała rację!

Pewnego razu siedzieliśmy w sadzie z gospodarzem, było całkiem ciemno. Siedzieliśmy przy stole, za nami był ogromny krzak. Mówiliśmy, jak zawsze i wszędzie – cicho. W krzaku zatrzeszczały gałęzie, gospodarz miał latarkę, oświetlił krzak i z przerażeniem ujrzeliśmy uciekającego z niego agenta GPU.

Innym razem wydarzyło się coś takiego. Stary kapłan, który mieszkał u gospodarza w naszym pokoju, służył wieczernię. Czytałam, gdyż Andrzejek zawsze przysługiwał w cerkwi katakumbowej u archimandryty Arseniusza. Oprócz kapłana, mnie i Nineczki, obecny był gospodarz. Nagle pies gospodarza, bardzo wielki i zły dla obcych, podniósł za oknem niewyobrażalne – nawet nie szczekanie, ale jakieś wściekłe wycie. Rzucił się na kogoś. Rozległ się męski krzyk. Trzeba było przerwać służbę, wszyscy wyszliśmy na zewnątrz. Była ciemna noc. Żadne okrzyki nie mogły oderwać Chłopczyka (tak się nazywał pies) od człowieka, któremu wbił się w kołnierz. Zagryzłby go na śmierć, jeśli nam wszystkim nie udało się go odciągnąć. Od razu zrozumieliśmy, o co chodzi, mądry pies też rozpoznał wroga. Przed nami stał blady agent GPU, udając pijanego. (Zwyczajny chwyt, gdy łapano ich na podsłuchiwaniu). Starał się nas przekonać, że nie pamięta, jak znalazł się w sadzie pod naszym oknem. Wszędzie podłość!

37. METROPOLITA JÓZEF

Odeszłam od tematu i nie napisałam o wrażeniach, jakie wywarło na nas miasto Ałma-Ata po naszej trzyletniej w nim nieobecności. Nie można go było poznać. Tak zmienić, doprowadzić do takiego zwyrodnienia całe piękno jego życia codziennego, a nawet samą naturę, mogła tylko zła wola diabelskiej mocy bolszewickiej. Frazes bolszewików, mówiący: „Zniszczymy to, co stare, zbudujemy nowe” stał się rzeczywistością. Przed naszymi oczami stanął obraz następujący: na miejscu małych, parterowych, przytulnych domków na głównych ulicach stoją domy piętrowe, wszystkie w tym samym, żydowskim, pudełkowym i kwadratowym stylu, tak samo, jak w innych miastach Rosji. Z powodu trzęsień ziemi nie wolno było budować domów wyższych, niż piętrowe, i w dodatku budowano je na jakimś specjalnym fundamencie „systemu amerykańskiego”, jakoby zabezpieczającego je przed zniszczeniem. Cudowne sady owocowe, w zieleni których tonęły domki, wyrąbano niemal w całym mieście. Na głównych ulicach – asfalt i milicjant w białych rękawiczkach. Jakże to kontrastowało z codziennością na pół nędznego, brudnego Kirgiza. Bazar zniszczony, ani jednego wielbłąda! Gdzież oni to wszystko podziali? Nie ma krów, nie ma wschodnich namiotów. Wszystko martwe. Kirgizi byli straszliwie wściekli z powodu takiej ingerencji i oszpeccenia ich naturalnego życia. Również wśród nich pojawili się komuniści, jak wszędzie – chciwi cudzej własności. Natychmiast pojawiły się różnice w bogactwach materialnych. Jednych obdzierali do naga, inni tonęli w rozkoszach. Kirgizi nienawidzili swoich komunistów. Sowietci zorganizowali teatr narodowy, pojawili się kirgizcy artyści. W tamtym czasie ludność głodowała. Kirgizi, swobodni z natury, musieli godzinami stać w kolejce, aby dostać na kartki jakieś minimum wyżywienia. Komuniści mieli wszystko w obfitości. Ludność szczególnie nienawidziła pewną artystkę, która korzystała z poparcia bolszewików. Artyści urządzili sobie w górach piknik. Obładowani winem i zakąskami jedli, pili, śpiewali i weselili się. Artystka miała siedmioletnią córkę. Gdy zaczęli się zbierać w powrotną drogę, okazało się, że dziewczynka zniknęła. Wołali, krzyczeli, szukali, ale nigdzie jej nie było. Nastąpiła noc, posłali konnego, aby zawiadomił GPU. Natychmiast przyjechał oddział milicji z latarkami. W pobliżu miejsca uczyły znaleźli dziewczynkę, wiszącą na drzewie.

Zaznajomiłam się z artystką rzeźbiarką, również zesłaną, wraz z mężem. Leżał, złożony gruzlicą. Pokój na parterze, na dole piwnica, w której mieszkała kobieta, o której mówiono, że jest agentem. Ludzie ci, zarówno mąż, jak i żona, szczególnie zaś mąż, byli wierzący i właśnie za to zostali zesłani. Zawsze mówiliśmy cicho, mimo, iż okna i drzwi były szczelnie zamknięte i myśleliśmy, że nikt nas nie słyszy. I oto pewnej nocy podjechał samochód i będącego w wysokiej gorączce, mokrego od potu, skazanego przez lekarzy na śmierć – ściągnęli z łóżka i wywieźli. Żona była oczywiście w niewyobrażalnym bólu. Następnego dnia po aresztowaniu, zdjęła kamforę z kuchenki, znajdującej się w pokoju i zdziwiła się: zobaczyła pod kuchenką światło. W podłodze pod kuchenką był wycięty kwadrat, wszystkie rozmowy były podsłuchiwane. Z wszystkich tych przykładów widać, jak straszne było życie: ani chwili spokoju, nigdzie...

Bardzo szanowaliśmy archimandrytę Arseniusza, tym bardziej, że metropolia Józef go lubił i przez niego mogliśmy się kontaktować z metropolitą. Metropolita mieszkał wtedy w Czimkencie. Przedtem, od samego początku zesłania, mieszkał w małym miasteczku Aulieta; nie pozwolili mu mieszkać w pokoju, ale umieścili go w stodole z bydłem, dając mu łóżko oddzielone żerdziami. Cerkiew wykopana w ziemi znajdowała się w mieszkaniu archimandryty Arseniusza. W przedpokoju znajdował się wąż, przykryty dywanami. Pod pokrywą była drabinka do niewielkiej piwnicy. Jeśli ktoś nie wiedział, nie mógł nawet przypuszczać, że pod dywanem jest wejście do cerkwi. W jednym z rogów piwnicy był otwór w ziemi, zavalony kamieniami. Po ściągnięciu kamieni trzeba było się całkiem zgiąć, przepęznąć trzy kroki i dochodziło się do wejścia do małej świątyni. Wiele obrazów i płonące lampy. Metropolita Józef był bardzo wysoki, lecz mimo to dwukrotnie w tajemnicy przyjeżdżał i wchodził do tej cerkiewki. Panował tam zupełnie niezwykły nastrój, ale nie będę ukrywać, że bardzo było trudno przemóc strach przed wykryciem w czasie służby Bożej, szczególnie w porze nocnej. Gdy tylko rozlegało się na podwórku szczekanie ogromnego psa łańcuchowego, słyszalne (choć przytłumione) pod ziemią, wszyscy oczekiwali okrzyku i stukania GPU. Przez cały 1936 rok i aż do września 1937 wszystko odbywało się szczęśliwie. Andrzejek śpiewał z pewną mniszką. 26-go sierpnia przyjechał metropolita Józef i zaszczyił nas odwiedzinami z okazji moich imienin. Jakiż to cudowny, pokorny, niezachwiany człowiek modlitwy. Widać to było na jego obliczu i w oczach, niczym w zwierciadle. Bardzo wysokiego wzrostu, z ogromną, białą brodą i niezwykle dobrą twarzą nie mógł do siebie nie przyciągać, i chciałoby się nigdy z nim nie rozstawać. Jego szaty mnisze były podciągnięte, podobnie zresztą, jak i włosy: w przeciwnym wypadku natychmiast by go aresztowali, już na ulicy, gdyż śledzili go i nie miał prawa wyjeżdżać.

Opowiadał osobiście, że Patriarcha Tichon natychmiast po swoim wyborze zaproponował, aby wyznaczono go jego pierwszym zastępcą. Nie wiem dlaczego dotychczas nigdzie nie wspomniano o tym w historii Strażników Tronu Patriarszego. Jako kanonicznego zwierzchnika Cerkwi uznawał metropolitę Piotra Krutickiego i aż do jego ostatniego aresztu we wrześniu 1937 roku miał z nim tajne kontakty, gdy wszędzie już chodziły słuchy, że metropolita Piotr umarł. Spędził u nas przy herbacie ponad godzinę, opowiadał o trudnym życiu w stodole, gdy nad głową, zaczepiona ogonem za sufit, wisi i patrzy na ciebie żmija, o tym, jak trudno było się modlić, gdy dokoła muczenie, beczenie, chrząkanie i bezlitosne wyżywienie. Te właśnie wszystkie warunki były przyczyną jego choroby. Okresami bardzo cierpiał z powodu wrzodów jelit. Ale znosił wszystko, jako Sprawiedliwy i jeśli mówił o ciężkich przesładowaniach, to tylko dlatego, że wszyscy wspominaliśmy o okrucieństwie GPU. O. Arseniusz opowiadał o pewnej formie pastwienia się i męczenia:

„Gdy nas wieźli na Syberię, był straszliwy mróz. W pociągu był wagon-bania. Pognali nas, całkiem nagich, przez wagony do bani. Z radością oblewaliśmy się gorącą wodą i trochę się ogrzaliśmy, gdyż wagony prawie w ogóle nie były ogrzewane. Nie dali niczego, żeby się wytrzeć i z mokrą głową pognali z powrotem. Następnie celowo zatrzymali na metalowym podłożu i mokre nogi momentalnie przymarzły do żelaza. Gdy padła komen-da «naprzód», z krwią oddzielaliśmy przymarznięte nogi”.

Następnego dnia, przenocowawszy u o. Arseniusza, metropolita wyjechał do siebie. Teraz mieszkał już w innych warunkach. Po 15 (około) latach pozwolono mu znaleźć mieszkanie w Czimkencie. Archimandryta Arseniusz zorganizował mu pokój, żeby mógł spokojnie żyć, troszczył się o jedzenie dla niego, nie tylko do syta, ale również o jego dietę, z powodu chorych jelit. Udało mu się dostać dla niego najpierw cytrę, a potem fisharmonię, co było wielką radością dla metropolity, byłego muzyka. Śpiewał psalmy, przekładając je na muzykę.

1-go września nieoczekiwanie została nam darowana wielka, bardzo wielka radość. Po zakończeniu zesłania przyjechał do nas mój syn Piotr. Nasz adres otrzymał od mojej siostry w Moskwie (przy wolnym zesłaniu można było prowadzić korespondencję). Przyjechał z młodą żoną, żeby zamieszkać wspólnie. Dopiero co stracili dziecko, o czym już pisałam. Tymczasowo zamieszkaliśmy wszyscy w naszym jednym pokoju, do którego przeprowadziliśmy się dwa miesiące wcześniej, a następnie, żeby im było wygodniej, postanowiliśmy im znaleźć w pobliżu nas jakiś osobny pokoik. Przełożeni Andrzejka, wobec jego uczciwej pracy posłali go na trzymiesięczne kursy z księgowości, przy czym ogłoszono, że ten, kto je zakończy i najlepiej zda egzamin, otrzyma dyplom z uprawnieniami starszego księgowego. 25-go września miał skończyć kursy i otrzymać te uprawnienia, gdyż miał najlepsze wyniki z wszystkich. Dałoby to jemu bardzo dobre pobory i bardzo się z tego cieszył, mówiąc: „Mutieńku mój (tak mnie nazywał), już nie będziesz więcej stać na bazarze i sprzedawać kwiatów, ja sam będę zarabiał”. Piotruś znalazł pokoik bardzo blisko nas i 24 września, po doprowadzeniu go do porządku, mieli się do niego przeprowadzić. 23-go wieczorem siedzieliśmy wszyscy w smutku, przeczuwając nieszczęście. W całym mieście zaczęły się aresztowania. Były to czasy Jeżowa⁵³.

O pierwszej w nocy dzieci i Nineczka spały, a ja jeszcze się nie położyłam, gdy przy naszym pokoju zatrzymał się samochód. Obudziłam dzieci. Rozległo się ostre pukanie do drzwi i ten straszny, znajomy krzyk GPU: „Otwierać!”

Nie było wyjścia, otworłam. Szybko wszedł funkcjonariusz GPU i trzech uzbrojonych żołnierzy; funkcjonariusz z rewolwerem w ręku. Pamiętam, że w rozpaczy, rozumiejąc, że zaraz zabiorą mi to, co mam w życiu ziemskim najdroższego, ostro zapytałam: „Czego tu chcecie?” – „Andrzej Urusow jest tutaj?” Nie dam rady opisać wszystkich szczegółów. Niezależnie od tego, jak bardzo starałam się pogodzić z wolą Bożą, wspomnienia rozdierają duszę. Postawili mojego najmilszego na środku pokoju, w samej dolnej bieliźnie i sprawdzali, czy nie ma przy sobie broni. Prawdziwi tchórze! Czego się bali i kogo? O jakiej broni mogła być mowa u kogokolwiek, a tym bardziej u zesłanego za wiarę w Boga i Cerkiew! Zaczęło się przeszukiwanie.

Przewrócili wszystko, rzecz jasna niczego nie znajdując. Mnie zaś, choć rwałam się, aby zbliżyć się do siedzącego teraz na łóżku Andrzejka, nie dopuszczali do niego nawet w te ostatnie chwile przed rozstaniem, rozstaniem być może na zawsze tutaj, na ziemi. Siedział w milczeniu, nie protestując ani jednym słowem i tylko oczyma pokazywał mi na kąt z obrazami, w którym, jak zawsze, płonęła lampadka. Zrozumiałam, że wzywał mnie do modlitwy. Płakałam tak bardzo, że na prośbę synowej pozwolili jej do mnie podejść. Odwróciwszy się do biednego Piotrusia, powiedział: „Nie wiedziałem, że macie jeszcze jednego syna! A to wasza córka?” Odpowiedziała: „Nie, jestem synową”. Andrzejkowi kazali się ubrać. Ciepła kurtka była w naprawie u krawca, buty również. Ubrał lekki płaszcz i brezentowe pantofle. Nie mieliśmy pieniędzy, oprócz 40 rubli, które GPU

53 Nikołaj Iwanowicz Jeżow (1895-1940) – ludowy komisarz spraw wewnętrznych ZSRS. Główny organizator masowych represji w 1937, które nazwano jeżowszczyzną. Aresztowany w 1939 roku i rozstrzelany w 1940 roku.

zabrało, rzekomo dla Andrzejka. Odprowadzili go. Pozwolili mi się pożegnać. Objęliśmy się po raz ostatni. Powiedziałam do niego: „Dokądkolwiek by cię nie zesłali, pojedę za tobą”. Ale Bóg rozsądził inaczej i więcej go już nie widziałam. Dzień wcześniej, wieczorem, powiedział mi: „Nie prosź ich o mnie, nie chcę tego, jestem twoim synem!” I w ten sposób we wrześniu minęło już 15 lat od momentu, gdy to się stało, a pamięć o tych chwilach jest wciąż taka żywa, jakby to było wczoraj – jedynie uczucie pełnego rozpaczy bólu zmieniło się w pokorne przeżywanie. Moje dzieci – to męczennicy za Chrystusa. Nie posiadając się z rozpaczy, zaraz, o świcie, pobiegłam do archimadryty Arseniusza i gdy podeszłam, zauważyłam samochód i wchodzących do niego funkcjonariuszy GPU. Na szczęście mnie nie zauważyli. Trzeba było ratować Piotrusia i jego żonę. Jak tylko nastął ranek, wyjechali do Tomska, gdzie mieszkał brat mojej synowej, również znajdujący się na wolnym zesłaniu. Pracował w teatrze jako artysta.

Biedna Nineczka, cóż przeżywała ta nieszczęśliwa, dziecięca dusza, osierocona w wieku 6 lat? Nie byłam w stanie pracować, nie wiedziałam, co z nią zrobić! Płakałam nieustannie, godzinami stałam z nią przed bramą więzienia. Następnego dnia, po powrocie do domu, zastaliśmy u siebie ojca Nineczki, którzy przyjechał zobaczyć się z nią po trzyletniej rozłące. Dzień wcześniej nie mogłabym nawet pomyśleć o tym, że mogę się z nią rozstać, ale teraz zobaczyłam w tym jawny palec Boży. Przecież i mnie mogą aresztować – co wtedy z nią będzie? Rozstałam się z nią! Ojciec wziął ją do siebie.

Przez cały miesiąc chodziłam do GPU, prosząc nie o uwolnienie, a o przekazanie płaszcza, butów i czegoś do jedzenia, prosiłam o pozwolenie na widzenie. Zesłańcy podarowali mi dla niego walonki i ciepłą, futrzaną czapkę. Nie pozwolono. 8-go listopada oświadczone mi: Andrzej Urusow został wysłany 5 listopada na Daleki Wschód, na 10 lat, bez prawa do korespondencji. Modliłam się tylko o jedno: żeby z bólu nie wpaść w całkowitą rozpacz. Bóg pomógł mi to przejść, pozwolił przejść jeszcze i następne bolesti i oto żyję już 10 lat po tym wszystkim.

Postanowiłam jechać za nim. Sąsiedzi sprzedali dla mnie wszystko, co miałam, inni zesłańcy pomogli mi pieniędznie i pojechałam drogą w kierunku Syberii, gdyż powiedziano mi, że został wysłany do Zalewu Nagaja. Zalew Nagaja – leży na najbardziej północnym brzegu Morza Ochockiego. Myślałam, że dogonię etap pociągami osobowymi. Obok mnie w przedziale siedział wystrojony w order, otrzymane najwyraźniej za wypełnienie misji aresztów i wyroków, już starszy wiekiem, wysoki funkcjonariusz GPU. Drugiej nocy, zastawszy mnie w korytarzu wagonu, zapytał: „Obywatelko, cóż wy tak ciągle płaczecie?” Zapytał surowo i, rzecz jasna, bez najmniejszego współczucia. Opowiedziałam o Andrzejku. „Za co go aresztowali?” Odpowiedziałam: „Bez najmniejszej winy.” – „To absolutnie niemożliwe!” – „Ależ tak właśnie jest: zabrali go za wiarę w Boga i religię!” – „No, to znaczy – winny!” – „Po waszemu tak, a po mojemu nie!” – „Jak nazwisko?” Powiedziałam. „No, więcej niż 5 lat siedzieć nie będzie”. Pewnie on sam skazał mojego Andrzejka i nie znalazł przeciwko niemu innych oskarżeń. W Nowosybirsku pozwolił mi przejść z bagażowym po torach, informując, że eszelon z Ałma-Aty jeszcze tam stoi. Mróz przekraczał 50 stopni. Przeszliśmy pod wagonami nie mniej, niż dwudziestu pociągów towarowych. Wagony szczelnie zamknięte, pod strażą patroli wojskowych. Wszystko to były transporty z zesłańcami z różnych miast Rosji. Tego samego dnia, w którym aresztowali Andrzejka, aresztowano wszędzie w okolicach Ałma-Aty i po całym Kazachstanie całe duchowieństwo katakumbowych, iosiflańskich⁵⁴ cerkwi, znajdujących się na wolnym zesłaniu za nie uznawanie cerkwi sowieckiej⁵⁵. Wszyscy zostali zesłani na 10 lat bez prawa do korespondencji, i, jak się później dowiedziałam, wśród nich był również metropolita Józef. Na ostatnim torze stał pociąg z Ałma-Aty. W środku składu – wagon osobowy. Zapukałam. Wszedł malutki Żyd, w mundurze GPU, a z nim jeszcze dwóch. Zdziwił się, widząc o 12 w nocy, przy pociągu, damę z bagażowym, w sytuacji, gdy nikt nie miał prawa chodzić po torach, nie mówiąc już o przełazeniu pod wagonami z aresztowanymi. Na pytanie, czego chcę, powiedziałam, że szukam syna, żeby mu przekazać ciepłe ubranie, jedzenie i pieniądze. Jeden ze stojących tam, usłyszawszy nazwisko, powiedział: „Zdaje się, że mamy takiego!”. Żyd powiedział do mnie: „Idźcie na stację i przyjdźcie wcześniej rano. My w tym czasie sprawdzimy listy i jeśli wasz syn tutaj jest, to dam wam widzenie i przekażecie osobiście to, co chcecie”. Wydawało mi się, że ta noc trwa latami. O 7 rano byłam przy pociągu, znowu z bagażowym. Kupiłam jedzenia, wszystkiego, co można było kupić na dworcu. Powiedziano mi: „Na listach takiego nie ma”. A przecież ten eszelon był wysłany z Ałma-Aty 5-go. Jechał przez kilka dni i byłam niemal przekonana, że syn mój zamarł.

54 Czyli katakumbowych. Cerkiew katakumbowa „oficjalnie” nazywała się Istinnio Prawosławna Cerkow. Termin cerkwie iosiflańskie pochodzi od imienia metr. Józefa, który był najbardziej znanym biskupem IPC. Formalnym jej zwierzchnikiem był metr. Piotr (Kruticki).

55 Czyli cerkwi metr. Sergiusza.

Wzięłam bilet i pojechałam do Tomska, do Piotrusia, uprzedziwszy go telegramem. W ten straszny mróz, oboje z żoną, w lekkich bucikach, byle jak ubrani, gdyż wszystko zabrali im jeszcze w Moskwie, a ubrać się na zesłaniu nie było za co, spotkali mnie na dworcu. Przez trzy dni żyłam otoczona ciepłą miłością i troską. I Piotruś, i Oleczka pocieszali mnie, mówili, żebym nie tęskniła, że odnajdą Andrzejka i że do niego pojedą. Czwartego dnia znów pukanie do drzwi i znów ten sam krzyk! Zabrali też mojego Piotrusia! Widziałam go, jak siedział, jakoś tak zgięty, na otwartej ciężarówce. Noc była księżycowa. Szofer i funkcjonariusz GPU siedzieli w kabinie. Oddałam mu wszystko, co wiozłam dla Andrzejka. Jego ostatnie słowa, skierowane do młodej żony, brzmiały: „Oleczka, natychmiast wyjeżdżaj z mamą do Moskwy”.

Nie pojechała ze mną, nie bacząc na wszystkie moje prośby i została u brata, mówiąc, że jak tylko dowie się o losie Piotrusia na GPU, na ile lat i dokąd go wyślą, to przyjedzie do Moskwy. (Jej panięńskie nazwisko to księżna G-na). Po miesiącu przyszedł list od gospodyni mieszkania. Wasza synowa i jej brat zostali aresztowani i wywiezieni na 10 lat.

38. MOŻAJSK

Po aresztowaniu moich synów w 1937 roku, gdy – wedle informacji GPU – wysłano ich na 10 lat bez prawa do korespondencji, o moim bólu macierzyńskim nie ma nawet co mówić. Przełam wiele, bardzo wiele gorzkich łez, ale nawet najmniejszą, przelotną myślą nie narzekałam i poszukiwałam pocieszenia w Cerkwi. Można je było znaleźć tylko w Cerkwi Katakumbowej, której przez cały czas poszukiwałam i którą, dzięki łasce Bożej, zawsze bardzo szybko znajdowałam i mogłam wylać swój ból przed prawdziwymi, miłymi Bogu kapłanami, którzy służyli tam tajne nabożeństwa. Tak było, gdy po aresztowaniu synów wyjechałam z Syberii do Moskwy. Moja siostra, która, ku mojemu oburzeniu, uznawała cerkiew sowiecką, nie została aresztowana, mimo, iż była frejliną. Wskazała mi pewną naszą dawną przyjaciółkę z dzieciństwa, z którą nie zgadzała się, jeśli chodzi o cerkiew, gdyż ta gorliwie uczętniczyła w tajnych nabożeństwach. Owa dama oraz inni członkowie tej świętej Cerkwi spotkali mnie z otwartymi ramionami. Nie miałam prawa mieszkać w Moskwie i zamieszkałam w odległości 100 wiorst, w mieście Możajsku. Będąc absolutnie bez pieniędzy, wzięłam pozwolenie na sprzedaż sztucznych kwiatów na moskiewskim bazarze. Mogłam mieszkać u siostry nie dłużej, niż dobę, ale pomógł mi dozorca. Wszyscy dozorczy byli wyznaczani przez GPU i donosili o wszystkim, co działo się w domu. Dozorca tego domu mieszkał z rodziną w skrajnej biedzie, w wilgotnym, piwnicznym pomieszczeniu. Przyszedł do mnie i zapytał: „Chcesz, żebym ci pomógł? To pomóż mi! Mam obowiązek, po czymkolwiek przyjeździe, natychmiast o tym powiadamiać, ale ty przyjeżdżaj i mieszkaj choćby przez dwa tygodnie, albo i ile chcesz, a ja nie będę o tym powiadamiać. Gdy przyjdą przeszukiwać albo sprawdzać, zeznam, że przyjechałaś dziś rano, a ty mi pomagaj choć trochę sprzedaż twoich kwiatów”.

Oczywiście zgodziłam się i tak to trwało do 1941 roku, gdy Niemcy nieoczekiwanie przekroczyli granicę i tego dnia nikt, rzecz jasna oprócz sług szatana, nie miał pozwolenia na wjazd do Moskwy. W ten sposób, mieszkując u siostry dłuższymi okresami, chodziłam na wszystkie nabożeństwa, które odbywały się u osób prywatnych w różnych rejonach Moskwy. Naszym kapłanem i duchownikiem był o. Antoni, niemłody już hieromnich. Ciągle słyszałam: „Jak nakazuje starzec, co powie starzec, itd.” Zapytałam ojca Antoniego, gdzie mogłabym zobaczyć tego starca, żeby wylać mój ból i doświadczyć pocieszenia! Gdy go wspominali, mówili o nim z nadzwyczajną czcią i nazywali go niezwykłym świętym. „Nie – powiedział o. Antoni – to absolutnie niemożliwe, wszystko, o co pani go będzie prosić, ja mu będę przekazywał”. W 1941 roku poznałam się w Możajsku z pewną damą, wydaloną z Moskwy z powodu aresztowania męża i jedynej córki. Okazało się, że również należy do Cerkwi Katakumbowej, i że od najwcześniejszych lat kapłaństwa starca była jego córką duchową. Poinformowała mnie, że starzec (nie wymieniła jego imienia) mieszka w tej chwili dwie wiorsty od Możajska i że bywa na jego tajnych nabożeństwach. Na moje pytanie, czy mogłaby poprosić o to, aby mnie przyjął, odpowiedziała: „Nie, to niemożliwe, gdyż wszyscy wierni są tego pozbawieni z tego powodu, że GPU szuka go już od 25 lat, a on chodzi po całej Rosji z jednego miejsca na drugie, najwyraźniej uprzedzany przez Ducha Świętego, kiedy trzeba odejść”. Zasmuciłam się tym oczywiście, ale cóż było robić. W tamtym roku Dzień Świętej Trójcy przypadał na 7 czerwca. Nic nigdy nie dzieje się przypadkowo i tak było również tym razem: nie mogłam być wtedy w Moskwie i ze smutkiem siedziałam sama w wigilię święta, wieczorem, w swoim pokoju. Słyszając lekkie pukanie do okna wyjrzałam i doznałam wstrząsu: pukała niemłoda już mniszka, ubrana w szaty mnisze, wbrew surowemu zakazowi noszenia takiej odzieży. Było to już pod wieczór. Otwarłam drzwi

i weszła do mnie ze słowami: „Batuszka starzec o. Serafin zaprasza panią jutro rano do siebie i jeśli ma pani pragnienie, może się pani wypowiadać i przyjąć Najświętsze Tajemnice”. Wskazała mi drogę, którą mam iść i powiedziała, żeby być ostrożną: przed samą wioską miało być pole kłosażące się już żyta i poradziła, żeby się zgiąć i w taki sposób przejść przez to żyto. Droga przez pole dochodziła do samej izby, w której mieszkał starzec. Dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, był ispołkom. O moich uczuciach po odejściu tej wyjątkowo życzliwej mniszki o świetlistym obliczu nie ma nawet co mówić! Nazywała się matuszka N. Przy starcu były dwie mniszki, druga nazywała się matuszka W. Nie odstępowały go ani na krok. Starzec mieszkał czasami w spokoju nawet przez dwa miesiące i całkowicie nieoczekiwanie, o różnych porach dnia i nocy mówił nagle: „No, pora się zbierać!” Wraz z mniszkami ubierali plecaki, w których znajdowały się wszystkie przedmioty potrzebne do nabożeństwa i bez zwłoki szli, dokąd oczy poniosą, tak długo, aż starzec się nie zatrzyma i nie wejdzie do czyjejś izby, oczywiście, z Bożego natchnienia. Poszłam wczesnym rankiem. Weszłam nie od ulicy, a tak, jak mi powiedziano, od wiejskiej drogi, przez tylne drzwi. Przedemną stanął dziwny, nie całkiem jeszcze stary mnich. Nie ma słów, które mogły opisać jego święty wygląd. Nie da się przekazać uczucia głębokiej czci, którego doświadczyłam. Wypowiadałam się i było to niezwykle. Po świętej liturgii i po przyjęciu przez mnie Najświętszych Tajemnic, zaprosił mnie na obiad. Oprócz mnie obecna była ta dama, o której pisałam wyżej. Były także obydwie mniszki i jeszcze jedna jego córka duchowa, która przyjechała z Moskwy. O, Boże miłosierdzie! – nigdy nie zapomnę tej rozmowy, którą mnie zaszczycił, zatrzymując mnie na kilka godzin.

Dwa dni po tym duchowym szczęściu, którego doświadczyłam w odwiedzinach u o. Serafina, dowiedziałam się od tamtej damy, że następnego dnia, gdy siedzieli przy herbacie, o. Serafin wstał i powiedział do mniszek: „No, pora iść!”. Zebrali się natychmiast i poszli, a po upływie nie więcej, niż pół godziny, przyszło po niego GPU. Bóg jednak znowu go ukrył.

Minęły trzy miesiące, Niemcy byli już w Możajsku, gdy znów usłyszałam lekkie pukanie w okno: przyszła ta sama mniszka N., mówiąc: „Ojciec Serafin jest w Borowsku, który już dobiegł temu został zajęty przez Niemców (leży 40 wiorst od Moskwy), przysłał mnie do pani i kazał przekazać, że jest on tym samym Sieriożą, przed którym złożył pokłon hieromnich A. (w Pustelni Optyńskiej)”.

A oto wyjaśnienie tajemnicy tego starca, fragment książki „Na brzegu Bożej rzeki”, rozdział „Pozwólcie dzieciom przyjść do Mnie” (Optyński Dziennik Sergiusza Nilusa⁵⁶).

„Dzisiaj wyjechała z Optiny nasza nowa znajoma, która mimo krótkiego jej pobytu w monasterze stała się nam bliska, niczym rodzona siostra, więcej – niczym siostra w duchu Chrystusowym. Ze względu na jej ogromną wiarę będę ją nazywał Wierą. Na początku stycznia tego roku otrzymałem list z Tambowa, w którym jakaś żeńska dusza chrześcijańska napisała mi kilka ciepłych słów poparcia dla mojej działalności na niwie Chrystusowej. List był podpisany zupełnie mi nieznanym imieniem i nazwiskiem.

25 maja staliśmy z żoną na liturgii. Przed cheruwimską przeszła koło nas jakaś dama, ubrana skromnie: za rękę prowadziła pięcioletniego chłopca. Wraz z żoną z jakiegos powodu zwróciliśmy na nią szczególną uwagę. Po zakończeniu liturgii, przed rozpoczęciem carskiego molebnia, znów ją ujrzeliśmy: przechodziła koło nas w kierunku stołu ze świecami. Można było zauważyć, że znajduje się w „interesującym stanie”, jak to w starych czasach określali ludzie dawnego wychowania.

„Oto prawdziwa wierna Boża – pomyślałem sobie – jedno jej dziecko od maleńkości, a drugie od samego łona matki – uświęcają się modlitwami i świętymi przeżyciami matki! Zuch! Niech ją Bóg błogosławi, i Matka Boża!”

W tej chwili podeszła do Ikony Matki Bożej Skoroposłusznicy, przed którą zazwyczaj stoimy w Cerkwi Wwiedeńskiej i zaczęła się przed nią modlić na kolanach. Niechący zauważyłem jej spojrzenie, skierowane na ikonę. Cóż to było za spojrzenie, jakaż wiara zeń promieniowała, jakaż miłość do Boga, do Bożych spraw, do świętości! O, gdybym to ja tak się umiał modlić! „Matko Boża! – pomodliło się za nią moje serce, – uczynj jej wedle jej wiary!”

Wychodząc z cerkwi północnymi drzwiami, przy ikonie „Orędowniczki grzesznych” znów spotkaliśmy nieznajomą. W rękach trzymała prosforę. „Czy pan to Sergiusz Aleksandrowicz Nilus?” – zwróciła się do mnie z nieśmiałym uśmiechem – „Tak... A z kim mam zaszczyt?”

Okazało się, że była to ta sama kobieta, która pisała do mnie w styczniu z Tambowa (Serafina Nikołajewna Wiszniewska). To właśnie była Wiera z 5-letnim synem Sieriożą, których dzisiaj żegnaliśmy w Optynie.

Wypada na chwilę zatrzymać się przy tej miłującej Chrystusa dwójeczce, miłością odpowiedzieć na miłość, we wdzięcznej pamięci zachować ich czysty obraz, jaśniejący promieniami światła nie z tego świata...

56 Przepis na temat Sergiusza Nilusa znajduje się na końcu książki, przy jego tekście (liście) na temat Deklaracji metr. Sergiusza.

„Dzisiaj – powiedziała nam Wiera – będziemy się z Sierżykiem przygotowywać, żeby jutro przyjąć Najświętsze Tajemnice i Namaszczenie⁵⁷, a potem, jeżeli pozwolicie, przyjdziemy do was w odwiedzinę. W dzisiejszych czasach taką wielką radością i pocieszeniem jest odnalezienie ludzi tego samego ducha, tak bardzo chce się odpocząć od ciężkich, świeckich wrażeń: pozwólcie nam skorzystać z waszej gościnności!” Jakże wielką radością, również dla nas, była ta znajomość!...

Tego samego dnia, gdy poznaliśmy się z Wierą przy ikonie „Orędowniczki grzesznych”, przechodziliśmy z żoną obok drogocennych mogił wielkich starców optyńskich i, jak zawsze, poszliśmy się im pokłonić. Weszliśmy do kapliczki nad mogiłką starca Ambrożego i zastaliśmy Wierę i jej Sergiuszka: Sieriozka wyciągnął swoje ręce do przodu, dłońmi ku górze i mówi: „Batuszka Ambrożo, pobłogosław!”. W tej chwili zauważyła nas jego mama... „My już tak się przyzwyczailiśmy z moim Sierżykiem: przecież batuszka Ambrożo żyje i jest tu z nami niewidzialnie obecny – więc trzeba u niego wziąć błogosławieństwo, jak u hieromnicha!” Ledwie mogłem powstrzymać się od łez...

Następnego dnia zaszedłem do batuszki o. Anatola akurat wtedy, gdy namaszczał Wierę i jej chłopca. Oprócz nich do Namaszczenia przystępowało jeszcze dwanaście dusz wiernych Bożych, różnego stanu i majątku, którzy zebrali się w Optynie z różnych krańców Rosji. Trzeba było widzieć, z jaką ogromną powagą i koncentracją to pięcioletnie dziecko przyjmowało sakrament Namaszczenia!

W taki właśnie sposób obdarzone łaską Bożą matki już od swojej piersi zaczynają przygotowywać duszę dziecka do Królestwa Niebieskiego! Czyż nie w taki sposób pobożni bojarzy – Cyryl i Maria wychowywali duszę tego, którego Bóg uczynił świecznikiem dla całej Rosji, filarem Prawosławia – Przepodobnego Sergiusza?...

„Gdy jestem w ciąży, – mówiła nam później o tym Wiera – często przyjmuję Najświętsze Tajemnice i modłę się do tego świętego, którego imię chciałabym dać mojemu dziecku, o ile urodzi się tej samej płci. Czwartego dnia Bożego Narodzenia 1905 roku zmarł mój pierworodny syn Mikołaj, który urodził się w Wielką Sobotę 1900 roku. Gdy go jeszcze nosiłam pod sercem, modliłam się do cudownego Świętego Mikołaja, błagając go o to, by przyjął moje dziecko pod swoją opiekę. Urodził się chłopiec i został nazwany na cześć Świętego. Ten zaś, Sierżyk, urodził się pierwszego dnia Bożego Narodzenia w 1903 roku. Za niego modliłam się do Przepodobnego Sergiusza... W związku z nim, już po jego urodzeniu, wydarzyło mi się wiele dziwnych, a nawet, trzeba powiedzieć – znamiennych rzeczy. Urodził się w ósmym miesiącu ciąży. Chrzczyny, z powodu chrzestnego, trzeba było przelożyć na święto Chrztu Zbawiciela w Jordanie, a obrzęd wniesienia do cerkwi przypadł na Ofiarowanie Zbawiciela. I jeśli chodzi o imię, tu też stało się coś niezwykłego, czego nie było przy innych dzieciach. Modliłam się za niego do Przepodobnego Sergiusza, a przy modlitwie, gdy batuszka zapytał, jakim imieniem chciałabym nazwać dziecko, nie mogłam zebrać myśli i odpowiedziałam: „Powieм na chrzcie”.

A stało się tak dlatego, że tego właśnie roku miała miejsce kanonizacja i otwarcie świętych relikwii Przepodobnego Serafina, któremu zawsze bardzo mocno wierzyłam. Do jego mogiłki w Sarowie, jeszcze jako dziecko, chodziłam z mojego miasta na piechotę. I w dodatku pierwszy ruch dziecka poczułam akurat w czasie Całnocnego Czuwania w wigilię 19 czerwca. I straciłam orientację i nie wiedziałam, co mam robić: czy nazwać go Sergiuszem, jak wcześniej chciałam, czy też może Serafinem? Zaczęłam się modlić, żeby Bóg objawił mi swoją wolę: i w noc przed świętem Chrztu Zbawiciela, na które wyznaczono chrzczyny, ujrzałam sen, w którym jakbym pojechała z moim nowonarodzonym do Ławry Troicko-Siergiejewskiej. Zrozumiałam z tego, że Bogu podoba się nadać mojemu chłopcu imię Przepodobnego Sergiusza. Uspokoiło mnie to, tym bardziej, że również batuszka Przepodobny Serafin bardzo miłował tego Świętego Bożego i sam był z jego ikonką złożony do grobu...”

Z uwagą słuchałam tych miłych słów, szmerzących cichym potokiem żywej wody świętej, dziecięcej wiary, a w moim sercu stukwały słowa wielkiej obietnicy Zbawiciela, danej Jego Świętej Cerkwi: „I wrota piekielne jej nie przemogą!” Nie przemogą! Zaiste nie przemogą, jeśli nawet w takich czasach, jak nasze, Cerkiew Boża może mieć takie dzieci! I znowu popłynęła pełna natchnienia historia Wiery. „Spodobał się wam mój Sierżyk? Ciekawe, co byście powiedzieli, gdybyście widzieli mojego zmarłego Kolę! Ten to już na ziemi był mieszkańcem nieba... Pewnego razu ułożyłam spać mojego Kulusika razem z innymi dziećmi. Było koło ósmej wieczorem. Słyszę, woła mnie z sypialni. «Co się stało, dziecinko?» – pytam. A on siedzi na swoim łóżeczku i szepcze z zachwytem: «Mamusi, mamusi moja! Popatrz tylko, ile tu Aniołów lata!» – «Co ty – mówię – Kulusik! Gdzie ty je widzisz?» A serce wali mi młotem. «No wszędzie, – szepcze, – mamusi, one latają dokoła... Teraz pomazali mi główkę. Dotknij mojej główki – widzisz, pomazana!»

Dotknęłam główki: ciemniak mokre, a cała reszta sucha. Pomyślałam, że może majaczy, ale nie! Gorączki

nie ma, oczka spokojne, wesołe, ale nie rogorączkowane: zdrowiutki, wesolutki, uśmiecha się... Sprawdziłam główki pozostałych dzieci – wszystkie suche, śpią sobie dzieciątka, nie budzą się... A on mówi: «No jakże to tak, mamusiu, że ty nie widzisz Aniołów? Przecież jest ich tutaj tak dużo... U mnie, mamusiu, Zbawiciel też siedział na łóżeczku i rozmawiał ze mną».

O czym opowiadał dziecku Zbawiciel, nie wiem. Albo wierna Boża Barbara niczego o tym nie opowiadała, albo opowiadała, a ja nie zapamiętałam: nic dziwnego, że zachłysnęliśmy się tą płynącą rzeką żywej wiary, jej cudów, w których, jak się zdawało, przestawała istnieć granica między niebem a ziemią...

„Kolusik przepowiedział mi również swoją śmierć, – kontynuowała Wiera, radując się, że może otworzyć swoje serce przed ludźmi, którzy słuchali jej całą duszą. – Umarł czwartego dnia Bożego Narodzenia, a o swojej śmierci powiedział mi już we wrześniu. Jakoś tak podszedł do mnie mój chłopczyk i mówi mi z tego, ni z owego: „Mamusiu! Wkrótce odejdę od was”. – „Dokąd, – pytam, – dziecinko?” – „Do Boga”. – „Jak to możliwe? Kto ci o tym powiedział?” – „Ja umrę, mamusiu! – powiedział, przytulając się do mnie, – tylko nie płaczcie, proszę: będę z Aniołami i będzie mi tam bardzo dobrze”.

Serce mi się zapadło, ale zaraz się uspokoiłam: czyż rzeczywiście można tak poważnie przyjmować słowa dziecka?! Absolutnie nie! Minęło trochę czasu, a tu widzę, że mój Kolusik znowu, podczas zabawy, ni z tego ni z owego podchodzi do mnie i zaczyna mówić o swojej śmierci, mówi, żebym nie płakała, gdy umrze...

„Będzie mi tam tak dobrze, tak dobrze, mamusiu moja droga!” – mówi cały czas i pociesza mnie, mój chłopczyk. I ile bym go nie pytała, skąd mu takie myśli przysły do głowy, kto mu o tym powiedział, nic nie odpowiadał, jakoś tak ze szczególną wprawą uchylając się od tego pytania...”

Czy przypadkiem nie o tym mówił Koli Zbawiciel, gdy wokół jego łóżeczka latały niebiańskie Anioły?... „A jakże zadziwiające było to dziecko, – kontynuowała Wiera – można się przekonać na podstawie takiego zdarzenia. W naszym domu robił drzwi stolarz-staruszek i niechcący uszkodził sobie siekierą palec. Staruszek przybiegł do kuchni, gdzie wtedy byłam i pokazuje mi swój palec: krew leje się z niego ciurkiem. W kuchni był również Kola. Zobaczywszy zakrwawiony palec stolarza z głośnym płaczem rzucił się biegiem do jadalni, do ikony Przenajświętszej Trójcy. Padł na kolanka przed ikonką i dławiąc się łzami, zaczął się modlić: «Przenajświętsza Trójco, uzdrów paluszek stolarzowi!» Weszliśmy wraz ze stolarzem do jadalni, a Kola, nie oglądając się na nas, całkowicie pogrążony w modlitwie, ze łzami powtarzał: «Przenajświętsza Trójco, uzdrów paluszek stolarzowi!»

Poszłam po lekarstwa i opatrunek, a stolarz został w jadalni. Wracam i widzę: Kolusik już poszedł do lampadki po olej i pomazuje ranę olejem z lampadki, a starzec-stolarz pełen ufności trzyma przed nim swoją zranioną rękę i płacze ze wzruszenia, powtarzając: «No cóż to za dziecko, cóż to za dziecko!» Myślałam, że płacze z bólu i mówię: «Cóż to, dziadku, tak płaczecie? Na wojnie byliście, nie płakaliście, a teraz płaczecie!» – «Wasze dziecko – powiada – nawet krzemień do płaczu zmusi!».

I jak myślicie? Krwotok natychmiast się zatrzymał, a rana zaleczyła się sama, bez lekarstw, z samego opatrunku. Tak go wszyscy lubili, mojego Kolusika, mojego najdroższego, niepowtarzalnego chłopczyka... Przed Bożym Narodzeniem mój ojczym, a jego chrzestny wyprosił u mnie zgodę, by Kola pojechał do niego w gości na wieś. Był jego ulubieńcem i wyjazd ten okazał się dla niego fatalny: zachorował tam na szkarlatynę i umarł. Wiadomość o chorobie Koli otrzymałam przez posłańca (wtedy wszędzie były strajki i nie otrzymałam wysłanego do mnie telegramu) i zdążyłam zastać mój skarb wśród żywych zaledwie na dobę przed jego śmiercią. Gdy przyjechałam wraz z mężem na wieś, do ojczyma, zastałam Kolę jeszcze rześkim, zdawało się, że szkarlatyna minęła i nikomu z nas nie przyszłoby nawet do głowy, że oto nadeszły ostatnie godziny dziecka. Zamówiliśmy molebień o jego zdrowie. Gdy go służono, Kola sam modlił się gorąco i ciągle prosił, by dawano mu całować ikony. Po molebniu czuł się na tyle dobrze, że kapłan postanowił nie udzielać mu Najświętszych Tajemnic i mimo moich prośb powiedział, że dziecko jest zdrowe i że nie ma takiej konieczności. Ucieszyliśmy się wszyscy. Niektórzy, przekąsiwszy coś po molebniu, udali się na odpoczynek, zasnął również mój mąż. Ja zaś siedziałam przy łóżeczku Koli, daleka od myśli, że oto nadeszły jego ostatnie chwile. Nagle mówi do mnie: «Mamusiu, gdy umrę, obnieście mnie wokół cerkwi...» – «No co ty, – mówię, – Bóg z tobą, dziecino! Jesteśmy razem, Bóg da, będziemy żyć!» – «I chrzestny zaraz po mnie pójdzie za mną», – kontynuował, nie zważając na moje sprzeciwy, Kola. Potem pomilczał przez chwilę i mówi: «Mamusiu, przebac mi» – «Niech ci Bóg wybaczy, Kolusik, – odpowiadam. – Ty mi też przebac: bywałam wobec ciebie surowa». Mówię to, ale zupełnie nie przychodzi mi do głowy, że to moje ostatnie pożegnanie z umierającym dzieckiem.

«Nie, – zaoponował Kola, – nie mam ci czego wybaczać. Za wszystko, za wszystko ci dziękuję, najmilsza mamusiu!» W tym momencie ogarnął mnie lęk i obudziłam męża. «Wstawaj, – mówię, – zdaje się, że Kolusik umiera!» – «Co ty, – odpowiada mąż, – jest mu lepiej, śpi».

Kola leżał wtedy z zamkniętymi oczyma. Po słowach męża otworzył oczy i powiedział z radosnym uśmiechem: «Nie, ja nie śpię. Ja umieram. Módlcie się za mnie!» I sam zaczął się modlić i żegnać. «Przenajświętsza Trójco, zbaw mnie! Święty Mikołaju, Przepodobny Sergiuszu, Przepodobny Serafinie, módlcie się za mnie!... Przeżegnajcie mnie! Pomażcie mnie olejkami! Módlcie się wszyscy za mnie!» Z tymi słowami zakończyło się ziemskie życie mojego najdroższego, umiłowanego chłopczyka: twarzyczkę rozjaśnił mu uśmiech i umarł.

I wtedy po raz pierwszy moje serce wzburzyło się tak bardzo, że o mało co nie zaczęłam narzekać na Boga. Mój ból był tak ogromny, że ja ani przy jego łóżeczku, ani przy mogiłce nie chciałam dopuścić myśli, że Bóg postanowił odebrać mi mój skarb. Prosiłam, błagałam i nalegałam, wręcz żądałam, żeby On, dla Którego wszystko jest możliwe, ożywił moje dziecko: nie mogłam pogodzić się z tym, że Bóg może nie zechcieć wysłuchać mojej modlitwy. W przeddzień pogrzebu, widząc, że ciało mojego dziecka, mimo moich gorących modlitw, pozostaje nieżywe, wpadłam w rozpacz. I nagle, u wezłowania trumienki, przy którym stałam pogrążona w ciężkim rozmyśleniu, poczułam impuls, by wziąć Ewangelię i przeczytać w niej to, co się otworzy. Otworzył się 16 wiersz 18 rozdziału Ewangelii wg świętego Łukasza i przeczytałam: „Dopuszczcie dziatkom przychodzić do Mnie, i nie zabraniajcie im: albowiem takich jest Królestwo Boże”.

Słowa te były dla mnie odpowiedzią Samego Zbawiciela na mój ból i natychmiast przyprowadziły moje serce do pokory: uległam woli Bożej.

Podczas pogrzebu ciała Kolusika spełniło się jego słowo: koło cerkwi wiatr zrobił wielkie śnieżne zasy, i chcąc przenieść trumienkę na schody cerkiewne, trzeba było ją obnieść dookoła całej cerkwi. Było to dla mnie znakiem i sprawiło mi radość. Ale kiedy mojego chłopczyka zakopali w zmarzniętej ziemi i na jego mogiłkę położyła się zimną pokrywą surowa zima wtedy znów moje serce ogarnęła ogromna tęsknota i znów zaczęłam wybłagać mojego syna u Boga, nie znając pokoju w swojej duszy, ani w dzień, ani w nocy: cały czas prosiłam o oddanie mi mojego pocieszenia. Na czterdziesty dzień przygotowywałam się do przyjęcia Najświętszych Tajemnic i w swoim szaleństwie doszłam do tego, że zaczęłam żądać od Boga cudu zmartwychwstania. I oto na czterdziesty dzień ujrzałam we śnie swojego Kolę, jak żywego. Przyszedł do mnie świetlisty i radosny, oświetlony jakimś blaskiem i trzy razy powiedział do mnie: „Mamusiu, nie wolno! Mamusiu, nie wolno! Mamusiu, nie wolno!” – „Czego nie wolno?” – wykrzyknęłam w rozpacz. „Nie trzeba tego, nie prosz o to, mamusiu!” – „Ale dlaczego nie?” – „Ach, mamusiu! – odpowiedział Kola, – sama byś nie pomyślała nawet, żeby o to prosić, gdybyś wiedziała, jak mi dobrze tam, u Boga. Tam jest lepiej, tam jest bez porównania lepiej, droga moja mamusiu!” Obudziłam się i po tym śnie mój ból znikł, jak ręką odjął.

Minęły trzy miesiące i spełniło się drugie słowo mojego Koli: w ślad za nim do domu Króla Niebiańskiego, Boga, odszedł jego chrzestny”.

Wiele zadziwiająco cudownych rzeczy ze swego życia opowiedziała mi wierna Boża Wiera, ale nie wszystko można przekazywać, nawet w notatkach: wciąż żyją ludzie, których może dotknąć moje słowo... Z milczenia jeszcze nikt się nie kajał, i tym razem lepiej pomilczmy!...

Poszedłem odprowadzić Wierę z jej Sierżikiem przez nasz sad, w kierunku monasterskiego szpitala. Było to w dzień ich wyjazdu z Optinej. Patrząc na spotkanie idzie nam jeden z naszych najbardziej czcigodnych starców, ojciec A., który mieszka, w stanie spoczynku, w szpitalu. Podeszliśmy pod błogosławieństwo, również Sierżyk wyciągnął swoje rączki...

„Pobłogosław, – mówi, – batuszka!” A ten – sam, dotykając swoją starczą ręką ziemi, nisko pokłonił się w pas Sierżikowi... „Nie, – zaoponował starzec, – ty sam najpierw pobłogosław!”

I ku powszechnemu zdumieniu chłopczyk sam zaczął składać palce swojej ręki do błogosławieństwa Imieniem Chrystusa i takim kapłańskim błogosławieństwem pobłogosławił starca.

Cóż to będzie z tego chłopca...”

39. KONIEC

Nie miałam prawa osiedlić się w Moskwie i zamieszkałam w Możajsku, mieście oddalonym o 100 kilometrów. Miałam tam pokoik, robiłam kwiaty i jeździłam do Moskwy sprzedawać je na bazarze. Nie miałam innych źródeł utrzymania. Jeździłam do siostry, która uznawała cerkiew sergiańską i z tego powodu nie została aresztowana, i mieszkalam u niej czasami po dwa tygodnie, płacąc stróżowi za ukrywanie mojej obecności.

Bardzo szybko dowiedziałam się o istnieniu tajnych cerkwi iosiflańskich, a raczej nie tyle cerkwi, ile tajnych nabożeństw w pokojach, na których zbierało się czasami nawet po 20-25 osób. Nabożeństwo odbywało

się szeptem, modlący się byli poddawani surowej kontroli, ze względu na niebezpieczeństwo zdrady. Przychodziło się zazwyczaj o świcie, na umówiony znak. Najczęściej ostrożnie stukano się w rynną koło okna, przy którym ktoś stał i słuchał. Stary mnich-kapłan z wielkim poświęceniem jeździł wszędzie tam, dokąd go wzywali, Bóg dawał mu nawet umiejętność udzielenia Najświętszy Tajemnic chorym w szpitalach. Siedział koło nich, jako odwiedzający, spowiadał, a potem, jakby podając lekarstwo i picie, udzielał Najświętszych Tajemnic.

I tak płynęło życie. Moskwa była dla mnie całkowicie obca. Przyjechałam do niej jeszcze jako miesięczne dziecko. Urodziłam się w majątku babci nad Donem, ale do osiągnięcia wieku 25 lat moje życie przebiegało w Moskwie. Lubiłam ją, jak wszyscy Moskwyta, była taka miła, jedyna w swoim rodzaju, piękna w swojej starości: tysiące cerkwi, błyszczących złotymi kopułami, budynki o najprzeróżniejszej architekturze, pałace, pomniki, kaplice z cudownymi ikonami, na przykład Matki Bożej Iwerskiej, czy inne, monaster, Kreml i jego historyczne świątynie, pełne niezwykłych, świętych pamiątek. A co teraz? Na tym samym miejscu szkaradne, wielopiętrowe domy w stylu żydowskim, prostokątne pudełka, z masą wąskich okien; żadnych kapliczek, ani cerkwi, oprócz kilku, pozostawionych na kłamiwy pokaz. Kopuły kremlowskie nie błyszczą, jak słońeczka, ale stoją – mroczne, czarne. Niektórzy mówią, że ściągnięto złocenia, a niektórzy uważają, że na opustoszałych cerkwiach, w których panuje ohyda spustoszenia, kopuły same poczerniały. Nie ma już na Kremlu Monasteru Czudowskiego, ani żeńskiego Monasteru Wniebowstąpienia. W mieście zlikwidowano wszystkie monaster, zniszczono pomniki, nie ma Bramy Triumfalnej, nie ma Czerwonej, nie ma Baszty Sucharewej, tego, co stanowiło piękno Moskwy. Nad miastem wisi mgła, z powodu fabryk, na ulicach niemal sami Żydzi, ubrani w drogie futra, no i komuniści. Jeśli na ulicy pojawi się jakiś oberwany, inteligentny przechodzień z opuszczoną głową, można z dużą dozą pewności powiedzieć, że to człowiek z dawnych wyższych warstw szlacheckich, albo kupieckich, który z niewiadomych przyczyn ocalał. A najstraszniejsza ze wszystkiego jest muzyka międzynarodówki płynąca z Baszty Spaskiej przy Świętych Wrotach w Moskwie, zamiast przepięknej modlitwy „Koł’ sławien nasz Gospod’ w Sionie”. Nad pałacem na Kremlu, w którym mieszka Stalin, jak gdyby płonie ogromny ogień piekielny: w środku pałacu, na dachu, znajduje się niewidoczny z ulicy rezerwuuar; schowano w nim gigantyczne światło elektryczne, które z dołu oświetla prawdziwy las jaskrawych, jedwabnych, czerwonych flag na długich drzewkach. Gdy wiatr je rozwiewa, daje to pełną iluzję ognia.

W miejscu Świątyni Chrystusa Zbawiciela piętrzy się szkielet budowanego Pałacu Sowietów. W gazetach pisali, że na pytanie jakiegoś cudzoziemca: „Czy budujecie nową wieżę Babel?”, Stalin odpowiedział: „Tak, tylko z tą różnicą, że wieża w Starym Testamencie upadła, a jeśli chodzi o moją wieżę, to nie ma takiej siły, która mogłaby ją skruszyć”.

Wiem od inżynierów budowniczych, że największą zasługę w budowie tego pałacu, o ile oczywiście będzie on skończony⁵⁸, ma nie Stalin, a Ameryka. Gdy sowieccy inżynierowie kładli najgłębszy fundament, to dwukrotnie zmywała go woda podskórna z rzeki Moskwy. Wtedy zaproszono amerykańskich inżynierów, którzy położyli fundament na okrągłych poduszkach. Ja oczywiście nic z tego nie rozumiem, ale tak mówili inżynierowie. Budynek miał mieć taką wysokość, żeby figura Lenina stała wyżej, niż obłoki. W chwili mojego rozstania z Moskwą akurat trwała dyskusja o tym, że trzeba by było coś zmienić w architekturze, gdyż obawiano się, że statua nie wytrzyma burz magnetycznych. Koncepcja zrodzona przez szatańską pychę. Lenin, jak na wszystkich pomnikach, miał mieć wysunięty do przodu palec wskazujący. W tym palcu planowano stworzenie kilku pomieszczeń, a w drugiej ręce miał mieć latarnię, której światło miało być widoczne w promieniu 100 km. Wszystkie budynki dookoła, w dużej odległości, miały być zburzone. Dotyczyło to również bardzo starego, tak zwany „Kniażęgo Dworu”, późniejszego muzeum Aleksandra III: ten ogromny, marmurowy budynek z masywnymi, ale pięknymi kolumnami, miał być w całości odsunięty dalej, o wiele metrów.

Jeśli chodzi o zaopatrzenie ludności Moskwy i innych miast na całym obszarze Rosji w żywność i w pozostałe artykuły niezbędnej potrzeby, sprawa wyglądała następująco: komuniści mieli wszystkiego w obfitości. Rozkoszne wystawy (oczywiście nie takie, jak w błogosławionych czasach carskich) w tak zwanych „zamkniętych przydziałowych” sklepach, były tylko zgorzeniem dla tych, którzy nie mieli prawa do nich wchodzić. Drzwi obydwu rodzajów sklepów były obok siebie: z jednych wychodzą Żydzi, partyjni, zarówno wojskowi, jak i cywilni, wynoszą paczki najwyborniejszych przekąsek, owoców i w ogóle wszystkiego, co im było potrzebne, wychodzą w skórzanych kurtkach z sytymi, zadowolonymi z siebie twarzami. Przy drugich zaś drzwiach stoi nie kończąca się kolejka za porcją chleba, pełna wściekłych ludzi, którzy musieli w niej stać nie jedną godzinę. Gdy zaczęły chodzić słuchy o zbliżającej się wojnie z Niemcami, to zapobiegliwa władza sowieckich, począwszy

⁵⁸ Pałac Sowietów miał być zwieńczony 100-metrową statua Lenina. W całości miał mieć 415 metrów wysokości – czyli być najwyższym budynkiem na świecie w tamtych czasach.

od 1939 roku, zaczęła coś tam wyrzucać również dla ludzi, a w 1940 i 1941 roku można było w każdym sklepie kupić słodczyce w cenie od 3 rubli 50 kopiejek do 60 rubli, kto ile chciał, po pół kilo, a nawet po kilogramie. Nawet te, które były po 3 ruble 50 kopiejek były niezłe, bardzo słodkie. Można było kupić po 100 gram masła, jeśli powstało się w kolejce w kilku sklepach. Przy czym w kolejkach dochodziło nie tylko do bójek, ale nawet do zabójstw, gdy ktoś chciał przejść do przodu. Niejednokrotnie zabijano kamieniem, albo butelką, uderzając po skroni. Żydzi nigdy nie stali w kolejce, wszystko mieli w domu, sprzedawali u siebie, nie otwarcie. Strach było chodzić po ulicach. Takie złodziejstwo, takie rozboje, o których nie słyszano, jak myślę, w żadnym kraju. Podetną brzytwą torebkę albo kieszeń i wyciągną wszystko tak zręcznie, że nawet nie poczujesz. Jeśli zaś ktoś zobaczy, że kogoś okradają, nie może nic powiedzieć. Jeśli takiego człowieka w ciągu dnia lub dwóch dni nie zabiją wspólnicy szajki złodziejskich, to w najlepszym razie okaleczą. Znam taki fakt, gdy pewna nieostrożna dziewczyna krzyknęła: „Obywatelu, wyciągają wam wszystko z kieszeni”. Nie przeszła nawet kilku kroków, jak chłopaczek w wieku lat 16-tu odciął jej brzytwą nos i uciekł. Dawniej było tak, że jeśli ktoś czegoś się bał i zobaczył carskiego żołnierza, to poczuł oparcie i obronę, ale przy sowietach, jeśli ktoś był sam na ulicy i widział czerwonoarmistę, to wierzący szybko zaczynał się modlić, a niewierzący ze strachu zaczynał się miotać, szukając ukrycia. Niech zaprzecza temu, kto chce, ale taka właśnie była najprawdziwsza prawda.

W ten sposób mieszkalam sobie cicho w Możajsku, prawie z nikim się nie spotykając, i jeździłam do Moskwy. W 1940 roku byłam na Paschę na tajnym nabożeństwie. Po liturgii, wróciwszy do siostry, znajduję wezwanie: „ Obecność w możajskim wydziale finansowym w niedzielę, w porze przedpołudniowej, celem złożenia sprawozdania z produkcji kwiatów i regulowania podatków – obowiązkowa”. Musiałam pierwszym pociągiem wracać do Możajka. Przyszłam, pokazuję wezwanie. „Możecie iść, dzisiaj wasza sprawa nie będzie rozpatrywana”. Chcieli po prostu zepsuć mi Święto. Powróciłam tego samego dnia do Moskwy i wpadłam w wielki smutek, przypomniałam sobie mój przytulny pokój gościnny w Jarosławiu i muzykę Musorgskiego „Noc na Łysej Górze”. Często grałam ten przepiękny utwór na cztery ręce z mężem, albo najstarszym synem. Kto zna ten utwór, ten na pewno pamięta, że opowiada on o tym, jak pod Kijowem buszowała o północy siła nieczysta. Dźwięki były tak bardzo sugestywne, że przed oczami, w akompaniamencie świstu i demonicznego wycia stawały latające wiedźmy, czarne rogi zderzały się ze sobą, wierciły się, płały ogony... Lecz oto w momencie największego triumfu siły nieczystej nad Kijowem (gdy pojawia się jutrzienka w postaci różowego paska na wschodzie) rozlega się dźwięk dzwonu cerkiewnego zapowiadającego jutrznię. Wiedźmy zaczynają się miotać, idą z wizgiem w rozsypkę i nieczyste, straszne dźwięki ucichają. W Boskiej ciszy rodzącego się poranka miarowo, uderzenie za uderzeniem, rozlegają się dźwięki dzwonów już nie w jednej, a w wielu cerkwiach i świętych monasterach. Musorgski w zadziwiająco celny sposób przekazał cały obraz zwycięstwa modlitwy nad piekłem. Flet pasterza, beczenie owiec, śpiew ptaków, budzących się na spotkanie słońca, wszystko to było w dźwiękach cudownie rzeczywiste. W mojej głowie zrodziło się porównanie: czyż muzyczny geniusz Musorgskiego nie wygłosił tu prorocstwa? Może rozlegnie się jeszcze nad Moskwą, przy wschodzącej jutrzence pokajania mocne uderzenie Iwana Wielkiego (mówią, że z powodu wielkości i ciężaru tego dzwonu nie można go było zdjąć). Przerazona jego władczymi dźwiękami, które zmuszają do drżenia ziemię, cała nieczysta moc antychrystowa rozproszy się i schowa się w otchłani piekła ze strachu przed Groźną Wszechmocą Bożą, która przez dźwięk tego dzwonu powie: „Dość!” Na Spaskich Wrotach zegar zagra „Kol’ sławien”, a zamiast piekielnego ognia nad pałacem będzie powiewała trójkolorowa flaga rosyjska. Na chwilę dałam się ponieść fantazjom. Ale straszna rzeczywistość władzy GPU otrzeźwiła świadomość. Nikt nie zna dnia, ani godziny, jeszcze nie nadszedł czas! Trzeba cierpliwości.

W ten sposób minęły ponad trzy lata. Prześladowania wierzących nie tylko nie łagodniały, ale przeciwnie, z powodu słuchów o zbliżającej się wojnie, nabierały coraz okrutniejszego charakteru. Na wszystkich spotkaniach mówiono tylko o nowych prześladowaniach. Synowi pewnej kobiety z Możajka, wsadzonemu do więzienia, który był całkowicie niewinny i nie popełnił żadnego przestępstwa, w przeciągu kilku miesięcy wrywali powoli włosy, chcąc go zmusić do przyznania się. Włosy miał bardzo gęste, kręcone: gdy wrócił do domu, był całkowicie łysy. Wypuścili go, gdyż znaleźli przestępcę. Na przesłuchaniach w GPU zaczęli stosować straszne, nieludzkie sposoby. Jeśli ktoś był całkowicie niewinny i nie mógł się przyznać do czegoś, czego nie uczynił, przyprowadzali maleńkie, albo nawet i duże dzieci i na oczach matki lub ojca zaczynali je męczyć. Co to był za dramat, nie ma nawet co mówić, jest to oczywiste. Po czymś takim rodzice brali na siebie wszelkie możliwe winy.

Znaczna większość ludzi żywiła ukrytą nienawiść do Stalina i do komunistów, ale strach, strach, którego nie da się opisać żadnymi słowami, doprowadzał do małoduszności również i tych ludzi, którzy zdawali się być silni duchem. Wielu z nich w trakcie przesłuchań wyrzekło się nawet wiary w Boga. Niejednokrotnie

słyszałam, jak owi nieszczęśnicy usprawiedliwiali się w taki sposób, że gdy się wyrzekali, to tylko w słowach i na piśmie, a w duszy pozostają wierzący. Ale Zbawiciel powiedział: „Kto zaprze się Mnie przed ludźmi, tego i Ja zaprę się przed Ojcem Moim”. Człowiek, który doświadczył i widział przerażające koszmary w Rosji sowieckiej, nie jest w stanie potępić takich ludzi. Nie każdy ma w sobie siłę, by przyjąć męczeństwo i wtedy oczywiście człowiek kaja się i pokłada nadzieję na wybaczenie w Bożym Miłosierdziu; lecz żeby wybawić się od prześladowań uczęszcza na fałszywe nabożeństwa w cerkwiach, w których duchowieństwo samo nie wierzy w istniejącą tam łaskę Bożą. Gdyby bowiem wierzyło, nie dopuściłoby najstraszniejszego bluźnierstwa w Sakramencie Najświętszych Tajemnic Ciała i Krwi Chrystusa: kapłanów zobowiązano do tego, by zawsze mieli dwie łyżce – jedną dla zdrowych, drugą zaś dla chorych, celem uniknięcia zarazy.

W tamtych dniach nie przydarzyło mi się nic takiego, o czym warto by było pisać, oprócz wolnych wyborów. Już miesiąc naprzód na wszystkich domach, ulicach, sklepach, słupach, kioskach itd. rozklejano plakaty, na których wielkimi literami było napisane: „Głosujcie na Stalina”. Ból po utracie dzieci był tak ogromny (choć śmierć nie była tak straszna, gdy były one przy mnie), że postanowiłam nie iść. Gospodarze mojego pokoiku błagali, żebym poszła, gdyż zostaliby zaaresztowani za to, że wynajmowali pokój kontrrewolucjonistce, na którą nie złożyli donosu. Nie mogłam zasnąć przez całą noc poprzedzającą wybory, z powodu wewnętrznego rozdarcia. Znałam opinię ludzi wysokiego ducha, że w tej sytuacji, przy takim gwałcie i przymusie ze strony władzy, nie ma innego wyjścia, jak tylko się podporządkować. I ludzie ci podporządkowywali się temu, jak zresztą i wielu innym rzeczom. Żadne niewolnictwo na świecie nie może równać się z niewolnictwem bolszewickim. Noc była bardzo mroźna i buszowała gęsta zamieć. Było jeszcze całkiem ciemno, gdy rozległo się natarczywe pukanie w moje okienko i słowa: „Otwierać!” Byłam jeszcze w łóżku i otworzyła gospodyni. Bez zbędnych słów weszło do mnie dwóch komsomolców i komsomołka. Rozkazali mi ubrać się w ich obecności, wyprowadzili na ulicę, na której stały sanie. Posadzili mnie i przywieźli do budynku wyborczego. Za ogromnym stołem, przystrojonym wawrzynem oraz stojącymi na środku popiersiami Lenina i Stalina siedziało kilku komunistów z alfabetycznymi listami, stało też kilka urn. Zaznaczyli mnie na liście, dali kopertę z włożoną kartką i powiedzieli: „Zaklejcie i rzućcie do wskazanej urny”. Koperty dali w odpowiedniej kolejności. Jeśli ktoś był zainteresowany treścią kartki, mógł wejść do kabiny, w której za cienką firanką widniała sylwetka ukrytego agenta. To najprawdziwsza prawda!

Ludzie, którzy nie przyszli, albo napisali inne nazwisko, byli aresztowani: czasami na miejscu, a czasami po upływie krótkiego czasu.

Na koniec moich wspomnień mogę jeszcze podać pewne ciekawe dane o osobowości Stalina i innych oburzających faktach.

Własność nieruchoma, przepiękne budynki we wszystkich miastach Rosji, była właścicielom konfiskowana i przekazywana na własność komunistom jako nagroda za ich zasługi wobec władzy! Przytoczę tu jeden fakt, który będzie wystarczający. W Moskwie, na Wozdwiżence był dom bardzo bogatych kupców Morozowów. Był to cudowny pałac. W nagrodę za zasługi otrzymał go Gorki. Na bramie ściągnięto szльд Morozowa i powieszono Gorkiego. Wszystkie gazety, poczynawszy od „Prawdy” informowały o tym prezencie Stalina.

Drugi przystanek za Moskwą, gdy jechać koleją na Smoleńsk, to stacja Kuncewo. W odległości kilku wiorst od niej, z kaprysu sług antychrystowych, wznoszono ogromnie kosztowne pałace – letnie rezydencje rozrywkowe Stalina, Woroszyłowa, Budionnego itd. Do pałaców tych prowadziła szosa, na którą nikt nie miał prawa wchodzić. Na całej jej długości (25 wiorst) stała policja GPU. Organizowano tam orgie i bale, na których „trudziły się” kobiety sowieckie. W tych czasach powszechnego głodowania obsypywane były brylantami i innymi drogocennymi kamieniami, upijały się szampanem, drogimi winami, jadły najbardziej wyszukane przekąski, kolacje i owoce.

Gdy około godziny 6-7 Stalin wyjeżdżał z Kremla, to na całej trasie jego przejazdu zatrzymywano ruch. Masy policjantów zmuszały wszystkich do skręcania w inne ulice, a Stalin pędził z szybkością błyskawicy po pustym Arbacie i dalej. Z przodu jechał samochód, w którym na wszelki wypadek, w obawie przed zamachem, jechał ktoś ucharakteryzowany na Stalina, zaś w drugim samochodzie – on sam, albo w rudej peruce, albo w białą brodą i z wąsami.

Wszyscy o tym wiedzieli, ale bali się o tym mówić nawet szeptem. I jego dosięgnie sąd, tak, jak króla Antiocha z biblijnej księgi Machabeuszy. Dla nas, którzy przyjechaliśmy na Zachód w ostatnich latach, jest zaskoczeniem, że prawie nikt nie zna tutaj prawdy o śmierci Lenina i o losie jego mumii. Uległ rozkładowi już za życia. Było to coś strasznego, oczywista kara Boża. Gdy mimo to, z ogromnym trudem, zabalsamowali go i położyli w mauzoleum na Placu Czerwonym, to zapadł się razem z trumną i znikł. Mauzoleum zostało zbudowane nad kanalizacją kremlowską i Lenin zapadł się właśnie do niej, do odchodów. Odnaleźli go o wiele sążni

dalej. Teraz leży tam figura woskowa, dlatego wszyscy ci, którzy chcą być w mauzoleum, zarówno zwolennicy, jak i ciekawscy, muszą szybko przechodzić koło niego i nie mają prawa się zatrzymywać. Wszyscy inżynierowie, którzy budowali mauzoleum, zostali oddani pod sąd (tajny), oskarżeni o umyślne przestępstwo i rozstrzelani. Jest to fakt historyczny.

Pod koniec 1940 i na początku 1941 zaczęły chodzić uproczywe słuchy o wojnie z Niemcami. Od dnia przekroczenia granicy przez wojska niemieckie wjazd do Moskwy został zabroniony wszystkim, poza partyjnymi i funkcjonariuszami GPU. Usiłowałam prosić o pozwolenie na wyjazd do siostry, ale nie dostałam. Zostałam więc w Możajsku. Nie jest moim celem opisywanie wydarzeń wojennych, powiem tylko prawdę o tym, że gdy zbliżał się front, na rozkaz Stalina, uciekający w szalonej panice komsomolcy podpalali miasta butelkami z naftą. Nie było widać jeszcze żadnych Niemców, a płomień już buszował ze wszystkich stron. Dwa dni przed wkroczeniem Niemców do Borodina został spalony, albo raczej – całkowicie oszpecony (gdyż nie został całkowicie zrujnowany) historyczny Sobór w Możajsku. Gdy Niemcy zajęli Borodino, nakazano uciekać na tyły. Stałam, rozmyślając, na ganku domu. W mieście dokonywano masowych aresztów i wszystkich, których podejrzewali o sympatię wobec Niemców, natychmiast, po odprowadzeniu w kierunku przedmieść, rozstrzeliwali. Armia Czerwona wycofywała się w panice. Pewien nieznan mi człowiek, przebiegając koło mnie, zatrzymał się na chwilę i szybko powiedział: „Obywatelko Urusowa, jeśli macie taką możliwość, to natychmiast się ukryjcie. Jesteście na liście skazanych i zaraz was aresztują”. Stojąca ze mną sąsiadka powiedziała: „Wie pani, kto to jest? To z GPU, znam go osobiście”.

Wzięłam węzełek i szybko, przez sady i ogrody, uciekłam na wieś, leżącą na skraju miasta, gdzie przygarnęła mnie rodzina znajomego chłopca. Dobę spędziliśmy w wykopanej, przykrytej deskami i trawą jamie. Bój trwał krótko. Po upływie 24 godzin, nad ranem, Niemcy zajęli Możajsk.

Ciężki kamień świadomości, że oto Rosja dostaje się pod panowanie obcego państwa, tego rana jednak spadł mi z serca. Z piersi wszystkich, którzy miłowali swoją najdroższą ojczyznę, Rosję, wyrwało się westchnienie ulgi i wyzwolenia z piekielnego życia.

Nikt wtedy nie wierzył w zwycięstwo Stalina. Niemcy pod Moskwą. W ciągu trzech dni ją zajmą i uwolnią zamęczonych, tych, którzy jeszcze żyją, z obozów Północy i Syberii, ze strasznego więzienia na Łubiance. Ludzie spotykali Niemców rzucając się na kolana, podnosząc ręce do nieba, dziękując Bogu. Wszyscy płakali i gratulowali sobie nawzajem. Był to nieopisany poryw radości.

Wycofując się, Niemcy wywozili uciekinierów. I ja byłam wśród nich, zostawiając wszystko to, co miałam cennego na ziemi. Po przyjeździe do Niemiec zaczęłam się starać o pozwolenie na wyjazd do Francji, do jedynego syna, który mi został, najstarszego Sergiusza, ale nie otrzymałam takiego pozwolenia. Wyjechałam na Morawy, a stamtąd do Pragi. Przed nadejściem bolszewików wyjechałam do Kempten⁵⁹, mając nadzieję w niedługim czasie dostać się do Amerykanów, co też się stało po kilku zaledwie dniach.

W czasie mojego pobytu w Pradze dowiedziałam się o jeszcze jednym sposobie zadawania mąk, o którym nie słyszałam w ZSRS. Była tam kobieta, już niemłoda, Sybiraczka, córka bogatych przemysłowców rybnych. Udało się jej uciec z obozu na Syberii, ukrywała się po lasach, a nocą przedzierała się na południe.

Pod Stalingradem dostała się w ręce Niemców i przyjechała z nimi do Europy. Miała na plecach, między łopatkami, na grzbiecie, głęboką szramę, wypaloną pięcioramienną gwiazdę, wielkości trzech werszków. Na głowie zaś miała bezkształtną, głęboką szramę i z jej powodu czasami traciła mowę. W obozie, w którym była, wszystkich pieczętowali rozpaloną do białości żelazną formą. Tę Elżbietę bardzo dobrze znali wszyscy parafianie Cerkwi św. Mikołaja, bywała też u biskupa Sergiusza, który ją zna i i wie o jej szramach.

Jest rok 1947. Jesienią minie 10 lat od mojego rozstania z dwoma młodszymi synami. Dwie młodsze córki, o ile są żywe, znajdują się gdzieś w Rosji. Ich mężowie są na zesłaniu. Mój najstarszy syn umiera w paryskim szpitalu. Oto krótka historia mego życia w latach od 1917 do 1947.

Celem moich wspomnień nie było pragnienie podzielenia się moimi nieszczęściami, które zesłał mi Bóg jako próbę. Jak już pisałam, doświadczyłam również wielu radości związanych z wzajemną miłością między mną a dziećmi, a także wielu cudownych Łask Bożych. Opisując kolejno moje przeżycia w ciągu ostatnich 30 lat chciałam obnażyć prawdę o bolszewikach przed tymi, którzy jej nie znają, albo są zaślepieni propagandową nieprawdą.

Grudzień 1946 roku. Dowiedziałam się o tym, że przy wycofywaniu się Niemców spod Stalingradu jechał za nimi pociąg wiozący kilka tysięcy uciekinierów, przez nich konwojowany. Na moście przez rzekę w Wor-

59 Patrz książka B.M.Kuzniecowa, W ugodu Stalinu, 1968. Opisana jest w niej tzw. tragedia kempteńska – wydanie Sowietom przez amerykańską administrację wojskową Rosjan, zebranych w obozie w Kempten, którzy nie chcieli wracać do Związku Sowieckiego.

neżu pociąg został zbombardowany przez bolszewicki nalot i runął do wody. Zginęli wszyscy, co do jednego i, jak mi powiedziano, miała być tam moja córka z moim 12-letnim wnukiem.

1947 rok. W sierpniu zmarł w Paryżu mój najstarszy syn Sergiusz. Na wszystkie moje prośby o pozwolenie na wjazd celem zobaczenia go po 29-letniej rozłące i pożegnania się z nim – francuski konsulat odpowiedział odmownie.

Natalia Władimirowna Urusowa. Sea Cliff, N.Y.

Dom Starców św. Serafina, 1953 rok.

DODATKI

Na wodach oceanu

Kończąc wspomnienia N. W. Urusowej, otrzymane przez nas za pośrednictwem jej przyjaciółki, Heleny J. Koncewicz, należy dodać jeszcze to, co wynikało przy okazji ujawnienia tych wspomnień. Okazało się, że w Rosji wciąż żyją jej wnuki i prawnuki, które na naszą prośbę dodały ważne informacje uzupełniające niniejsze wspomnienia.

Po przybyciu do Wolnego Świata, Natalia Władimirowna mogła zobaczyć się w Paryżu ze swoimi wnukami. Już w latach 1950-tych, pragnąc poświęcić pozostałe dni swojego życia stanowi mniszemu, przybyła do Ameryki, ale nie znalazła odpowiedniego miejsca. Początkowo miała zamiar zostać w monasterze Nowo-Diwiejewo, ale jego budowniczy, protojerej Adrian, uczeń starców optyńskich, nie zadowalał jej z tego powodu, że przebywając w Rosji nie był w kontakcie z Cerkwią Katakumbową (w Kijowie nie było jej przedstawicieli). W Kalifornii jeszcze bardziej zbliżyła się z bliską jej duchowo żoną profesora I. M. Koncewicza, Heleną Juriewną, siostrzenicą wielkiego rosyjskiego pisarza S. A. Nilusa. Były one całkowicie zgodne we wszystkim.

W Kalifornii starała się znaleźć miejsce w monasterze Matki Bożej Włodzimierskiej, ale niedelikatność panujących tam stosunków, którą zauważyła, nie odpowiadała wymaganiom jej szlachetnego charakteru. Porzuciła Kalifornię i ostatnie lata swojego życia spędziła w domu starców przy cerkwi św. Serafina Sarowskiego na przedmieściach Nowego Jorku, miejscowości Sea Cliff, znajdującej się na wyspie omywanej ze wszystkich stron Oceanem Atlantyckim. Często chodziła nad morze, czerpała natchnienie z oceanu, pisała wiersze i drukowała je pod pseudonimem „Turienin”. Drukował je archimandryta Konstantyn (Zajcew), redaktor czasopisma „Prawosławna Ruś”, z którego poglądami na temat cerkwi zgadzała się całkowicie. Za duchownika wybrała sobie Arcybiskupa Awerkija⁶⁰, i jemu powierzyła swoje wspomnienia, żeby sprawował pieczę nad tym, by w czasie wydawania nic nie zostało zmienione.

Ostatnie lata swojego życia przeżyła w izolacji, odeszła w przeszłość Świętej Rusi, ale nie znajdowała się w duchowym zniechęceniu, lecz trzeźwo patrzyła na wydarzenia i modliła się tak, jak mniszka. Wydawcy tych wspomnień, niestety, nie zastali jej wśród żywych; dowiedzieli się o niej ze słów H.J. Koncewicz, która uważała ją wręcz za świętą.

Sługa Boża Natalia odeszła do innego świata jako osoba ponad wszelką wątpliwość sprawiedliwa, niosąca cierpienie za Świętą Ruś. Przez jej modlitwy Bóg niech pomoże jej wnukom i wszystkim duchowym spadkobiercom tej Rosji, której była trzeźwym świadkiem.

Daj odpoczynek ze świętymi

W 90-tym roku życia cicho odeszła do wieczności czcigodna staryca, księżna Natalia Władimirowna Urusowa, która zakończyła swoje dni na jednym z przedmieść Nowego Jorku, Sea Cliff, w październiku 1963 roku. Była tam otoczona troską związanych z nią ludzi rosyjskich i była pod pełną miłości duchową opieką o. prot.

60 Arcybiskup Awerkusz (Tauszew) – 1906-1976 – hierarcha Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Za Granicą. Urodzony w Kazaniu, od 1920 roku wraz z rodzicami na emigracji w Warnie (w Bułgarii). Od 1931 przebywał na Zakarpaciu, gdzie służył w parafiach zakarpackich, który wrócił z unii do Prawosławia. Był proboszczem m.in. w Użhorodzie, w Mukaczewie, obsługiwał także parafie znajdujące się na terenie Węgier. Od 1940 w Jugosławii, od 1944 w Austrii, następnie w Monachium. W 1951 roku wyjechał do USA, gdzie w 1952 roku został rektorem seminarium w Jordanville w 1953 – Biskupem Syrakuzkim i – od 1960 – przełożonym Monasteru w Jordanville. Funkcje te sprawował do śmierci. Zmarł w opinii świętości w 1976 roku.

Mitrofana Znoski. Straciwszy bliskich, całe swoje życie za granicą spędzała w samotności, a pocieszenie znajdowała w Cerkwi, do której należała całą duszą. W Rosji przeżyła bardzo wiele: z wysokiej pozycji społecznej wydarzenia sprowadziły ją do... podziemia – Cerkwi Katakumbowej. Ujawnił się w niej wysoki duch, który nie pozostawiał jej do ostatnich dni. Wyrażał się on w dźwiękach jej pieśni, które przechowywała w swoim sercu i w których odzwierciedliło się całe jej życie. W ciągu kilku ostatnich lat raz po raz pojawiały się one w kolumnach naszych periodycznych wydawnictw, chociaż nie pod jej nazwiskiem – a pod pseudonimem N. Turienin.

Po odświeżeniu wielu panichid, pogrzeb zmarłej odprawił w Sea Cliff jej ojciec duchowy, w obecności wielkiej liczby wiernych. Również on przewiózł ją do monasteru, w którym miała spocząć, zgodnie z od dawna wyrażanym i nieustannie powtarzaniem życzeniem. Z jego uczestnictwem Władysław Awerkij odświeżył w świątyni litię, po czym zmarła została oddana ziemi, odprowadzana śpiewem braci na czele z Władysławą, a także tych szczególnie bliskich jej ludzi, którzy przybyli tam wraz z jej trumną.

Niechaj Bóg da jej duszy odpoczynek w mieszkaniach sprawiedliwych, duszy, która tyle doświadczyła i tyle umiała przekazać nam ze swojego doświadczenia duchowego i modlitewnego.

Droga cierpienia i miłości

Wspomnienia Natalii Władimirowny Urusowej okazały się dla nas, jej rodzonych wnuków, nieoczekiwanym darem posłanym z niebios. Tak, jak byśmy usłyszeli jej żywy głos, który w mistyczny sposób dotarł do nas z dalekiej przeszłości. Poznaliśmy szczegóły życia babci, dziadka, naszych rodziców, wcześniej zupełnie nam nieznanne. Można sobie wyobrazić, jak wielkie wrażenie to na nas wywarło.

Rzecz jasna, starsze siostry, w szczególności zmarła już teraz Nineszka dobrze pamiętały babcię z dzieciństwa. Ja, urodzona w 1933 roku, w świadomym wieku spotkałam ją tylko raz. Było to na krótko przed wojną. Zapewne przyjechała wtedy nielegalnie z Możajska, aby spotkać się z bliskimi. Pamiętam nasz niewielki pokój w mieszkaniu komunalnym, mieszczącym 17 rodzin, w którym mieszkaliśmy wtedy z mamą i siostrą Lidą; byłam chora, leżałam w łóżku za parawanem, a na skraju łóżka siedziała babcia, ubrana całkowicie na ciemno i śpiewnie opowiadała mi bajki, w których były miłe dzieci i dobre aniołki... Więcej jej nigdy nie widziałam. Wkrótce zaczęła się wojna. Po jakimś czasie Nineszka otrzymała list od babcinej sąsiadki z Możajska, w którym powiadała, że N.W. Urusowa zginęła w trakcie bombardowania. Przez równo 50 lat uważaliśmy, że tak właśnie było.

Rodowód Natalii Władimirownej jest następujący. Pochodzi ona ze starodawnego rodu Istominów, którzy zawsze w wierze i sprawiedliwości służyli Monarsze i Ojczyźnie. Dziad Natalii Władimirownej – Konstanty Iwanowicz⁶¹ – był marynarzem i dosłużył do stopnia admirała; na morzu służyli także czterej jego bracia, wśród których znajduje się bohater obrony Sewastopola, kontradmirał Włodzimierz Iwanowicz Istomin⁶².

Ojciec Natalii Władimirownej – Włodzimierz Konstantinowicz zakończył z wyróżnieniem Korpus Kadetów. Następnie służył w lejbgwardii Pułku Preobrażeńskiego. Po odejściu z wojska był urzędnikiem do specjalnych poruczeń, potem zaś zarządzał kancelarią generał-gubernatora moskiewskiego, wielkiego księcia Sergiusza Aleksandrowicza oraz jego dworem. Po zabójstwie wielkiego księcia, aż do samej śmierci (w 1914 roku), pozostawał przy osobie wdowy po nim, wielkiej księżnej Elżbiety Fiodorownej.

Jego żona, Natalia Aleksandrowna, z domu Remi, wedle świadectwa siostrzenicy Natalii Władimirownej, Ksenii Pietrowny Trubeckiej, była prawnuczką grafa Mateusza Płatowa (również babcia wspomina o tym w swoich wspomnieniach).

Małżeństwo Włodzimierza Konstantinowicza i Natalii Aleksandrowny doczekało się ośmiorga dzieci. Oto krótkie wiadomości o każdym z nich. Dymitr – rzeczywisty radca stanu, urzędnik do specjalnych poruczeń przy generał-gubernatorze moskiewskim. Z woli Panującego został oddelegowany do pracy w Imperatorskim

61 Konstanty Iwanowicz Istomin (1807-1876). Admirał rosyjski. Uczestnik wielu kampanii morskich, w tym bitwy pod Navarino w 1827 roku. Od 1846 roku adiutant cara Mikołaja I. Od 1853 naczelnik sztabu portu kronsztadzkiego. W latach 1858-1859 głowa eskadry śródziemnomorskiej. 1860-1862 wojskowy gubernator Archangielska. 1875-1876 przewodniczący Głównego Wojskowego Sądu Morskiego.

62 Włodzimierz Iwanowicz Istomin (1811-1855). Admirał rosyjski, bohater obrony Sewastopola. Brał udział w bitwie pod Navarino, pływał na Morzu Bałtyckim, Śródziemnym i Czarnym, był jednym z najlepiej wykształconych i doświadczonych marynarzy floty rosyjskiej. W 1838 ostatecznie przeniesiony do Floty Czarnomorskiej. W 1853 roku wykazał się bohaterstwem w bitwie pod Synopem. W czasie obrony Sewastopola wyznaczony na dowodzącego umocnieniami północnymi, następnie na szefa sztabu, zginął od kuli artyleryjskiej.

Prawosławnym Stowarzyszeniu Palestyńskim. W 1917 roku, w trakcie podróży na południe, na tyfus zmarła jego żona oraz dwoje najstarszych dzieci. Z bólu po utracie najbliższych zachorował i wkrótce zmarł również sam Dymitr Władimirowicz. Dwójka jego młodszych dzieci – Piotr i Natalia (po mężu – Turkiestanowa, jej mąż był krewnym Metropolity Tryfona) większą część swoje życie spędzili w łagrach i na zesłaniach. Leonid – radca kolegialny, prokurator okręgu Czernigowskiego. Po 1924 roku niejednokrotnie aresztowany i zsyłany, zginął w łagrach wraz z żoną Barbarą Aleksandrowną Buturliną. Piotr – radca stanu, dyrektor kancelarii namiestnika Kaukazu. W 1915 roku zajmował stanowisko zastępcy oberprokuratora Świętego Synodu (był nim wtedy A.D. Samarin). Życie zakończył w łagrach, podobnie, jak i jego syn, Sergiusz. Włodzimierz – służył w armii. Zginął w czasie I wojny światowej w Galicji. Tatiana (zmarła w połowie lat 30-tych) i Nina (zmarła w 1947 roku) były damami dworu. Barbara – zginęła w 1937 albo w 1938 roku, w łagrze lub na zesłaniu.

Rodzice Natalii Władimirownej przez większość czasu mieszkali w Moskwie. Tutaj właśnie urodziła się babcia w 1874 roku. W 1896 roku wyszła za mąż za Piotra Dmitrijewicza Urusowa, w tamtym czasie służącego w Moskwie jako prawnik. Ślub brali w Cerkwi Aleksandro-Siergiejewskiej przy domu generał-gubernatora moskiewskiego, wielkiego księcia Sergiusza Aleksandrowicza, który potem został ojcem chrzestnym pierwszego syna Urusowych, Sergiusza. W Moskwie urodziła się również dwójka kolejnych dzieci – Mikołaj i Irena. Następnie rodzina przeprowadziła się do rodzinnego miasta Piotra Dmitrijewicza – do Jarosławia, gdzie objął stanowisko dyrektora gubernialnego szlacheckiego banku ziemskiego. Piotr Dmitrijewicz był także właścicielem folwarku we wsi Titowo powiatu rostowskiego i miał dom podmiejski w guberni samarskiej. Spośród następnych dzieci dwoje urodziło się w Samarze (Tatiana i Piotr), Natalia – w Jarosławiu, zaś Andrzej – we wsi Titowo.

Nie mamy innych danych na temat życia rodziny babci przed 1917 rokiem. Natomiast jej losy po roku 1917 znamy z zapisek samej Natalii Władimirownej.

Całe życie babci było rzeczywiście jednym pasmem nieszczęść. Spośród jej siedmiorga dzieci sześcioro odeszło przedwcześnie (a wraz z nimi synowa i zięć). Podobny los spotkał jej siostrę, braci, ich żony i dzieci. Również bliska rodzina męża podzieliła ich smutny koniec.

Jeszcze w 1919 roku zginął młodszy brat Piotra Dmitrijewicza Aleksander: został wzięty przez władze jako zakładnik, następnie zwolniony, ale przy tym odmówił usunięcia słowa „książę” ze swojego podpisu, więc znowu został aresztowany i już nie wrócił. Później na zesłaniach przepadli bez śladu: Dymitr Dmitrijewicz (1935 rok) i syn Sergiusza Dmitrijewicza – Mitia (1942 rok). Natomiast rodzina Jerzego Dmitrijewicza była niemal w całości represjonowana w 1937 roku: on sam, jego żona Eudoksja Jewgieniewna, córka Helena i jej mąż Sergiusz Rajewski, córka Eda i jej mąż Michał Unkowski. Przeżyło dwoje: Eda Juriewna i Sergiusz Pietrowicz, jednakże przeszli przez wszystkie okropności „od A do Z”. Kielich ten nie ominąłby również dziadka Piotra Dmitrijewicza i jego starszego brata Sergiusza Dmitrijewicza, ale zdążyli oni umrzeć własną śmiercią...

W ten sposób na początku II wojny światowej Natalia Władimirowna, niegdyś obdarzona wielką rodziną, została praktycznie całkowicie samotna i bezdomna. (Jako matka dwóch represjonowanych nie miała prawa mieszkać w rodzinnej Moskwie).

Trzeba tu dodać, że my z siostrą Lidą, gdy zostałyśmy w 1942 roku same, bez rodziców (o czym niżej), straciłyśmy niemal zupełnie kontakt z tymi krewnymi mamy, którzy jeszcze w tamtym czasie żyli. Odwiedziliśmy jeszcze Ninę Władimirowną w Zaułku Borysoglebskim; ale wkrótce ona również zmarła.

Później los darował nam spotkanie i serdeczną przyjaźń z Natalią Dmitrijewną Turkiestanową (siostrzenicą babci), która po wojnie wróciła do Moskwy z zesłania. Była prawdziwie wspaniałym człowiekiem. Gdy spotykamy kogoś, kto młodość spędził na Kołymie, zawsze się okazuje, że znał naszą ciocię Nataszę; opowieści o niej są zawsze pełne szacunku, a nawet zachwytu. W ciężkich warunkach zawsze zachowywała entuzjazm życiowy, wysoki intelekt, umiejętność wpływania na otoczenie właśnie w tym duchu. Byłyśmy bardzo blisko z jej synem, Aleksandrem Pietrowiczem; zaś jego córka, Olga Turkiestanowa aż do dzisiaj zbiera wokół siebie szeroki krąg znajomych Natalii Dmitrijewnej.

Spróbuję powiedzieć jeszcze chociaż kilka słów o innych krewnych. Wspomnienia o każdym z nich są jasne i ciepłe. Prawdziwie zdrowy, porządny korzeń rodziny wypuścił dobre odrośle. A może idealizuję swoich krewnych? Ale tyle zła wypadło na ich dolę, że mają prawo, aby nie pozostawić ich bez kilku ciepłych słów.

Człowiekiem o surowej moralności była nasza ciotunia Ksenia Pietrowna Trubecka (córka Piotra Władimirowicza Istomina). Z zawodu biolog, obroniła prace doktorską, a przeszedłszy na emeryturę, poświęciła się służeniu Cerkwi.

Niestety, niedawno odszedł z życia wnuk Dymitra Władimirowicza Istomina, Aleksander Pietrowicz – wspaniały człowiek, z niełatwym losem, poświęcony pracy i rodzinie.

Jego młodszy brat Mikołaj Pietrowicz zrobił błyskotliwą karierę medyczną, podobnie, jak i jego syn – Dymitr. O wiele już później, w ciągu ostatnich dwudziestu lat, gdy wielu krewnych, rozrzuconych przez życie, zaczęło się odnajdywać, spotkaliśmy się z innymi naszymi kuzynami – Olegiem i Wsiewołodem Filimonowami, wnukami babcinego brata – Leonida Władimirowicza. Ich mama, Olga Leonidowna przez długi czas mieszkała w Estonii, teraz zaś w Pieczorach pod Pskowem, ma teraz 88 lat. Jej siostra natomiast, Irena Leonidowna, mieszkająca w Samarze – ma 90 lat.

Z rodziną dziadka Urusowa, można powiedzieć, że przez długi czas nie mieliśmy żadnego kontaktu. Ale oto pod koniec lat 80-tych poznaliśmy człowieka o rzadkich przymiotach duszy – naszą kuzynkę, wnuczkę Sergiusza Dimitrijewicza Urusowa, Katarzynę Aliksiejewną Fadiejewą. Niestety, nie ma jej już wśród żywych. Była lekarzem pediatrą, jej pacjenci byli jej oddani, wdzięczni i przywiązani do niej do końca jej życia... Kasia przeszła przez całą wojnę, miała odznaczenia... O takim człowieku nie da się opowiedzieć w dwóch słowach. Jej siostra, Helena Aleksiejewna Fadiejewa była znaną na cały Związek aktorką teatralną i kinową. Eda Juriewna Urusowa też zresztą była utalentowana artystką i niepospolitą osobowością (trzeba zaznaczyć, że profesja ta pomogła jej przeżyć Gulag, w którym była dwukrotnie).

Ale powróć do losów babci Natalii Władimirownej. Na początku lat 90-tych, za pośrednictwem stowarzyszenia potomków uczestników bitwy pod Borodino poznałam się z Włodzimierzem Georgijewiczem Dandre. Jak to często się zdarza, okazało się, że mamy wspólnych znajomych: Włodzimierz Georgijewicz bywał przed wojną u swojej cioci w Zaułku Borisoglebskim, w tym samym domu, który onegdaj w całości zajmowali Istominowie i gdzie kiedyś gościła u swoich sióstr nasza babcia. Zaczęłam opowiadać o jej śmierci w Możajsku, gdy nagle usłyszałam: „Ależ nie, co też pani mówi! Spotkałem ją w czasie wojny w Gzatsku, gdzie mieszkała nasza rodzina w czasie okupacji. Miałem 14 lat i wszystko pamiętam bardzo dobrze. Natalia Władimirowna zjawiała się w naszym domu i opowiadała, że chce się przedostać na zachód, gdzie mieszka rodzina jej syna, gdyż w ojczyźnie nie ma już dla niej miejsca”.

Prawdę mówiąc, początkowo nie uwierzyliśmy w opowiadanie Dandre. Po pierwsze – mieliśmy list o śmierci babci. Po drugie, jej krok był w tamtych czasach, mówiąc ogólnie, niezwykle... Długo mieliśmy wątpliwości. Tak długo, dopóki, znów – mocą przypadku – nie poznałam się z moim zagranicznym bratem, Mikołajem Mikołajewiczem Urusowem, jednym z synów naszego wujka – Mikołaja Pietrowicza. On właśnie potwierdził, że rzeczywiście, Natalia Władimirowna dostała się do Ameryki, mieszkała z ich rodziną i tam też zmarła...

Co więc z listem o śmierci naszej babci podczas bombardowania? Wedle naszych domysłów, ona sama poprosiła o wysłanie takiej wiadomości do wnuczki. Babcia rozumiała, że jej wyjazd za granicę w czasie wojny może mieć poważne konsekwencje dla krewnych i w trosce o nas wymyśliła wersję o swojej śmierci.

Mikołaj Mikołajewicz z wielkim ciepłem i miłością opowiadał o babci. Zresztą – Kola (tak, na rosyjski sposób, nazywaliśmy go z radością) – to bardzo dobry człowiek. W młodości miał niełatwe życie, wcześniej został bez ojca. Do wszystkiego musiał dochodzić swoją pracą. Teraz jest na emeryturze. W jego rodzinie wszyscy są wspaniali: żona Nelly, córki – Anna i Helena, wnuki – Aleksia i Filip, zięć Mikołaj. Znajomość z nimi wszystkimi dało nam wiele radości, chociaż nie możemy się spotykać tak często, jak by się tego chciało.

Zresztą, to, że odnaleźliśmy naszego „rodzonego brata ciotecznego”, też było dla nas po prostu cudem. Przecież przeżyliśmy praktycznie całe życie, nawet nie podejrzewając jego istnienia, tak, jak i on – naszego. Ja na przykład z absolutną pewnością we wszystkich ankietach pisałam, że nie mam krewnych za granicą. O wiele później, gdy już nie trzeba było wypełniać takiej rubryki, Nineczka zdradziła mi, że we Francji mieszka dwóch naszych wujków: Sergiusz Pietrowicz i Mikołaj Pietrowicz. Wiedziała o tym od babci, ale nigdy o niczym nie opowiadała. Obydwu braci dawno nie było wśród żywych, ale Mikołaj pozostawił dwóch synów. O ich losach nie wiedziała nawet nasza milcząca Nineczka. Ale oto Rosję odwiedził wielki książę Włodzimierz Kiryłowicz i w prasie wspomniano o jego przyjacielu i powierniku Mikołaju Mikołajewiczu Urusowie. Skojarzywszy znane nam fakty, domyśliliśmy się, że to nasz brat; dobrzy zaś ludzie umożliwili nasze spotkanie. W ten sposób nieoczekiwanie odnaleźliśmy bliską rodzinę.

Drugi, starszy syn Mikołaja Pietrowicza Urusowa mieszka w Ameryce, ale nie mamy z nim żadnego kontaktu.

Niestety, ulubienica babci, Nineczka, nie spotkała się z bratem Mikołajem. Gdy przebywał w Moskwie, z różnych powodów nie dochodziło do ich spotkania. Teraz zaś nie ma jej już wśród żywych (zmarła 29 października 2001, w wieku 78 lat). Obydwie z Lidą bardzo się z nią przyjaźniłyśmy, byłyśmy przy niej w jej ostatnich godzinach, teraz zaś chodzimy do niej na cmentarz. Nineczkę pochowaliśmy w mogile naszego wspólnego pradziadka, Włodzimierza Konstantynowicza Istomina, ojca Natalii Władimirownej.

Nineczka żyła bardzo skromnie, pracowała zawsze, bez ustanku. Po babci odziedziczyła talenty – artystyczny, literacki, do gospodarstwa domowego. Zakończyła szkołę artystyczną i pracowała w szkole jako nauczycielka gospodarstwa domowego i robót ręcznych, bardzo lubiła swoją pracę. Mieszkała z ojcem (zmarł w 1961 roku) i z jego żoną Pawłą Wasiliewną (zmarła w 1971 roku), którą Nineczka nazywała zdrobniale Pawlikiem. Pawła Wasiliewna, wszystkimi siłą pomagała jej wychowywać córkę Olgę. Teraz Olga mieszka samotnie, niestety, ciężko chora, chociaż ma dopiero pięćdziesiąt lat.

Nineczka uwielbiała babcię i pozostawiła bardzo ciepłe wspomnienia na jej temat, które również są tutaj dodane. My wszyscy, to jest do dzisiaj żyjące wnuki Natalii Władimirowny, całkowicie dołączamy się do nakreślonej przez Nineczkę charakterystyki Natalii Władimirownej, natury wszechstronnie utalentowanej, człowieka o wysokiej duchowości i szerokiej duszy.

Nineczka nie była jedyną osobą, która odziedziczyła jej talenty. Myślę, że każdy z potomków babci otrzymał jakąś jej cechę duchową i coś z jej talentów artystycznych (choć u każdego wyrażało się to na swój sposób). Ja niestety nigdy nie widziałam żadnego ze swoich wujków, a także cioci Ireny. Dużo o nich pisze babcia w swoich wspomnieniach – i jakaż to była radość czytać o tych, których się nie znało, a jednak się ich kocha. O dobrocie i talencie muzycznym Sergiusza, męstwie Mikołaja, duchowym pięknie Ireny, pracowitości Piotra, wysokich ideałach Andrzejka... O tych zaś, których znałam, albo znam – postaram się opowiedzieć teraz w kilku słowach.

Najpierw o mamie – Tatianie Pietrownej. Była to wyrazista, utalentowana osobowość. Ludzie zawsze lubili ją za piękno, energię życiową, wrażliwość na cudze troski. Umiała robić wszystko: dobrze rysowała, pisała wiersze, była sprytna i odważna. I cudownie śpiewała. Gdy była jeszcze dziewczynką, słuchał jej głosu znakomity śpiewak Sobinow (kolega dziadka z Uniwersytetu Moskiewskiego, pochodzili z tych samych okolic) i powiedział, że koniecznie trzeba oddać Tanię na naukę śpiewu. Tak się nie stało. Ale mam zawsze śpiewała, nawet w najtrudniejszych chwilach swojego życia.

Z pierwszym mężem, ojcem mojej siostry Lidusi, rozeszła się. Wyszła potem za mąż za Konstantyna Aleksandrowicza Jerszowa. Gdy w 1938 roku został aresztowany, została sama, z dwójką dzieci, bez środków do życia. Żony „wroga ludu” nie chcieli przyjmować do pracy. Łapała się różnych prac – to malowała zabawki dla jakiejś spółdzielni, to wyszywała zasłony, a potem udało się jej jednak dostać do jakiegoś biura. Ale my, córki, nigdy nie odczuwałyśmy tego, za jaką cenę zdobywała ona jedzenie na nasz stół. Wieczorami mama brała do ręki gitarę, siadaliśmy koło niej na kanapie i zaśluchiwałyśmy się w romanse, arie i inne wzruszające pieśni. Zawsze była uśmiechnięta. I tylko w nocy, jeśli zdarzyło się nam przebudzić, można było zobaczyć, jak mama płacze nad jakimiś fotografiami...

W 1941 roku, gdy Niemcy byli pod Moskwą, mama wysłała nas na ewakuację, sama zaś dobrowolnie poszła na powszechną mobilizację jako sanitariuszka. W ciężkim boju pod Wielkimi Łukami sama wyniosła z pola bitwy 17 rannych, następnie zaś odniosła ciężką ranę i zmarła w szpitalu. Jej frontowi przyjaciele, którzy utrzymywali z nami kontakt po śmierci mamy, zapamiętali Tatianę Pietrowną jako wesołą śpiewaczkę, wierzącą w zwycięstwo i podtrzymującą otoczenie na duchu.

Co roku jeździmy do miasta Nielidowa, w okręgu twerskim, na zbiorową mogiłę, w której pochowano mamę.

Moja starsza siostra Lidusia (Lidia Aleksandrowna) wdała się w mamę (i oczywiście w babcię) swoją bezcenną umiejętnością przeżywania cudzych nieszczęść, jak swoich. Ona pierwsza odda innym rzeczywiście ostatni kawałek chleba, nigdy się nie oszczędza, jeśli chodzi o udzielenie pomocy innym ludziom, czasami zupełnie wręcz obcym. Gdy zostaliśmy sami, 18-letnia Lidusia zastąpiła mi rodziców. Dzięki jej trudom i trosce nigdy nie poczułam się sierotą. Siostra nie bała się żadnej pracy, chcąc zdobyć środki nie tylko na utrzymanie, ale i na wykształcenie. Obydwie zakończyłyśmy Uniwersytet Moskiewski, na którym onegdaj uczył się nasz dziadek. Lida z wykształcenia jest redaktorem-historykiem sztuki, pracowała w różnych wydawnictwach. (Ja również pracowałam jako redaktor). Wydział historii sztuki MGU zakończyła również jej córka Halina i mój syn Maksym. Wnuk Lidii – Elias – jest chemikiem, również absolwentem Uniwersytetu Moskiewskiego. O kontynuacji rodzinnej tradycji marzy moja 15-letnia wnuczka Ania.

Teraz o najmłodszej córce Natalii Władimirownej i Piotra Dmitrijewicza Urusowów – Natalii Pietrownie. Jako jedyna z wszystkich ich dzieci żyła dość długo – osiągając wiek 77 lat. Nie ułożyło się jej życie rodzinne. Mieszkała to w Moskwie, to pod Moskwą, to na Ukrainie – tam, gdzie udało się dostać pracę i mieszkanie. Jej syn Michał błyskotliwie zakończył wyższą wojskową akademię morską w Kaliningradzie, służył w lotnictwie morskim na Dalekim Wschodzie, a następnie w Moskwie. Teraz jest na emeryturze. Jego córka Lenoczka mieszka z rodziną w Kalininigradzie, ma dwóch synów – Nikitę i Pawła.

Powtórzę się, ale nie mogę nie powiedzieć, że zarówno Natalia Pietrowna, jak jej syn Michał oraz Lenoczka z dziećmi – odziedziczyli talent po Natalii Władimirownej Urusowej. Natalia Pietrowna miała wielki talent do wyrobów ręcznych, szczególnie znane były jej zabawki na choinkę z waty, w pierwszej kolejności – dziadki-mrozy. Jeden z nich – największy – został nawet ustawiony pod choinką na Placu Maneżowym (było to jeszcze przed wojną, przysyłano po niego specjalny wóz). Michał – to szczególny talent, umie wszystko: rysować, grać na wszelkich możliwych instrumentach, robić meble, składać aparaturę elektroniczną... Każda rzecz, za którą się bierze, wychodzi wspaniale. Lenoczka też umie wszystko, ale co najważniejsze – pisze rzeczywiście dobre wiersze. Jej synowie to również bardzo zdolni chłopcy.

Pozostaje jeszcze opowieść o tym, o czym dowiedzieliśmy się stosunkowo niedawno – o losie Piotra Pietrowicza, naszego wujka Piotra. Chodziły na ten temat różne słuchy i wersje, głównie o jego śmierci w czasie wojny fińskiej. Skąd się wzięła? W tamtych czasach ludzie odchodzili na zawsze z formułką „Zesłany na dziesięć lat bez prawa do korespondencji”. Taka formułka pozwalała mieć nadzieję na to, że człowiek jeszcze żyje, pozwalała chwycić się wszelkich możliwych słuchów, że kogoś gdzieś tam widzieli, itd. Z drugiej strony, jeśli starsi domyślali się tego, jak było naprawdę, to ukrywali to przed nami, dziećmi, chroniąc przed tą ciężką i niebezpieczną wiedzą.

Wujek Piotr ożenił się z księżną Olgą Władimirowną Golicyną. Była bardzo młoda, piękna i pełna życia. Urodziła się im córeczka Irenka. I oto w 1933 roku Piotra aresztowali, a następnie zesłali do Kazachstanu. Żona z dzieckiem pojechała za nim. Na zesłaniu Irenka zachorowała i umarła. Wujek Piotr pracował. W grudniu 1937 roku ponownie go aresztowali i rozstrzelali 13 stycznia 1938 roku. Później zaś, 5 marca tego samego roku, również Olga podążyła za nim na tamten świat.

Niedawno, na tradycyjnych wykładach golicynowskich w dworze-muzeum Wielkie Wiaziemy, Lida i ja poznałyśmy się z bratankiem Olgi Władimirownej – Włodzimierzem Aleksandrowiczem Golicynem. Opowiadał o tym, jak poszukiwali i jak znaleźli prawdziwe dokumenty na temat losu jego cioci i naszego wujka. Muzeum opublikowało to opowiadanie, zostało ono zilustrowane portretem Olgi Władimirownej z maleńką Irenką, a także zabawnym rysunkiem autorstwa wujka Piotra. Rysunek przedstawia brzeg rzeki, na piasku siedzi dziewczyna z dzieckiem (Olga i Irenka), mężczyzna z wędką (ojciec Olgi, Włodzimierz Władimirowicz), zaś z wody wystaje głowa („autoportret”). Z boku rysunku napis: „Rysował Piotruś Urusow. Oprócz Piotrusia, wszyscy bardzo podobni”

To jedyny materialny ślad, który pozostał po Piotrze Pietrowiczu Urusowie.

Zaś po Andrzeju Pietrowiczu nie pozostało nic. Całkiem nic. I teraz nie ma już prawie nikogo, kto by go widział jeszcze za jego życia. Ale mimo to istnieje on w nas, nie zapominamy o nim i czytając wspomnienia babci, staramy się wyobrazić sobie, jak mógł wyglądać nasz młody wujek. Na temat jego losu, poza znaną formułką „Dziesięć lat bez prawa do korespondencji”, co oznaczało rozstrzelanie, mogę dodać jeszcze rzecz następującą. Natalia Pietrowna, jego siostra, opowiadała, że w 1937 roku (albo na początku 1938) przeczytała w gazecie „Prawda” informację o tym, iż w Ałma-Acie wyjawiono i rozstrzelano grupę sabotażystów, którzy rzekomo sypali tłuczone szkło do ziarna na elewatorze zbożowym. Wśród podanych nazwisk był Urusow Andrzej Pietrowicz, urodzony w 1914 roku. „Okazało się”, że nasz, pełen dobroci, wychowany w wysokim, religijnym duchu Andrzejek, „sypał do chleba szkło”!...

Nic na ziemi nie znika bez śladu. Nie na próżno babcia przeżyła swoje pełne cierpienia lata. Dzięki jej czystej, oddanej Bogu duszy, na świecie pojawiło się więcej dobra i światła. Jej dzieci nie na próżno przeszły przeznaczone im drogi – jedni krótsze, inni dłuższe; wszyscy oni uczciwie wypełniali swój obowiązek. Nie każdy pozostawił po sobie kolejne pokolenia. Ale mimo to, aż do dzisiaj mieszka w Rosji i w innych krajach pięcioro wnuków Natalii Władimirowny Urusowej, siedmioro jej prawnuków, kilkoro praprawnuków i jest już nawet jeden prapraprawnuk Alosza. A to znaczy, że nić, która wychodzi z dalekiej dali, od naszych przodków, a dochodzi do wieczności, nie uległa przerwaniu.

Dziękuję tym, którzy przechowali dawno już napisane wspomnienia babci, kto doniósł je do naszych czasów i kto pomógł wypełnić nasze życie nowym sensem i ciepłem.

Tatiana Konstantynowna Pawłowa,
wnuczka N.W. Urusowej, 2005 rok

Wspomnienia młodej towarzyszkii niedoli

Ja, Nina Aleksandrowa Pawłowa, urodzona w 1923 roku, jestem rodzoną wnuczką księcia Piotra Dmitriewicza Urusowa i Natalii Władimirowny Urusowej, z domu Istominy. Tak się złożyło, że wychowywała mnie babcia, którą gorąco kochałam i nadal Kocham, zachowuję ją we wdzięcznej pamięci i uważam za wspaniałego

człowieka o rzadkich cechach duchowych. Babcia pochodziła ze szlacheckiej rodziny Istominów, ludzi wysoko wykształconych, gorąco miłujących ojczyznę. Dziadek wujeczny mojej babci, kontradmirał Włodzimierz Iwanowicz Istomin był jednym z bohaterów obrony Sewastopola w latach 1854-55. Dowodził obroną Kurhanu Małahowa w 1854 roku. Był ranny i kontuzjowany, ale nie porzucił swojej pozycji bojowej. Został nagrodzony orderem Świętego Jerzego III stopnia. Zginął śmiercią bohatera na Kamczackim Lunecie i został pochowany w Sewastopolu w jednej mogile z admirałami – Łazarewem, Nachimowem i Kornilowem.

Siostra babci – Nina Władimirowna Istomina aż do swojej śmierci w 1947 roku otrzymywała z tego powodu niewielką emeryturę z Ministerstwa Floty Wojskowej.

Rodzice babci – W.K. Istomin i N.A. Istomina wydawali czasopismo „Dietskij otdych”, które było drukowane w drukarni uniwersyteckiej (M. Katkowa) na Bulwarze Strastnym. Była to pozycja w szczególności sposobie rekomendowana przez komitet naukowy ministerstwa edukacji narodowej dla szkół średnich, męskich i żeńskich szkół miejskich oraz ludowych szkół podstawowych. Rodzina była wielka i żyła w zgodzie. Często bywali u nich – malarz Sawrasow, pisarze – T.M. Dostojewski i L.N. Tołstoj, który będąc dalekim krewnym Istominów, był ojcem chrzestnym brata babci – Dymitra. Wszystkie dzieci otrzymały znakomite wykształcenie. Babcia doskonale władała francuskim, znała niemiecki i trochę angielski. Była bardzo utalentowanym człowiekiem: pisała wiersze, wspaniale rysowała. Pamiętam dwa ogromne albumy wypełnione rękopisami wierszów babci i jej przepięknymi rysunkami. Rozmalowywała serwisy. Jestem w posiadaniu dwóch cudem ocalałych porcelanowych talerzyków. Umiała robić niezwykle eleganckie bawidełka, zabawki, wylewała z formy i rozmalowywała ołowiane żołnierzyki, ale przede wszystkim – robiła cudowne sztuczne kwiaty. Były jak żywe. Zachowały się u mnie na starych fotografiach. Na wystawie w Paryżu kwiaty babci otrzymały złoty medal.

Babcia miała niełatwą dolę. Dziadek bardzo pił, grał, mało dbał o rodzinę. Babcia musiała sama wychowywać siedmioro dzieci. Dzięki jej talentom mogła je jakoś postawić na nogi. Wspaniale gotowała. Leczyła, uczyła i wychowywała dzieci. Wszystkie dzieci wspaniale mówiły po francusku. Córki zaś odziedziczyły jej talenty: rysowały, śpiewały, wszystko umiały robić swoimi rękami, ale co najważniejsze – wszystkie dzieci wyrosły na dobrych, porządnym ludzi.

Rodzina mieszkała w Jarosławiu. W 1917 roku dom, w którym mieszkali, spłonął i niczego nie udało się uratować. Nie mieli gdzie mieszkać. Dziadek myślał jedynie o sobie. Babcia chwyciła się każdej pracy, byle tylko wykarmić dzieci. Nosila cegły na budowie, chodziła prac i szyć do tych domów, w których mogli nakarmić jej dzieci, zmywała naczynia. Pomagały jej w tym jej talenty. Robiła zabawki, sztuczne kwiaty z wiórów i strzępów – i sprzedawała je.

W latach 20-tych rodzina wyjechała na Kaukaz, gdzie również żyła w biedzie. Starsze córki wcześniej wyszły za mąż, a babcia pracowała ponad siły, żeby wykarmić młodszych.

Moja mama, Irena Pietrowna Pawłowa, z domu Urusowa, był słabego zdrowia. Po tym, jak zachorowała na tyfus, z trudem wracała do pełni sił i lekarze (mieszkaliśmy wtedy w Jejsku, gdzie pracował mój ojciec) poradzili, aby poszła do specjalistów. W 1930 roku dziadek, babcia, ich czworo dzieci i dwie wnuczki (jedną z nich byłam ja) przenieśli się do Moskwy na Czysty Zaułek, gdzie mieszkała rodzina dziadkowego brata – księcia Sergiusza Dmitrijewicza Urusowa. Mamę położyli do szpitala imienia Botkina, w którym zmarła z powodu ogólnego zakażenia krwi, spowodowanego przez pęknięcie wrzodu na wątrobie – w wieku 32 lat. Mama, która umierała bardzo ciężko, w pełnej świadomości, prosiła, żeby babcia wzięła mnie do siebie. Życie rodziny babci było bardzo ciężkie. Dziadek pracował w jadalni jako rachmistrz, bardziej za jedzenie, niż za pieniądze. Babcia zaś robiła kwiaty i sprzedawała je. Tak dobrze pamiętam, jak nocami babcia robiła te kwiaty: cała duża rodzina leży i śpi, a ona siedzi w kuchni do świtu, położy się, trochę pośpi – i z powrotem do pracy. W ciągu dnia położy głowę na stole, na złożonych rękach, pośpi 10-15 minut, wypije namiastkę kawy i znów wyciska, na poduszecce z piaskiem, gorącymi bąbelkami, płatki róż, tulipanów, piwonii, jaskrów, rumianku, chabrów. Zrobi gałązki kwitnącej jabłoni, bzu – jak żywe! To, co zarobiła babcia, miało dla rodziny ogromne znaczenie.

W 1932 albo 1933 roku dziadek zamienił jeden z pokoi przy Czystym Zaułku na 12-metrowy pokój na mansardzie dacy w Parku Pietrowskim, w którym zamieszkaliśmy wszyscy razem – babcia, dziadek, mój ojciec, ja, młodsza córka babci Natalia z mężem i malutkim dzieckiem (przy piersi) oraz najmłodszy syn babci – Andrzej. Trzeba było zorganizować prycze, a dziadek spał na strychu. Latem część rodziny spała na płaskim dachu werandy, na którą wychodziło okno naszego pokoju. Wkrótce dziadek ostatecznie zostawił rodzinę i wyjechał na Kaukaz. W niedługim czasie tam umarł. Babcia jeździła go chować.

W 1934 roku aresztowali Andrzeja Urusowa i posadzili go do więzienia na Butyrkach za to, że przysługiwał w cerkwi i śpiewał w chórze cerkiewnym. Miał wtedy 20 lat. Następnie wysłali go na wolne osiedlenie do Kazachstanu. Najpierw do Aktiubińska, potem do Ałma-Aty. Babcia wzięła mnie i pojechała za nim. I znów

babcia nocami robiła kwiaty i oddawała pewnej kobiecie, która je sprzedawała. Znów babcia wzięła wszystko na siebie, gdyż mój wujek Andrzejek z ogromnymi problemami dostał pracę i bardzo mało zarabiał, a mój ojciec niemalże nic na mnie nie przysyłał.

W 1937 roku, na skutek fałszywego donosu, wujka Andrzejka znowu aresztowali i rozstrzelali. Babcia przywiozła mnie do Moskwy, gdyż ojciec zdecydował, że mnie weźmie do siebie. W 1938 roku ożenił się z bardzo dobrą kobietą i mieszkał, tak, jak przedtem, w Parku Pietrowskim. Babcia nie miała gdzie mieszkać. Te dzieci, które pozostały wśród żywych, rozjechały się po różnych miastach, zaś niezamężne siostry Istominy gnieździły się w niewielkim pokoiku w Zaułku Borysoglebskim.

Babcia wyjechała do Możajska, żeby być blisko mnie. Zamieszkała u miłej kobiety, którą dobrze znałam, gdyż często jeździłam do babci. Tak, jak dawniej – robiła kwiaty, żeby przeżyć i zaoszczędzić na małe prezenciki dla mnie: jak zawsze myślała o innych, pomagała ludziom biednym i chorym, nie myśląc o sobie.

Gdy wspominam swoją babcię, po prostu ją uwielbiam: jej męstwo, niezłomność i bezgraniczną cierpliwość. Ileż prób, ileż bólu było jej udziałem! Ale ona nigdy nie narzekała na los. Babcia była człowiekiem głęboko wierzącym i wiara ją podtrzymywała. Szalenie kochała swoje dzieci i mnie, za którą była odpowiedzialna, robiła dla nas wszystko, zawsze zapominając o sobie i odmawiając sobie wszystkiego. Pamiętam ją zawsze ubraną w czarną bluzkę i długą czarną spódnicę. Bluzkę sama pofarbowała. Nie miała nic więcej. Wypierze je na noc, powiesi nad piecem i znów ubiera. Nigdy nie był bez zajęcia: to szyje coś dla nas, to sprząta, to gotuje. A gotowała wspaniale. Żyliśmy w biedzie, ale babcia robiła takie smaczne rzeczy, że do dziś je pamiętam. Paszteciki z ziemniakami, zieloną cebulą, domowy ser topiony, „śnieżki”. Wszystkiego nie sposób wyliczyć! I zawsze dobra, delikatna, życzliwa wobec wszystkich.

Dzieci babci odziedziczyły po niej jej wysoką moralność. Wszystkie wyrosły na uczciwych, porządnym ludzi.

Mój wujek Piotr Pietrowicz Urusow zginął na froncie⁶³. Ciocia Tania, Tatiana Pietrowna Jerszowa poszła dobrowolnie na mobilizację i bohatersko zginęła w 1942 roku, gdy wносиła rannych z pola bitwy. Była śmiertelnie ranna. A gdy chcieli ją ratować, prosiła, żeby ratowali innych, gdyż ona i tak nie przeżyje. Została pochowana w zbiorowej mogile w mieście Nielidowo w okręgu kalinińskim⁶⁴, gdzie na obelisku wykuto również jej imię. Szkoła średnia nr 3 w Nielidowie jest w ciągłym kontakcie z córkami Tatiany Pietrownej, a najlepsze oddziały pionierów walczą o prawo noszenia imienia Tani Jerszowej. Jeden z oddziałów pionierów szkoły nr 319 imienia Batalionu Kujbyszewskiego w mieście Moskwie również nosi imię Tani Jerszowej.

Babcia zginęła na początku 1942 roku, podczas silnego bombardowania Możajska. Napisała o tym do mnie jej gospodyni, która wraz z wnuczką chowała się w piwnicy u znajomych i dzięki temu się uratowała.

To właśnie chciałam napisać o mojej babci, którą zawsze uważałam za prawdziwą, rosyjską kobietę, zdolną do ogromnego trudu i nie uważającej tego za swoją zasługę; myśl taka nigdy by jej nawet nie przyszła do głowy.

Nina Aleksandrowna Pawłowa,
wnuczka Natalii Władimirowny Urusowej,
grudzień 1989 roku.

63 To była pomyłka. Tak samo, jeśli chodzi o wersję śmierci N.W. Urusowej w Możajsku. [Przyp. T.K. Pawłowej].

64 Kalinin – dawniej i obecnie Twer.

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA

Treść tak zwanej Deklaracji lojalności metropolity Sergiusza:

„List do Prawosławnych Arcypasterzy, Pasterzy i pastwy Patriarchatu Moskiewskiego

16/29 czerwca 1927

Z Bożej łaski pokorny Sergiusz, metropolita Niżegorodzki, Zastępca Pełniący Obowiązków Patriarchy i Tymczasowy Święty Synod Patriarszy

Jedną z trosk zmarłego naszego Ojca, Świętobliwego Tichona, jeszcze przez jego śmiercią, było przyjęcie przez naszą Rosyjską Cerkiew Prawosławną prawidłowego stosunku do rządu radzieckiego i w ten sposób stworzenie Cerkwi możliwości w pełni legalnego i spokojnego istnienia. Umierając, Jego Świętobliwość mówił: „Trzeba by było pożyć jeszcze z trzy lata”. Jest oczywiste, że jeśliby jego świętobliwych trudów nie przerwała nieoczekiwana śmierć, doprowadziłby tę sprawę do końca. Niestety, rozmaite okoliczności, a przede wszystkim wystąpienia zagranicznych wrogów państwa radzieckiego, wśród których znajdowali się nie tylko szeregowi wierni naszej Cerkwi, ale i ich przywódcy, budziły naturalną i usprawiedliwioną nieufność rządu do działaczy cerkiewnych w ogóle, a także stanowiły przeszkodę dla wysiłków Jego Świętobliwości i w ten sposób nie było mu sądzone ujrzeć jeszcze za życia pomyślnego końca jego trudów.

Obecnie los sprawowania funkcji tymczasowego Zastępcy Pierwszego Hierarchy naszej Cerkwi ponownie wypadł na moją dolę, niegodnego Metropolity Sergiusza, w wraz z nim spadł na mnie obowiązek kontynuacji dzieła Zmarłego: podjęcia wszelkich możliwych starań o doprowadzenie do pokojowego ułożenia naszych spraw. Moje wysiłki, nakierowane na ten cel, znajdujące poparcie także wśród arcypasterzy prawosławnych, zdają się nie pozostawać bez rezultatu: wraz ze stworzeniem przy mnie Tymczasowego Świętego Synodu Patriarszego rośnie nadzieja na doprowadzenie całego zarządzania naszą Cerkwią do należytego ładu i porządku, umacnia się wiara w możliwość życia w pokoju i działalności naszej Cerkwi w ramach prawa.

Teraz, gdy osiągnęliśmy już niemalże cel naszych wysiłków, nie kończą się wystąpienia wrogów zagranicznych: zabójstwa, podpalenia, napady, wybuchy i tym podobne zjawiska walki podziemnej odbywają się na naszych oczach. Wszystko to narusza spokojny bieg życia, stwarza atmosferę wzajemnej nieufności i najgroźniejszych podejrzeń. Tym bardziej jest potrzebne naszej Cerkwi, konieczne dla tych, którym drogie są jej interesy, dla tych, którzy pragną wyprowadzić ją na drogę istnienia legalnego i spokojnego, tym bardziej konieczne jest dla nas w chwili obecnej pokazanie, że my, działacze cerkiewni, nie stoimy po stronie wrogów naszego radzieckiego państwa, po stronie obłąkanych narzędzi ich intryg, lecz że jesteśmy z naszym narodem i z naszym rządem.

Danie świadectwa takiej postawy jest głównym celem naszego (mojego i Synodu) listu.

Jednocześnie informujemy was, że w miesiącu maju bieżącego roku, na moje zaproszenie i za zgodą władz, został zorganizowany Tymczasowy Święty Synod Patriarszy przy Zastępcy [Strażnika Tronu Patriarszego], którego członkowie podpisali się pod niniejszym postanieniem (brakuje Najprzewielebniejszego Metropolity Nowogrodzkiego Arseniusza, który nie zdążył jeszcze przybyć a także Arcybiskupa Kostromskiego Sebastiana, który jest po chorobie). Nasze starania o udzielenie pozwolenia naszemu Synodowi na rozpoczęcie działalności w charakterze zarządu Wszechrosyjskiej Cerkwi Prawosławnej zakończyły się sukcesem. Teraz nasza Cerkiew Prawosławna w Związku [Radzieckim] ma nie tylko kanoniczny, ale także w pełni legalny w świetle prawa państwowego zarząd centralny; a żywimy nadzieję, że legalizacja ta stopniowo obejmie także niższe szczeble naszego kierownictwa cerkiewnego: eparchialne, powiatowe, itd. Chyba nie trzeba wyjaśniać znaczenia i wszelkich konsekwencji dokonanej w ten sposób przemiany w położeniu naszej Cerkwi Prawosławnej, jej duchowieństwa, wszystkich działaczy i instytucji cerkiewnych... Wznieśmy dziękczynne modlitwy do Boga, który w taki sposób objawił Swą wolę wobec naszej Świętej Cerkwi... Wyrażmy także, całym narodem, wdzięczność wobec rządu radzieckiego za taką uwagę wobec potrzeb duchowych ludności prawosławnej, a zarazem zapewnijmy rząd, że nie nadużyjemy okazanego nam zaufania.

Przystąpiwszy, z Bożym błogostawieństwem, do naszej synodalnej pracy, mamy pełną świadomość

ogromu zadania stojącego tak przed nami, jak i w ogóle przed wszystkimi przedstawicielami Cerkwi. Musimy nie słowami, lecz czynami pokazać, że wiernymi obywatelami Związku Radzieckiego, lojalnymi wobec władzy sowieckiej, mogą być nie tylko ludzie obojętni wobec prawosławia, nie tylko jego zdraycy, ale i najgorliwsi jego zwolennicy, dla których jest ono tak drogie, jak prawda i życie, z wszystkimi jego dogmatami i tradycjami, z całym jego porządkiem kanonicznym i liturgicznym. Chcemy być prawosławni i jednocześnie uznawać Związek Radziecki za naszą obywatelską Ojczyznę, radości i sukcesy której są naszymi radościami i sukcesami, a niepowodzenia – naszymi niepowodzeniami. Wszelki cios, skierowany przeciwko Związkowi – czy to wojna, czy bojkot, czy jakakolwiek klęska społeczna, czy zwykłe zabójstwo z za węgła, w rodzaju warszawskiego⁶⁵, uznajemy za cios skierowany przeciwko nam. Pozostając prawosławnymi pamiętamy o swoim obowiązku bycia obywatelami Związku [Radzieckiego] „nie tylko ze względu na karę, ale ze względu na sumienie”, zgodnie z nauką Apostoła (Rz 13, 5). I mamy nadzieję, że z Bożą pomocą, przy współdziałaniu nas wszystkich i przy wzajemnym wsparciu, zdołamy wypełnić to zadanie.

Przeszkodą w tym może być jedynie to, co było przeszkodą budowy życia cerkiewnego na zasadach lojalności także w pierwszych latach władzy radzieckiej. Jest to – niedostateczna świadomość całej powagi tego, co dokonano się w naszym kraju. Powstanie władzy sowieckiej wielu ludziom wydawało się nieporozumieniem, czymś przypadkowym i dlatego – niedługowiecznym. Ludzie zapominali, że dla chrześcijanina nie ma niczego przypadkowego, i że w tym, co się u nas dokonało, tak jak zawsze i wszędzie, działa ta sama Boża prawica, nieuchronnie prowadząca każdy naród do przeznaczonego mu celu. Takim właśnie ludziom, którzy nie chcą zrozumieć „znaków czasu”, może się zdawać, że nie można zrywać z poprzednim ustrojem, a nawet z monarchią, nie zrywając jednocześnie z prawosławiem. Taka postawa wiadomych kręgów cerkiewnych, która wyrażała się oczywiście zarówno w słowach, jak i w czynach, pociągnęła za sobą podejrzliwość władzy sowieckiej, a także hamowała wysiłki Świętobliwego Patriarchy nakierowane na ustanowienie pokojowych stosunków Cerkwi z rządem radzieckim. Wszak nie na próżno Apostoł nam wpaja, że „cicho i spokojnie żyć” w swojej pobożności możemy jedynie będąc poddani legalnej władzy (1 Tym 2, 2); w przeciwnym wypadku powinniśmy odejść ze społeczeństwa. Tylko gabinetowi marzyciele mogą uważać, że taka ogromna społeczność, jaka nasza Cerkiew Prawosławna, z całą swoją organizacją, może w państwie istnieć spokojnie, jednocześnie zamykając się na władze.

Teraz, gdy nasz Patriarchat, wypełniając wolę zmarłego Patriarchy, zdecydowanie i bezspornie staje na drodze lojalności, ludzie zajmujący taką postawę będą musieli albo się przetańczyć i zostawić w domu swoje sympatie polityczne, przynosić do cerkwi jedynie wiarę i pracować z nami tylko w imię wiary, albo, jeśli nie będą mogli od razu się przetańczyć, przynajmniej nam nie przeszkadzać i tymczasowo odsunąć się od obowiązków⁶⁶. Jesteśmy przekonani, że wkrótce, i to bardzo szybko, powrócą, aby pracować z nami, przekonawszy się, że zmiana uległ tylko stosunek do władzy, wiara zaś i życie prawosławne pozostały niezachwiane.

W obecnych okolicznościach szczególnej ostrości nabiera problem duchowieństwa, które odeszło z emigrantami za granicę. Zagraniczne wystąpienia niektórych naszych arcybiskupów i biskupów, jaskrawo antyradzieckie, które bardzo szkodliwie wpłynęły na stosunek między rządem i Cerkwią, jak wiadomo, zmusiły

65 Chodzi tu o zabójstwo rewolucjonisty Piotra Łazarewicza Wojkowa, dokonane na dworcu w Warszawie 7 czerwca 1927 przez rosyjskiego emigranta B.S. Kowierdę. Wojkow uczestniczył osobiście w bestialskim morderstwie św. Rodziny Carskiej, dostarczył kwasu siarkowego celem spalania szczątków św. Męczenników. B.S. Kowierda dokonał zabójstwa z zemsty za morderstwo na św. Rodzinie Carskiej. Polski sąd skazał go na dożywocie, ale został wypuszczony 15 czerwca 1937 roku. Wojkow jako oficjalny przedstawiciel ZSRS w Polsce zachowywał się na tyle awanturkowo, że w planach miał nawet zorganizowanie zamachu na marszałka Piłsudskiego, ale nie otrzymał na to zgody z Moskwy.

66 Wbrew słowom metr. Sergiusza o „poparciu arcybiskupów prawosławnych” (w drugim akapicie) większość biskupów sprzeciwiła się działaniom metropolity Sergiusza, wśród nich najważniejsi biskupi – metr. Piotr Kruticki, najwyższy hierarcha i głowa Cerkwi, metr. Cyryl (Smirnow) – pierwszy Strażnik Tronu Patriarszego, metr. Józef (Pietrowych), Zastępca Strażnika Tronu Patriarszego. W związku ze sprzeciwem po 1927 większość działających biskupów została aresztowana. W latach 1926-27 w czasie fali masowych aresztów aresztowano 40 biskupów; w 1928 – 6; w 1929 – 21; w 1930 – 8; w 1931 – 16; w 1932 – 1; w 1933 – 9; w 1934 – 6; w 1935 – 14; w 1936 – 20; w 1937 – 50. W 1939 roku na wolności pozostało 4 czynnych biskupów: metr. Sergiusz (Stragorodski), metr. Aleksy (Simanski); metr. Mikołaj (Jaruszewicz), abp Sergiusz (Woskriesiński) – wszyscy zgodni z linią metr. Sergiusza. Źródło: Lew Regelson – Tragedia Rosyjskiej Cerkwi, Moskwa 1996. Z zadowoleniem natomiast przyjęła Deklarację z 1926 „żywa cerkiew”, której synod ocenił Deklarację jako „wielkie ideologiczne zwycięstwo na froncie stosunków cerkiewno-społecznych” i stwierdził, że „świadczy ona o pełnym uznaniu przez głowę „sergiejewszczyzny” [czyli metr. Sergiusza] postanowień Soboru 1923 [chodzi o sobór „żywej cerkwi”], który zadeklarował pozytywny stosunek cerkwi do radzieckiej państwowości i dokonanej rewolucji społecznej”.

zmarłego Patriarchę do rozwiązania Synodu Zagranicznego (2 maja/22 kwietnia 1922)⁶⁷. Jednak Synod ten nadal istnieje, nie zmieniając swoich poglądów politycznych, a w ostatnim okresie przez swoje pretensje na władzę wręcz doprowadził do rozbitcia społeczności cerkiewnej na dwa obozy. Chcąc położyć temu kres, zażądaliśmy od zagranicznego duchowieństwa złożenia pisemnych zobowiązań lojalności wobec rządu radzieckiego, w całym zakresie ich działalności społecznej. Ci, którzy nie złożą takiego zobowiązania, albo je naruszą, zostaną wykluczeni ze składu duchowieństwa podlegającego Patriarchatowi Moskiewskiemu. Myślę, że takie rozgraniczenie zabezpieczy nas przed wszelkimi niespodziankami z zagranicy. Z drugiej strony, być może nasze postanowienie zmusi wielu do zastanowienia nad tym, czy nie nadeszła dla nich pora rewizji ich stosunku wobec władzy sowieckiej, skoro grozi on zerwaniem z ich ojczystą Cerkwią i z Ojczyzną.

Za nie mniej ważne zadanie uważamy przygotowania do zwołania i samo zwołanie naszego drugiego Soboru Lokalnego, który dokona wyboru już nie tymczasowego, a stałego centralnego zarządu Cerkwi⁶⁸, a także przyjmie decyzję odnośnie wszystkich „przywłaszczycieli władzy” cerkiewnej, którzy rozdierają chiton Chrystusowy. Porządek i czas zwołania, przedmioty obrad Soboru i inne szczegóły zostaną ustalone w późniejszym czasie. Teraz wyrazimy tylko nasze twarde przekonanie, że nasz przyszły Sobór, swoim rozumem i głosem Soborowym, po rozwiązaniu wielu nabrzmiałych problemów naszego wewnętrznego życia cerkiewnego, jednocześnie wyrazi ostateczne poparcie dla podjętego przez nas dzieła ustanowienia prawidłowego stosunku Cerkwi do rządu radzieckiego.

Na zakończenie usilnie prosimy wszystkich was, Najprzewielebniejsi Arcypasterze, pasterze, bracia i siostry, pomóżcie nam, każdy na swoim stanowisku, współodczuwając i współdziałając z naszym trudem, waszą gorliwością w sprawach Bożych, waszym oddaniem i posłuszeństwem Świętej Cerkwi, a w szczególności waszymi modlitwami do Boga za nas, żeby pozwolił nam z powodzeniem i zgodnie z Jego wolą wypełnić dzieło złożone na nasze barki, na chwałę Jego świętego imienia, na pożytek Świętej naszej Cerkwi Prawosławnej i ku ogólnemu zbawieniu.

Łaska Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa i miłość Boga i Ojca i jedność w Duchu Świętym niech będzie z wami wszystkimi. Amen.

16/29 lipca 1927

Za Pełniącego Obowiązki Patriarchy Sergiusz, Metropolita Niżnonowogrodzki, Członkowie Tymczasowego Świętego Synodu Patriarszego: Serafn metropolita Twerski, Sylwester arcybiskup Wołogodzki, Aleksy arcybiskup Chutyński, kierujący Eparchią Nowogrodzką, Anatol biskup Samarski, Paweł arcybiskup Wiatski, Filip arcybiskup Zwienigorodzki, kierujący Eparchią Moskiewską, Konstantyn biskup Sumski, kierujący Eparchią Charkowską. Kierujący sprawami Sergiusz, biskup Sierpuchowski

67 Chodzi o tzw. Wszechzagraniczny Rosyjski Sobór Cerkiewny, utworzony w listopadzie 1921 roku w Sremskich Karłowcach w Serbii (stąd zwany również Soborem Karłowackim), składający się z hierarchów Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, którzy wyemigrowali początkowo do Konstantynopola, a następnie do Serbii. Na jego czele stał metr. Antoni (Chrapowicki). Sobór ten otwarcie sprzeciwiał się rewolucji i bolszewikom. Ukaz Patriarchy Tichona, o którym mowa w niniejszym liście, został przez emigrację uznany za wydany pod naciskiem bolszewików. W 1928 roku Sobór w Sremskich Karłowcach stanowczo odrzucił niniejszą Deklarację, stwierdzając m.in. „Zagraniczna część Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej powinna zerwać stosunki administracyjne z moskiewską władzą cerkiewną, wobec niemożliwości utrzymywania z nią normalnych stosunków z powodu podporządkowania jej bezbożnej władzy sowieckiej”. Sobór był początkiem Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Za Granicą.

68 Sobór taki został zwołany przez Stalina we wrześniu 1943, pod naciskiem wybuchu uczuć religijnych na okupowanych przez Niemców terenach ZSRS. Sobór ten był soborem biskupim i dokonał wyboru metr. Sergiusza na Patriarchę.

REAKCJE HIERARCHII

List Strażnika Tronu Patriarszego, Metropolity Krutickiego Piotra (Polańskiego) do Zastępcy Strażnika Tronu Patriarszego Metropolity Nizegorodzkiego Sergiusza (Stragorodskiego), grudzień 1929

Wasza Ekscelencjo, proszę o łaskawe wybaczenie, jeśli niniejszym listem naruszę pokój duchowy Waszej Ekscelencji. Docierają do mnie informują mnie o ciężkich doświadczeniach, które spadły na Cerkiew z powodu tego, że Ekscelencja naruszył granice powierzonej mu władzy cerkiewnej. Bardzo boleję nad tym, że Ekscelencja nie zadał sobie trudu, aby wtajemniczyć mnie w swoje plany co do kierowania Cerkwią. A przecież dobrze Ekscelencji wiadomo, że wcale nie zrzekałem się praw Strażnika Tronu Patriarszego, i, co za tym idzie, Najwyższą Władzę Cerkiwną i ogólne kierownictwo życiem cerkiewnym wciąż należą do mnie. Jednocześnie spieszę oświadczyć, że wraz ze stanowiskiem zastępcy otrzymał Ekscelencja pełnomocnictwa tylko do zarządzania sprawami bieżącymi, do ochrony bieżącego porządku spraw. Byłem głęboko przekonany, że bez uprzedniego kontaktu ze mną nie przyjmie Ekscelencja ani jednej odpowiedzialnej decyzji; żadnych kompetencji prawodawczych Waszej Ekscelencji nie przekazywałem, strzeżenie Tronu Patriarszego należy wciąż do mnie i wciąż jeszcze dobrym zdrowiem cieszy się metropolita Cyryl, a w tamtym czasie żył jeszcze metropolita Agatangel. Dlatego właśnie w swoim rozporządzeniu o wyznaczeniu kandydatów na zastępców nie uznałem za potrzebne wspominać o ograniczonym charakterze ich obowiązków. Nie miałem żadnych wąpliwości, że zastępca nie zmieni ustanowionych praw, a jedynie zamieni, by tak rzec – ujawni swoją osobą ten centralny organ, przez który Strażnik Tronu mógłby mieć kontakt z pastwą. System zarządzania, wprowadzony przez Waszą Ekscelencję, nie tylko to wyklucza, ale również likwiduje samą potrzebę istnienia Strażnika Tronu Patriarszego. Takich znaczących kroków cerkiewna świadomość, rzecz jasna, przyjąć nie może. Nie poczyniłem uwag, ograniczających obowiązki zastępcy, w poczuciu głębokiego szacunku i zaufania do wyznaczonych kandydatów, w pierwszym rzędzie wobec Waszej Ekscelencji, licząc w tym również i na mądrość Waszej Ekscelencji. Ciężko mi wymieniać wszystkie szczegóły negatywnego stosunku do zarządzania Cerkwią przez Waszą Ekscelencję: w jego powodu rozlegają się protesty i płacz ludzi wierzących, hierarchów i świeckich. Oczom przedstawia się porażający obraz podziałów cerkiewnych. Poczucie obowiązku i sumienie nie pozwalają nie reagować na takie bolesne wydarzenia i nakazują zwrócić się do Waszej Ekscelencji z jak najbardziej stanowczą prośbą naprawy błędu, którego Ekscelencja się dopuścił, stawiając Cerkiew w poniżające położenie, które spowodowało rozdarcia w jej łonie i pokryło mrokiem reputację jej kierownictwa. Proszę również o odstąpienie od pozostałych posunięć, które przewyższają zakres pełnomocnitwa udzielonego Waszej Ekscelencji. Mam nadzieję, że tego typu postanowienia Waszej Ekscelencji przywrócą w Cerkwi dobrą atmosferę i uspokoją umęczone dusze jej dzieci, a wobec Osoby Waszej Ekscelencji, ku naszej ogólnej radości, pozwolą zachować tę sympatię, którą zastużenie Ekscelencja się cieszył zarówno jako działacz cerkiewny, jak i człowiek. Niech Ekscelencja całą swoją nadzieję pokłada w Bogu i Jego pomoc zawsze będzie z Ekscelencją. Ze swojej strony ja, jako głowa Cerkwi, wzywam wszystkich kapłanów i działaczy cerkiewnych do wykazania pełnej lojalności we wszystkim, co dotyczy praw i obowiązków obywateli i administracji. Mają obowiązek bez sprzeciwu podporządkowywać się zarządzeniom państwowym, o ile te nie naruszają świętej wiary i w ogóle nie są sprzeczne z chrześcijańskim sumieniem; nie powinni się zajmować jakąkolwiek działalnością antyrządową, nie powinni ani w świątyniach, ani rozmowach prywatnych ani chwalić, ani ganić działań [rządu], ani w ogóle mieszać się do spraw, które nie mają związku z Cerkwią. Ośmielam się jednak mieć nadzieję, że w rzeczywistości nie można wskazać wśród przedstawiciela prawostawnego episkopatu i duchowieństwa ani jednego przypadku tego typu nielojalności. Ani w czasie, gdy bezpośrednio zarządzałem Cerkwią, ani w późniejszym czasie nie było słyhać o chociażby jednym przestępstwie politycznym ze strony osób duchownych. Jesliby takie przestępstwa miały miejsce, to należy przypuszczać, że przeciwko winnym wytoczono by głośny proces sądowy; ale w czasie procesów przestępców politycznych nie wspomina się o przedstawicielach duchowieństwa. Z ochotą i gotowością mogę przyznać, że sam rząd dawno już przekonał się o apolityczności Cerkwi Prawostawnej i Wasza Ekscelencja może sobie wyobrazić: z jakim płaczem odniosą się nasi kapłani, zwłaszcza ci, którzy są męczeni w więzieniach i

na zsyłkach, do gołostownego oświadczenia na temat słów i czynów⁶⁹ na tle gorzkiej doli, która stała się ich udziałem. W dodatku piszą do mnie, że biskup Bazyl przedstawił Ekscelencji referat na temat tych spraw w moim imieniu. Muszę tu zauważyć, że ani jemu, ani drugiemu mojemu współmieszkańcowi nie dawałem żadnych poleceń dotyczących spraw cerkiewnych. Jeśli chodzi o mnie osobiście, to powiem, że przeszedłem wszystkie rodzaje cierpienia, które można sobie wyobrazić, zdawało się, że panuje u mnie tylko jedna pora roku – pora bóleści, ale Bóg, jak widać, nie opuszcza mnie. Podtrzymuje moje siły, osłabione w ciężkich warunkach wygnania, wlewa w duszę spokój, który, jeśli bywa zatrutowany, to tylko z bólu z powodu Cerkwi. Łaska Boża niech będzie z Ekscelencją, posłusznik waszej Ekscelencji⁷⁰

M(etropolita) P(iotr)

Drugi List metropolity Kazańskiego i Swijażskiego Cyryła [Smirnowa] do Zastępcy Strażnika Tronu Patriarszego, metropolity Niżegorodzkiego Sergiusza [Stragorodzkiego]

[fragmenty]

Wasza Ekscelencjo, Władko,

[...] Niezmiennie myślę i twierdzę, że Ekscelencja rzeczywiście przekroczył „wszelką miarę samowoli, dokonawszy bezprawnie zamachu na same podstawy ustroju patriarszego”. Takiego Synodu, z takimi gwarancjami rządowymi, jak Synod stworzony przez Ekscelencję i przy nim działający, Cerkiew Rosyjska nie znała ni przy Patriarsze, ni przy Metropolicie Piotrze. [...]

Negatywny stosunek do działalności Ekscelencji w zakresie zarządu Cerkwią Ekscelencja wraz z Synodem przyjmuje jako odrzucenie samej Cerkwi, Jej sakramentów i całej Jej świętości. Dlatego tak Ekscelencję zdumiewa, że powstrzymując się od wspólnego z Ekscelencją służenia liturgii, jednocześnie nie uważam że ja, czy Ekscelencja pozostajemy poza Cerkwią. „W myśleniu cerkiewnym teoria taka jest nie do przyjęcia, – oświadcza Ekscelencja, – jest to próba przechowania lodu na gorącym piecu”. Jeśli w tej sytuacji rzeczywiście podejmują jakąś próbę, to nie jest to próba przechowania lodu na gorącym piecu, a próba stopienia lodu dialektyczno-książkowego stosowania kanonów i próba ochrony świętego ich ducha. Wstrzymuję się od służenia liturgii z Ekscelencją nie dlatego, że Tajemnica Ciała i Krwi Chrystusowych nie dokona się przy naszym wspólnym służeniu, ale dlatego, że przyjęcie Najświętszych Tajemnic z jednej chasy będzie nam na sąd i potępienie. Stanie się tak z tego powodu, że nasze wewnętrzne nastawienie, wzburzone niejednakowym rozumieniem naszych stosunków cerkiewnych, nie pozwoli nam to, aby w pełnym spokoju ducha przynieść miłość mira, żertwu chwalenija. Dlatego moją wstrzeźliwość w całej jej pełni stosuję tylko wobec Ekscelencji i arcykapłanów jednomyślnych z Ekscelencją, ale nie wobec zwykłych kapłanów, a już tym bardziej nie wobec ludzi świeckich. Wśród szeregowego duchowieństwa jest bardzo niewielu świadomych ideologów cerkiewnej działalności Ekscelencji. Większość pozostaje posłuszna Ekscelencji w wyniku, że tak powiem, pewnej inercji i nie będą w zakłopotaniu, gdy będą mieli konieczność wypowiedzieć się u mnie, mnie wypowiedzieć, czy przyjmować ze mną Najświętsze Tajemnice i nie będą do tego mieszać mojego stosunku do Ekscelencji i stosunku Ekscelencji do mnie. Przyjmując od takiego kapłana sakramenty w godzinę śmierci nic a nic nie podkopuję swojej, jak to Ekscelencja nazywa, pozycji. Oczywiście, gdy tak się stanie, że natknę się na jednego z ideologów działalności Waszej Ekscelencji, kierującego się postanowieniem synodalnym nr 1864, to pokój nasz powróci do nas i w pokoju umrę bez Świętych Tajemnic, ale wyznając tę prawdę cerkiewną, troska o którą (a nie o opinie innych ludzi, jak Ekscelencja uważa) zmusiła mnie do napisania mojego majowego listu i niniejszej odpowiedzi Waszej Ekscelencji [...]

Pozostając w modlitwach za Waszą Ekscelencją, grzeszny
Cyryl, metropolita Kazański i Swijażski
m. Jenisiejsk, 10-12 listopada 1929

69 Chodzi o fragment Deklaracji o „słowach i czynach niektórych kręgów cerkiewnych”, które pociągnęły za sobą „usprawiedliwioną podejrzliwość władzy radzieckiej”. Patrz wyżej, siódmy akapit Deklaracji.

70 Metropolita Piotr w 1920 roku postrzyg w stan mniszy przyjmował z rąk metr. Sergiusza.

Odezwa Biskupów Jarosławskich do Metropolity Sergiusza⁷¹

*Jego Ekscelencja,
Najprzewielebniejszy Sergiusz,
Zastępca Strażnika Tronu Patriarszego*

Wasza Ekscelencjo!

Mimo, iż ani kanony cerkiewne, ani praktyka Katolickiej Cerkwi Prawosławnej, ani postanowienia Wszechrosyjskiego Soboru Cerkiewnego 1917-1918 w wysokim stopniu nie uzasadniają przebywania Waszej Ekscelencji u steru najwyższej władzy naszej rodzimej Cerkwi, my, podpisani niżej biskupi jarosławskiego okręgu cerkiewnego, dla dobra Cerkwi i jej pokoju uważaliśmy za obowiązek sumienia pozostawać z Ekscelencją w jedności i w hierarchicznym podporządkowaniu⁷². Dodawaliśmy sobie otuchy, pocieszaliśmy się modlitewną nadzieją, że Ekscelencja, z Bożą pomocą i przy współdziałaniu naszych najmądrzejszych i obdarzonych największym autorytetem współbraci w Chrystusie – biskupów, ochroni okręt Cerkwi przed grozącymi mu ze wszystkich stron w obecnych, trudnych dla Cerkwi Chrystusowej czasach, niebezpieczeństwami i doprowadzi bez szkody do zbawiennej przystani – Soboru, który uleczy żywe i zdolne do życia Ciało Cerkwi od niemocy, które dosięgły je z dopustu Opatrzności Bożej i odbuduje należyty kanoniczny porządek życia i zarządu cerkiewnego.

Ale owe nagłbsze nasze oczekiwania i nadzieje nie stały się rzeczywistością. Mało tego, widzimy i przekonujemy się, że działalność Ekscelencji w zakresie zarządzania Cerkwią w miarę upływu czasu wywołuje coraz większe niezadowolenie i potępienie ze strony bardzo wielu przedstawicieli prawosławnego episkopatu, wzburzenie, potępienie i narzekanie wśród duchowieństwa i szerokich kregów ludzi świeckich.

Będąc świadomym całej niekanoniczności swego jednoosobowego kierowania Cerkwią, kierowania nie sankcjonowanego żadnym aktem soborowym, Ekscelencja organizuje przy swojej osobie „Synod Patriarszy”. Jednakże ani porządek organizacji tego „Synodu”, ustanowionego osobiście przez Ekscelencję i od Ekscelencji otrzymującego swoje pełnomocnictwa, ani jego skład osobowy, w który wchodzi ludzie przypadkowi, nie cieszący się zaufaniem episkopatu, którzy w znacznej swojej części wykazali się nawet chwiejnością swoich prawosławno-cerkiewnych przekonań (byli w schizmie obnowlenczestwa, a jeden z nich w schizmie biegiłopopowstwa⁷³), nie mogą być zakwalifikowane inaczej, jak tylko jako działania ewidentnie sprzeczne z kanonami.

W swojej odezwie do dzieci Cerkwi Prawosławnej z dnia 29.07.1927 (n.st.) Ekscelencja w kategorycznej formie objawia taki program swojej kierowniczej działalności, którego realizacja nieuchronnie przyniesie Cerkwi nowe nieszczęścia, pogłębi niemoce i cierpienia, w których jest pogrążona. W programie Ekscelencji to, co duchowe i Boże w ekonomii cerkiewnej całkowicie podporządkowane zostaje temu, co świeckie i ziemskie; jego kamieniem węgielnym nie jest troska o to, aby wszystkimi możliwymi środkami ochronić prawdziwą wiarę i pobożność chrześcijańską, a jest nim nikomu i niczemu niepotrzebne wystugiwanie się temu, co „zewnątrzne”, które nie pozostawia miejsca dla ważnego warunku koniecznego dla uporządkowania wewnętrznego życia cerkiewnego na podstawie nakazów Chrystusa i Ewangelii – czyli wolności, darowanej Cerkwi przez Jej Niebiańskiego Założyciela i obecnej w samej naturze Jego Cerkwi. Na dzieci Cerkwi, a przede wszystkim, oczywiście, episkopat, Ekscelencja nakłada obowiązek lojalnego stosunku do władzy państwowej. W pełni zgadzamy się z tym wymogiem – i oświadczamy, że zawsze byliśmy, jesteśmy i będziemy lojalni i posłuszni wobec władzy państwowej; zawsze byliśmy, jesteśmy i będziemy prawdziwymi i porządnymi obywatelami naszego kraju ojczystego, ale uważamy, że nie ma to nic wspólnego z narzucanym przez Ekscelencję politykanctwem i przypochlebianiem się i nie zobowiązują to dzieci cerkwi do dobrowolnego wyrzeczenia się tych praw wolnego

71 Nazywana też w literaturze Aktem odejścia od metr. Sergiusza.

72 W 1926 roku metr. Agatangelowi, który powrócił z zesłania, aresztowany w międzyczasie metr. Piotr przekazał prawa Strażnika Tronu Patriarszego i de iure to metr. Agatangel był głową cerkwi. Jednak metr. Sergiusz nie dopuścił metr. Agatangela do kierowania Cerkwią, i ten ostatni, chcąc zachować pokój w prześladowanej Cerkwi postanowił nie walczyć o należne mu prawa.

73 Biegiłopopowstwo – staroobrzędowcy, którzy przyjmowali kapłaństwo u nowoobrzędowców, a następnie wracali do staroobrzędowców.

urządzania wewnętrznego życia religijnego społeczności cerkiewnej, które zostały im dane przez tę samą władzę państwową (wybieranie przez wierzących swoich duchownych przewodników).

Na miejsce nadanej przez Chrystusa wolności wewnątrzcerkiewnej Eksceleńcja wprowadza administracyjną samowolę, z powodu której Cerkiew już wcześniej wiele wycierpiła.

Eksceleńcja praktykuje bezcelowe, niczym nie usprawiedliwione przemieszczanie biskupów, wedle osobistego uznania, często wbrew życzeniu ich samych i ich pastwy, wyznaczanie wikariuszy bez powiadomienia o tym arcybiskupowi eparchialnych, suspendowanie niewygodnych Eksceleńcji biskupów w ich obowiązkach pasterskich, itp.

Wszystko to, i wiele innych rzeczy z zakresu zarządu Cerkwią przez Eksceleńcję, jako jawnie naruszające, w naszym głębokim przekonaniu, prawidła kanonicznych Soborów Powszechnych i lokalnych, postanowienia Soboru Wszechrosyjskiego 1917-1918 roku, przyczyniające się do jeszcze większego pogłębienia nietładu i upadku życia cerkiewnego, zmusza nas do złożenia następującego oświadczenia na ręce Waszej Eksceleńcji:

My, biskupi jarostawskiego okręgu cerkiewnego, będąc świadomymi spoczywającej na nas odpowiedzialności przed Bogiem za powierzone naszemu duchowemu kierownictwu nasze dzieci duchowe i uważając za święty obowiązek ochronę czystości Świętej Wiary Prawosławnej i darowanej przez Chrystusa wolności organizacji wewnętrznego życia religijnego i cerkiewnego, mając na celu uspokojenie wzburzonego sumienia wierzących, wobec braku innego wyjścia z zaistniałego fatalnego położenia Cerkwi od tej chwili oddzielamy się od Eksceleńcji i odmawiamy przyznawania Eksceleńcji i Jego Synodowi prawa do najwyższego kierownictwa w Cerkwi. Jednocześnie podkreślamy, że we wszystkim pozostajemy wiernymi dziećmi Jednej, Świętej, Sobornej i Apostolskiej Cerkwi, niezmiennie pozostajemy w hierarchicznym podporządkowaniu Strażnikowi Tronu Patriarszego, Najprzewielebniejszemu Piotrowi, metropolicie Krutickiemu i za jego pośrednictwem zachowujemy jedność kanoniczną i modlitewną ze wszystkimi Wschodnimi Cerkwiami Prawosławnymi. Stojąc niezachwianie na takiej podstawie, będziemy zarządzać jarostawskim okręgiem cerkiewnym i SAMODZIELNIE prowadzić swoich wiernych w sprawach podobania się Bogu i zbawienia dusz – w ścisłej zgodzie ze Słowem Bożym, ogólnie przyjętymi w Cerkwi kanonami, prawidłami i tradycjami, z postanowieniami Soboru Wszechrosyjskiego 1917-1918 roku, z pozostającymi w mocy rozporządzeniami najwyższej Władzy Cerkiewnej okresu przedsoborowego, a także z rozporządzeniami Jego Świątobliwości Patriarchy Tichona, jego Synodu i Rady.

Niniejsze nasze postanowienie pozostanie w mocy aż do uświadomienia sobie przez Eksceleńcję nieprawidłowości jego kierowniczych działalności i posunięć i przyniesienia otwartego pokajania odnośnie błędów Eksceleńcji, albo do czasu powrotu do władzy Najprzewielebniejszego metropolity Piotra.

Agatangel (Preobrażeński), Metropolita Jarostawski

Serafin (Samojłowicz), Arcybiskup Uglicki, wikariusz Eparchii Jarostawskiej, były Zastępca Strażnika Tronu Patriarszego

Metropolita Józef (Pietrowych), trzeci ze wskazanych przez Strażnika Tronu Patriarszego Zastępców

Arcybiskup Barlaam (Riaszencew), były Permski, tymczasowo zarządzający wikariatem lubimskim

Pokorny Eugeniusz (Korbanow), Biskup Rostowski, wikariusz Eparchii Jarostawskiej,

6 lutego 1928 roku

List Sergiusza Aleksandrowicza Nilusa⁷⁴ do Lwa Aleksandrowicza Orłowa

Czernihów, 9-11 lutego 1928

Mój wielce drogi Lwie Aleksandrowiczu!

Dawno już nie wzruszałem się tak, jak dzisiaj w czasie lektury Pańskiego listu. Tak zachować swoją duszę w wieku 28 lat, i to jeszcze w naszych złych i w najwyższym stopniu nieprawych czasach! Jakże to Bóg pomógł ją Panu tak zachować – nie można tutaj się nie wzruszyć! Trzeba Panu śpiewać pochwały, mój drogi, chwala i cześć Pańskim rodzicom, a przede wszystkim Władcy Bogu, który zachował Pana wśród siedmiu tysięcy nie skłoniwszych swojego karku przed Baalem! Raduję się i znowu powiem – raduję się i składam dziękczynienie mojemu i Pańskiemu Stworzycielowi, że udało mi się w dwunastej godzinie mojego życia spotkać Pańską duszę i jeszcze raz dane mi było przekonać się naocznie, że jak bardzo nie byłoby małe stado Chrystusowe, wrota piekielnie nie mogą go przemóc. Całym sercem obejmuję i całuję Pana, peretko Boża drogocenna! Niech Zbawiciel i Matka Boża ochraniają Pana i zachowują od wszelkiego zła i wrogiej napaści!

Z powodu miłości i wiary Pańskiej Bogu tak się podobało uczynić, że mój list pójdzie nie pocztą, a z umyślnym i dlatego mam nadzieję, że z Bożą pomocą udzielę wyczerpujących odpowiedzi na wszystkie Pańskie pytania. Zacznę od najważniejszego – od siergiuszowskiej smuty.

W swoim liście pisze Pan, że szanując każdą prawowitą władzę i jedność cerkiewną i nie widząc w działaniach metr. Sergiusza niczego sprzecznego z kanonami, modli się Pan za niego i za obecny Synod, a także za wszystkich rządzących hierarchów Cerkwi Rosyjskiej. Ale proszę mi powiedzieć: Annasz i Kajfasz – z punktu widzenia formalnej starotestamentalnej prawowierności byli kanoniczni, czy też nie, gdy skazywali Zbawiciela na ukrzyżowanie? A Judasz – czyż nie był jednym z Dwunastu? A jednak pierwsi chrześcijanie nigdy nie modlili się za nich jako za GŁOSZĄCYCH W SPOSÓB PRAWY SŁOWO PRAWDY⁷⁵. Taka jest właśnie w moich oczach (i nie tylko w moich) odezwa metr. Sergiusza z 16 (29) lipca 1929. Odezwa ta, wedle diabelsko trafnego wyrażenia sowieckiego organu „Izwestija”, to próba „zbudowania krzyża w taki sposób, żeby robotnikowi zmieścił się w nim młot, a chłopu – sierp”. Innymi słowy: żeby zamienić krzyż sowiecką pieczęcią – pieczęcią „bestii” (Apok. XIII, 16).

Oto, w jaki sposób my, nie chcący skłonić swojej głowy przed Baalem i „bestią, której rana się uleczyła”, rozmyślaliśmy na ten godny wszelkiego płaczu temat. „Usta kapłana powinny strzec wiedzy, z ust jego oczekuje się pouczeń roztropnych, gdyż jest on wystannikiem Władcy Zastępów. Ale wyście zeszli z tej drogi i dla wielu staliście się zgorszeniem w zakonie, uniwersz obróciliście przymierze Lewiego – mówi Władca Zastępów. Przeto i ja uczynię was wzgardzonymi i poniżonymi przed całym narodem, dlatego że nie zachowaliście dróg Moich, a w swoich pouczeniach mieliście wzgląd na osobę” (Mal 2, 7-9). Wspomnieliśmy te słowa Bożego proroka po lekturze Odezwy metr. Sergiusza i zorganizowanego przezeń Tymczasowego Świętego Synodu Patriarszego z dnia 16 (29) lipca 1927. Słowa te stanęły przed nami jak oskarżenie tej drogi, na którą weszli oni swoją Odezwą tak zdecydowanie i bez oglądania się wstecz. Czy może Cerkiew, która jest „filarem i utwierdzeniem Prawdy”, czy może ona i jej hierarchia, w obliczu jakichkolwiek wypadków i dla jakichkolwiek celów stawać na drodze kłamstwa i dogadzania względem czysto ludzkim? Nie, albowiem jest to bezwarunkowo zakazane przez Słowo Boże (Dz 4,

74 Sergiusz Aleksandrowicz Nilus (1862-1929), rosyjski pisarz religijny i działacz społeczny. Pochodził z arystokracji, zakończył prawo na Uniwersytecie Moskiewskim. Po osobistym nawróceniu w latach 1890-tych, głębokim pokajaniu przed św. Janem Kronstadtzkim, pielgrzymkach do Ławry Troicko-Siergiejewskiej, a także Diwiejewa, został pisarzem i publicystą piszącym o sprawach duchowych. W latach 1907-1912 mieszkał w Pustelni Optyńskiej, będąc duchowym dzieckiem św. Starców Optyńskich i nieoficjalnym kronikarzem Pustelni. Jako jeden z nielicznych trzeźwych głosów w czasach przedrewolucyjnych ostrzegał o zbliżającej się katastrofie. Zostawił po sobie wiele książek, m.in. Wielikoje w małym, Na bierze Bożiej rzece (o Pustelni Optyńskiej), Bliz jest', pri dwieriech (o zbliżających się czasach antychrysta). Opublikował znane na cały świat teksty, m.in. Rozmowę o celu życia chrześcijańskiego (św. Serafina Sarowskiego z Motowilowem). Krytycznie odniósł się do rewolucji lutowej 1917 roku i do zwołania Soboru Wszechrosyjskiego pod nieobecność Cara. Czytanie jego książek przy władzy sowieckiej było surowo zabronione. Chociaż był w latach 1924 i 1925 aresztowany, to nie został zesłany i zmarł własną śmiercią w 1929 roku.

75 W oryg. za PRAWO PRAWIASZCZICH SŁOWO ISTINY – fragment modlitwy ze św. Liturgii za zwierzchników danej Cerkwi i danej eparchii, wygłaszanej przez kapłana po przemianie św. Darów.

19, Ez 3, 18)⁷⁶. Wszystko, co mówi się w imieniu Cerkwi, powinno oddychać prawdą Chrystusową, z niej wypytywać, być z nią zgodne; wszelkie zaś odejście od prawdy, jakimikolwiek względami nie byłoby usprawiedliwiane, jest opluwaniem przeczystego Oblicza Chrystusowego i w ostateczności zawsze przynosi Cerkwi szkodę i wstyd. Wstydliva i szkodliwa jest również ta rzecz, którą rozpoczął metr. Sergiusz, wstydliva i szkodliwa dlatego, że nie ma w niej prawdy, cała jest pełna kłamstwa, czysto ludzkich wyobrażeń i kalkulacji.

Po przewrocie październikowym Cerkiew Rosyjska stanęła w obliczu władzy państwowej nie tylko nie religijnej, ale jaskrawo antychrześcijańskiej, odrzucającej samą istotę chrześcijaństwa, władzy całkowicie przeciwstawnej i wrogiej Chrystusowi, a dlatego w fatalny sposób skazanej na walkę przeciwko Niemu. Cerkiew stoi komunizmowi na przeszkodzie w najgłówniejszych, najbardziej zasadniczych punktach. Odrzuca ona komunizm z jego filozofią materialistyczną, jej kategorycznymi koncepcjami i praktycznymi środkami ich realizacji. Ta sprzeczność jest dokładnie taka sama, jak sprzeczność między „tak” i „nie”, między potwierdzeniem i zaprzeczeniem i dlatego wrogie działanie władzy państwowej przeciwko Cerkwi były nieuchronne. Jednakże do tej pory władza nie miała w sobie dostatecznie dużej mocy, żeby zacząć otwartą walkę z Cerkwią jako taką – robiła to pod pozorem walki z polityczną kontrrewolucją hierarchii cerkiewnej i organizacji cerkiewnych. Jeśli jednak nawet fakty politycznej kontrrewolucji występowały w słowach i działaniach nielicznych, pojedynczych osobistości hierarchii cerkiewnej, to, po pierwsze, były bardzo rzadkie, a po drugie – szybko się zakończyły. Poza tym nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jeśli by nawet nie było takich faktów, to jednak wrogie Cerkwi działania władzy sowieckiej na pewno miałyby miejsce, gdyż wyphywają one z przyczyn (znanych Panu z mojej książki) znacznie głębszych, niż zachowanie tych lub innych osobistości, a to znaczy, że w żaden sposób nie można widzieć stosunków między władzą a Cerkwią tylko jako wyniku nastrojów pojedynczych hierarchów. Gdy w taki sposób widzi to władza, to jeszcze można to jakoś zrozumieć, ale kiedy w taki sam sposób uważa działacz cerkiewny, gdy również on napięte stosunki między władzą a Cerkwią stara się wyjaśnić tylko jako rezultat kontrrewolucyjnych nastrojów politycznych kręgów cerkiewnych, – trudno w ogóle znaleźć termin dla takiego zachowania; do tej pory tego rodzaju insynuacjami zajmowali się „obnowleńcy” i pozostali zdrajcy i wrogowie Cerkwi Chrystusowej. I my w swoim własnym imieniu i w imieniu całej Cerkwi, z oburzeniem odrzucamy takie oskarżenia jako kłamstwo i oszczerstwo.

Teraz zaś do tego chóru fałszywych świadków dołączył się również Zastępca Strażnika Tronu Patriarszego ze swoim „Tymczasowym Świętym Synodem Patriarszym”. Wyjaśniając, dlaczego Cerkiew Prawosławna w Rosji jest aż do teraz prześladowana, piszą oni: „Przeszkodą w tym może być jedynie to, co było przeszkodą budowy życia cerkiewnego na zasadach lojalności także w pierwszych latach władzy radzieckiej. Jest to – niedostateczna świadomość całej powagi tego, co dokonano się w naszym kraju. Powstanie władzy sowieckiej wielu ludziom wydawało się nieporozumieniem, czymś przypadkowym i dlatego – niedługowiecznym”.

W innym miejscu nieufność rządu wobec Cerkwi metr. Sergiusz nazywa „naturalną i usprawiedliwioną”, tj. winą za ową nieufność w całości obciąża Cerkiew, a nie rząd. W taki sposób wymordowanie zastępów kapłanów i ludzi cerkiewnych, konfiskata świątyń i wszelkiej własności cerkiewnej, – będące bezprawiem nawet z punktu widzenia obecnego prawodawstwa, – są wedle opinii metr. Sergiusza spowodowane jedynie tym, że Cerkiew dzień za dniem oczekiwała upadku władzy sowieckiej, w czymś tam sprzeciwiając się tej władzy, i że dlatego nie my mieliśmy rację, a „żywiści-obnowleńcy”, którzy od razu „wyczuli koniunkturę” i pospieszyli już pięć lat temu uczynić to, co teraz z takim opóźnieniem uczynił metr. Sergiusz.

Nie wiadomo, z jakich pobudek metr. Sergiusz wypowiedział te niestychane w ustach hierarchy cerkiewnego stwierdzenia, ale dla każdego prawosławnego chrześcijanina jest oczywiste, że w stwierdzeniach tych nie ma prawdy, że jest to niebezpieczne oszczerstwo przeciwko Cerkwi, przeciwko jej biskupom i że w rzeczywistości wrogi stosunek władzy sowieckiej wobec Cerkwi Prawosławnej nie był ani „naturalny”, ani „sprawiedliwy”, jako próbuje twierdzić metr. Sergiusz.

Jedna nieprawda pociąga za sobą następną. Pokazaliśmy, jak w niesprawiedliwy sposób metr. Sergiusz oskarża biskupów prawosławnych o kontrrewolucyjne politykanctwo i w ten sposób staje w jednym rzędzie z obnowleńcami i pozostałymi wrogami Cerkwi. I oto, wiedząc, że te wystąpienia wywołają

76 Dz 4, 19: „Lecz Piotr i Jan, odpowiadając, rzekli do nich: Osądźcie, czy słuszna to rzecz w obliczu Boga słuchać raczej was, niż Boga”. Ez 3, 18: „Jeśli Ja powiem bezbożnemu «Śmiercią umrzesz», a ty nie oznajmisz mu, ani mu nie powiesz, aby się odwrócił od drogi swej bezbożnej i żył, ów bezbożny w bezbożności swej umrze, lecz krwi jego z ręki twej domagać się będę”.

sprawiedliwe oburzenie i sprzeciw prawdziwie wierzących, metr. Sergiusz, chcąc się obronić, znów mówi nieprawdę. Ta kolejna nieprawda polega na tym, że metr. Sergiusz zawnoczuje stara się oczernić w oczach rządu i w oczach narodu tych, którzy z powodu sumienia nie mogą poprzeć nieprawych działań jego i Synodu.

Oskarża ich o polityczną kontrrewolucję, gdy mówi, że jakoby wszyscy, którzy nie popierają go w jego nowym przedsięwzięciu, uważają, iż „nie można zrywać z poprzednim ustrojem, a nawet z monarchią, nie zrywając jednocześnie z Prawostawiem”. Metr. Sergiusz wie, że w obecnych czasach niebezpieczne jest nawet najmniejsze podejrzenie o kontrrewolucję i mimo to nie boi się ściągać tego niebezpieczeństwa na kapłanów i na zwykłych członków Cerkwi, na swoich braci i dzieci, oskarża ich o kontrrewolucję, i to za co? Za to, że nie są w stanie ze względu na sumienie przyznać, że „radości i sukcesy Związku Sowieckiego – to nasze radości i sukcesy, a niepowodzenia – to nasze niepowodzenia”. Że „wszelki cios, skierowany przeciwko Związkowi, uznajemy za cios skierowany przeciwko nam”. Czyż chrześcijanie, którzy nie mogą każdej radości bezbożnego, toczącego wojnę z religią, komunizmu uważać za swoją radość, a każdy sukces – za swój sukces, są przez to politycznymi wrogami władzy sowieckiej? I czy można w ogóle wymagać od wierzącego chrześcijanina takiego utożsamiania swoich życiowych orientacji z bezbożnym komunizmem, jak tego żąda metr. Sergiusz? Niech metr. Sergiusz nie chowa się za kazuistyczne rozróżnienie Związku Sowieckiego i komunizmu: jest ono wykluczone przez wielokrotne oświadczenia członków rządu, na przykład takie, jakie złożył Bucharin, który powiedział, że „nasza partia jest nierozzerwalnie związana z ZSRS” (Izwiestija, 18/VII/27 r., Nr 187/3121). I tak oczywiście jest. Dlatego całkowicie na sumieniu metr. Sergiusza leży grzech niesprawiedliwego i niepotrzebnego oskarżenia swoich braci o ciężkie przestępstwa polityczne, grzech poniżającego, potwornego łgarstwa i płaszczenia się przed silnymi tego świata, które uczynił w imieniu Świętej Cerkwi, wbrew wyraźnemu zakazowi Apostoła „upodabniania się do tego świata” (Rz 12, 2).

Cóż skłoniło metr. Sergiusza do takiego grzechu przeciwko Cerkwi Rosyjskiej? Oczywiście pragnienie uzyskania w taki sposób statusu legalności dla organizacji cerkiewnych, wbrew przykładowi naszego Zbawiciela, który zdecydowanie odrzucił drogę kompromisów zawieranych z sumieniem celem otwarcia sobie możliwości uzyskania poparcia od sił tego świata (Mt 4, 8-10)⁷⁷. Sam metr. Sergiusz oświadcza w druku o tym rezultacie, w uzupełnieniu do „odezwy” (Izwiestija, 19 sierpnia 27 r.). Sam metr. Sergiusz przyznaje, że jego wysiłki „zadają się nie pozostawać bez rezultatu”, że „wraz ze stworzeniem Tymczasowego Świętego Synodu Patriarszego rośnie nadzieja” nie tylko „na doprowadzenie całego zarządzania naszą Cerkwią do należytego ładu i porządku”, ale również „umacnia się wiara w możliwość życia w pokoju”. Nie jest nawet pewny tego, że legalizacja obejmie coś więcej, niż Synod, a tylko MA NADZIEJĘ, czyli nie otrzymano na razie nic, oprócz mglistych perspektyw i nieokreślonych obietnic. Nawet z punktu widzenia kategorii świeckich jest to żalotny wynik.

„Chyba nie trzeba wyjaśniać znaczenia i wszelkich konsekwencji dokonanej w ten sposób przemiany w położeniu naszej Cerkwi Prawosławnej” – mówi metr. Sergiusz. Tak, chyba rzeczywiście nie trzeba, dlatego, że wszystko jest jasne. Jasne, dlaczego wraz z legalizacją Synodu nie legalizuje się zarazem całej Cerkwi. Tak powinno być w sytuacji, gdyby Synod był rzeczywiście centrum Cerkwi, zjednoczonym z nią w myślach i w życiu. Ale w rzeczywistości tak nie jest i wraz z legalizacją Synodu Cerkiew nadal pozostaje w nielegalnym położeniu, gdyż to nie Cerkiew została zalegalizowana, a zaledwie tylko nowa orientacja, która w dodatku ma jaskrawo polityczny charakter. Cerkiew natomiast zalegalizują wtedy, gdy sama, w postaci soboru, ostatecznie usprawiedliwi przedsięwzięty przez metr. Sergiusza „interes”, to znaczy – dopuści się tego samego grzechu samoopluwania i zbrodniczego kompromisu. Jasne jest również to, dlaczego metr. Sergiusz, mówiąc o „drugim Soborze Lokalnym” mówi nie o tym, że sobór ten wybierze Patriarchę (jak powinien by powiedzieć), a tylko o tym, że sobór wybierze nam nie tymczasowy, lecz stały centralny zarząd cerkiewny. Przemilczenie bardzo znamienne. Jasne, dlaczego była potrzebna taka zaostrzona formuła nowych stosunków Cerkwi i władzy, wedle której jej „radości i sukcesy są naszymi radościami i sukcesami, a niepowodzenia – naszymi niepowodzeniami” itd. Jest to otwarte, poniżające, śmieszne i bezużyteczne łgarstwo, sprawiedliwie ocenione w komentarzach prasy do „Odezwy” (Izwiestija, 19-VII-27), jednakże niezbędnie potrzebne do tego, by warunki legalizacji prowadzonej przez metr. Sergiusza były w możliwie jak najwyższym stopniu nie do przyjęcia dla

77 Ewangelia wg św. Mateusza, 4, 8-10: „Wziął Go znów diabeł na górę wysoką bardzo i ukazał mu wszystkie królestwa świata i chwałę ich i rzekł Mu: To wszystko dam Tobie, jeśli upadniesz, oddasz mi pokłon. Wtedy rzekł mu Jezus: Idź precz, szatanie! Albowiem napisane jest: «Jahwe Bogu twemu kłaniać się będziesz i Jemu Samemu służyć będziesz»”.

wszystkich uczciwych działaczy cerkiewnych; żeby potem już nie mocą sądu państwowego, a mocą sądu jakoby samej Cerkwi można ich było opluwać jako politycznych kontrrewolucjonistów i w ten sposób pozbawić najlepszych pasterzy możliwości uczestniczenia w życiu cerkiewnym i doprowadzić do ostatecznego osłabienia Cerkwi. W końcu jasne jest również i to, jak będzie się odbywała sama legalizacja: będą takie albo inne ankiety, tak, jak to było już swego czasu u „żywistów”, z zobowiązaniami znanymi już nam z „Odezwy”, a może nawet jeszcze i nieznanymi. Ci, którzy odrzucą te zobowiązania będą zamykani, wtrącani do więzień. Słowem, wszystko zostanie po staremu, a prawdziwa Cerkiew będzie prześladowana. W całej tej żalostnej sprawie nowe będzie tylko to, że prześladowanie Cerkwi Rosyjskiej będzie usprawiedliwiane przez jej tymczasową głowę, metr. Sergiusza.

Czyniąc to, co czyni (J 13, 27)⁷⁸ metr. Sergiusz powinien był przynajmniej wypełnić to, czego sam żądał od metr. Agatangela, od byłego arcybiskupa Grzegorza Jekaterynburgskiego i innych pretendentów do stworzenia nowych orientacji, – poprosić o błogosławieństwo u swojego przełożonego w hierarchii. Przecież metr. Sergiusz jest tylko zastępcą Strażnika Tronu, czyli osobą nie samodzielną i zobowiązaną do działania przynajmniej nie wbrew wskazówkom tego, czyje imię, jako imię swojego Przełożonego, sam wygłasza w czasie Boskiej Liturgii. Dlatego powinien był zacerpnąć opinii metr. Piotra na temat jego stosunku do bardzo ważnego i odpowiedzialnego przedsięwzięcia, które zamierzał podjąć i działać tylko z jego błogosławieństwa... Tymczasem – ani w protokołach posiedzeń Synodu, ani w samej „Odezwie” nie ma nawet śladu wskazującego na to, że tak się stało i że otrzymano błogosławieństwo. Wręcz przeciwnie, powoływanie się na zmarłego Patriarchę Tichona i jego dość apokryficzne słowa (co zresztą – tak jest! – strasznie zbliża metr. Sergiusza do WCU⁷⁹, Łubieńców i innych, którzy rzekomo kontynuują dzieło zmarłego Patriarchy), daje pełną podstawę dla wniosku, że pozwolenie od metr. Piotra nie zostało otrzymane. A skoro tak, to jest to gruba samowola. Na ile ważne było dla metr. Sergiusza otrzymanie błogosławieństwa od metr. Piotra można zrozumieć wtedy, gdy uświadomimy sobie, że w przypadku jego niezgody z działalnością swojego zastępcy, metr. Sergiusza, ten ostatni staje się od razu takim samym „uzurpatorem władzy”, jak te osoby, o których wspomina w swojej odezwie. Taka właśnie, mój drogi Lwie Aleksandrowiczu, była opinia moja i osób podobnie myślących o „odezwie” metr. Sergiusza. Kwestię, którą poruszył w związku z duchowieństwem, które wyemigrowało rozważaliśmy również z tego punktu widzenia, z jakiego odnieśliśmy się do całej „Odezwy”. – Teraz już Pan go zna. – Brakowało nam tylko potwierdzenia w postaci autoryzowanego wyższymi święceniemi głosu prawdziwej Cerkwi w osobie Jej episkopatu. I głos ten nie kazał na siebie czekać. W dołączonej do niniejszego listu kopii „Odezwy” autorstwa cieszącej się największym autorytetem części piotrogrodzkiego duchowieństwa, skierowanej do metr. Sergiusza, błogosławionej przez metr. Józefa i biskupów Dymitra i Sergiusza, a także w liście biskupa Wotkińskiego Wiktora do metr. Sergiusza zobaczy Pan, że głos ten przygotował metr. Sergiuszowi i jego synodowi miejsce w „cerkwi tych, którzy knują zło”⁸⁰, od czego niech Pana i mnie uchowa Zbawiciel.

Pozostaje jeszcze Pańskie pytanie: „Co mamy robić? Dokąd iść?” W moim najgłębszym przekonaniu Prawdziwa Cerkiew Chrystusowa, „Niewiasta obleczona w słońce” (Apok 12, 1) już znajduje się na pustyni, gdyż aniołowie naszej Cerkwi – Cyryl i Piotr, najwyżsi hierarchowie i biskupi – wyznawcy Cerkwi lokalnych – wszyscy oni znajdują się na wygnaniu w miejscach pustynnych – a co za tym idzie, i my, wierni tej samej Cerkwi, znajdujemy się na pustyni. A cóż innego można robić na pustyni, jak tylko się modlić? Boże, bądź miłościw! Boże, bądź miłościw!

Póki jeszcze jest świątynia Boża nie należąca do „cerkwi tych, którzy knują zło”, to chodź do cerkwi, kiedy tylko można; a jeśli nie ma – to módl się w domu; jeśli nawet domownicy to wrogowie człowieka – to módl się w komórcie serca: Władco Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznym! I: Przenajświętsza Bogurodzico, zbaw mnie! Zapyta Pan: A gdzie przyjmować Najświętsze Tajemnice (Ciała i Krwi Chrystusowych)? U kogo? Odpowiem: Bóg wskaże, albo nawet Anioł przyniesie Najświętsze Tajemnice, albowiem w cerkwi tych, którzy knują zło nie ma i nie może być Ciała i Krwi Chrystusowych. U nas, w Czernihowie, spośród wszystkich cerkwi tylko Cerkiew Troicka pozostała wierna Prawosławiu; ale jeśli i ona dalej zachowa modlitwę za egzarchę Michała, a więc i modlitewną jedność z nim, który działa z, błogosławieństwa Sergiusza i Synodu, przerwiemy z nią łączność. Wierzmy, że

78 Ewangelia wg św. Jana, 13, 27: „A po spożyciu kawałka wstąpił w niego szatan. I rzekł mu Jezus: Co czynisz, czyniś prędeż!”.

79 Wysszeje Cerkownoje Uprawlenije – nazwa organu początkowo (od 1922) zarządzającego „żywą cerkwią”.

80 W oryg. w cerkwi łukawnujuszczich.

za naszą wiarę Zbawiciel pošle nam w dobrym i odpowiednim czasie, niczym przep. Marii Egipskiej, swojego Zosię.

Tak wierzymy. Tak wyznajemy...

Okazja odkłada swój odjazd, dodam jeszcze do „Odezwy” metr. Sergiusza słowa Pisma Świętego: „Biada wam, synowie odstępcy, mówi Jahwe, wykonujecie zamiary, ale nie Moje, i przymierza zawieracie, które nie są z Ducha Mego. W ten sposób dorzucacie grzech do grzechu. Idziecie, aby zstąpić do Egiptu, a nie pytaliście się ust Moich, spodziewając się pomocy od potęgi faraona i schronienia w cieniu Egiptu. I będzie wam potęga faraona na zawstyżenie, a ufność w cieniu Egiptu na zelżywość... Wszystkich ich spotka wstyd od ludu, który im nie mógł być pożyteczny. Żadnej nie będzie od niego pomocy i korzyści, a tylko wstyd wam przyniesie i wielkie pohańbienie” (Iz 30, 1-5).

Proszę sobie przypomnieć sen, w którym pokazano wzajemne wybaczenie kozła i krzyża. Jeśli czytał Pan moją książkę *Bliz jest, pri dwieriech*, to ta symbolika będzie dla Pana jasna. Takie jest właśnie znaczenie Sergiusza i jego synodu. Metr. Sergiusz kierował bezbożnymi „Zebraniem religijno-filozoficznymi” w Petersburgu, w czasach metr. Antoniego (Wadkowskiego) i rozkajanych obnowleńców. Czy mogło od niego wypłynąć coś dobrego?...

11 lut. – Okazja wciąż nie jedzie, i tak wiele, nieskończenie wiele trzeba jeszcze opowiedzieć o tym, czego świadkiem uczynił mnie Bóg – tylko świadkiem.

Oto na przykład leży przede mną obszerny list świadomych „świadków prawdy” – biskupów, więźniów solowieckich. Został skierowany do metr. Sergiusza również z powodu jego „Odezwy”. Ileż w tym liście oburzenia, ile bólu! Jest długi i nie mam ani czasu, ani siły go Panu przepisywać (wszak jestem chory na serce, „obłożnie chory”, wedle świadectwa Komisji z GPU). Oto co, między innymi, piszą solowieccy biskupi:

„Cóż mamy powiedzieć, gdy zarządzający Cerkwią hierarcha wydaje surowy wyrok o «słowach i czynach»? Czyż te słowa nie stawiają czarnego krzyża nad wszystkimi pełnymi męki, niewypowiedzianymi cierpieniami, które przeżyła Cerkiew w ostatnich latach – nad całą tą walką, która wydawała się heroiczną? Czyż podwigu Cerkwi nie nazywają teraz przestępstwem? Jak te słowa przeczytają ci, którzy znajdują się teraz na dalekim wygnaniu? Co poczują, widząc oskarżyciela w osobie swojego pełnego odpowiedzialności współbrata? Czyż z ich pobladyłych ust nie wyrwie się słowo „oszczerstwo”? Czyż nie będą mieli wrażenia, że ten wyrok biskupów, którzy podpisali deklarację, narusza nawet spokój umarłych (zamordowanych za słowo Boże)?”

I dalej: „... W związku ze spodziewaną legalizacją metr. Sergiusz proponuje «wyrzucić pokorną naszą wdzięczność wobec rządu radzieckiego za taką uwagę wobec potrzeb duchowych ludności prawosławnej»

Za co tu dziękować?

Na razie znamy tylko jeden fakt: metr. Sergiusz i członkowie Synodu mają możliwość obradować w Moskwie i uktadać deklarację.

Oni są w Moskwie.

Ale pierwszy hierarcha Cerkwi Rosyjskiej, metr. Piotr, już nie pierwszy rok, bez sądu, skazany został na straszne, męczące więzienie.

Oni są w Moskwie.

Ale metr. Cyryl, który już stracił rachubę lat swojego wygnania, na które został skazany, znów – bez sądu, znajduje się obecnie, o ile tylko jeszcze żyje, o wiele wiorst za granicami Kręgu Polarnego.

Oni są w Moskwie.

Metr. Arseniusz, wymieniony wśród członków Synodu, nie może przyjechać do Moskwy i w turkiestańskich pustyniach, wedle jego słów, gotuje się do wiecznego odpoczynku.

I zastępy rosyjskich biskupów niosą męczeński podwиг między życiem i śmiercią w warunkach nieprawdopodobnie przerażających...

Czyżby za to wszystko mamy być wdzięczni?! Za te nieprzeliczone cierpienia ostatnich lat?! Za to, że zagasta lampada przep. Sergiusza?! Za to, że drogocenne resztki przep. Serafina, a jeszcze wcześniej – św. Biskupów Teodozego, Mitrofana, Tichona, Joasafa zostały wystawione na niewiarygodne bluźnierstwo?! Za to, że zamilkły dzwony nad moskiewskim Kremlem i że zamknięto drogę do moskiewskich świętych hierarchów?! Za to, że Peczerscy Święci i Ławra Peczerska znajdują się w rękach bezbożnych?! Za to, że nasz północny Monaster (solowiecki) stał się dla nas miejscem nie kończących się mąk?! Za te męki, za krew metr. Beniamina, Włodzimierza i innych zamordowanych hierarchów?!

Za co tu dziękować?!”

Nie czynię dalszych wypisów z tego płaczu hierarchów, płaczy wyznawców – wystarczy Panu i mnie. Od serdecznego wzburzenia ledwie mogę pisać. Dodam od siebie: czyż mamy dziękować za Diwiejewo, rozegnane w odpowiedzi na zaproszenie metr. Sergiusza do „wyrażenia wdzięczności za uwagę”?!

Jak długo, o Boże!

Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha!

Niech Pana, drogi mój, chroni Bóg i Matka Boża.

Pański S.